

DOKUMENTY

RAPORT O STANIE NARODU I PRL

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1980

1980 W 191/1-1

1980 W 191/2

**RAPORT
O STANIE NARODU I PRL**

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 313

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

DOKUMENTY

**RAPORT
O STANIE NARODU I PRL**

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1980

Wszystkie zamieszczone w tym tomie opracowania opublikowane zostały bez wiedzy i zgody autorów.

PRZEDMOWA

W Polsce narastają elementy kryzysu: dezorganizacja rzekomo planowej gospodarki, nastroje wahające się między głęboką apatią a niebezpieczną zapalnością, no i postępujący rozkład systemu politycznego. W odróżnieniu od przeszłości nikt już chyba nie wierzy, że sprawa da się „załatwić” przetasowaniem kadr, krótkoterminowym manewrem gospodarczym, czy też demagogią. Konieczne są zmiany podstawowe: reformy ustroju politycznego, zarówno jak i ekonomiczne, a także — i może przede wszystkim — odbudowa moralna narodu. Tego rodzaju terapia nie obędzie się bez kosztów; w szczególnych okolicznościach polskiej geopolityki jest ona niestety bardzo utrudniona. Zresztą sam program zmian pozostaje niejasny, nie tylko w szczegółach, ale i w ogólnej koncepcji.

W swojej pracy *O myśl polityczną* (1976) profesor Jan Drewnowski, wskazując na „bardzo realne niebezpieczeństwo degradacji Polski w sensie politycznym i kulturalnym”, wymienia jako przyczynę tego stanu rzeczy „fakt historyczny, że właśnie teraz schodzi definitywnie ze sceny życia politycznego grupa społeczna zwana polską inteligencją (która) była... nosicielką myśli politycznej i inicjatorką politycznej działalności przez lat przeszło sto pięćdziesiąt”. Niniejszy zbiór tekstów krajowych dowodzi, że obawy te są nieuzasadnione. Inteligencja polska, zasilana — tak zresztą jak i w przeszłości — przez różne grupy i warstwy społeczne, kontynuuje swą historyczną rolę.

Teksty tu zebrane dotyczą diagnozy sytuacji polskiej i środków jej naprawy. Wykazują one, że jakkolwiek ograniczone układem sił zewnętrznym, poszukiwanie właściwych form i treści dalszego rozwoju Polski trwa. Przyszłe rozwiązania muszą być przedmiotem kontrowersji; w ostatecznym rachunku będą one

nie tyle wynikiem dyskusji, ile wyrazem równowagi interesów społecznych. Jedno jest pewne: konstruktywne zmiany muszą odpowiadać narodowej racji stanu. Jak to wymownie określił Kardynał Wyszyński, tak pojęta racja stanu „oznacza coś więcej, aniżeli polityczna racja stanu... (która) zmienia swoje wymiary”, dopasowując się do wymogów chwili.

Bogdan Borusewicz, St. Kurowski, J. Kuśmierek, zarówno jak i uczestnicy ankiety DiP'u, i ci co wyniki tejże ankiety opracowali, pomagają nam do zrozumienia co jest, a co nie jest zgodne z narodową racją stanu. Choć rozmaitego charakteru i orientacji, są to przyczynki do samookreślenia świadomości narodowej, na którą ani Trybuna Ludu, ani Nowe Drogi nie mają wpływu.

Andrzej BRZESKI

Stefan KUROWSKI

DOKTRYNALNE UWARUNKOWANIA OBECNEGO KRYZYSU GOSPODARCZEGO PRL

(Referat wygłoszony na konferencji Polskiego Towarzystwa Socjologicznego n.t. „Socjologiczne i ekonomiczne problemy gospodarki planowej” w dniu 12. V. 1979 w Sali Lustrzanej w Pałacu Staszica w Warszawie)

Warszawa, 1979.

Wstęp

Obecny kryzys gospodarczy naszego kraju nie jest w historii ostatnich 35 lat zjawiskiem odosobnionym. Nawet pobieżna retrospekcja tego okresu wskazuje wyraźnie, iż stan kryzysowy wyrażający się napięciem, nierównowagą w układach gospodarczych i frustracją w płaszczyźnie społecznej towarzysząc stale gospodarce PRL, jest niejako jej stanem normalnym, od którego odbiegały jedynie krótkie okresy w latach 1947-48, 1956-57 i 1971-73, spowodowane zresztą czynnikami zewnętrznymi w stosunku do systemu.

Obecna faza kryzysu społeczno-gospodarczego kraju dlatego skupia naszą szczególną uwagę, iż jest głębsza niż poprzednie, ma znacznie szerszy zasięg, wykraczając daleko poza zjawiska gospodarcze oraz nie towarzyszy jej w świadomości społecznej uczucie, iż istnieją jakieś możliwe rozwiązania, co miało jednak miejsce zarówno w połowie lat 50-tych jak i w 1970 roku. Wydaje się, że arsenał działań ratunkowych mieszczący się w możliwościach systemu został wyczerpany.

Dalszy rozwój sytuacji może się odbywać według dwóch scenariuszy. Może przyjść rozwiązanie spoza systemu, a może również sytuacja ulec petryfikacji, w której zarówno gospodarka, jak

i całe życie społeczne popadnie w stan trwałej degeneracji. Historia pokazuje, że w pewnych warunkach mechanizmy blokujące rozwój społeczny nadają takim społeczeństwom cechy ogromnej stabilności. Nie mamy żadnej gwarancji, iż jesteśmy zabezpieczeni przed taką przyszłością.

To, co możemy teraz zrobić, to dokonać takiej analizy obecnego kryzysu, by wykryć jego trwałe mechanizmy, które sprawiają, iż stan ten ciągle się reprodukuje. Ponieważ nie traktujemy dzisiejszej sytuacji gospodarczej kraju jako sytuacji przypadkowej i izolowanej, lecz jako prawidłowość, to i przy wyjaśnianiu genezy i mechanizmu tego stanu musimy sięgnąć do czynników trwałych, które stanowią ramy konstytuujące systemu. Otóż jednym z takich czynników jest jego doktryna — gospodarcza, społeczna, polityczna.

Doktryna ta nie powstała jako wynik indukcyjnego uogólnienia istniejącej praktyki gospodarczej, jak to miało miejsce z tzw. ekonomią burżuazyjną, ale odwrotnie: praktyka gospodarcza ukształtowała się jako wynik dedukcyjnego wnioskowania z doktryny. W tym sensie właśnie obecny system gospodarczy jest sztuczny, gdyż został wymyślony w formie doktryny a potem zastosowany w praktyce. Doktryna formowała zasady systemu, jest powoływana na jego legitymację i obronę i jest stale na nowo aktywizowana wówczas, gdy trzeba się przeciwstawić kolejnym próbom reformy systemu, czy chociażby tylko odcinkowej jego korekty.

Marksizm — gdyż o nim tu mowa — pyszałkowaty w formie i uzurpatorski w swoich totalnych ambicjach rozwiązywania wszystkich problemów człowieka i ludzkości — stanowi w swojej części ekonomicznej podstawową przyczynę permanentnego kryzysu naszej gospodarki. Nie można w sposób rzetelny analizować tego kryzysu szukając jego źródeł tylko w błędach praktyki gospodarczej, w niesprzyjającej koniunkturze, w nieudolności planujących i rządzących. Trzeba sięgnąć do doktryny, gdyż w ostatecznej instancji ona jest za to wszystko głównie odpowiedzialna.

W poniższych uwagach przypomnimy kilka podstawowych kanonów marksistowskiej ekonomii politycznej, stanowiących teoretyczne i ideologiczne tło obecnego systemu i obecnej polityki gospodarczej i skonfrontujemy je z rezultatami, jakie ich aplikacja przyniosła. W ten sposób pokażemy dokąd sięgają korzenie codziennych porażek gospodarki PRL i jak bardzo ideologiczne są uwarunkowania praktyki, którą coraz częściej oceniamy jako sprzeczną z ekonomiczną racjonalnością i z interesem społecznym.

Prymat polityki nad ekonomią

Pierwszą i najbardziej podstawową rzeczą jest pewien ogólny stosunek doktryny do zjawisk gospodarczych. Podejście to charakteryzuje się skoncentrowaniem uwagi tylko na niektórych aspektach procesu gospodarczego przy pomijaniu czy lekceważeniu innych aspektów. Występuje to wyraźnie w definicji ekonomii politycznej, którą się określa jako naukę o stosunkach społecznych w produkcji, czyli o stosunkach własności. Przykładem takiego podejścia jest też „Kapitał” Marksa, w którym autor pomija w ogóle problem gospodarowania i efektywności. W procesie produkcji, w procesie pracy, który jest wymianą materii między człowiekiem a przyrodą, jako głównego przeciwnika człowieka uznano nie przyrodę, lecz drugiego człowieka.

To podejście stosowane przy wyjaśnianiu poprzednich formacji społeczno-gospodarczych zostało przeniesione na budowę nowego ustroju. Uznano, że najważniejsze jest ustanowienie nowych stosunków własności, a następnie ich podtrzymanie i rozszerzanie nawet, gdyby te nowe stosunki własności stanowiły regres i prowadziły do marnotrawstwa w płaszczyźnie owej wymiany materii między człowiekiem a przyrodą, czyli w płaszczyźnie produkcji.

Stąd pochodzi wążący na naszej rzeczywistości gospodarczej prymat polityki nad gospodarką, prymat kryteriów i rozwiązań politycznych nad gospodarczymi. Choć w żadnym z dotychczasowych systemów w historii nie mówiło się tak wiele o produkcji jak obecnie u nas (a ostatnio i o efektywności), to jednak miejsce w propagandzie nie jest proporcjonalne do miejsca w hierarchii celów i kryteriów. Słynne powiedzenie, że „nie chodzi o to, by rosła wszelka produkcja, lecz chodzi o to, by rosła produkcja socjalistyczna” jest nadal wiodącą zasadą, choć autor tej formuły, moralnie zdyskredytowany, umarł przed przeszło ćwierćwieczem. Ta wiodąca zasada decyduje o kształcie naszej gospodarki w codziennym na nowo podejmowanych decyzjach. Jest to szczególnie widoczne tam, gdzie występuje styk różnych systemów własności, różnych poziomów uspołecznienia tej własności. Wszędzie tam, w codziennych, drobnych decyzjach i w wielkich rozstrzygnięciach poświęca się wymóg ewidentnej nawet efektywności na rzecz pryncypialności politycznej. Wtedy, kiedy dyktator jawnie ogłasza kolektywizację rolnictwa, choć prowadzi to do głodu i niedożywienia całych pokoleń, kiedy pomniejszy wielkorządca czy minister skrycie dąży do pegeeryzacji, choć gotuje w ten sposób nieuchronny kryzys żywnościowy i obciąża gospodarkę swego kraju olbrzymimi kosztami, kiedy naczelnik gminy

szykanuje indywidualnego rolnika, by go wyzuć z gospodarki, a potem nie sprzedaje tej ziemi innemu indywidualnemu rolnikowi, lecz przekazuje ją do kółka rolniczego, by tam leżała odłogi. Kiedy inny wielkorządca narzuca skrajnie scentralizowany system zarządzania przemysłowi drobnemu i handlowi... Wszyscy oni działają w myśl tej jednej zasady wiodącej, wszyscy stosują prymat polityki nad ekonomią, a wynikające stąd olbrzymie straty gospodarcze znoszą z lekkim sercem, gdyż posiadanie władzy politycznej zabezpiecza ich osobiście przed skutkami tego marnotrawstwa. Są jak owa fałszywa matka przed sądem salomonowym i wolą poświęcić efektywność gospodarczą, niż dopuścić, by choć część tej gospodarki funkcjonowała bez ich totalnej kontroli.

Marksowska teoria wartości

Kamieniem węgielnym ekonomii politycznej jest teoria wartości. Odpowiedź na pytanie: co tworzy wartość (ekonomiczną) rozstrzyga nie tylko o kierunku wyjaśniania zjawisk ekonomicznych, ale również — w tym systemie — o kierunku i formie rozwiązań ekonomicznych.

Marks powiada: wartość tworzy praca, wartość jest proporcjonalna do ilości i jakości pracy „zawartej” w produkcie czy w towarze. Teza ta wydaje się na pierwszy rzut oka oczywista i w tym się mieści jej sofistyka. Pozorna oczywistość marksowskiej teorii wartości wynika stąd, iż odpowiada ona prymitywnej skłonności człowieka do substancjonalnego widzenia świata. Praca jest „zawarta” w towarze, więc siedzi w nim „gdzieś w środku” jako jądro i określa wartość; im więcej „siedzi” tej pracy, tym większa jest wartość. Wprawdzie dodaje się przy tym, że w tworzeniu wartości bierze udział tylko ilość pracy „społecznie niezbędna” ale po pierwsze, kto ma określać jaka ilość jest społecznie niezbędna, a po drugie jest to subtelność teoretyczna zbyt trudna do uchwycenia dla umysłów skłonnych do prostych rozwiązań. W gospodarce kapitalistycznej o tym jaka ilość pracy w towarze jest społecznie niezbędna, a więc ile wart jest towar rozstrzygał rynek z jego mechanizmem konkurencji, ale w gospodarce upaństwowionej i centralnie planowanej konkurencyjnego rynku nie ma, a więc można to tylko zadekretować, a zatem będzie to ilość nie „społecznie niezbędna” lecz „społecznie dowolna”. Natomiast w płaszczyźnie praktycznych rozwiązań teza o pracy jako źródle i mierniku wartości ma rozległe konsekwencje. A więc przede wszystkim określa ona system tworzenia cen. Niezależnie od tego jakie są szczegóły takiego systemu, jedna rzecz

występuje zawsze: podstawą ceny i punktem wyjścia są koszty wytwarzania, do których dodaje się narzut procentowy na zysk. Skutki tego są dalekosiężne i wszystkie bardzo szkodliwe dla gospodarki. Po pierwsze cena przestaje być dla producenta wielkością obiektywną, do której on powinien dostosować swoje koszty, a przeciwnie to koszty stają się układem odniesienia dla ceny. Ponieważ zaś nie ma mechanizmu obiektywnie wyznaczającego niezbędny czyli uzasadniony społecznie poziom tych kosztów, to w relacjach cen powstaje chaos wskutek przypadkowego poziomu kosztów różnych producentów. Chaos ten pogłębia się wskutek zachowania się producentów: ponieważ cena jest wyłącznie funkcją kosztów, te zaś stanowią wyraz nakładów pracy, więc koszty zyskują magiczną moc tworzenia wartości: im wyższe koszty tym większa wartość. U producentów zaciera się zatem różnica między nakładami i efektami i w tej sytuacji bezprzedmiotowe jest prowadzenie rachunku gospodarczego, jeżeli każdy poniesiony nakład *eo ipso* staje się efektem. U producentów ekspansja produkcji staje się ekspansją nakładów.

Sprawa ma dalsze konsekwencje. Jeśli wartość jest tworzona przez pracę, to konsument-nabywca i jego popyt nie ma żadnej roli do odegrania. Stopień pożądalności jaki przypisuje danemu dobru, czyli jego dlań pożyteczność nie ma żadnego wpływu na wartość. Tym samym nie wpływa na wartość rzadkość dóbr wynikająca ze stosunku popytu i podaży. Ta okoliczność zaś określa sposób i kierunki tworzenia dochodu narodowego. Ponieważ dochód narodowy jest sumą wytworzonej wartości, a ta jest kreowana przez nakłady pracy, więc dochód narodowy nie może się zwiększyć przez jakiekolwiek procesy dokonujące się w sferze tzw. realizacji i popytu. Jeżeli nabywcy będą przypisywać większą użyteczność jednej strukturze dochodu a mniejszą innej, jeżeli przesunięcia dóbr między nabywcami zwiększą sumę użyteczności odczuwanej przez nich, to w naszym dochodzie jako wartości wyznaczonej przez pracę nic się nie może zmienić. I w praktycznej polityce gospodarczej ta zasada jest konsekwentnie respektowana. Podejmuje się wysiłki dla zwiększenia dochodu, ale tylko przez zwiększenie produkcji, a więc zwiększenie nakładów pracy. Natomiast pozanakładowa droga zwiększenia dochodu jest w tym systemie definitywnie zamknięta. Stąd taki pęd do inwestycji, do tworzenia nowych fabryk, do zwiększania zatrudnienia, zwiększania nakładów surowców, materiałów, energii, co prowadzi do stałych i zwiększających się napięć stanowiących stan normalny w gospodarce tego systemu.

W dalszej konsekwencji teza o tym, iż nakład pracy tworzy i określa wartość decyduje też o swoistej strukturze gałęziowej

produkcji, jaką przyjmuje cała gospodarka. Ponieważ wartość dobra finalnego zależna jest od nakładów pracy we wszystkich poprzednich stadiach okrężnej metody produkcji, więc rozrastają się surowcowe działy gospodarki, uzasadnia się prymat działu I czyli środków produkcji nad działem II czyli przedmiotów konsumpcji, co koresponduje w pełni z omawianym poprzednio ekspansjonizmem nakładów. W ostatecznym rezultacie mamy system „produkcji dla produkcji”.

Teoretycznie jest wyjście z tego nonsensu. Znajduje się ono we wspomnianym określeniu o nakładach „społecznie niezbędnych” tworzących wartość, co ma oznaczać nie tylko niezbędny poziom tych nakładów na jednostkę produktu, ale i niezbędny społecznie przydział pracy na wytworzenie wszystkich produktów danej gałęzi. To, czy ten przydział pracy w danej gałęzi jest rzeczywiście niezbędny zostaje potwierdzone w procesie realizacji, a więc pośrednio przez konsumenta. Jeśli konsument nie da tego potwierdzenia na cały przydział pracy, wówczas nadwyżkowy przydział pracy już nie tworzy wartości, jeżeli zaś da potwierdzenie „z nadmiarem”, wówczas wartość towaru „reprezentuje większą ilość pracy niż w nią włożono”. W ten sposób tylnym wejściem wchodzi do marksowskiej teorii wartości konsument, popyt. Ale Marks otworzył tę furtkę (dopiero w III tomie *Kapitału*, gdy jeszcze raz przemyślał całą sprawę) po to, by wyjaśnić mechanizm funkcjonowania gospodarki kapitalistycznej. Natomiast przy projektowaniu gospodarki socjalistycznej furtkę tę natychmiast zatrzaskał, formułując karkołomną tezę o pracy tzw. bezpośrednio społecznej.

Bezpośrednio społeczny charakter pracy

Teza o bezpośrednio społecznym charakterze pracy w ustroju socjalistycznym jest kluczowym uzupełnieniem teorii wartości tworzonej przez pracę. Gdyby nie było tej tezy, również i marksowska teoria wartości nie miałaby tych szkodliwych następstw polityczno-gospodarczych, gdyż uzupełnienie o nakładach społecznie niezbędnych pozwalałoby na racjonalne rozwiązanie całej sprawy.

Co mówi ta teza? Otóż twierdzi ona, że wraz z uspołecznieniem środków produkcji przydziały pracy jaką społeczeństwo wydatkuje na wytworzenie poszczególnych rodzajów towarów nie muszą być weryfikowane pośrednio, w procesie realizacji przez konsumenta, gdyż już w samym przydziale tej pracy, czyli w pod-

jęciu decyzji co i ile produkować, owa weryfikacja nastąpi bezpośrednio, bo społeczeństwo, które tę decyzję podejmuje zna swoje potrzeby. A zatem każda decyzja produkcyjna jest już *ex ante*, z samego założenia słuszna, gdyż jest ona równoznaczna z odczuciem potrzeby, którą ta produkcja ma zaspokoić. Doktryna głosi, że taką decyzję podejmuje samo społeczeństwo socjalistyczne. Ale oczywiście technicznie jest to niemożliwe, więc w roli całego społeczeństwa musi wystąpić określony organ — a zatem już mamy instytucje centralnego planowania. Centralny plan, zaopatrzony w legitymację pracy bezpośrednio społecznej, jest niepodważalny, jego decyzje produkcyjne są jednocześnie decyzjami konsumpcyjnymi podejmowanymi w imieniu całego społeczeństwa, a ponieważ podejmuje on równocześnie decyzje o jednostkowych nakładach pracy społecznie niezbędnej, oznacza to, że decyduje o wartości wszystkich dóbr i usług, łącznie z wartością siły roboczej. Plan centralny pełni więc rolę Pana Boga. Przy tym założeniu nie ma oczywiście miejsca na żadne marnotrawstwo, chybotne inwestycje, dysproporcje produkcyjne, nierównowagę rynkową, a popyt jest zbilansowany z podażą *ex ante*. Teza o pracy bezpośrednio społecznej sprawia, że plan centralny tworzy *ipso facto* normę i jej realizację. Nie ma tu też miejsca na żadne pośrednie mechanizmy dostosowywania produkcji do potrzeb, gdyż to dostosowywanie dokonuje się w głowie jednego podmiotu: centralnego planisty. Rynek, jaki w tym systemie istnieje, jest po prostu atrapą, która ma w tej tradycyjnej formie ukryć instytucję przydziałów dokonywanych bezpośrednio przez plan centralny. Stąd też wynika sformułowanie podstawowego celu gospodarki socjalistycznej, którym ma być zaspokajanie potrzeb społeczeństwa w przeciwieństwie do podstawowego celu gospodarki kapitalistycznej, jakim jest dążenie do zysku, które dopiero pośrednio może prowadzić do produkcji zaspakajającej potrzeby.

Tak więc teza o pracy bezpośrednio społecznej jest moralnym, teoretycznym i politycznym uzasadnieniem centralnego planowania. Ale jednocześnie teza ta pozostaje w rażącej sprzeczności z rzeczywistością społeczeństw żyjących w systemie państwowej gospodarki centralnie planowanej. Realizacja założenia o pracy bezpośrednio społecznej wymagałaby bowiem identyfikacji celów, dążeń i potrzeb centralnego planisty z celami i potrzebami całego społeczeństwa, wymagałaby tzw. jedności moralno-politycznej i wszelkiej innej tegoż społeczeństwa w takim stopniu, w jakim to jest w ogóle niemożliwe w populacjach gatunku *homo sapiens*. Próby czynione w kierunku uzyskania takiej jedności w różnych okresach historii, ostatnio podjęte w Kambodży przez — jak ich

nasza prasa do niedawna nazywała — „patriotów khmerskich” były zawsze znaczone zbrodniami na miarę ludobójstwa i niewolą, przy której reżym Dżingis-Chana mógł uchodzić za przykład liberalizmu.

W systemach, w których realizacja tej koszarnej utopii nie przybrała tak drastycznych form, a więc również i w naszym kraju, teza o pracy bezpośrednio społecznej osiągniętej dzięki upaństwowieniu środków produkcji poczyniła jednak olbrzymie szkody gospodarcze. Otworzyła ona bowiem drogę dla nieograniczonego niczym woluntaryzmu w decyzjach gospodarczych, które z samej swojej definicji nie mogły podlegać kontroli i weryfikacji. Dlatego też każdy plan gospodarczy, który proponuje się społeczeństwu, jest deklarowany jako optymalny, czyli najlepszy z możliwych, każda decyzja inwestycyjna uznana jest z góry za najbardziej słuszną, a cała polityka gospodarcza stanowi przedmiot nieustannej apologetyki zarówno w tzw. środkach masowego przekazu jak i w dziełach uczonych profesorów. Tymczasem w rzeczywistości decyzje centralnego planisty o przydziałach pracy w poszczególnych kierunkach produkcji nie tylko nie odznaczają się bezpośrednio społeczną trafnością, ale wprost przeciwnie odwracają wręcz proporcje, jakie wynikają z potrzeb społecznych. Niewystępną dystrybucja pracy narodu idzie przy tym tak daleko, że nie tylko lekceważy potrzeby z dziedziny konsumpcji, która na naszym *quasi*-ryнку jest zupełnie bezbronna, ale nie potrafi również dostosować się do potrzeb sfery produkcyjnej. Centralny planista, który kreuje się na demiurga dokonującego bezpośredniego potwierdzenia w imieniu społeczeństwa pracy przez to społeczeństwo wydatkowanej, nie potrafi nawet zbilansować podaży, której jest kreatorem z potrzebami w sferze produkcji, które sam tworzył. A więc zasada ta zawodzi tam, gdzie teoretycznie można by oczekiwać, że istnieje jedność podmiotowa decyzji podaży i popytu. I w ten sposób powstają fabryki bez zabezpieczenia dostaw materiałowych, uruchamia się piece i prądochłonne maszyny, dla których nie ma energii elektrycznej i węgla, planuje się przewozy, dla których nie ma wagonów i torów kolejowych, przyjmuje się w portach towary do przeładunku, do których nie ma dźwigów i magazynów, a jednocześnie buduje się gmachy i hale fabryczne, których nie ma czym zapełnić, importuje się maszyny, których nie ma gdzie zabudować, uruchamia się lub podtrzymuje produkcję, której nie ma komu sprzedać ani w kraju, ani zagranicą. A przy tym dogmat o pracy bezpośrednio społecznej nie pozwala na uruchomienie sprzężenia zwrotnego od popytu do podaży, które by wprowadziło w tym działaniu korektę. Dogmat ten nie pozwala na uzna-

nie, iż istnieje samodzielna faza realizacji produktu, która może zakwestionować pracę w niego włożoną, obniżyć jego wartość, może orzec bankructwo producenta i planisty. Nic takiego nie może się stać, a zatem dopisuje się nową produkcję do wartości dochodu już w momencie wytworzenia, bez względu na to, czy zostanie wywieziona, sprzedana, przyjęta, zmontowana, czy odpowiada potrzebom pod względem jakości, funkcjonalności, konstrukcji. I w ten sposób buchalteryjnie dochód nam rośnie, a w rzeczywistości, w społecznym procesie reprodukcji rosną dysproporcje i sprawiają, że nieledwie każde ogniwo w tym łańcuchu reprodukcyjnym staje się wąskim gardłem. Prowadzi to do olbrzymiego marnotrawstwa: ogromne ilości pracy społeczeństwa nie znajdują społecznego potwierdzenia w tych rozmiarach, w jakich zostały wydane a zatem nie mogą zamienić się w wartość. Jednak dogmat o pracy bezpośrednio społecznej utrzymuje nadal wiernych w przekonaniu, iż plan centralny potrafi *ex ante* rozdzielić pracę społeczeństwa między różne potrzeby w taki sposób, że praca ta jest natychmiast potwierdzona społecznie.

Wiara może wprowadzić góry przenosić, ale nie może usunąć sprzeczności. Sprzeczność między założeniem o bezpośrednio społecznym charakterze decyzji planu centralnego a pośrednim sposobem rzeczywistego potwierdzenia społecznego charakteru pracy w tym systemie jest — nazwijmy to — pierwszą sprzecznością podstawową socjalizmu. Głównym przeciwnikiem centralnego planisty w ramach tej sprzeczności są konsumenci, czyli ludność.

Uspołecznienie środków produkcji

Wróćmy do tego momentu, w którym narodziło się przekonanie, iż praca w nowym systemie może być potwierdzana przez samo jej podjęcie. Skąd się wziął ten nonsens? Otóż Marks twierdził, że stanie się tak z chwilą i wskutek uspołecznienia środków produkcji. Uważał, że pośrednio społeczny charakter pracy wynika z prywatnego systemu własności środków produkcji, a nie ze społecznego podziału tej pracy. Marks wierzył nawet, co jest już zupełną fantazją, iż wraz z uspołecznieniem środków produkcji społeczny podział pracy zniknie sam przez się.

A więc trzeba przeprowadzić uspołecznienie środków produkcji, gdyż wtedy właśnie społeczeństwo w osobie centralnego planisty uzyska magiczną moc samopotwierdzania pracy. Postulat ten zgodnie ze zwyczajem należało podbudować tezą, z której by wynikała teoretyczna i historyczna konieczność. Teza taka została sformułowana i brzmi: w kapitalizmie zachodzi sprzecz-

ność między społecznym charakterem procesu produkcji a prywatnym charakterem własności środków produkcji. Jest to tzw. podstawowa sprzeczność kapitalizmu. Sprzeczność tę trzeba przezwyciężyć przez ujednolicenie poziomów uspołecznienia w obu członach tego układu. Ponieważ zaś nie można odspołecznić procesu produkcji, trzeba uspołecznić własność środków produkcji.

Nakaz ów został wprowadzony w życie w postaci ustanowienia ogólnopaństwowej własności środków produkcji i w taki sposób system ten u nas działa. Otóż w tym teoretycznym wywodzie tkwi podstawowy błąd, którego siła została przez ucieleśnienie w praktyce zwielokrotniona. Uspołecznienia procesu produkcji, którego pewien etap zauważył nasz mędrzec z Trewiru, nie można uważać za kategorię rodzaju, to znaczy taką, która albo jest albo jej nie ma, lecz za kategorię stopnia. Uspołecznienie procesu produkcji samo jest procesem, który przechodzi przez różne stopnie. Otóż proces produkcji, który występował w XIX-wiecznej fabryce miał wyższy stopień uspołecznienia niż proces produkcji w rzemieślniczym warsztacie cechowym średniowiecza, ale mimo tego postępu nie przekroczył on etapu przedsiębiorstwa. Od tamtego czasu uspołecznienie procesu produkcji poczyniło dalsze postępy, co wyraziło się we wzroście przeciętnej wielkości zakładu produkcyjnego i w rozszerzeniu zasięgu podziału pracy, ale w dalszym ciągu odbywa się on w przedsiębiorstwach! A zatem dostosowanie poziomu uspołecznienia własności do poziomu uspołecznienia procesu produkcji — jeśli ma być rzetelne — nie może przekroczyć etapu przedsiębiorstwa. Trzeba znaleźć taką formę własności czy stosunków produkcji, która by odpowiadała przedsiębiorstwowemu poziomowi rozwoju sił wytwórczych. Tymczasem co zrobiono? Przeskoczono w sferze własności etap przedsiębiorstwa i sięgnięto do prawie najwyższego: własności ogólnopaństwowej. Powstało więc nowe niedopasowanie: ogólnopaństwowa własność środków produkcji jest niedostosowana do przedsiębiorstwowego charakteru procesu produkcji i to niedostosowanie rodzi nową sprzeczność, którą można by nazwać drugą sprzecznością podstawową socjalizmu. Otóż ta sprzeczność, która personifikuje się w jednoczesnym istnieniu planu centralnego jako podmiotu ogólnopaństwowej własności środków produkcji i istnieniu przedsiębiorstw jako podmiotów organizujących realne formy procesów produkcji, wypełnia znaczną część funkcjonowania tego systemu. Między obu tymi biegunami trwa nieustanna walka kto — kogo, a koszty tej walki ponosi cała gospodarka. Maszyna gospodarcza obraca się wprawdzie, ale cała maszyneria zgrzyta, chrzęści i zacina się. Plan centralny główną część swoich wysiłków kieruje na walkę

z przedsiębiorstwami, starając się podporządkować je swoim nakazom, ograniczyć ich samodzielność, przełamać bariery stawiące ich odrębność, osłabić ich wzajemne zależności tzw. poziome na rzecz zależności pionowych, posiadać ich informacje o procesie produkcji, zinternalizować je z całą gospodarką, odekonomicznizować motywacje, które nimi kierują. Przedsiębiorstwa z kolei walczą z planem centralnym, omijają jego nakazy i zakazy, ukrywają tzw. rezerwy, tworzą nieoficjalną sieć zależności, całe podziemie gospodarcze rządzące się swoistymi kryteriami i motywacjami ekonomicznymi sprzecznymi z planem centralnym. Etapy tej walki znaczone są kolejnymi próbami reform „systemu planowania i zarządzania” oraz kolejnym ich ograniczeniem, a rezultaty tej walki to zupełnie wypaczona gospodarka w przedsiębiorstwach, gdzie prawidłowy rachunek gospodarczy przy tych ograniczeniach i tych parametrach jest zupełnie niemożliwy. Plan centralny w walce z przedsiębiorstwami nie poprzestaje jednak na doraźnych działaniach. Usiłuje wygrać w tej walce przez swoje rozwiązanie II sprzeczności podstawowej, a mianowicie przez przyspieszenie uspołecznienia procesu produkcji. W tym celu tworzy się coraz większe przedsiębiorstwa, łączy się mniejsze zakłady, przenosi się coraz więcej decyzji na coraz wyższe szczeble zjednoczeń i kombinatów — wszystko po to, aby łatwiej było tym zarządzać z pozycji szczybla planu centralnego, czyli egzekwować własność ogólnopanstwową. Nieważne jest przy tym, że dzieje się to kosztem efektywności ekonomicznej, że tworzy się sztuczne, a zrywa naturalne związki, że rośnie w tym procesie ogromne brzemie aparatu biurokratycznego. Ostatnio przykładem takiego „przyspieszenia” uspołecznienia procesów produkcji była likwidacja przemysłu drobnego i wcielenie jego zakładów do tzw. klucza. Narobiło to wiele szkody na rynku, zwiększyło i tak już ostrą nierównowagę w setkach asortymentów, zmniejszyło efektywność pracy setek tysięcy ludzi. Dopiero przed kilkoma dniami, pod wpływem pogłębiającego się kryzysu zapowiedziano odwrót od tej polityki, dostrzeżono zalety i potrzebę małych przedsiębiorstw. Ale to jest chwilowe cofnięcie taktyczne, a poprzednia decyzja była elementem długofalowej strategii. W strategii tej chodzi o to, by „postępowy” etap stosunków społecznych wyrażający się w ogólnopanstwowej własności środków produkcji przyspieszył „opóźniony” rozwój sił wytwórczych prowadząc do przekroczenia ram odrębnych przedsiębiorstw i utworzenia wymarzonej jednej wielkiej fabryki w całym kraju, a potem może i w świecie. Ale zamiar ten oznacza zupełne odwrócenie ról w dotychczasowym procesie rozwoju społecznego, w którym to właśnie rozwój sił wytwórczych miał pobudzać do roz-

woju skłonne zawsze do opóźnienia stosunki produkcji. I taki podział ról był logiczny. Natomiast oczekiwać, że rolę demiurga historii przejmie teraz własność ogólnopaństwowa, która pociągnie za sobą proces wytwórczy, to jest tak jakby stawiać wóz przed koniem. To się nie może udać, a uporczywe trwanie w tym zamiarze może tylko doprowadzić do tego, że koń padnie i wóz się rozleci. Tymczasem jednak planista centralny toczy swoją walkę na dwóch frontach: przeciw ludności występującej w roli konsumentów i przeciw przedsiębiorstwom. Toteż pilnie uważa, aby obaj jego przeciwnicy nie połączyli swych sił i nie zaczęli działać we wspólnym interesie, co mogłoby nastąpić na rynku. Dlatego też centralny planista odgrodził na rynku producentów od konsumentów przy pomocy systemu podwojonych cen: tzw. cen fabrycznych i cen zbytu. Oczywiście rodzi to olbrzymie marnotrawstwo ekonomiczne i prowadzi do zerwania elementarnych więzi między producentami i konsumentami, których stosunki w tym systemie najlepiej charakteryzuje hasło: nasz klient — nasz wróg. Ale jednocześnie metoda ta, nie dopuszczając, by sygnały od konsumentów przenosiły się do producentów i odwrotnie, gwarantuje centralnemu planiście utrzymanie jego władzy.

Praca produkcyjna i nieprodukcyjna

Wróćmy jeszcze do sprawy wartości. Według doktryny źródłem wartości jest praca, ale nie wszelka praca, tylko tzw. praca produkcyjna. Marks podtrzymał tu dawne rozróżnienie fizjokratów i Adama Smitha, a jego kontynuatorzy przenieśli je w epokę, w której stało się anachronizmem. Przy tym z właściwą sobie skłonnością do uproszczeń zmienili dosyć sofistyczne marksofskie kryterium pracy produkcyjnej na ujęcie oparte na trywialnym materializmie. U Marksa produkcyjna jest ta praca, która tworzy wartość dodatkową, choćby to była praca owego przykładowego nauczyciela zatrudnionego w przedsiębiorstwie oświatowym. Natomiast u współczesnych marksistów produkcyjna jest ta praca, która przekształca materię. Jest to więc regres aż do sposobu ujęcia właściwego fizjokratom. I takie ujęcie zaciążyło na całej strukturze gospodarczej krajów podporządkowanych doktrynie. Łańcuch zależności był następujący. Ponieważ dochód jest to nowo wytworzona wartość, a wartość jest tworzona przez pracę produkcyjną, więc dochód jest tworzony przez pracę produkcyjną. Wyłącznie. Ponieważ zaś dążymy do zwiększenia dochodu jako funduszu reprodukcji społeczeństwa, należy zwiększać w społecznym podziale pracy udział

pracy produkcyjnej. Aby to osiągnąć trzeba rozszerzać działy pracy produkcyjnej, a także lepiej wynagradzać ludzi zajętych przy tej pracy, aby zechcieli ją podejmować. To lepsze wynagrodzenie jest zresztą uzasadnione, gdyż pracujący nieprodukcyjnie jako nie wytwarzający wartości żyją niejako z pracy pracowników produkcyjnych, a ich płaca jest rezultatem wtórnego podziału dochodu. Gdy już mamy takie zasady, to teraz wystarczy przeprowadzić w dowolnym miejscu linię demarkacyjną między pracą produkcyjną a nieprodukcyjną, by doprowadzić do trwałych dysproporcji w strukturze gospodarczej i do krzywdzących niesprawiedliwości w płacach. Utrzymujące się w naszej gospodarce zacofanie w rozwoju usług oraz upośledzenie w hierarchii płac wszystkich tych, którzy w usługach pracują, a w tym także upośledzenie grup zawodowych o tak wielkiej doniosłości społecznej jak lekarze i nauczyciele jest bezpośrednią konsekwencją trzymania się zarówno ducha jak i litery doktryny. Szkodliwość społeczna i gospodarcza tego stanu rzeczy jest tak oczywista i była tak wiele razy piętnowana, że darujemy sobie dalsze wywody na ten temat.

Prowadzenie rachunku gospodarczego „bez ingerencji wartości”

W dziesiątkach miejsc w dziełach klasyków doktryny można spotkać się z ich negatywnym stosunkiem do wartości w ogóle, do wartości jako formy ogólnej i miernika rzeczy w procesie gospodarowania. Mimo że zadeklarowano, iż wartość pochodzi z pracy i to wyłącznie z pracy robotnika, to nie wystarczyło to, by ją nobilitować i nadać jej prawo obywatelstwa w nowym systemie. Marks niejednokrotnie mówi o „mistycyzmie świata towarów”, czyli rzeczy wyrażanych w wartości, a Engels wprost zapowiada, że gdy społeczeństwo obejmie w posiadanie środki produkcji i zastosuje je w sposób bezpośrednio społeczny... ludzie będą załatwiali wszystko nader prosto, bez ingerencji osławionej „wartości”. Ta obsesyjna niechęć do wartości przeniosła się na narzędzie, które służyło do mierzenia tej wartości, to jest na pieniądź. W pierwszym okresie nowej władzy, w czasach tzw. komunizmu wojennego próbowano natychmiast znieść pieniądź, później jeszcze parokrotnie powtarzano ten eksperyment, częściowo na Kubie, ostatnio w Kambodży, zawsze z opłakanymi skutkami. Mimo jednak tych niepowodzeń „załatwiania wszystkiego nader prosto” negatywny stosunek do wartości i pieniądza pozostał i wyciska on dotychczas piętno na codziennej praktyce gospodarczej systemu. Ujawnia się to w klu-

czowej dla tej praktyki sprawie, to znaczy w rachunku gospodarczym, który ma dostarczyć przesłanek dla wyboru kierunków produkcji i metod wytwarzania. Jak pamiętamy z wcześniejszych wywodów, przedsiębiorstwa ściśnięte żelaznym gorsetem nakazów i zakazów planu centralnego nie mogą dokonywać ekonomicznego wyboru, a więc rachunek gospodarczy jest u nich bezprzedmiotowy. Ciężar wyboru i przeprowadzania rachunku dla całej gospodarki przenosi się więc na centralnego planistę, gdyż on przecież przydziela pracę do wytworzenia różnych produktów. Ale w tej właśnie sprawie jest on zupełnie bezradny. Atrybut czynienia pracy bezpośrednio społeczną, który sobie centralny planista przypisał, ma walor polityczno-propagandowy i może być użyteczny na zewnątrz. Ale wewnątrz, w warsztacie planistycznym niczego on nie rozwiąże i rachunku gospodarczego nie zastąpi. Centralny planista mógłby przeprowadzić rachunek makroekonomiczny w kategoriach wartościowych, ale do tego trzeba mieć tzw. ceny prawdziwe. Takich cen nie ma, gdyż jak zrozumieliśmy z poprzednich wywodów, wskutek oparcia teorii wartości o pracę, ceny w tym systemie mogą w najlepszym przypadku uwzględniać relacje nakładów pracy, a więc stronę podażowo-kosztową, neglizując zupełnie stronę popytowo-użytkową z jej relacjami rzadkości. Po drugie zaś, nawet gdyby takie ceny były, planista centralny nie mógłby prowadzić rachunku w takich cenach, oznaczałoby to bowiem jego wyalienowanie i poddanie się mistyfikacji pośredniego potwierdzania trafności jego decyzji — pośredniego, gdyż dokonywanego w kategoriach wartości. Na to nie pozwala doktryna. Pozostaje więc prowadzenie rachunku gospodarczego tzw. bezpośredniego, czyli w jednostkach naturalnych. Planista porównuje, co się bardziej „opłaca” (słowo nieodpowiednie, kto i czym miałby tutaj opłacać): zbudować jedną hutę stali czy 200 tysięcy mieszkań, zastosować pracę 1.000 ludzi i 2 maszyn czy pracę 300 ludzi i 10 maszyn. W ten sposób porównuje on rzeczy nieporównywalne, a ponieważ ma takich naturalnych alternatyw tysiące, nie może ich sprowadzić do jednego mianownika i wskutek tego nie może nawet określić sobie samemu, co chciałby maksymalizować (w uczonym języku programowania matematycznego nazywa się to funkcją celu). W ostateczności decyzje centralnego planisty są oparte o intuicję i kilka ogólnych priorytetów, które nie poddają się kwantyfikacji; w szczegółach (a tych szczegółów są dziesiątki tysięcy) są to decyzje przypadkowe i mówienie w odniesieniu do nich o optymalności jest takim samym nonsensem apologetycznym jak orzekania o bezpośrednim potwierdzaniu się pracy.

Trzeba sobie zdać sprawę z elementarnej prawdy, że prowa-

dzenie rachunku bezpośredniego jest po prostu *contradictio in adiecto*, czyli sprzecznością między pojęciem a przydawaniem mu przymiotnikiem. Jest to typowe dodawanie pół konia i pół zająca. Nie ma rachunku gospodarczego poza sferą wartości, a więc w języku cen. Jeśli nie ma rynku, który by tych cen dostarczył, to trzeba nadać rzeczom wagi czyli oceny wynikające z relacji rzadkości i prowadzić rachunek w tych właśnie ocenach. Ale w tym celu trzeba się poddać dyscyplinie, czyli zrezygnować z nadprzyrodzonego atrybutu demiurga pracy bezpośrednio społecznej.

Pieniądz nie jest powszechnym ekwiwalentem towarów

Jeśli zaś taki rachunek ma być dostępny kontroli zewnętrznej, to musi dokonywać się w pieniądzu. Pieniądz w systemie pozostał, ale w szczątkowej formie i wypaczonych funkcjach, przy czym funkcje te są różne w różnych sferach jego działania. Inną funkcję pełni on w operacjach centralnego planisty, inną w obrocie między przedsiębiorstwami a inną na rynku towarów nabywanych przez ludność. Ale we wszystkich tych trzech sferach główna jego ułomność polega na tym, że przestał on być powszechnym ekwiwalentem towarów. Planista centralny posługuje się pieniądzem jako jednostką obrachunkową, która ma służyć do ewidencji i bilansowania. Jest oczywiście tajemnicą, jak można ewidencjonować w jednostkach, które w różnych zapisach mają różny wymiar. Ale to nie jest najważniejsze. Znacznie ważniejsze są problemy pojawiające się przy bilansowaniu, czyli równoważeniu różnych podaży i popytów. Ponieważ od wartości nie można jeszcze zupełnie uciec, centralny planista musi robić tzw. bilanse syntetyczne czyli w pieniądzu. I tu fatalnie mści się pozbawienie pieniądza cechy powszechnego ekwiwalentu towarów. Po prostu bilanse robione w takim pieniądzu są fikcyjne, zrównoważenie popytu i podaży wyliczone w pieniądzu nie odpowiada równowadze w realnych strumieniach dóbr i usług. Najbardziej jaskrawych przykładów takiego bilansowania dostarcza sfera inwestycji. I wówczas czytamy, że przyznano już na jakies potrzeby dostateczne środki (finansowe), ale nie ma tzw. mocy (przerobowej). Oczywiście z ekonomicznego punktu widzenia sytuacja taka jest nonsensem, a samo wyrażenie jest po prostu wewnętrznie sprzeczne.

W sferze obrotu między przedsiębiorstwami państwowymi ujawnia się inny mankament ułomnego pieniądza. Choć obrót ten dokonuje się w trybie kupna-sprzedaży, a więc niby za pie-

niądze, to jednak centralny planista pilnie baczy, by ruchy owego pieniądza ewidencyjnego nie zdeterminowały broń Boże przepływów rzeczowych, by np. nagromadzony w przedsiębiorstwach pieniądź nie stał się kapitałem lub efektywnym popytem. Pieniądź ma pozostać całkowicie bierny. Troska o utrzymanie bierności pieniądza ujawniła się wyraźnie w kolejnych ograniczeniach ostatniej reformy tzw. WOG-owskiej. Oczywiście przedsiębiorstwa się temu przeciwstawiają i to jest jeszcze jeden odcinek walki centralnego planisty z nimi.

Natomiast na rynku dóbr konsumpcyjnych i w obsłudze ludności pieniądź jest warunkiem koniecznym dla realizacji przyznaných przydziałów tzw. dóbr standardowych, znajdujących się w koszyku istniejącej podaży. Oczywiście jest on warunkiem koniecznym, ale coraz bardziej niewystarczającym. Ponieważ ceny coraz większej liczby dóbr odbiegają od poziomu równowagi podaży i popytu i podaż na to nie reaguje, więc jest nieuniknione, że pieniądź przestaje być po prostu środkiem wymiany. Powoli ześlizgujemy się do stanu gospodarki naturalno-wymiennej, w której dobra i usługi są wymieniane na inne dobra i usługi bez pośrednictwa pieniądza lub z jego tylko uzupełniającym dodatkiem. Szkopuł jednak w tym, że naszą tzw. siłę roboczą sprzedajemy głównemu pracodawcy — państwu za te właśnie coraz bardziej ułomne pieniądze. A zatem jedynym sposobem doprowadzenia do ekwiwalentności w tej wymianie jest ograniczenie naszego wysiłku czyli wydajności pracy, co jednak prowadzi do strat, które wszyscy ponosimy.

Nieadekwatność pieniężnej wyceny pracy społecznej i zwięzanie się sfery funkcjonowania pieniądza powoduje szczególnie jaskrawe straty wówczas, gdy następuje konfrontacja pracy krajowej z pracą zagraniczną, co nazywa się wymianą międzynarodową. Trudność polega na tym, że władza centralnego planisty nie sięga poza granice kraju i nie może zagranicy narzucić własnych norm nakładów społecznie niezbędnych zarówno co do kierunków jak i co do poziomu odpłatności kosztów. W wymianie międzynarodowej centralny planista krajowy znajduje się w pozycji zwykłego kontrahenta rynkowego. Aby w tej pozycji racjonalnie działać, trzeba prowadzić precyzyjny rachunek ekonomiczny, trzeba wiedzieć, co nas ile kosztuje i jakie mamy zyski. Przy naszym chaosie cenowo-pieniężnym nie da się tego określić, a wobec tego nie można sensownie wskazać, co powinniśmy kupować i co sprzedawać. W tych warunkach handel zagraniczny zamiast bogacić kraj staje się jeszcze jednym terenem kolosalnych strat i marnotrawstwa naszej pracy. Nie można się zatem dziwić, że gdy weszliśmy na drogę szerszej wymiany z rynkową

gospodarką Zachodu, zaczęły się nasze dodatkowe kłopoty i po początkowym okresie obfitości znaleźliśmy się w sytuacji, gdy obciążenia z tytułu zadłużeń przekraczają znacznie korzyści, jakie zdołaliśmy wypracować z pożyczek. Ciężar kilkunastu miliardów dolarów zadłużenia stanowi więc jeszcze jeden dowód i skutek niskiej efektywności systemu, której podstawowych źródeł należy upatrywać w doktrynie.

Fałszywa doktryna

Celem moich wywodów było dotychczas wskazanie na doktrynalne przyczyny niepowodzeń praktyki gospodarczej. Ale z tych niepowodzeń praktyki trzeba wyciągnąć wnioski również co do doktryny. Z zasad logicznego wynikania wiemy, że fałszywość następstwa świadczy bezapelacyjnie o fałszywości racji. Stąd tysiąc pozytywnych doświadczeń nie daje jeszcze pewności o prawdziwości teorii, ale jedno negatywne doświadczenie ma siłę dowodu na jej fałszywość. W naszym przypadku proporcje są odwrotne. Trzeba to tylko nazwać. Doktryna jest fałszywa.

Zakończenie

Taki jest nasz system gospodarczy. Zbudowany na nieprawdziwej teorii ekonomicznej, stawiający sobie zadania niemożliwe do wykonania, posługujący się nieracjonalnymi metodami i popychający nas do ponoszenia coraz większych kosztów społecznych. Czy system ten da się naprawić? Z tego co powiedziałem wyżej wynika, że nie ma na to szans. Jego wady tkwią w podstawowych założeniach konstrukcyjnych. Zresztą, próbowano go naprawiać już kilka razy. Zawsze wracał w to samo łożysko i ujawniał te same defekty. W nowych przepisach o jakości towarów jest powiedziane, że jeśli jakiś nabyty przedmiot mimo kilkakrotnych napraw wykazuje nadal wady w funkcjonowaniu, nabywca ma prawo żądać wymiany go na inny. Powinniśmy zwrócić się do Pana Boga lub Historii, by zastosowała owe przepisy i w tej sprawie.



W gospodarce tu opisanej żyjemy już kilkadziesiąt lat. Jeśli na codzień nie widzimy tak ostro tych wszystkich rzeczy, jeśli nie kojarzymy sobie naszych codziennych doświadczeń — jakże często irytujących — z podstawowymi założeniami systemu, to

dlatego, że przyzwyczailiśmy się do niego, wytworzyliśmy sobie wewnętrzne reakcje samoobronne, budujemy sobie nasze małe enklawy prywatnej racjonalności ekonomicznej, znajdujemy pomoc na niektórych obszarach gospodarki nie opanowanych jeszcze przez władzę doktryny, czasem idziemy na emigrację wewnętrzną, a czasem schodzimy nawet do podziemia gospodarczego.

A poza tym broni nas jeszcze nasza europejska kultura, nasza chrześcijańska moralność i nasza narodowa historia. Broni nas również nasza zdolność do myślenia. Naszą ostateczną bronią może być właśnie nasza wolna i niezależna refleksja i analiza. Według zasady: myślę, więc jestem... WOLNY.

Stefan KUROWSKI

Warszawa, 30. IV. - 3. V. 1979

DOŚWIADCZENIE I PRZYSZŁOŚĆ

(RAPORT O STANIE RZECZYPOSPOLITEJ
I O DROGACH DO JEJ NAPRAWY — WERSJA WSTĘPNA)

O p r a c o w a ł :

Komitet Redakcyjny
Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”

Warszawa, 19 maja 1979 r.

Niniejszy dokument został opracowany przez Komitet Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” (założonego w ramach Collegium Towarzystwa Wolnej Wszechnicy Polskiej — pierwsze zebranie plenarne Konwersatorium odbyło się w Warszawie w dniu 14 listopada 1978 r.). W skład Komitetu Redakcyjnego weszli członkowie wyłonionego na tym zebraniu Zespołu Usługowego oraz ci z uczestników „DiP”, którzy zgłosili chęć udziału w pracach redakcyjnych.

Opracowanie zostało dokonane na podstawie wyników ankiety, w której wzięło udział 50 osób: przedstawiciele różnych środowisk światopoglądowych, różnych dyscyplin nauki lub twórczości artystycznej, a także publicyści i działacze społeczni.

Zgodnie z przyjętymi w tego typu opracowaniach ankietowych zwyczajami cytaty z poszczególnych wypowiedzi podane są anonimowo; numery ankiet odpowiadają kolejności, w jakiej napływały.

UWAGI WSTĘPNE

Poniższy tekst jest syntetycznym ujęciem rezultatów ankiety na temat stanu Rzeczypospolitej i dróg wiodących do jej naprawy. Ankieta objęła problematykę, którą wyłoniło pierwsze plenarne zebranie konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” i której miały być poświęcone kolejne spotkania i dyskusje.

Konwersatorium to uformowało się w listopadzie ubiegłego roku z inicjatywy różnych środowisk żywo odczuwających potrzebę pogłębionej wymiany poglądów na temat najistotniejszych aktualnych problemów kraju, w gronie ludzi kompetentnych reprezentujących różne zawody, specjalności, dziedziny wiedzy i światopoglądy. Grono to skupiło z górą sto osób, zarówno członków partii, jak działaczy katolickich, a także specjalistów różnych dziedzin, czasem w ogóle nie uczestniczących w życiu politycznym i społecznym. Grupie tej obce są ambicje polityczne, ideą spotkań konwersatorium była swobodna i rzeczowa dyskusja, której brak daje się dotkliwie odczuwać w naszym życiu publicznym.

Niestety, gronu temu uniemożliwiono odbywanie zebrań plenarnych. Stąd powstała konieczność szukania innej płaszczyzny wymiany poglądów. Tak też zrodziła się myśl ankiety, która ujęta została w formie następujących pytań:

1. Jakie są węzłowe problemy naszego kraju w dziedzinie społecznej, politycznej, gospodarczej, kulturalnej, oświatowej i innych?

2. Jakie mamy główne aktywa rozwoju naszego kraju, jak je wykorzystujemy, a jakie czynniki ujemne i obciążające stoją na przeszkodzie pełnemu ich spożytkowaniu?

3. Jakie zagrożenia, o charakterze bezpośrednim bądź długofalowym, można wyróżnić w aktualnej sytuacji politycznej, społecznej, gospodarczej i kulturalnej kraju?

4. Jakie reformy są niezbędne w Polsce by kraj mógł się rozwijać możliwie najlepiej?

5. W jakim stopniu sprzeczności interesów różnych grup społecznych są źródłem aktualnych i potencjalnych konfliktów?

6. Jakich zachowań oczekuję w obecnej chwili od mojego i innych środowisk społecznych?

Tak sformułowane pytania miały na celu określenie ogólnych ram tematyki, nie wykluczając ewentualności wykroczenia poza te ramy. Krąg ludzi, do których została skierowana ankieta, rozszerzył się, obejmując obok uczestników konwersatorium

„Doświadczenie i Przyszłość”, kilkudziesięciu wybitnych specjalistów z różnych dziedzin życia, którzy zainteresowali się przedsięwzięciem i wyrazili gotowość udziału.

Mimo krótkiego czasu pozostawionego na odpowiedzi, plon ankiety okazał się doniosły, bogaty ilościowo i merytorycznie. Nie mogliśmy udostępnić wszystkim uczestnikom całego materiału liczącego kilkaset stron, dlatego powstało niniejsze opracowanie zbiorcze, które stara się zaprezentować istotne treści w całym ich zróżnicowaniu i odmienności punktów widzenia, nie unikając powtórzeń w kwestiach uznanych za szczególnie doniosłe.

Otwarty charakter pytań i rozległa tematyka, której dotyczą sprawy, że rezultaty ankiety nie mogły zostać ujęte w formie prostej sumy poszczególnych wypowiedzi. Dlatego też, mimo troski o wierne oddanie wyrażonych przez uczestników poglądów i znaczną ich zbieżność, opracowanie zbiorcze nosi w pewnym stopniu charakter samoistny, i w tej mierze obarcza odpowiedzialnością redaktorów tekstu. W pracy nad nim wykorzystano również inne dostępne materiały z dyskusji podejmowanych i na innym forum.

Ogromny materiał ankiety musiał zostać poddany pewnej selekcji, w związku z czym w niejednakowym stopniu oddaje myśl poszczególnych uczestników ankiety. Tekst ten nie stanowi więc „wspólnej platformy”, gdyż poglądy uczestników konsultatorium „Doświadczenie i Przyszłość” nie mogły zostać przedyskutowane na zebraniu plenarnym. Jeśli w poszczególnych wypowiedziach ujawnia się daleko idąca zbieżność poglądów, to nie jest to wynik ich uzgodnienia, ale znamiennego faktu, że pewne myśli narzucają się z jednakową siłą prawie wszystkim uczestnikom „DiP”, niezależnie od ich zróżnicowania zawodowego, pokoleniowego czy światopoglądowego.

Ani poszczególne wypowiedzi ani opracowanie dokonane na ich podstawie nie mają charakteru ekspertyz i nie mogą rościć sobie pretensji do nadrobienia braków informacyjnych wynikających z zaniedbań instytucji i służb do tego powołanych.

Tekst ten nie jest petycją do władz. Jest to po prostu próba systematyzacji opinii szerokiego grona ludzi. Jego celem jest pomoc w krystalizacji poglądów. Skierowany jest do wszystkich myślących ludzi w Polsce, którym leży na sercu stan obecny i przyszłość kraju. Jego adresatami są zarówno ci, którzy sprawują władzę, jak ci, którzy jej nie posiadają, partyjni i bezpartyjni, wierzący w Boga i ci, którzy w niego nie wierzą. Tylko bowiem wspólny wysiłek nas wszystkich może zapewnić krajowi lepszą przyszłość i ustrzec go przed grozącymi niebezpieczeństwami. Autorzy opracowania pragną bardzo silnie podkreślić, że

nie jest to wypowiedź o stanie państwa, lecz o symptomach i źródłach kryzysu, który — zdaniem większości autorów odpowiedzi — przejawiał się obecnie w rozmaitych formach i w różnych dziedzinach życia społecznego; dlatego też nie omawiamy szerzej osiągnięć i dorobku społeczeństwa polskiego w ciągu minionych 35 lat.

Nie oczekujemy bynajmniej, aby z całością opracowania wszyscy się zgodzili. Pragniemy natomiast, żeby było ono najszerszej wykorzystane jako źródło nowych przemyśleń. Co się zaś tyczy władzy, to oczywiście od niej jedynie zależy czy i w jakiej mierze zechce myśli tu zawarte wykorzystać. Wypada tylko wyrazić przekonanie, że samodzielna myśl — także myśl krytyczna — o ważnych problemach kraju nie powinna zostać zlekceważona. Jest bowiem niezbywalnym prawem i obowiązkiem obywatelskim te problemy rozważać, komunikować i starać się o to, aby nie pozostały bez echa.



Bardziej szczegółową prezentację wyników ankiety, zgrupowanych w paru wyodrębnionych kręgach tematycznych, trzeba poprzedzić omówieniem niektórych ogólnych problemów dotyczących genezy ankiety, a także intencji i idei przewodnich, które przyświecały jej przeprowadzeniu.

Zarówno uformowanie się zespołu „Doświadczenie i Przyszłość” jak i sama ankietna zrodziły się z przeświadczenia, że kryzys jaki przeżywa nasz kraj dotyka wielu podstawowych dziedzin życia zbiorowego, stwarza więc sytuację w najwyższym stopniu alarmującą i stopniowo nieuchronnie ulegającą pogorszeniu. Rozwiały się nadzieje, że z upływem czasu objawy kryzysu będą ustępować w miarę postępującej adaptacji i doskonalenia metod rządzenia i zarządzania. Pogarszanie się sytuacji wynika z jednej strony z zaostrzającej się sprzeczności między rosnącymi zadaniami, które stwarza rozwój cywilizacji przemysłowej i komplikowanie się życia zbiorowego, z drugiej zaś — tym jaskrawiej ujawniającą się — niesprawnością całego systemu współdziałania społecznego. W ostatnich latach byliśmy świadkami wymownej ilustracji tego przeciwieństwa, kiedy w początku lat siedemdziesiątych niewątpliwie, obiektywnie i wydatny postęp cywilizacyjny i gospodarczy zamiast przyspieszyć i utrwalić poprawę (jak tego się spodziewano), obnażył tylko jeszcze bardziej słabości i niedoskonałości systemu, pogłębiając powszechne poczucie frustracji.

Bardziej lub mniej jasno uświadamiane sobie rozmiary kryzysu, a także wielokroć zawiedzione oczekiwania i nadzieje pozo-

stawiły w świadomości Polaków trwałe ślady, wyrażające się w gorzkim przekonaniu, że radykalna zmiana funkcjonowania społeczno-politycznego modelu jest absolutnie *konieczna* i zarazem całkowicie *niemożliwa*. Pogodzenie się z takim stanem prowadzi zresztą do różnych skrajnie nawet przeciwstawnych postaw od konformizmu i obrony *status quo* poprzez różne formy ucieczki w sferę prywatności do głuchego nienawistnego buntu. Mimo bardzo różnych kwalifikacji moralnych, na jakie zasługują te postawy, mają one jedną wspólną cechę: prowadzą mianowicie do niewiary w sens jakichkolwiek poczynań, do zobojętnienia i obozwładnienia konstruktywnej myśli społecznej.

Pierwszym zadaniem świadomej opinii publicznej jest wydanie walki wszystkim tym przejawom, niezależnie od tego jaką przybierają postać i na jakie racje się powołują. Przy czym krytyka obozwładniających postaw musi być w równej mierze bezkompromisowa co rzetelna, to znaczy nie może zadowalać się tak powszechnym u nas, i skądinąd psychologicznie zrozumiałym, szukaniem winnych i formułowaniem oskarżeń — musi docierać do różnorodnych źródeł i beznamiętnie wyjaśniać przyczyny i podłoże krytykowanych zjawisk.

Można te przejawy różnie charakteryzować. Jeden z uczestników (nr 9) nazywa je „opuszczaniem rąk”. Píše on: „*Najjaskrawszym dla mnie problemem kraju — a powodów jego szukać można we wszystkich dziedzinach życia, jest stan społecznej apatii... jest to, że ludzie utracili wiarę*”. Inny uczestnik (nr 27) mówi o „*stanie skrajnego wyczerpania energetycznego społeczeństwa polskiego*”.

Przeciwdziałanie tym zjawiskom wymaga dotarcia do ich głębokich źródeł. Wymaga więc w pierwszym rzędzie analizy i krytyki tych struktur organizacyjnych, systemów zależności i podporządkowania władzy, które odbierając ludziom poczucie odpowiedzialności i sensu ich poczynań prowadzą do apatii i zaniku poczucia obywatelskiego. Wiele cytowanych i referowanych niżej wypowiedzi ankiety zajmuje się szczegółowo tym problemem, wykazując, że instrumentalne podporządkowanie obywateli i postępujący zanik prawdziwego życia społecznego tylko pozornie ułatwiają władzy jej zadanie, w istocie bowiem prowadzą do biernego oporu i obozwładniają cały system organizacji życia zbiorowego.

Krytyka, o której tu mowa, nie może się także cofnąć przed oceną narastających w kraju nastrojów sprzeciwu. W atmosferze wzrastającego krytycyzmu obok uzasadnionego wytykania błędów, braków czy zaniedbań dochodzi również do głosu to, co nazwa-

liśmy wyżej głuchym buntem, stanowiącym zapewne nieuchronny w naszych warunkach, ale czysto negatywny wyraz nagromadzonych i zakrzepłych w społecznej świadomości żalów, urazów i pretensji. Jest rzeczą zrozumiałą, że dążenie do totalnej konformizacji rodzi nie mniej totalny bunt. Natrętna apologetyka wywołuje negację wszystkiego. Istnieje jednak realna groźba, że owe skrajne postawy, niezależnie od przeciwnych intencji, nie tylko wzajemnie się uzasadniają, ale również przyczyniają się, każda na swój sposób, do pogłębienia kryzysu społecznego, ukazując niemożliwą do wypełnienia przepaść między aspiracjami a realnymi możliwościami ich zaspokojenia, między tym, co jawi się w świadomości jako niezbędne, a tym co można urzeczywistnić w konsekwentnym działaniu. Można żywić obawy, że w warunkach, w których uniemożliwiona została swobodna wymiana poglądów, niezbędna dla dojrzewania myśli i opinii obywatelskiej, tłumiona krytyka będzie przybierać postać coraz bardziej skrajną i co gorsza czysto negatywną, nie sprzyjającą trzeźwej ocenie sytuacji i szukania realnych dróg wyjścia.

Dochodzimy tu do problemu, który stanowi istotny wątek wielu odpowiedzi na ankietę: problemu roli i funkcji krytyki traktowanej nie jako potrzeba wylania osobistych żalów i pretensji, ale jako niezbędny w życiu publicznym czynnik samoświadomości, umożliwiający rozwój i zdrowie organizmu życia zbiorowego. Oto znamienita wypowiedź na ten temat uczestnika ankiety (nr 29), który pisze: *„Żaden prawidłowy system organizacyjny nie może się obyć bez stale funkcjonujących aparatów korekcji. Najważniejsze z nich to te, które są integralną częścią samego systemu, one bowiem decydują o jego otwartości, elastyczności przystosowań, a wreszcie o zdolności do zasadniczych przekształceń [...] Przepuszczam, że systemowa samoregulacja w naszym ustroju politycznym stopniowo zanika. Myślę tutaj o jej rzeczywistych formach a nie pozorowanych. Instytucjonalne mechanizmy korekcji niewątpliwie istnieją: obserwowany tam brak skuteczności można tłumaczyć albo ich wadliwym działaniem, albo też działaniem prawidłowym, lecz niezdolnym do pokonania oporu stawianego przez sam system. Niestety, właśnie drugie wyjaśnienie jest chyba najbliższe prawdzie. Wszystko wskazuje na to, że ustrój u władzy usztywnia swoją strukturę, dąży do stabilizacji elementów, nobilituje je i chroni przywilejami. Prosta myśl o potrzebie poprawy jest w tej sytuacji równie nietaktowna co niebezpieczna, opór przeciwko niej staje się naturalnym odruchem całego niemal systemu. Rodzi się ten chory odruch z grupowej samoobrony i egoistycznych instynktów, a wykszałca postawy dlatego groźne, że nie weryfikowane na co-*

dzień, lecz tylko od kryzysu do kryzysu. Rosnąca stabilizacja pozycji, rutyna działania, unikanie konkurencji czy też obawa przed nowym to zaledwie początek szeregu przejawów, które rodzi zachowawcza wiara w wyższość doświadczonego bezruchu nad ryzykowną, niesprawdzoną zmiennością”.

Pogłębiona dyskusja na temat roli i funkcji jaką spełnia i powinna spełniać krytyka w naszych warunkach społeczno-gospodarczych prowadzi do wniosku, że roli tej nie wyczerpuje samo tylko obnażanie błędów systemu i jego niesprawności, towarzyszyć mu powinno poszukiwanie dróg zmierzających do przezwyciężenia obecnego kryzysu. Wysuwanie roszczeń obywateli i grup społecznych oraz wywieranie na władze presji zmierzającej do rozszerzenia zakresu wolności to ważna, ale nie jedyna funkcja krytyki. Władza bowiem to nie tylko aparat polityczny i system przymusu, ale także organizator ogólnospołecznego wysiłku. Świadoma krytyka musi zmierzać nie do osłabienia, ale do wzmocnienia i usprawnienia tej funkcji władzy.

Bez aktywnego udziału znacznej części istniejącego aparatu władzy nie sposób wyobrazić sobie przeprowadzenie oczekiwanych reform. Te z kolei, choćby były najlepiej pomyślane, musiałyby przynieść kolejny zawód, gdyby nie zyskały poparcia, nie wzbudziły nadziei i nie wyzwoliły sił społecznych. Wynika stąd nieodparty choć obcy ogromnej liczbie Polaków wniosek, że niezależna opinia społeczna i obywatelska ma za zadanie rozważać i przygotowywać warunki, w których mogłoby utwierdzać się partnerskie porozumienie między władzą a społeczeństwem, w których co więcej byłoby możliwe odbudowywanie zaufania do władzy. Ankieta zawiera szereg myśli na temat warunków, których spełnienie przez władzę jest niezbędne dla odbudowy elementarnego do niej zaufania.

Z wypowiedzi wielu uczestników ankiety wynika, że mimo wszystko widzą oni taką możliwość w postaci otwarcia przez społeczeństwo raz jeszcze pewnego kredytu zaufania. Kredytu tym razem krótkoterminowego i wymagającego realnych instytucjonalnych gwarancji. Przy czym w miarę upływu czasu cena uzyskania tego kredytu będzie wzrastać, a warunki będą coraz trudniejsze.

„Zaufanie kredytowe dwukrotnie — pisze uczestnik ankiety (nr 33) — zostało lekkomyślnie roztrwonione. Na nowy kredyt nikt sobie w Polsce nie zarobił i zapewne łatwo nie zarobi. Ale jestem przekonany, że można jeszcze zyskać zaufanie rzetelną i treściwą informacją, odkryciem rachunków budżetowych i gospodarczych, wiarygodnym opisaniem stanu państwa. Oraz ujaw-

nieniem kto naprawdę czym w Polsce rządzi, kto o czym decyduje i dlaczego, i kto za co odpowiada”.

Działanie na rzecz tego warunkowego odbudowywania zaufania do władzy i do państwa jest tym trudniejsze, że musi być podjęte wbrew znacznej części tej władzy, której utrwalone w trzydziestoletniej praktyce wyobrażenia o jej sprawowaniu czynią przedstawione tu rozumowanie niezrozumiałym i rewoltującym. Także wbrew głęboko zakorzenionym odruchom obywateli, zdanych na arbitralne decyzje państwa, wobec którego zachłanności czują się upoważnieni, a nieraz nawet zmuszeni do prowadzenia swojej indywidualnej gry, do przechytrzania go i wykorzystywania wszystkimi dostępnymi środkami. Ten powszechny typ postaw i zachowań jest skutkiem zarówno wieloletnich doświadczeń jak i propagandy, która przedstawiając państwo jako dobrodzieję, często sama niszczy poczucie obywatelskie, podważając świadomość, że państwo jest wspólnym dobrem wszystkich, że jest systemem wzajemnie uzależnionych praw i obowiązków obywateli, że suma dorobku wszystkich składa się na pomyślność tego państwa i wszyscy ponoszą odpowiedzialność za jego los.

Świadomość tych trudności nie jest w stanie poderwać wiary uczestników ankiety w możliwość odbudowy poczucia obywatelskiego, które mimo wszystkich objawów wyczerpania i zniechęcenia istnieje i może być ożywione — nie przez mnożenie apeli, ale przez stworzenie warunków sprzyjających rozwojowi autentyczności życia społecznego.

Rozdział I

O SPOSOBACH UPRAWIANIA POLITYKI

Celem tego rozdziału jest próba odpowiedzi na pytanie jak i dlaczego doszło do obecnej sytuacji społecznej, politycznej i gospodarczej kraju. Dlaczego, mimo słusznej koncepcji znacznego przyspieszenia rozwoju gospodarczego kraju, a także sporych, wymiernych osiągnięć w początkach lat 70-tych, mimo poparcia społeczeństwa dla programu reform, korzystnej w pierwszych latach koniunktury międzynarodowej, wielkich kredytów itp. — nastąpił ostry kryzys, który objął swym zasięgiem podstawowe dziedziny życia społecznego, politycznego i gospodarczego. Czy kry-

zys ten jest wynikiem błędów konkretnych ludzi, ich wadliwych decyzji w dziedzinie rozwoju gospodarczego oraz pogorszenia się koniunktury międzynarodowej itp? Czy też rzeczywiste przyczyny tkwią głębiej, a wadliwe decyzje — w ogóle sytuacja roku 1979 — są spowodowane czynnikami natury ogólniejszej, głębokosadzonymi w całości systemu społeczno-politycznego? Co jest przyczyną, a co skutkiem? Oto pytania, które dziś narzucają się każdemu ze szczególną mocą. Nie tylko dlatego, że wszyscy odczuwamy skutki kryzysu w naszym życiu codziennym. Przede wszystkim dlatego, że lata 1971-1979 dostarczają zupełnie nowych materiałów do przemyśleń.

Jeśli przyjrzeć się uważnie ostatnim ośmiu latom, uderzyć musi w stosunku do lat poprzednich zasięg i skala zmian. Zmienił się — co prawda jedynie w sferze teorii — jeden z aksjomatów ustrojowych: wzrost stopy życiowej i produkcji rynkowej uzyskały pierwszeństwo przed koniecznością forsowania rozwoju przemysłu ciężkiego. Politykę opartą na stałych cenach i bardzo wolno rosnących płacach zastąpiono polityką szybkiego rozwoju, ruchomych cen i płac. Równowagę bilansu płatniczego zastąpiono dążeniem do maksymalnego wykorzystania kredytów zagranicznych. Ostrożna dotychczasowa polityka wewnętrzna ustąpiła miejsca praktyce niezwykle czasem śmiałych posunięć — takich choćby, jak otwarcie granicy z NRD, w ogóle otwarcie kraju, objęcie wsi systemem ubezpieczeń społecznych, wielka reforma administracji czy na dużą skalę prowadzone odmładzanie kadr. Nastąpiła powszechnie odczuwana poprawa stopy życiowej, a stworzenie miejsc pracy dla roczników wyżu demograficznego było niewątpliwie sukcesem.

A równocześnie, z perspektywy ośmiu już lat, najbardziej uderzające są nie tyle owe zmiany, ile podobieństwo lat 1971-1979 do poprzedniego okresu.

W sferze, nazwijmy to — gospodarowania okazuje się, że zarówno po roku 1956, jak i po roku 1970 poprawa stopy życiowej, spektakularne koncepcje, rozmach działania, to wyłącznie sprawa pierwszych kilku lat. W obu okresach kryzys nastąpił w podobnym momencie i z podobnych przyczyn: pod koniec pierwszej 5-latki i z powodu załamania się polityki inwestycyjnej.

Jeśli chodzi o politykę społeczną w szerokim tego słowa znaczeniu i o sposób sprawowania rządów, scenariusz zmian jest wręcz identyczny. W obu przypadkach mamy do czynienia w pierwszych 2-3 latach z liberalizacją, otwartą stosunkowo polityką kulturalną, poprawą obiegu informacji, pewnym ograniczeniem cenzury, zwiększeniem udziału bezpartyjnych w życiu publicznym. W obu przypadkach bardzo prędko nastąpiło wyco-

fanie się z liberalizacji, zablokowanie obiegu informacji, wystąpiła też skłonność do koncentracji władzy w coraz węższym gronie.

Takie podobieństwa znajdujemy również w przemianach w dziedzinie świadomości społecznej. Po początkowym okresie aprobaty, chęci współpracy, od połowy lat 70-tych odnajdujemy takie samo jak w latach 60-tych narastanie apatii społeczeństwa, brak identyfikacji z niewątpliwymi nawet sukcesami, nasilającą się frustrację na granicy otwartego konfliktu.

Sądzymy, że wynik tych porównań, owa zadziwiająca powtarzalność, wręcz cykliczność załamania w sferze gospodarki i w sferze polityki wewnętrznej, mimo zupełnie różnych w obu okresach warunków, planów i koncepcji (niezależnie od nieuniknionych uproszczeń naszej analizy) — potwierdza w sposób trudny do zakwestionowania tezę, iż o obecnej sytuacji kraju zdecydowały czynniki tkwiące wewnątrz systemu. Czynniki to nie natury gospodarczej, ale ta właśnie sfera spraw, którą można nazwać sposobem uprawiania polityki i sprawowania władzy.

Brak uzgodnionych porozumień

Wniosek ten znajduje również wymowne potwierdzenie w materiałach ankiety. Niezależnie bowiem od formy użytej przez autorów, niezależnie od tego czy mamy do czynienia z subtelną analizą socjologiczną, wspartą wynikami badań, czy też po prostu z refleksją obywatelską wrażliwego obserwatora życia publicznego, generalna diagnoza jest podobna. Sprowadza się najogólniej biorąc do stwierdzenia, że *w ciągu całego okresu powojennego nie wykształciły się u nas powszechnie akceptowane i rzeczywiście funkcjonujące reguły i normy życia społecznego*. Trudno byłoby dziś wskazać dziedziny życia społecznego, w których zdołano dojść do uzgodnień czy kompromisów, którym towarzyszyłyby powszechnie uznane reguły gry politycznej. Uzgodnień stanowiących ramy zarówno dla wytyczania wspólnych celów, jak i dla ich wspólnej realizacji, uzgodnień godzących interesy różnych grup społecznych, a także interesy jednostki i społeczeństwa.

Nie osiągnięto takich uzgodnionych porozumień ani w sprawach najogólniejszych — w stosunku np. do koncepcji sprawowania władzy, zasad podziału dochodu narodowego czy w odniesieniu do oceny konsekwencji sytuacji geopolitycznej Polski, ani w dziedzinach bardziej konkretnych, jak np. stosunek do kul-

tury narodowej, do własnej historii, do własności, do systemu prawnego, do pracy, do modelu spożycia itd.

To, co zostało wyżej powiedziane nie oznacza, że w żadnej z tych dziedzin w żadnym z okresów historycznych nie istniała rzeczywista zbieżność interesów państwa i obywatela, partii i społeczeństwa. Taka zbieżność występowała wielokrotnie w wielu bardzo istotnych sprawach. Działo się tak przede wszystkim — pomijając już tak oczywisty okres jak odbudowa kraju po wojnie — po roku 1956 i po 1970. Pierwsze lata po kryzysach politycznych przynosiły liczne decyzje leżące w interesie państwa i całego narodu. Ale i wtedy były to z reguły właśnie *decyzje*, a nie uzgodnione porozumienia. Rzecz o tyle znamienita, że co najmniej w 1956 i 1971 r. istniały przesłanki dla ukształtowania *zasad osiągania porozumień, uzgodnień, kompromisów* z najszerszymi warstwami naszego narodu. Również w innych okresach podejmowano liczne słuszne i uzasadnione decyzje. Tyle że zawsze odznaczały się one trzema szczególnymi cechami:

— były one czymś zewnętrznym w stosunku do społeczeństwa, narzuconym, „nadanym”, a nie wynegocjowanym, co oczywiście nie ułatwiało ich akceptacji przez ogół lub przynajmniej znaczną większość;

— fakt, że nie były one podejmowane w procesie dochodzenia do uzgodnień powodował, iż często interesy poszczególnych grup nie były uwzględnione w sposób dostateczny — i możliwy;

— brak uzgodnień uniemożliwiał uzyskiwanie autentycznego poparcia ze strony wszystkich zainteresowanych; co gorsza nie sprzyjało powstawaniu mechanizmu kontroli społecznej, która zapobiegałaby późniejszym, niekorzystnym korektom czy wręcz zniekształceniom początkowej linii działań.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że niechętny stosunek do poszukiwania kompromisowych uzgodnień z różnymi warstwami i grupami społeczeństwa stał się jedną z podstawowych reguł uprawiania polityki w naszym kraju. Taka polityka w sposób istotny wpływa na to, co socjologowie nazywają mechanizmem dystrybucji władzy, a co w języku potocznym można określić jako zasady i formy uczestniczenia w sprawowaniu władzy. Przy czym wpływ ten powoduje tworzenie się w każdej sferze życia społecznego układu zależności, a nie partnerstwa.

Charakteryzując reguły gry politycznej obowiązujące w naszym kraju jeden z uczestników ankiety stwierdził: „Jeżeli... przyjrzeć się najważniejszym decyzjom politycznym podjętym w ciągu ostatnich pięciu lat... to nasuwa się wrażenie, że w decyzjach tych konsekwentnie pomijano kryteria odpowiadające interesom

i potrzebom społecznym na rzecz kryteriów interesów centralnych ośrodków władzy i głównych — regionalnych lub resortowych — grup nacisku” (ankieta nr 7). W innym zaś miejscu tenże autor wskazuje, że w tak ważnych dziedzinach, jak sfera pracy, stosunki między grupą rządzącą a społeczeństwem, sfera informacji i propagandy i stosunki między producentem a konsumentem, mamy do czynienia z wyraźną nierównomiernością położenia obu grup.

Z punktu widzenia przemian społeczeństwa polskiego, jego awansu kulturalnego i oświatowego, a także tradycji życia publicznego konsekwencje owej odgórności decyzji i braku uprzednich uzgodnień musiały być (i były) bardzo poważne.

Sytuację pogarszał dodatkowo fakt, że koncepcja regulowania stosunków społecznych poprzez tworzenie układów zależności i nierówności, nie zaś w drodze uzgodnień i porozumień, wykluczała powstawanie wszelkich mechanizmów samoregulacji. Wykluczała też kształtowanie się praktyki uzgadniania pośredniego — co równie oczywiste, nie dopuszczała do żadnych nieurzędowych, spontanicznych inicjatyw obywatelskich. Wszystkie te formy działania społecznego byłyby bowiem z natury swej sprzeczne z realizowaną zasadą sprawowania władzy.

Opisany wyżej brak szerokich uzgodnień w najważniejszych sprawach, brak mechanizmów mediacyjnych i samoregulacji systemu, zablokowanie spontanicznych inicjatyw obywatelskich, wreszcie problem, o którym dotychczas nie wspomnieliśmy, niejawnosc życia publicznego — wszystkie te sprawy stały się przedmiotem analizy w większości ankiet. Nie cytujemy tu poszczególnych wypowiedzi przede wszystkim z braku miejsca. Spora zresztą część tych opinii przytoczona będzie w innych partiach opracowania. Warto jedynie podkreślić, że w opisanych wyżej sposobach uprawiania władzy większość uczestników ankiety widziała główną przyczynę nieprzenikalności i niepodatności na wzajemne oddziaływanie obu tych podstawowych przeciw elementów państwa. W dobitny sposób potwierdzają ten pogląd reprezentatywne badania socjologiczne, z których wynika, że dla współczesnego Polaka naród nie identyfikuje się z państwem. Po rodzinie i przyjaciółach dla współczesnego Polaka ważne są naród, jego historia i aktualna sytuacja. Naród to federacja rodzin. Natomiast to wszystko, co istnieje w obszarze między rodziną a narodem, cała działająca tam sfera instytucji (organizacje polityczne, związki zawodowe, administracja państwowa itd.), nie wywołuje poczucia identyfikacji. Jest to świat objęty określeniem „oni”.

Powstaje pytanie, jak doszło do tej sytuacji? Co leży u podstaw opisanego wyżej stanu rzeczy?

Analiza materiałów ankiety pozwala przynajmniej częściowo na te pytania odpowiedzieć. Uczestnicy poświęcili bowiem szczególnie dużo uwagi czterem czynnikom, których znaczenie uznali za decydujące dla obecnej sytuacji społecznej, politycznej i gospodarczej.

Są to:

- obowiązuje u nas rozumienie pojęcia „kierownicza rola partii”, a przede wszystkim sposób, w jaki się tę zasadę realizuje w najważniejszych dziedzinach życia społecznego;

- system prawny i jego funkcjonowanie w praktyce;

- niejawność życia publicznego i wiążąca się z tym sprawa propagandy;

- niektóre elementy polityki społecznej i kulturalnej.

Spróbujmy w największym skrócie przyrzeć się tym czynnikom.

Obraz partii,

który wyłania się z materiałów ankiety, zmienia się w zależności od tego, czy jest ona rozpatrywana od wewnątrz, czy od zewnątrz. Z zewnątrz partia jawi się jako silnie wyodrębniona instytucja o własnych celach, nie szukająca porozumienia z resztą społeczeństwa i nie zainteresowana w jakichkolwiek uzgodnieniach, których wynikiem byłoby dopuszczenie innych grup do współdziałania w sprawowaniu władzy.

Opisana wyżej sytuacja wywodzi się jeszcze z okresu, kiedy przyjęto u nas wzór partii wykształcony w warunkach ostrej walki o władzę i nastawionej na jeden tylko cel: utrzymania i umocnienia władzy. Być może przyjęcie tego wzoru było w swoim czasie wytłumaczalne. Jednakże wzór ten, nastawiony na dominację, a nie na współpracę, zorientowany na monopolizowanie wszelkich decyzji we wszystkich dziedzinach życia i nieufny wobec jakiegokolwiek kontroli z zewnątrz (nieufny także wobec kontroli wewnątrz samej partii) utrzymał się i utrwalił. Być może, jak sugeruje kilku uczestników ankiety, utrwalił się dlatego, że odpowiada tej wizji sposobu sprawowania władzy, którą przejęły polskie grupy rządzące od grup rządzących w krajach sąsiednich nie bacząc na różnice kulturowe, różnicę nawyków politycznych między np. Rosjanami i Polakami z jednej a Niem-

cami i Polakami z drugiej strony. Jeśli się te różnice zignoruje, można uwierzyć, że cierpliwie, przełamując opory, naginając, manipulując świadomością historyczną i wychowaniem — wzór ten i w Polsce stanie się czymś realnym. Stąd prawdopodobnie, jak sądzą uczestnicy ankiety, bierze się tendencja do wycofywania się z wszelkich posunięć, które w oczach społeczeństwa znamionowały demokratyzację lub liberalizację.

Od wewnątrz natomiast obraz jest zupełnie inny. Partia występuje jako organizacja bardzo zróżnicowana, w której znacznie osłabła moc argumentacyjna motywacji ideologicznych, a jeśli chodzi o mechanizm działania — podlegająca tym samym schorzeniom, co społeczeństwo jako całość. Mamy więc do czynienia z grupami o zróżnicowanych interesach, występują znaczne odrębności w sytuacji i dostępie do władzy wśród różnych kategorii członków partii, istnieją tendencje do skupienia maksimum władzy w wąskim ośrodku centralnym, aparat zaś jest w dużym stopniu zbiurokratyzowany i brak mu demokratycznych mechanizmów osiągania uzgodnień zarówno w rzeczach najważniejszych, jak i mniej ważnych.

Jeden z uczestników ankiety (ankieta nr 39) wskazał jednak na paradoksalny fakt, że zróżnicowanie wewnętrzne i osłabienie, a nawet zanik motywacji ideologicznych nie tylko nie złagodziły przedziałów między partią a społeczeństwem, ale wręcz przeciwnie — przedziały te umocniły. Jest to oczywiście paradoks pozorny. W miarę bowiem zaniku motywacji ideologicznych naczelną motywacją stawała się sama władza i związane z nią korzyści. Zaostrzyły się konflikty wewnętrzne partii, co jest zresztą chyba cechą każdego systemu monopartyjnego, a szczególnie przy braku mechanizmów przekazywania władzy. W warunkach zaś, gdy istnienie rywalizujących grup w partii jest czymś skrywanym, ich działanie nabiera siłą rzeczy cech działalności klikowej, a merytoryczne zadania w dziedzinie gospodarki, kultury, polityki społecznej itd. schodzą na drugi plan wobec podstawowego kryterium, jakim jest użyteczność w umacnianiu się poszczególnych rywalizujących grup w partii.

W takiej sytuacji rywalizujące grupy nie są zainteresowane w obniżaniu barier między partią a społeczeństwem. Oznaczałoby to bowiem ujawnienie opisanych wyżej mechanizmów z wszystkimi trudnymi do przewidzenia konsekwencjami tego faktu.

Jest to z konieczności uproszczony opis sytuacji, w którym nie brak być może przejawów. Jednakże w wypowiedziach uczestników ankiety sprawy te wielokrotnie zostały opisane. Podkreślano, że o wielu najważniejszych decyzjach przesądzały nie

rzeczywiste potrzeby związane z budową społeczeństwa socjalistycznego, ale doraźne układy sił lub zgoła egoistyczne interesy poszczególnych grup w partii. Tym też należy tłumaczyć fakt, iż niektórzy z uczestników ankiety tak mocno podkreślali konieczność demokratyzacji samej partii. Wskazywano dalej na fakt utrwalenia się szczególnego rodzaju mechanizmu podejmowania decyzji, który jeden z uczestników ankiety nazwał „kompromisem negatywnym”, definiując go jako zasadę „osiągania kompromisu poniżej progu zainteresowania i identyfikacji poszczególnych grup uczestniczących w przetargu”. Jest to zasada, w myśl której w większości konfliktów między poszczególnymi grupami w partii „opłaca się” osiągnięcie takiego kompromisu, który dla wszystkich rywalizujących grup oznacza w gruncie rzeczy przegraną co do meritum sprawy. Kompromisu, w którym za cenę utrzymania pozycji taktycznych, decydujących o szansach w grze o władzę, rezygnuje się z najważniejszych celów — merytorycznych. Wydaje się, że ta zasada rozprzestrzeniła się i powszechnie występuje we wszystkich procesach decyzyjnych zarówno wewnątrz partii, jak i poza nią. Przykładem mogą tu być losy reformy oświatowej, gdzie kompromis osiągnięto na poziomie, który nie zadowala żadnej z zainteresowanych grup, ani nauczycieli, ani administracji szkolnej, ani przemysłu, ani rodziców, ani uczniów... I nikt dziś nie jest zainteresowany realizacją tej reformy. Podobnych przykładów dostarczają reformy gospodarcze, gdzie śmiałe początkowo koncepcje zostają w trakcie osiągnięcia owego „kompromisu negatywnego” redukowane w sposób uniemożliwiający realizację podstawowego celu, dla którego się zrodziły.

W opinii wielu uczestników ankiety różne „ukryte zasady i priorytety” oraz luka między partią a społeczeństwem, brak na tym obszarze wzajemnego przenikania się idei, ocen, żądań, brak praktyki poszukiwania i uzgadniania wspólnych wartości i celów ujemnie wpłynęły na funkcjonowanie zarówno partii, jak i społeczeństwa. Tendencja zaś do narzucania decyzji przez partię, skłonność do dominacji zderzyły się z głęboko zakorzenionymi wartościami naszego społeczeństwa, przede wszystkim zaś z kilkusetletnią tradycją republikańską Polaków, „którzy — jak pisze jeden z uczestników ankiety (ankieta nr 8) — *nigdy w ciągu dziejów nie zaakceptowali modelu poddanego*”.

W konsekwencji, według opinii przeważającej części uczestników ankiety, społeczeństwo przestało być sterowane, a kierownictwo centralne, przy pozorach nieograniczonych możliwości, nie ma w rzeczywistości skutecznych sposobów sprawowania władzy.

Obraz prawa

Można by wskazać wiele i niezwykle ważnych powodów, dla których praworządność jest w naszym kraju jednym z najistotniejszych warunków istnienia zdrowych stosunków społecznych. Wynika to z głęboko zakorzonego w sferze świadomości naszego społeczeństwa (choć nie zawsze ujawniającego się w życiu codziennym) poczucia sprawiedliwości. Wszelkie w tej dziedzinie naruszenia są natychmiast postrzegane i oceniane bardzo ujemnie. Waga tej sprawy wynika też ze specyfiki naszego ustroju. W systemie praktycznie jednopartyjnym, gdy niemożliwe staje się reprezentowanie i bronienie interesów rozmaitych grup i jednostek, szczególnie ważną rolę ma do odegrania system prawny cieszący się powszechnym zaufaniem. Wynika to wreszcie z faktu, że państwo, łącząc funkcje prawodawcy, administratora i pracodawcy, stało się tak silnym — przynajmniej w odczuciu społeczeństwa — partnerem, że tylko naprawdę niezależny system sądownictwa powszechnego i administracyjnego, byłby zdolny zapobiegać tworzeniu się u obywateli poczucia nierówności i wręcz zagrożenia.

W tej sytuacji, dramatycznej wymowy nabiera fakt, iż zarówno większość ankietowanych, jak i wyniki badań socjologicznych na naczelne miejsce wysunęły problem pogłębiającego się kryzysu w dziedzinie praworządności.

Szczególnie wymowne są tu ogólnopolskie badania Boruckiej-Arctowej nad świadomością prawną społeczeństwa polskiego. Wyniki badań informują, że zaledwie 73,5 % ludności uważa, że obowiązujące u nas przepisy prawne traktują wszystkich ludzi jednakowo. 10,9 % osób z wyższym wykształceniem, 18,2 % chłoporobotników, 19,6 % robotników niewykwalifikowanych, 17 % wykwalifikowanych i 14 % pracowników umysłowych ze średnim wykształceniem uważa, że prawo nie jest jednakowe dla wszystkich. Zaledwie 52,6 % ludności uważa, że wszyscy mają jednakową możliwość prowadzenia swych spraw przed sądem i tylko 56,7 % uważa, że w naszych sądach wszyscy ludzie traktowani są jednakowo. Co może najważniejsze — badania wykazały istnienie silnie zakorzonego w naszym społeczeństwie stereotypowego obrazu osób uprzywilejowanych wobec prawa. Są to w opinii badanych ludzie z wyższym wykształceniem, na stanowisku, ze znajomościami i zamożni.

Wyniki te byłyby zrozumiałe jedynie w stosunku do społeczeństwa o bardzo głębokich przedziałach klasowych i rządzonego wbrew prawu. Fakt, iż są to wyniki badań przeprowadzonych w ostatnich latach w naszym kraju, dowodzi więc, że w odczuciu

dużej części społeczeństwa występują u nas istotne naruszenia norm sprawiedliwości społecznej.

Jeden z uczestników ankiety określił to w sposób następujący: „*Trudno oprzeć się wrażeniu, że prawo zaczęło u nas w wielu przypadkach pełnić rolę quasi-klasową: służy ochronie przywilejów i nierówności, jest instrumentem dyktatu grup i jednostek, dyktatu, którego celem jest niekontrolowana władza sprawowana w imię egoistycznych korzyści*”.

W wielu ankietach powtarza się w różnej formie stwierdzenie, że prawo jest naginane do doraźnych celów — wskazuje się tu przykłady z zakresu polityki podatkowej albo praktyki wyłączeń; władza nie czuje się związana ustanowionymi przez siebie prawami i że taki stosunek do prawa rozprzestrzenił się w całym aparacie władzy, w wyniku czego naginanie i łamanie prawa stało się również elementem polityki lokalnej najniższych szczebli, podważając w skali masowej wszelkie zaufanie do władzy.

Traktowanie prawa jako narzędzia służącego uprawianiu polityki „na codzień” i realizacji doraźnych celów rozmaitych grup interesów doprowadziło do wielu wynaturzeń zarówno w dziedzinie stanowienia jak i stosowania prawa. Doprowadziło też do poważnych zakłóceń we wszystkich dziedzinach życia, w których prawo jest lub powinno być regulatorem.

W dziedzinie stanowienia prawa istnieje ogromny nieład i dowolność. Zatarte zostały kryteria co jest prawem, a co prawem nie jest. Nie ma kontroli nad zgodnością regulacji prawnych niższego rzędu z ustawami. Pojawiają się przepisy naruszające jedną z najstarszych zasad prawnych — iż prawo nie działa wstecz. Ukazywanie się przepisów prawnych sprzecznych z innymi obowiązującymi przepisami albo przepisów wręcz komicznych, ingerujących w najdrobniejsze szczegóły działalności ludzkiej, nawet takiej, która w ogóle nie powinna być przedmiotem regulacji — przestało już kogokolwiek dziwić. „*W świadomości ogółu — pisze jeden z uczestników ankiety (ankieta nr 15) — zatraciła się różnica między wciąż mnożącymi się, często wzajemnie sprzecznymi przepisami i zarządzeniami rozmaitych instytucji a prawem, to jest ustawami, wydawanymi przez władzę ustawodawczą... Mnożenie biurokratycznych przepisów uważa się za regulację prawną, podczas gdy w większości wypadków są to decyzje arbitralne, a istotą prawnego porządku jest ograniczenie arbitralności*”.

Znacznie poważniej przedstawiają się rzeczy w dziedzinie stosowania prawa.

Tu na pierwsze miejsce wysuwają się problemy wymiaru sprawiedliwości i problem niezawisłości sądów.

Od czasu do czasu do opinii publicznej przedostają się informacje o — sprzecznym z zasadą praworządności — sterowaniu wymiarem sprawiedliwości. Jest charakterystyczne, że należąc od wielu lat do państw, w których niemal nie istnieje problem naciąganych procesów politycznych, nie uczyniliśmy z tego żelaznej zasady. Jak określił to jeden z uczestników ankiety, *„choć na ogół zrezygnowano z praktyki fałszywych świadków i naciąganych dowodów, ale nie uczyniono z tego zasady, od której nie ma wyjątków. Zachowano — jak dowodzą tego procesy w Radomiu i Ursusie — gotowość wskrzeszania takich praktyk, choć tylekroć doświadczaliśmy szkodliwości tego rodzaju nawrotów”* (ankieta nr 39). Parę lat temu, tzw. sprawa Hankus v. Petrys ujawniła w sposób kliniczny niemal wszystkie wady naszego wymiaru sprawiedliwości. Nie tylko dlatego, że w toku wieloletniego procesu naruszone zostały wszystkie reguły prawa materialnego i procesowego, a także elementarne zasady sprawiedliwości, a nawet przyzwoitości. Również dlatego, że okazało się, iż uruchomiona na najniższym szczeblu machina sprawiedliwości jest nie do powstrzymania, że osoby, które zdołały wyłudzić, w nie wyjaśniony zresztą sposób, wyrok spreczny z prawem w pierwszej instancji potrafiły również wywierać — znowu nie wiadomo jakimi środkami — wpływ w toku całego postępowania odwoławczego, do Sądu Najwyższego włącznie. Przywrócenie sprawiedliwości nastąpiło dopiero — co jest szczególnie przygnębiające — w wyniku sprecznej z procedurą karną *drugiej* rewizji nadzwyczajnej.

Takie „korygowanie” niesłusznych decyzji administracyjnych, a czasem i wyroków sądowych w imię co prawda sprawiedliwości, ale za to środkami pozaprawnymi, nie jest wcale rzadkie. W ten sposób przywraca się wprawdzie sprawiedliwość w konkretnym przypadku, ale ceną jest dalsze pomniejszanie ogólnego szacunku dla prawa.

Są to tylko przykładowo wybrane niektóre przejawy erozji praworządności. Można by tę listę rozszerzyć o przykłady tuszowania najrozmaitszymi metodami jaskrawych naruszeń prawa, o przejawy ignorowania prawa, o sprzeczne z prawem przywileje, jak owe słynne „Erki” upoważniające do łamania przepisów drogowych, o istnienie prawa niejawnego (przepisy nie publikowane).

Obserwujemy w naszym kraju paradoksalną i niepokojącą sytuację, gdy trudno wskazać kto naprawdę kontroluje działalność prawodawczą i *quasi* prawodawczą, kto kontroluje stosowanie prawa. Nikt nie czyni tego, według jasnych i powszechnie wiążących reguł.

Ten sposób „uprawiania polityki” w dziedzinie prawa przynosi na dalszą metę ogromne szkody. Prowadzi do takich absurdów, jak sprawa NIK, który mając kontrolować rząd został temu rządowi podporządkowany; jak pogorszenie w nowym kodeksie pracy położenia pracowników, co jest regresem w stosunku do kodeksu z 1928 roku. Może jedno i drugie wydawało się komuś wygodne w danym momencie, może nawet istotnie było wygodne. Ale efektem tej wygody stało się w pierwszym przypadku zapewnienie bezkarności źle wywiązującym się ze swych obowiązków, marnotrawiącym dobro publiczne agendom rządowym. W drugim zaś — nastąpił wzrost napięć społecznych i dalsze zantagonizowanie stosunków pracy.

Albo inny przykład: sprawa spółdzielczości mieszkaniowej. W sposób zastraszająco lekkomyślny, dla zatuszowania kryzysu w budownictwie zniweczono tam szacunek dla prawa u milionów młodych ludzi, czyniąc z umowy spółdzielczej bezwartościowy świstek papieru.

Warto przytoczyć charakterystyczny cytat z ankiety (nr 39): *„Rezygnacja z obowiązywania zasady „fair play” w stosunkach między władzą a obywatelem, a nawet między różnymi ogniwami samej władzy pozbawiła władzę możliwości rzeczywistej regulacji stosunków gospodarczych i społecznych, wywołała u obywateli poczucie zagrożenia, którego wynikiem jest m.in. obrona wszystkimi środkami, legalnymi i nielegalnymi, moralnymi i niemoralnymi swych praw i lekceważenie obowiązków. Zostawi to trudny do odrobienia ślad w postawach kilku generacji”*.

Sytuacja w dziedzinie praworządności szczególnie dotkliwie odbiła się na postawach moralnych naszego społeczeństwa. Ten wątek przewijał się w większości odpowiedzi. Wskazywano na trudne do odrobienia szkody i na szeroki zakres erozji norm moralnych. Wskazywano dalej, że w opinii społecznej utrwalił się niebezpieczny pogląd, iż zasady prawne i moralne mogą być w każdej dziedzinie i w różnoraki sposób omijane i łamane. I że o możliwości tego rodzaju praktyk decyduje uczestnictwo w sprawowaniu władzy, albo „dostęp do władzy” — prościej mówiąc jej korumpowanie. Charakterystyczne są tu badania A. Tymowskiego, z których widać, jak powszechne jest przeświadczenie, iż łamanie prawa i reguł moralności jest zjawiskiem masowym.

„Zjawisko korupcji przynosi straty gospodarcze, których nikt nie jest w stanie obliczyć, ale z pewnością znacznie większe spustoszenia czyni ono w świadomości całego społeczeństwa. W powszechnym przekonaniu „bierze” u nas każdy — urzędnik za

podpis, lekarz za opiekę nad chorym w szpitalu, profesor za przyjęcie na studia... Z pewnością w tej obiegowej opinii jest przesada. Ale ona sama liczyć się musi jako fakt z dziedziny patologii społecznej. I wszyscy o tym wiemy, że ma ona swoje źródło w istniejącej rzeczywistości" (z ankiety nr 20).

Z badań zaś Tymowskiego wynika, że coraz więcej zachowań niemoralnych czy po prostu przestępczych przestaje być odczuwane jako zachowania naganne. Dotyczy to również takich dziedzin, jak stosunek do pracy, poszanowanie własności publicznej, etyka poszczególnych grup zawodowych. Z badań tych wynika dalej, że tym, co stanowi u ludzi główne usprawiedliwienie dla własnych sprzecznych z prawem i moralnością zachowań, jest nadużywanie władzy dla celów osobistych przez ludzi władzę sprawujących, a także system jawnych i niejawnych przywilejów dla niektórych grup społecznych. Mamy dziś do czynienia z bardzo silną tendencją do „wyrównywania” sytuacji: odpowiedzią na to, że ktoś odnosi jakieś korzyści z powodu przywilejów, jest dążenie do osiągnięcia podobnych korzyści, choćby się miało działać z naruszeniem prawa.

Podsumowując opinie o sytuacji w dziedzinie prawa i moralności można stwierdzić, że są one zgodne co do tego, iż ten sposób posługiwania się prawem:

- nie przyniósł żadnych korzyści w sprawowaniu władzy, a wręcz przeciwnie, w zasadniczy sposób ograniczył możliwość efektywnego sprawowania władzy we wszystkich dziedzinach od gospodarki po administrację lokalną i wymiar sprawiedliwości;

- w zasadniczy sposób naruszył zaufanie i szacunek obywateli do władzy;

- spowodował wykształcenie się aspołecznych postaw w szerokich kręgach społeczeństwa.

Jawność i informacja

Jawność życia publicznego, a raczej brak tej jawności jest jednym z najczęstszych tematów rozmów w wielu środowiskach w naszym kraju. Sprawa nie ogranicza się do cenzury, choć niewątpliwie Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk stał się symbolem zasady niejawności życia publicznego. Chodzi o coś więcej. O to mianowicie, że przytłaczająca większość informacji niezbędnych do wyrobienia sobie jakiejkolwiek opinii na tematy funkcjonowania państwa i jego agend, na temat

stanu gospodarki i procesów społecznych, na temat polityki wewnętrznej i zagranicznej, na temat zmian politycznych i ekonomicznych, zachodzących w świecie — nie przedostaje się do wiadomości publicznej. Ba, nie tylko publicznej. Wiele z tych informacji nie dociera również do osób i instytucji, które z zawodu i urzędu powinny je otrzymać gdyż są one niezbędne w ich pracy, w rozstrzyganiu spraw, o których muszą z urzędu decydować. Wiele danych statystycznych nie wychodzi nawet poza obręb gmachu GUS, przy czym chodzi o dane, które są niezbędne tysiącom ludzi, w tym również ludziom rządzącym krajem, by ich praca miała sens, a decyzje dotyczyły świata rzeczywistego a nie urojonego.

„34 lata temu naród polski został mianowany zbiorowym właścicielem banków, fabryk, kolei, państwowych gospodarstw rolnych, całego mienia państwowego. Jest to jednak taki osobliwy właściciel, który nie ma od kogo dopytać się o stan własnego majątku i gospodarstwa, ani nie jest mocen domagać się od rządów, aby zdali rachunki z włodarstwa swego. Naród polski jest to taki właściciel, który nie wie i nie ma prawa wiedzieć nawet tego, ile komu jest dłużny i ile jemu się od kogo należy.

P o d o b n o z początkiem bieżącego roku mieli bawić w Warszawie przedstawiciele zachodniego konsorcjum bankowego przybyli tu w sprawie sfinansowania konwersji polskiego długu publicznego. Z tej okazji, w niektórych pismach zachodnich można było przeczytać informację, p o d o b n o przez rząd polski przedstawioną, o wielkości tego długu (w samych tylko walutach wymiennalnych, w przeliczeniu na dolary). Tymczasem w kraju żadne dane o zadłużeniu Polski nigdy nie zostały ogłoszone. Jeżeli zatem doniesienia te są prawdziwe, to można sformułować nową definicję pojęcia tajemnicy państwowej: „tajemnicą państwową są mianowicie takie informacje o stanie naszego kraju, które może znać cały świat z wyjątkiem polskiego społeczeństwa”.

Przytoczyliśmy fragment wypowiedzi, w całości poświęconej problemom jawności życia publicznego (ankieta nr 33). Przykład z pożyczkami byłby nawet śmieszny, gdyby nie fakt, że do niedawna liczb tych nikt prawie nie znał. A parę lat temu liczb tych nie znali również ci, którzy przygotowywali zakupy licencji i maszyn, ci którzy pożyczone pieniądze wydawali...

„Panuje dość powszechne przekonanie — czytamy w ankiecie nr 18 — że jaskrawe błędy w sterowaniu procesami społecznymi oraz w kierowaniu życiem gospodarczym wynikają po prostu z niekompetencji, braku kwalifikacji czy nieudolności ludzi po-

bierających decyzje. W istocie sprawa przedstawia się daleko gorzej: system krążenia informacji w jego obecnej postaci — mistyfikując prawdziwy obraz rzeczywistości — sprawia, że podstawowe przesłanki wszystkich decyzji są błędne. Cały ten system można by traktować jako gigantyczny spisek zmierzający do kompromitacji władzy, do podrywania do niej zaufania, a także do pobudzania nastrojów sprzeciwu i buntu. W rzeczywistości cele tego złożonego aparatu są autonomiczne, wsparte na interesach grup zainteresowanych w dezinformacji oraz w rozprzężeniu całego systemu społecznego współdziałania”.

A przecież informacje te nie służą jedynie prawidłowemu podejmowaniu decyzji. Są one podstawowym tworzywem dla wyrobienia sobie poglądów przez ogół obywateli. Bez nich nie może rodzić się opinia publiczna i bez nich żaden obywatel naszego kraju nie może poczuć się obywatelem pełnoprawnym, a więc współodpowiedzialnym.

Zacytujmy raz jeszcze odpowiedź nr 33, albowiem fragment, który przytoczymy, jest najpełniejszym chyba podsumowaniem wszystkiego, o czym pisali w tej sprawie uczestnicy naszej ankiety:

„System niemalże totalnej niejawności domeny publicznej — a więc tej właśnie, która z samej swej nazwy i definicji najbardziej jawną być powinna — jest odpowiedzialny za obojętność większości pozornych obywateli pozornej Rzeczypospolitej względem wszystkiego prawie, co się kojarzy z państwową... polityką i gospodarką. Skutków tej polityki i tej gospodarki doświadczamy wprawdzie codziennie, ale z procesów kształtowania się decyzji czujemy się całkowicie wyłączeni jako podmioty i nawet jako obserwatorzy. Wyłączeni, a więc zwolnieni od odpowiedzialności. Obywatel PRL doświadcza meandrów polityki i planowania mniej więcej tak, jak doświadcza zmian pogody: to znaczy jako zmian ważnych, do których trzeba się przystosować, ale których przyczyn — całkowicie zewnętrznych — nie warto nawet usiłować zgłębić, skoro wpływać na nie żadną miarą nie można...”.

Wszelako system ten wytworzył ponadto coś od obojętności i od cynizmu groźniejszego, co już z pewnością zamierzone nie było: wytworzył się mianowicie stan zbiorowej psychozy informacyjnej. Wybuchło w jednym tygodniu parę pożarów w półtoramilionowej stolicy? — a więc grasują tajemniczy podpalacze!, a więc to przejaw walki o władzę! Rozplakatowano, jak co roku, zarządzenie o poborze do wojska? A, to już mobilizacja, wyślą naszych chłopców do Wietnamu! Eksplozja w Rotundzie PKO? Oczywiście bomba zegarowa, trotyl, sabotaż, prowokacja.

Nie wybuch w Rotundzie, lecz reakcja społeczna na ten wybuch powinna być stać się dla naszych władz przestrogą... Ludzie, którzy od dziesiątków lat nie są informowani albo są fałszywie informowani o najważniejszych sprawach naszego kraju, ludzie, którzy widzą tylko wyniki działań kierownictwa (aby je zobaczyć, wystarczy dzisiaj wejść do sklepu), ale nie znają motywów i sprężyn, na każdą wiadomość reagują odruchem „nas nie nabiorą”! Jeżeli nie mogą się dowiedzieć, ile osób w Polsce zmarło w zaspach śnieżnych (choć wiedzą ile zmarło w RFN), to dlaczego właściwie mieliby wierzyć, że w PKO zginęło 48 osób, a nie na przykład trzykrotnie więcej? Jeżeli prawdziwy mechanizm polityki pozostaje ukryty, to ludzie za każdym wydarzeniem doszukiwać się będą mechanizmu tajemnego, czyjejs niewidzialnej ręki. Polacy przestali wierzyć w przypadki i przestali, jak się wydaje, także wierzyć w możliwość aktów spontanicznych, to znaczy w działania społeczne, podejmowane przez kogokolwiek z jego własnego, autentycznego przekonania. Za każdym, kto coś mówi, albo coś robi, staramy się dostrzec czającego się w mroku upiora, który manipuluje, prowokuje, płaci rublami lub dolarami, wydaje polecenia, pociąga za sznurki. „Nas nie nabiorą!”. Wybuch gazu jest podejrzany. Każdy wypadek jest podejrzany, każda katastrofa. Podejrzany jest artykuł. Podejrzany jest list. Podejrzany jest rząd i podejrzana jest „opozycja”. Podejrzane jest każde działanie i każdy projekt działania.

Nie, to bynajmniej nie jest rozumny sceptycyzm. To jest naiwna łatwowierność *à rebours*. Ludzie, którzy nikomu nie ufają i niczemu nie wierzą, jutro uwierzą w najbardziej nieprawdopodobną pogłoskę i zaufają pierwszemu zręcznemu demagogowi. Społeczeństwo, które nie ma żadnych autorytetów politycznych może stać się łatwo w razie kryzysu i paniki społeczeństwem nieobliczalnym, „ślepą siłą”.

Dotykamy tu spraw ściśle już łączących się z uprawianiem propagandy w naszym kraju. Propaganda bowiem kierując się w swym działaniu przede wszystkim zasadą niejawności życia publicznego, zasadę tę doprowadza niemal do absurdu. Nie tylko przemilcza, ale świadomie dezinformuje. Tworzy obraz świata nie troszcząc się w ogóle o to jak się ten obraz ma do rzeczywistości. Propaguje mitologię sukcesu w sytuacjach ciężkiego kryzysu, mówi o zapale, gdy panuje powszechny stan apatii. Innymi słowami, zwiększa do maksimum dystans między rzeczywistością a jej przedstawieniem, nie bacząc na to, iż przyczynia się tym samym do pogłębiania każdego kryzysu. Do spraw tych wracamy w dalszym ciągu opracowania.

Polityka społeczna i kulturalna omawiana jest obszernie w innych częściach niniejszego opracowania. Tu chcielibyśmy jedynie zwrócić uwagę na parę spraw, które — jak się wydaje — są szczególnie symptomatyczne dla preferowanych u nas sposobów uprawiania polityki.

... O polityce kulturalnej

W ostatnich latach pojawiła się wysoce niepokojąca tendencja do manipulacyjnego przede wszystkim traktowania kultury przy jednoczesnym lekceważeniu jej rzeczywistych potrzeb. Doprowadziło to do gwałtownego zaostrzenia konfliktu ze środowiskami twórczymi i powtórzenia sytuacji z końca lat 60-tych, kiedy wielu najwybitniejszych twórców po prostu znikło z życia kulturalnego kraju. Powrócono do praktyk, w myśl których twórcy nie mogą być partnerami, podmiotami w życiu publicznym. Każdy protest przeciwko tego rodzaju traktowaniu grozi znalezieniem się na liście osób w kulturze niepożądanych, co przede wszystkim zamyka dostęp do masowych środków przekazu, a często w ogóle uniemożliwia uprawianie zawodu.

Efektom obecnej sytuacji jest narastające zniechęcenie, a także „postępująca dezintegracja środowisk intelektualnych i twórczych... Środowiska twórcze zarażone są poczuciem bezsilności, braku wpływu na zachodzące przemiany społeczne” (ankieta nr 30). Te nastroje potęgowane są ogólną sytuacją naszej kultury [niskie nakłady wartościowych książek; książki, które w ogóle nie mogą się ukazać z powodu treści lub osoby autora; filmy zatrzymywane na półmetkach, w tym znakomite filmy dokumentalne, które mogłyby odegrać wielką rolę w kształtowaniu opinii publicznej i inicjowaniu dyskusji na najważniejsze tematy współczesne]. Zablockowanie swobodnej wymiany poglądów — stwierdza autor ankiety nr 30 — uniemożliwia kontynuację, nawarstwianie się doświadczeń, ścieranie się poglądów. Powstała więc sytuacja, w której z jednej strony mamy rozbudzone autentyczne potrzeby uczestnictwa w kulturze, co jest zresztą wielką zdobyczą 35-lecia, mamy też utalentowanych twórców, z drugiej — tendencję do manipulacji, do zastępowania rzeczywistego uczestnictwa w życiu kulturalnym imprezami fikcyjnymi, których zasadniczą treścią jest urzędnicza gala, a które składają się głównie z otwarć, przemówień, bankietów, referatów, innymi słowy: „obchodów”.

Przejdźmy teraz do problematyki z zakresu dziedziny *polityki społecznej*. Relacje z badań socjologicznych nad postawami czy nad problemami ze sfery prawa i moralności, a także niektóre wypowiedzi w naszej ankiecie, wskazują, że zarysowały się bardzo niebezpieczne tendencje w rozumieniu i wykorzystywaniu roli bodźców materialnych. Korzyści materialne w postaci bezpośrednio pieniężnej lub jawnych czy częściej ukrytych przywilejów stały się istotnym elementem uprawiania polityki. Obserwuje się to powszechnie w postaci nagminnych, nieuzasadnionych wypłat, szczególnie w wielkich zakładach. Odnosi się wrażenie, że zrezygnowano ze wszelkich możliwości mediacji w konfliktach pracowniczych na rzecz pieniądza, którym po prostu kupuje się doraźnie spokój. Prowadzi to do dezorganizacji całej gospodarki, nasila procesy inflacyjne, ale co najgorsze — niszczy szacunek do pracy. Ten ostatni problem — szacunku do pracy — pojawia się w wielu odpowiedziach. Podkreśla się paradoksalny fakt, iż właśnie w socjalistycznym ustroju, gdzie praca — każda praca — powinna cieszyć się powszechnym szacunkiem, doszło do deprecjacji pracy w ogóle. Występujące obecnie „upieniężenie” stosunku do pracy jeszcze bardziej nasili te procesy.

Jednocześnie pieniądze i system przywilejów stały się w ostatnich latach preferowanym sposobem sprawowania władzy w dosłownym znaczeniu. Jeden z uczestników ankiety (nr 27) wręcz stwierdza, że wykształciła się w tych warunkach grupa osób bezpośrednio zainteresowana w utrzymaniu chorej gospodarki i chorych stosunków społecznych w nie zmienionym kształcie. Jest to grupa, która z tytułu pełnionych funkcji „*ma dostęp do drugiego rynku w sferze zaopatrzenia, mieszkań, świadczeń zdrowotnych, dostępu do ograniczonych dóbr*”. Innymi słowy, jest to grupa, której lojalność jest po prostu kupowana. Ale jest to tylko pozorna lojalność, albowiem ogranicza się ona tylko do jednego — do doraźnej pomocy w utrzymywaniu władzy. Nie obejmuje zaś zupełnie uczestnictwa w działaniach, które mogłyby uzdrowić sytuację społeczną i gospodarczą kraju, albowiem jest to sprzeczne z interesami tej grupy. Jak z tego widać władza centralna, tolerując tę sytuację i nadal traktując pieniądze i przywileje jako ważny element uprawiania polityki, coraz bardziej ogranicza własne możliwości wpływania na sytuację kraju w przyszłości. Nie mówiąc o tym, że opisana wyżej praktyka prowadzi do ogromnego rozwarstwienia społeczeństwa, do napięć i konfliktów, do dramatycznych naruszeń zasad sprawiedliwości społecznej.

Cena, jaką za to płacimy

Rzeczywiste zasady uprawiania polityki i sprawowania władzy, funkcjonowanie prawa oraz szeroko pojęta polityka społeczna i kulturalna to główne obszary zainteresowania całego społeczeństwa. To również dziedziny, w których dla sprawnego funkcjonowania społeczeństwa konieczna jest jawność życia publicznego i istnienie jasnych, przejrzystych zasad, co do których osiągnięto aprobatę większości obywateli.

Zacytujemy tu opinię jednego z uczestników ankiety (nr 39) o konsekwencjach tej sytuacji: *„Wybór takiej, a nie innej interpretacji basta kierowniczej roli partii i rezygnacja z pozyskiwania do współdziałania w sprawowaniu władzy szerokich kręgów społeczeństwa równa się utracie rzeczywistego przywództwa legitymującego się poparciem społeczeństwa. Jak się wydaje cenę tę partia świadomie zaakceptowała.*

Rezygnacja z wynegocjowania ze społeczeństwem porozumienia co do konsekwencji naszej sytuacji gospodarczej, naszych interesów narodowych i sojuszków, uniemożliwiła kierownictwu państwa ustanowienie zdrowych stosunków z naszymi sąsiadami. I kierownictwo cenę taką zdecydowało się zapłacić.

Ze brak praworządności wypadło zapłacić poważną demoralizacją dużej części społeczeństwa, eksplozją korupcji, niemożnością wykorzystania prawa dla mediacji społecznej i dla sterowania gospodarką. Również i tę cenę zdecydowano się zapłacić.

Rezygnacja z wynegocjowania aprobowanych przez większość zasad podziału dochodu narodowego doprowadziła do ogromnego rozwarstwienia społecznego (ilustrują to dobitnie liczne badania socjologiczne), do naruszenia nie tyle nawet zasad egalitaryzmu, ile po prostu sprawiedliwości społecznej. Doprowadziła też do rozprzestrzeniania się konsumpcji prestiżowej i wytworzenia licznej grupy osób, które zainteresowane są w utrzymaniu chorej gospodarki, gdyż jedynie to umożliwia im czerpanie — najczęściej nielegalnych — wielkich zysków. Wszystko to grozi ciężkimi konfliktami społecznymi a nawet niekontrolowanym wybuchem. Również i tę cenę zaaprobowano.

Niedopuszczenie reprezentacji wsi polskiej do równoprawnego uczestnictwa w ustalaniu polityki rolnej doprowadziło do kolejnych kryzysów rolnictwa i ciężkiego kryzysu żywnościowego. I w tym przypadku cenę tę postanowiono zapłacić.

Wyzbycie się przejrzystych reguł gry przy podejmowaniu decyzji gospodarczych i uniemożliwienie kontroli społecznej tych decyzji doprowadziło do paradoksalnej sytuacji: niejawne grupy

nacisku (regionalne lub resortowe) mogą wymusić korzystne dla siebie decyzje, nie ponosząc żadnej odpowiedzialności — niezależnie od rozmiaru szkód, które te decyzje przynoszą społeczeństwu. Przykładem zarówno polityka inwestycyjna, jak i polityka płac. Jest to sytuacja uniemożliwiająca w praktyce zarządzanie. Jednak i w tym przypadku płaci się tę cenę.

Oto następny przykład: rok 1976. Zrezygnowano wtedy z wyciągnięcia jakichkolwiek konsekwencji wobec osób odpowiedzialnych za decyzję podniesienia cen. Wiadomo było, że przez dużą część społeczeństwa takie zachowanie zostanie uznane za zerwanie porozumień z roku 1971. I wiadomo było też, że zerwanie tego porozumienia będzie miało poważne konsekwencje, choćby w postaci odmowy współdziałania i odrzucenia apelu: pomocy. I mimo to cenę tę zapłacono”.

Można by tę listę poszerzyć, wskazać inne jeszcze dziedziny życia, w których płacimy ogromną cenę za praktykowane sposoby uprawiania polityki. Uczestnicy ankiety wskazywali, iż z powodu braku mechanizmów mediacyjnych poważne konflikty społeczne kończą się nieraz niekontrolowanym wybuchem niezadowolonia. Wskazywano też na gospodarcze konsekwencje braku samoregulacji systemu; zwracano uwagę na upowszechnienie się we wszystkich dziedzinach życia działalności pozornej, którą jeden z uczestników ankiety tak oto scharakteryzował (ankieta nr 32): „Mamy więc: pozorne planowanie i pozorne wykonywanie, a nawet przekraczanie planów, pozorne osiągnięcia produkcyjne, naukowe, kulturalne i oświatowe, pozorne sprawozdania i wykonywanie obowiązków, pozorne dyskusje, głosowania i wybory, pozorną troskę o dobro społeczne i pozory rządzenia, pozorny socjalizm i prace społeczne, pozorną swobodę wyboru, moralność, nowoczesność i postęp, otwieranie z wielką pompą pozornie ukończonych fabryk i urzędów socjalnych, pozorną walkę z przejawami zła i pozorne zadowolenie wszystkich obywateli, pozorną swobodę przekonań i pozorną sprawiedliwość itd. Gra pozorami stała się tak powszechna, że nikt — nawet najwyższe władze — nie wiedzą jak jest naprawdę w rzeczywistości. Obiektywne wskaźniki są w tej sytuacji albo nieprawdziwe, albo zbyt wyidealizowane i nie dają należytego obrazu rzeczywistej sytuacji społeczeństwa i państwa. W tych warunkach podejmowanie decyzji jest sprawą przypadku, a nie jest oparte na dobrej metodzie i znajomości realiów. Niemożliwe też stało się empiryczne sprawdzanie wyników działań, wyciąganie konkretnych wniosków z działań udanych lub nieudanych”.

Jedną z najważniejszych konsekwencji tej sytuacji jest fakt, że zaakceptowano w praktyce życia politycznego zjawisko cyklicz-

nych kryzysów społecznych, pogodzone się z ich nieuchronnością. Po raz trzeci w ostatnim ćwierćwieczu sprawy zaczynają się toczyć według tego samego schematu: wybuch niezadowolenia — zmiana ekipy rządzącej — przejściowa liberalizacja — kolejny wybuch niezadowolenia — zmiana ekipy itd.

Taka sytuacja jest tym groźniejsza, że każdy wybuch niezadowolenia może przerodzić się w tragedię narodową. Dotychczas zdołaliśmy się od takiej tragedii uchronić. Stało się tak przede wszystkim dzięki wielkiemu poczuciu odpowiedzialności naszego społeczeństwa, a także dlatego, że napięcia między aparatem władzy (szczególnie aparatem bezpieczeństwa i wojskiem), a społeczeństwem nie przekroczyły punktu krytycznego. W 1956 roku konflikt między aparatem przymusu a społeczeństwem był złagodzony przemianami, jakie w tym aparacie zaszły w latach 1954 i 1955. W 1970 roku częściowo już wygaś konflikt roku 1968, a sam konflikt miał głównie podłoże ekonomiczne. Obecna sytuacja jest bardziej złożona — choćby ze względu na konsekwencje 1976 roku — a napięcia o wiele głębsze. Tym bardziej więc nie możemy pozwolić sobie na wojnę społeczną. Ale odpowiedzialność za niedopuszczenie do konfliktu ciąży nie tylko na społeczeństwie, a przede wszystkim na władzy.



Poświęciliśmy tę część opracowania niektórym stosowanym w naszym kraju zasadom uprawiania polityki i sprawowania władzy. Do wielu poruszonych tu zagadnień wrócimy w dalszych częściach tekstu. W tym miejscu chcielibyśmy jeszcze przytoczyć pewną opinię uczestników ankiety: otóż zdaniem wielu ankietowanych żadna ze wskazanych wyżej „zasad” nie jest niezbędna umocnieniu państwa i społeczeństwa.

Za omawianą powyżej praktyką uprawiania polityki nie przemawiają również żadne względy ideologiczne. Większość podanych krytycznej analizie „zasad” była w swoim czasie, po kolejnych kryzysach, przedmiotem dyskusji publicznej i składanej przez partię oferty negocjacyjnej.

W 1956 roku propozycja negocjacyjna wysunięta przez Gomułkę obejmowała m.in.:

- nadanie nowej treści sojuszowi z ZSRR;
- demokratyzację stosunków wewnątrz partii;
- nawiązanie szerszego dialogu ze społeczeństwem;
- zwiększenie uczestnictwa społeczeństwa w rządzeniu (Sejm, rady robotnicze itd.).

W roku 1971 propozycja nowych zasad życia publicznego obejmowała m.in.:

- zniesienie przywilejów i dyskryminacji (apel do partyjnych i bezpartyjnych, wierzących i niewierzących);
- likwidację nędzy (problem najniższych płac i emerytur);
- inny stosunek do kultury narodowej i historii (reformacja oświatowa, odbudowa zamku itd.);
- zwiększenie udziału społeczeństwa (szczególnie robotników) w sprawowaniu rządów;
- rozwój demokracji wewnątrz partii;
- otwartą politykę kulturalną (nawiązanie dialogu ze środowiskami twórczymi).

Dodajmy, że zarówno w roku 1956 jak i w roku 1971 społeczeństwo skwapliwie zaakceptowało propozycję porozumienia. Nie z jego to winy złożone przez partię propozycje nie odegrały roli, jaką powinny były — i mogły — odegrać. Chodziłoby jednak o to, aby podobna sytuacja nie musiała — i nie mogła — się w przyszłości powtarzać.

Rozdział II

O STRUKTURACH I MECHANIZMACH SYSTEMU

Przedstawionej w poprzednim rozdziale filozofii uprawiania polityki w naszym kraju odpowiada logicznie obraz struktur i mechanizmów systemu władzy i instytucji życia publicznego.

System władzy w Polsce po drugiej wojnie światowej, nie mogąc lub nie chcąc przejmować mechanicznie wzorców działania republiki parlamentarnej, i nie zdążywszy sobie wypracować własnego systemu sprawowania rządów, formował się w drodze prób i błędów; przejmował on co najwyżej instytucje i doświadczenia podobnie formowanego systemu władzy w Związku Radzieckim, który jednak wyrósł z innych tradycji i w innych warunkach. Z kolei „system władzy w Polsce, wymagając — jak wiele władz rewolucyjnych — przede wszystkim apologii, odciął sam sobie szanse analizowania swej sprawności” — zwraca uwagę respondent nr 36. „W rezultacie — kontynuuje ten sam autor — mieliśmy do czynienia z fałowaniem tendencji, pomysłów, z kolejnymi doraźnymi próbami korekt, które niejedno-

krotnie przynosiły więcej złego niż dobrego. Do dziś nie ma żadnego spójnego, teoretycznego modelu systemu władzy, do którego realizacji zmierzałyby kolejne reformy. Nawet cenną prakseologicznie reformę administracji terenowej w roku 1975 interpretowano w konsekwencji jako zabieg polityczny...”.

Respondent nr 46 określa tak działający w Polsce układ władzy:

„Wykonywanie politycznej i gospodarczej władzy opiera się na scentralizowanym administracyjnym aparacie partyjnym i rządowym, przy którym istnieją fasadowe przybudówki w postaci Sejmu i rad narodowych zdominowane przez wspomnianą administrację... Czynnikiem integrującym biurokrację władzy jest partia, kierująca państwem i obecna na wszystkich szczeblach jego organizacji, która nie jest jednak w stanie przetrwać, ani konsekwentnie zdominować dualizmu wynikającego z istnienia dwóch przenikających się organizmów: partyjnego i rządowego (państwowego). Pewna konkurencyjność tych organizmów, bez względu na zachodzącą na różnych stanowiskach kierowniczych personalną kumulację tych stanowisk w obu organizmach, jest przeto zjawiskiem stałej, choć w nasileniu zmiennej, dezintegracji. Jednocześnie pogłębiające się zacieranie podziału funkcji między partią a administracją rządową i innymi organami państwa, zdecydowane porzucenie przez partię funkcji kontroli na rzecz bezpośredniego rządzenia i zarządzania, wszystko to walcie przyczynia się do pomieszania koncepcji w aparacie władzy, do lekceważenia prawa zarówno wewnątrz niego samego, jak wobec obywateli, do porzucenia tym samym prawnych i ogólnych metod sprawowania władzy na rzecz doraźnych, konkretnych i nieskoordynowanych poleceń”.

Sposób funkcjonowania władzy

W powszechnym odczuciu mamy do czynienia z wszechwładną grupą osób rządzących partią, ale respondent nr 41 charakteryzuje ją jako „grupę, której się zdaje, że sprawuje władzę”. Na pierwszym plenarnym spotkaniu Konwersatorium jeden z uczestników dyskusji plastycznie ukazał, jakim sposobem decyduje, które grupa rządząca partią uważa za „swoje” i za które bierze odpowiedzialność, były manipulowane przez grupy interesów wewnątrz aparatu władzy: ani jedna ekspertyza, otrzymana przez grupę rządzącą, nie pochodziła od niezależnego konsultanta, a najbliżsi doradcy i współpracownicy członków grupy rządzącej

umiejętnie sterowali dopływem informacji i opinii. Respondent nr 34 pisze:

„W rzeczywistości społeczno-gospodarczej „centralny planista” nie istnieje... Działa natomiast heterogeniczny zbiór instytucji centralnych, posługujących się w swych decyzjach rozmaitymi kryteriami... Szczególnie mało wiemy o tym — zwraca uwagę ten sam respondent — jak Centrum pracuje, jaki jest tryb przygotowywania i podejmowania makrodecyzji ekonomicznych. Orientujemy się po zewnętrznych i raczej ceremonialnych formach działalności różnych instytucji centralnych, no i oczywiście po skutkach. Nie wiemy jednak: jak rodzą się inicjatywy określonych makrodecyzji planistycznych, jaka jest w tym rola poszczególnych ogniw Centrum; jaki jest zakres praw i odpowiedzialności tych ogniw za kształt decyzji; czy decyzje podjęto po analizie i odrzuceniu alternatywnych rozwiązań, czy rozpatrywano tylko jedną wersję; kto sprawdzał wewnętrzną zgodność tej wersji; czy istniała świadomość nieuchronnych napięć; kto i na jakiej podstawie uznał, że warto wprowadzić te napięcia do gospodarki; jakimi drogami i z jakim opóźnieniem docierają do Centrum sygnały o narastaniu dysproporcji w gospodarce; dlaczego taki, a nie inny czas musi upłynąć zanim Centrum podejmie decyzje korygujące plan; na ile decyzje korygujące pozbawione są wad decyzji pierwotnych itd. itd. Na większość tych pytań nie może odpowiedzieć nie tylko przeciętny obywatel, ale także wielu zawodowych ekonomistów i polityków gospodarczych”.

Posłuszmy się dalej tekstem tegoż respondenta: „Sprawa znaczenia stosunków w obrębie Centrum dla sprawności systemu... była oficjalnie podnoszona w Polsce po przesileniach politycznych w 1956 i 1970 r. Na posiedzeniu KC PZPR w lutym 1971 r. sformułowano nawet konieczność wprowadzenia wyraźniejszego podziału kompetencji między kierownictwo partii, rządu i Sejmu. Powołano także specjalną komisję partyjno-rządową d/s usprawnienia funkcjonowania gospodarki państwa. Wszystko to uległo zapomnieniu, chociaż sprawa jest dziś nie mniej aktualna niż wtedy.

Wynikają stąd dwa wnioski. Po pierwsze, że nie tylko z zewnątrz ale i wewnątrz Centrum, dostrzegany jest brak jasnego podziału praw, obowiązków i odpowiedzialności poszczególnych ogniw. Po drugie, że te mankamenty są oficjalnie podnoszone tylko pod presją konfliktów między władzą a społeczeństwem. Niemal natychmiast po zażegnaniu tych konfliktów, cała sprawa zostaje odsunięta w cień. To z kolei oznacza, że Centrum nie chce, albo nie może uporządkować swoich wewnętrznych stosunków. Prawdopodobnie występuje i jedno i drugie.

Niechęć do zmiany *status quo* jest nietrudna do zrozumienia. Jakikolwiek unormowanie podziału kompetencji prowadziłoby albo do częściowego ograniczenia władzy tych ogniw, które mają jej najwięcej, albo do formalnego zwolnienia z odpowiedzialności pozostałych ogniw, co także nie odpowiada ogniom wiodącym. Dotknęliśmy w ten sposób drugiej cechy Centrum: jego zhierarchizowania.

Nie jest to zwyczajne zhierarchizowanie. Jego szczególność polega na tym, że faktyczny układ nadrzędności i podległości poważnie odbiega od formalno-prawnych rozwiązań.

Próbą zamazania tej rozbieżności jest tworzenie „unii personalnych”, to jest obsadzanie kierowniczych stanowisk w różnych ogniwach Centrum tymi samymi osobami. Służy to jednak utrwaleniu, a nie usunięciu różnic między stanem rzeczywistym a formalno-prawnym. Utrzymanie się tych różnic oznacza istnienie pewnego nieładu. Część ogniw Centrum spełnia funkcje, do których prawnie nie jest upoważniona, inna część ogniw nie wykonyuje z kolei swoich nominalnych funkcji. Ten stan jednak bywa ukrywany. Dlatego poszczególne ogniwa pozornie wypełniają wszystkie swoje nominalne funkcje. Prowadzi to do stanu podwójnego uporządkowania organów centralnych: rzeczywistego i oficjalnego. Podwójne uporządkowanie nie przestaje być w istocie stanem nieładu.

Stan ten jest wyraźnie trwały. Rzeczywisty podział kompetencji nie może otrzymać statusu formalno-prawnego. Próby w tym kierunku nie spotkałyby się z dobrym przyjęciem przez społeczeństwo. Z kolei ogniwa Centrum wyposażone w największą władzę, nie są skłonne do zgody na ograniczenie jej przez dostosowanie rzeczywistego porządku w Centrum do porządku formalno-prawnego. Wytwarza to impas, wyrażający się w utrwaleniu podwójnego uporządkowania.

Rozbieżność między rzeczywistym a formalno-prawnym podziałem kompetencji w Centrum, może być większa lub mniejsza. Im jest większa, tym mniejszy jest stopień wykonywania przez ogniwa Centrum ich nominalnych funkcji. Powstałe luki wypełniane są przez działania pozorne i ceremonialne. Wzrost tych ostatnich może więc być uważany za wskaźnik niewykonania przez instytucje zadań, do których są formalnie powołane”.

Opisanym wyżej zjawiskom towarzyszy utarta już praktyka, równie mało znana i analizowana, układania stosunków interpersonalnych między ludźmi zajmującymi pozycje w różnych ogniwach władzy.

Istnieją wzajemne przepływy kadrowe między aparatem politycznym, menedżerskim i administracyjnym, przeplatanie się

i nakładanie — 60 % dyrektorów zakładów jest członkami instancji partyjnych, często zaś obsadzanie stanowisk w różnych ogniwach władzy oparte jest na istnieniu grup koleżeńskich. Przychodzenie i odchodzenie z aparatu władzy związane jest z utrzymaniem się lub nie owej grupy, gdzie jeden chroni drugiego.

„Stosunki między aparatem partyjnym i aparatem administracyjno-gospodarczym układają się tak, że aparat partyjny, mający nad nim władzę realizuje ją poprzez polecenia i dyrektywy, od politycznych aż do prywatnych (protekcja przy zatrudnianiu kogoś itd.), ale musi chronić działania swych 'podwładnych'; oni zaś z ogromną dozą umiejętności manewrują swymi zwierzchnikami z aparatu, używając ich to jako 'parasoli', to jako 'bronii wyłomowej', dla utorowania drogi swym przedsięwzięciom. Stwierdzenie to nie ma charakteru oceny; ludzie odgrywający rolę zachodzące na siebie muszą się jakoś ze sobą układać” — opisuje ten układ respondent nr 37.

Stosunki w tym układzie nie są zdefiniowane żadną pragmatyką służbową: zależą od ustosunkowania, pozycji i wpływów danych partnerów.

Część respondentów uważa, że organy egzekutywy mają tendencję wzrastającą. Respondent nr 36 następująco wyjaśnia tę perspektywę:

„XX-wieczny potężny rozwój gospodarczy doprowadził w sposób naturalny do ogromnej przewagi egzekutywy we wszelkich systemach władzy; jest to konsekwencja samego rozwoju — rozwój to 'zadania', które trzeba realizować, a nie działalność ciągła maszyny biurokratycznej. Jednakże ta przewaga egzekutywy, która u nas osiągnęła skrajne nasilenie, obraca struktury władzy w systemy feudalne, i to bynajmniej nie tylko u nas; jest to aktualnie najcięższa choroba szeregu wielkich korporacji świata kapitalistycznego”.

Organy przedstawicielskie nie spełniają w rezultacie u nas żadnych funkcji, ani reprezentacji ani nawet instrumentu kontroli wobec agend wykonawczych. O ile status pośta jest w sensie prestiżu osobistego dość wysoki (np. ministrowi ani żadnemu innemu urzędnikowi agend centralnych nie wypada nie przyjąć pośta), radnych z reguły traktuje się gorzej aniżeli urzędników wojewody lub odpowiednio naczelnika gminy. Przewodniczenie wojewódzkiej radzie narodowej przez pierwszego sekretarza komitetu wojewódzkiego partii w niczym nie podnosi jej rangi, ponieważ sekretarzowi nie funkcja przewodniczącego gwarantuje władzę, zaś udział w pracach rady traktuje on jako 'serwitut na rzecz demokracji'. Wojewoda i naczelnik gminy zostali wręcz w sposób formalny uniezależnieni od rad, skoro mianują ich

wyższe agendy administracji; nawet urzędnik podległy wojewodzie lub naczelnikowi nie odczuwa najmniejszej zależności od swej rady. „W manipulacji sejmem czy też innymi organami przedstawicielskimi — zwraca uwagę respondent nr 36 — lekceważy się wszelkie imponderabilia, tak w Polsce istotne; kiedy w roku 1976 Sejm z dnia na dzień musiał głosować jednogłośnie za wnioskami diametralnie ze sobą sprzecznymi, 'utracił twarz', w sposób wykluczający wszelkie wątpliwości co do jego prawdziwej roli. Do opinii publicznej nie przedostają się natomiast żadne wiadomości o autentycznych dyskusjach na forum danego klubu poselskiego o sporach w komisjach; opinii publicznej nie wiadomo też nic o wieloletnim systematycznym blokowaniu przez Sejm projektów różnych szkodliwych społecznie ustaw. Jest to jednak wszystko, na co Sejm może się zdobyć. Nawet jego formalne prerogatywy nie pozostawiają złudzeń, co do roli przybudówki, jaką mu przypisano”.

Ostatnia zmiana konstytucji podporządkowała Prezesowi Rady Ministrów wyspecjalizowany aparat, podległy Najwyższej Izbie Kontroli. Dorobku NIK nie da się zakwalifikować jednoznacznie: badając zgodność działania jednostek administracyjnych i gospodarczych z przepisami, aparat NIK musiał często opierać się w swych analizach na normach wielokrotnie niezyciowych, czasem wręcz absurdalnych. Formalizm zaleceń pokontrolnych odbierał sens praktyczny wielu z nich. Jednakże względnie samodzielne i niezależne funkcjonowanie aparatu NIK hamowało w dużym stopniu skłonność do nadużyć, aparat NIK cieszył się opinią w zasadzie nieprzekupnego i niepodatnego na manipulację polityczną. Konstytucyjna zmiana roku 1976, przed którą ostrzegali prawnicy polscy sprowadziła aparat NIK do pozycji kolejnej przybudówki.

Sposób funkcjonowania prawa

Wspomniana zmiana w statusie NIK ukoronowała tylko emancypację administracji spod wszelkiej praktycznej kontroli. Respondent nr 46 ujmuje to lapidarnie: „... brak sądowej lub innej tego typu kontroli nad legalnością działania administracji i nad przestrzeganiem i wykonywaniem konstytucji m.in. w zakresie ochrony praw i wolności obywatelskich, brak środków do sprawowania kontroli przez Sejm, a nawet pozbawienie go tych środków (sprawa NIK-u). Brak znanych i rozwijanych od wielu lat gdzie indziej instytucji demokracji bezpośredniej. Brak efektywnie działającego systemu współdziałania organizacji i oby-

wateli w rządzeniu i zarządzaniu sprawami państwa poza tradycyjnie pojętymi i formalnie traktowanymi organami przedstawicielskimi...”.

Wobec braku sprawnego systemu kontroli zgodności decyzji administracyjnych z ustawami, rozwinęły się inne środki kontroli administracji: listy i zażalenia do instancji partyjnych czy interwencje prasy, nie sięgające zresztą powyżej niższych tere-
nowych ogniw władzy — często i tu zresztą mało skuteczne.

Obok nagannych w odczuciu opinii publicznej zjawisk bezkarnego naruszania i nieprzestrzegania prawa, rozkład systemu prawnego, a więc brak porządku prawnego, rodzi zjawiska naruszania i nieprzestrzegania przepisów oceniane przez opinię publiczną i same władze jako uzasadnione: władza topiąc się wśród chaosu zbędnych lub źle pomyślanych przepisów musi tolerować ich praktyczną erozję, co prowadzi do ogólnego, omówionego już w poprzednim rozdziale poczucia względności wymagań prawa i do nawyku nieliczenia się z przepisami. Teza o dziedzictwie kulturowym braku poszanowania prawa, powstałym z czasów niewoli, kiedy prawo stanowią zaborca lub okupant, znajduje tylko ograniczone potwierdzenie w świetle badań i wiedzy potocznej — prawa w Polsce nie szanują przede wszystkim ci, którzy je stanowią.

Chaos w dziedzinie prawa zachęca z jednej strony do nadużyć, a z drugiej czyni koniecznym angażowanie organów ścigania tam, gdzie wystarczyłyby posunięcia administracyjno-ekonomiczne. Przy braku bowiem sprawnego systemu kontroli w gospodarce i braku sprzężeń korektywnych samoczynnie ograniczających anomalie, funkcje te musi przejmować aparat ścigania. Zwraca się na to od lat uwagę w wielu wystąpieniach prokuratorskich i protokołach pokontrolnych NIK-u, niestety, bez skutku. Życie społeczne Polski zna wreszcie całą sferę działań pozaprawnych aparatu władzy, nieuregulowanych żadnymi w ogóle przepisami (do takich należy m.in. funkcjonowanie cenzury, która dokonuje arbitralnych, przed nikim niezaskarżalnych ingerencji, czasem bez prawa poinformowania autora o przyczynie ingerencji: przedmiot ochrony cenzury nie zależy przy tym od samej cenzury, wielokrotnie obejmuje interesy osobiste prominentnych postaci z aparatu władzy).

Aparat milicji jest *de facto* na wszystkich swoich szczeblach podporządkowany równoległym instancjom partyjnym: ma to chronić system władzy przed nawrotem sytuacji, w której samodzielny aparat policji politycznej zdominował partię. Prowadzi to jednak z kolei do manipulowania milicyjnym aparatem ścigania w sposób odpowiadający doraźnym potrzebom chwili (nie

tylko natury politycznej). Jednocześnie rozszerzona niepomier- nie bałaganem prawnym sfera koniecznej aktywności aparatu ścigania w gospodarce doprowadziła ten aparat do liczebności właściwej proporcjami państwu policyjnym.

Niestety, nastąpiło wyraźne osłabienie rozwiniętego po roku 1956 nadzoru nad aparatem milicji. Powołane do sprawowania tego nadzoru urzędy prokuratorskie mają dziś znacznie osłabioną pozycję w stosunku do aparatu, który miałyby nadzorować, a szczególnie wobec służby bezpieczeństwa. Wobec braku rzeczywistej kontroli nad aparatem policyjnym, rozwinęła się przestępczość w samym środowisku tegoż aparatu, od ciągnięcia zysków materialnych z wykonywania swej władzy (sprawa Matejewskiego z jednej, wymuszanie łapówek przez milicję drogową z drugiej strony), aż po coraz częstsze rabunki i pobicia ze strony funkcjonariuszy MO. Aparat ścigania jako całość próbuje się dystansować od tych zjawisk, jednakże wydarzenia notowane nie tylko przy okazji napięć politycznych (jak w roku 1976) świadczą, że i on dość łatwo ucieka się do przemocy.

Służby porządku publicznego ze swej strony nie wykształciły żadnego kodeksu moralnego wobec społeczeństwa; oceniane są przecież wyłącznie wedle swej dyspozycyjności w stosunku do władz politycznych. Jeżeli spotyka się tu, wcale nierzadko, postawy szacunku dla prawa i własnej funkcji społecznej, jest to wyłącznie kwestią dobrej woli samych zainteresowanych.

Niewiele korzystniej prezentuje się w oczach społeczeństwa obraz wymiaru sprawiedliwości. Rzutuje nań m.in. przyjęta w latach siedemdziesiątych, polityka karna. Zaczęła ona preferować, jako zasadę, surowe wyroki nawet w sprawach drobnych, pomimo, że przestępczość w Polsce nie wzrastała; budziło to i budzi wątpliwości wielu prawników, których zdaniem skuteczną jest raczej konsekwencja w ściganiu przestępstw nie zaś wysoka represyjność prawa. W połowie dziesięciolecia Polska była pod względem liczby uwięzionych na 100 tysięcy mieszkańców, mniej więcej na poziomie USA, kraju o wyższej przestępczości, a powyżej — często znacznie — bardzo wielu krajów europejskich, co nie znajdowało uzasadnienia w sytuacji społecznej.

Wymiar sprawiedliwości, przez długie lata bardzo źle opła- cany, zależny co do pełnionych stanowisk od decyzji władz politycznych, podległy ich dyrektywom i manipulacji, stale przeciążony nadmierną ilością spraw, stara się jednak na ogół wypeł- niać swe funkcje w sposób godny akceptacji społecznej — mimo braku dostatecznych bodźców w tym kierunku; nazwiska sędziów szczególnie podatnych na naciski ze strony aparatu partyjno-administracyjnego cieszą się złą sławą we własnym środo-

wisku zawodowym. Niestety, podatność na te naciski nie maleje. Okres represji po wydarzeniach czerwcowych 1976 wykazał, że bardzo łatwo wrócić w Polsce do naciąganych procesów o charakterze w istocie politycznym przy wywarcu odpowiedniego nacisku na sądy.

Pomimo, że w Polsce nie ma praktycznie więźniów politycznych, ujemne zjawiska w toku pracy organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości jawią się obywatelom jako zjawisko polityczne. Podobny charakter przypisuje się niedostatkom systemu prawnego. Nie z innych przyczyn — wedle opinii społecznych — uprawnienia obrońcy w procesie karnym, jego prawo ingerencji w tok śledztwa, choć stanowi pozytywne novum w polskim Kodeksie Karnym, zostało ograniczone i uzależnione od decyzji organów ścigania, nie zapewniając podejrzanemu dostatecznej ochrony w okresie śledztwa. Z tych samych też przyczyn budzi zastrzeżenia ustanowiony w latach 70-tych Kodeks Pracy, który — aczkolwiek usunął poważnie nierówności w uprawnieniach dla różnych grup zatrudnionych — to jednak nie gwarantuje pracownikom partnerskich stosunków z pracodawcą.

Mimo te wszystkie negatywne zjawiska sądownictwo nie uległo całkowitemu, jawnemu rozkładowi, powodowanemu przez korupcję i naciski ze strony władz politycznych. Jeśli respondenci nie formułują opinii całkowicie dyskwalifikujących, to trudno jednak nie podkreślić z drugiej strony, że rozkład — ich zdaniem — postępuje wyraźnie; stopień manipulowania jest różny w różnych okresach, miejscowościach i sprawach ale co najszkodliwsze wszedł w nawyk obu stron, stał się utartą i codzienną praktyką, nikogo nie szokującą: informacje prasowe nie kryją nawet, że sędziowie odbywają narady nad wcieleniem w życie zaleceń kolejnego plenum KC partii, co budzi wątpliwości opinii publicznej, czy w ogóle pamięta się o zasadzie niezawisłości sądów.

Zaniechanie ścigania w stosunku do osób uprzywilejowanych, ostrzejsze represjonowanie osób, których nie stać na kwalifikowaną obronę, wszystko to przybrało charakter masowy. Sumując: ani aparat ścigania, ani wymiar sprawiedliwości nie spełniają swych funkcji w naszym systemie państwowym w sposób który by zadowolił obywatelskie poczucie praworządności i elementarne potrzeby samego systemu.

Sposób funkcjonowania grup interesów

Rzeczywistość społeczna nie toleruje próżni. Wobec zaniku

sprawnego działania mechanizmów prawno-ustrojowych, wyjątkowe znaczenie uzyskały — szczególnie w latach 70-tych, choć istniały i poprzednio — rozmaite grupy interesu, zwłaszcza w systemie władzy. Typowym przykładem mogą być tu grupy o charakterze lobby przemysłowego, które wyrosły w warunkach rozkładu systemu kierowania gospodarką (o czym dalej). Branże, kombinaty, zakłady pracy poprzez forsowanie np. cen nowości dbają o swe interesy, o premie dla załóg, dzięki którym uzyskują spokój i stabilność, o dopływ deficytowej siły roboczej itd. Płaci pojedynczy klient, który w Polsce nie ma dotychczas swojego lobby w postaci ruchu obrony konsumenta.

W samym istnieniu lobby przemysłowych nie byłoby nic zdrożnego, nie są one żadną naszą specyfiką, o czym świadczy nawet zapożyczona nazwa. Ale u nas ich siła przebicia uzależniona jest często nie od ich rzeczywistej wartości i znaczenia w gospodarce — lecz od panującego dogmatu bądź od aktualnych wyobrażeń kierownictwa partii i państwa o nowoczesności i postępie, czy od przypadkowych powiązań personalnych. A więc w myśl dogmatu, którego anachroniczność została wielokrotnie wykazana i nawet przyznana, wiadomo z góry, że niektóre lobby z przemysłów ciężkiego i maszynowego mają większą siłę przebicia, niż te z lekkiego, spożywczego czy np. farmaceutycznego, co wpływa nawet często w sposób decydujący na rozdział środków — w tym dewizowych — między te gałęzie.

Czasami ocena jest trudna, jak w przypadku lobby górniczego. W okresie dla węgla w Polsce ciężkim, lobby to potrafiło obronić przemysł wydobywczy przed zgubnymi tendencjami likwidatorskimi. Z drugiej strony, będąc dziś silniejsze, potrafi narzucić nie zawsze uzasadnioną ekonomicznie, niedostatecznie przygotowaną technicznie rozbudowę ośrodków wydobywczych, stale przy tym zabierając dobrą ziemię orną rolnictwu, które nie ma swej silnej grupy interesu.

Z dotychczasowych wywodów mogłoby wynikać że problem sprowadza się do lobby w przemyśle i gry między resortami czy branżami. Wcale tak nie jest.

Istnieją np. lobby regionalne, które w historii 35-lecia odegrały bardzo różną rolę: potrafiły nie wykonać centralnych decyzji, co było czasem nawet słuszne merytorycznie, ale zawsze świadczyło o schorzeniu systemu, potrafiły preferować inwestycje — znów czasami rzeczywiście dla regionu niezbędne, ale często też nieuzasadnione z punktu widzenia gospodarki narodowej, niekiedy noszące czysto prestiżowy charakter.

Partia rządząca — PZPR — jak zazwyczaj partie polityczne,

nie jest jednolitą grupą interesu. Wprost przeciwnie, jako monopolista władzy rozrywana jest tym bardziej i od dawna przez zwalczające się grupy nacisku czy interesów, mających z kolei poparcie grup poza partią i różnych lobby.

Dziś, choć sytuacja wydaje się mniej wyraźna, niż na przykład w 1968 roku PZPR też nie jest monolitem, istnieją widoczne tarcia i symptomy walki wewnętrznej, o czym wspominaliśmy w rozdziale poprzednim.

Istnienie grup interesu w Polsce jest — jak wszędzie — zjawiskiem naturalnym i dlatego nie podlegającym jednoznacznej ocenie negatywnej czy pozytywnej. Jak już powiedziano, wypełniają one u nas pewną próżnię prawno-ustrojową. Mogą one odegrać różną rolę, także dodatnią. Ale przy wspomnianej już parokrotnie niejawności życia politycznego, mogą też stanowić poważne niebezpieczeństwo.

Sposób funkcjonowania gospodarki

Schorzenia o charakterze szczególnym dotknęły naszą gospodarkę. Jej obecną sytuację przedstawia respondent nr 34 w swych rozważaniach, które określa jako „telegraficzny skrót”.

„Nasz 'wielki skok' z początku obecnej dekady, pozostawił po sobie głębsze niż w przeszłości dysproporcje między działaniami i gąszczami gospodarki. Jest to wielki ciężar. 'Wąskie gardła' nie pozwalają bowiem w odpowiednim stopniu wykorzystać rozbudowanego i znacznie unowocześnionego potencjału gospodarczego. Nie ma przy tym możliwości wypełniania istniejących luk w zaopatrzeniu, wzmożonym importem. Na odwrót, wzrost importu musi być hamowany. Jest to rezultat zaciągania kredytów zagranicznych w oderwaniu od wydolności eksportowej gospodarki i lokowania ich w dziedzinach importochłonnych. Wynikła stąd perspektywa wieloletnich napięć w bilansie płatniczym. Dysproporcje obniżyły ogólną efektywność całej gospodarki, a zjawiska kłującego w oczy marnotrawstwa bardzo się rozprzestrzeniły.

Kreowanie dochodów pieniężnych bez związku ze skalą i strukturą inwestycji, zdeorganizowało rynek konsumpcyjny. Ludność jest rozdrażniona tym razem... przez niekończące się pasmo bolączek. Mają one różne znaczenie, ale dotyczą obywatela wszędzie: w środkach komunikacji, w sklepach, w zakładach pracy, w szpitalach i w urzędach.

Dotychczasowe przedsięwzięcia władz, zmierzające do wyjścia

z przedstawionej sytuacji, nie wróżą powodzenia. Zmiana programu gospodarczego w postaci głośnego 'manewru' nie powiodła się. Świadczą o tym wyniki planów gospodarczych, niekorzystnie odbiegające od przyjętych ustaleń. Lawina nerwowych, do różnych poleceń i restrykcji, powiększa tylko chaos, ponieważ nie jest i nie może być wewnętrznie spójna. Wobec niepowodzeń tych kroków, apele o powszechną oszczędność nie trafiają do przekonania jako droga wyjścia z trudności''.

Kryzys systemu kierowania gospodarką jest czymś oczywistym dla wszystkich (bez wyjątku) uczestników ankiety: posłużymy się dla odzwierciedlenia tych opinii cytatem z wypowiedzi nr 16:

„System kierowania gospodarką nie sprostął wymaganiom przyspieszonego wzrostu. Jest niepojęte, jak w gospodarce planowej i scentralizowanej może dochodzić corocznie do przekroczenia planów inwestycyjnych, do zbędnych lub przedwczesnych zakupów zagranicznych wyposażenia fabryk, niepotrzebnych licencji — o czym donoszą sprawozdania rządowe i prasa codzienna. Jest niepojęte, jak może dojść do tego, że zadanie uruchomienia wywozu towarów z portów przejmuje na siebie telewizja, wobec której dyrektorzy okręgów PKP i PKS podejmują zobowiązania i tłumaczą się z ich realizacji. Prasa na każdym kroku przynosi informacje o rozmaitych absurdach — łatwych do usunięcia, po czym wszystko pozostaje bez zmiany...

Kierownictwo administracyjne poszczególnych dziedzin przestało jakby reagować na bodźce zewnętrzne i okazuje się niezdolne do korygowania swoich decyzji''.

„Chorują dosłownie wszystkie elementy systemu kierowania — pisze respondent 36. — Planowanie przestało zasługiwać na nazwę planowania, koordynacja jest niemożliwa, kontrola wykonania stała się zupełną iluzją''.

Uzupełnia tę diagnozę respondent nr 4, wskazując na zjawiska swoistego samoczynnego pogłębiania się chaosu:

„System zarządzania jest wysoce zbiurokratyzowany i ma tendencję do tworzenia monopolu, w ramach których przez stałe podwyżki cen, można wyrabiać wskaźniki wartościowe planu bez rzeczywistego zwiększenia produkcji, dostosowania asortymentu do potrzeb rynku, podniesienia jakości. System ten nie jest reformowany. Reforma WOG-owska została tak pokiereszowana, że nawet nie można ocenić jej efektów.

Natomiast system jest woluntarystycznie reorganizowany. Tak np. przed paroma laty zlikwidowano drobną wytwórczość, wcielając zakłady przemysłu terenowego do zjednoczeń przemysłu kluczowego, aby obecnie odkryć potrzebę istnienia drobnego przemysłu. Za szczególną nonszalancją, lekceważąc wszelkie sta-

tuty i rozsądek, co pewien czas przeprowadza się reorganizację spółdzielczości”.

Jedyne lekarstwa, jakie system kierowania znajduje dla stanu niewydolności gospodarki, jego samego nie dotyczą (zasada „nie-winności systemu”, jak to określił respondent nr 37). Są to lekarstwa dwojakiego rodzaju, wedle wspólnej wypowiedzi respondentów nr 42 i nr 43:

„— po pierwsze: działanie za pomocą apelów, hasel i nawo-tywań, które jak wykazuje praktyka, jest bardzo mało skuteczne i nie może zapewnić spójności działania. Przykładem może być realizacja chwytliwego hasła preferowania produkcji rynkowej. Odbywa się ona kosztem pozostałej, dezorganizując kooperację między przedsiębiorstwami, jak również zaopatrzenie inwestycji i w ostatecznym rachunku zamiast zwiększać produkcję rynkową, często wpływa na jej zmniejszenie;

— po drugie: rozwijanie systemu polegającego na powszech-ny wprowadzeniu drobiazgowych norm i nakazów oraz na wymaganii żelaznej dyscypliny w ich przestrzeganiu. Szkopuł jednak polega na tym, że współczesna gospodarka jest organizmem zbyt już skomplikowanym, aby można było nim kierować drogą wydawania znacznej ilości szczegółowych dyspozycji z jednego centralnego ośrodka. Doświadczenie historyczne uczy, że w okre-ślonych warunkach można nakazami i dyscypliną wymusić wyso-kie przyrosty produkcji na określonych odcinkach (między innymi przez priorytetowe rozdzielnictwo): nie można jednak wymusić wysokiej jakości, która ma tak podstawowe znaczenie dla naszego eksportu”.

„Słabość i niska skuteczność stosowanych metod... — pisze respondent nr 34 — wynika z ich powierzchowności. Jest to jakby objawowe leczenie choroby, bez sięgania do jej przyczyn. Sposób przygotowywania i podejmowania ważnych dla gospo-darki decyzji jest taki sam jak ten, który doprowadził do obec-nych trudności. Także system transformacji polityki gospodar-czej na programy działań przedsiębiorstw nie uległ żadnym istotnym zmianom. Jest to od dawna i niemal powszechnie krytykowany system administracyjnego zarządzania gospodarką. Mimo ekonomiczno-finansowej ornamentyki w jaki został przy-brany, nie stracił on swego administracyjnego charakteru”

Respondent nr 36 jednej z przyczyn takich kierunków dzia-łania dopatruje się w „dyrektorskiej mentalności” kierowników gospodarki narodowej:

„Z wyjątkiem niewielu osób wszyscy prawie kolejni kierow-nicy gospodarki polskiej w ciągu ostatnich trzydziestu lat trak-towali je niby jedną wielką fabrykę, której czuli się dyrektorami.

Ich ambicją, jak rozumiem, było i jest nie tylko uchodzić ale odgrywać rzeczywiście rolę dobrych, troskliwych gospodarzy, którzy znają wagę szczegółu i nie szczczędzą czasu na osobiste wykonanie nadzoru. Mentalność taką reprezentowali nie tylko ludzie, którzy mieli, jak w pierwszych latach, skąpe doświadczenie organizacyjne, ale także ci, którzy na wyższych uczelniach przechodzili kurs organizacji i ci, którzy robili wrażenie obznajomionych z nowoczesną literaturą fachową poświęconą sztuce zarządzania. Trzeba by głębszych studiów, by wyjaśnić, na ile 'dyrektorską mentalność' kierowników naszej gospodarki określał system kierowania, na ile zaś potrzeba samorealizacji i próżność, którą zaspokaja dyrektorski tryb 'własnoręcznego' wykonywania władzy; dość, że kierownicy naszej gospodarki z upodobaniem i zapalem poświęcają czas szczegółom, natomiast z reguły nie umieją organizować i prowadzić pracy Centrum. Jest to niekończąca się amatorszczyzna i ciągła improwizacja, brakuje rutyny dla najprostszych, powtarzających się czynności''.

Miarę skandalu osiągnął bałagan w planowaniu rozwoju. „Jest to jedyna dziedzina, w której system scentralizowany może dokumentować swoje walory i właśnie w niej doszło do najbardziej dramatycznej w skutkach kompromitacji — podkreśla ten sam respondent. — Bilansowanie potrzeb energetycznych i przewozowych z rozwojem produkcji należy do zabiegów najprostszych w planowaniu i tego właśnie kierownikom naszej gospodarki nie udało się zrobić. Planowanie inwestycji powinno było po latach doświadczeń stać się specjalnością nieledwie profesjonalną gospodarki socjalistycznej i właśnie tu poniosła ona swoje najcięższe klęski o wieloletnich następstwach”.

Wielokrotnie zwracali uwagę specjaliści od zarządzania, że brakuje metodyki dla planowania i analizy realizacji niemierzalnych liczbowo celów gospodarowania (takimi są z reguły cele społeczne, takie jak zdrowotność, dostęp do kultury itd.), że brakuje metodyki scalającej planowanie rzeczowe z budżetowym, że nie gromadzi się danych i nie bada przebiegu procesów inwestycyjnych, tak by na ich podstawie można było przewidywać przebieg dalszych, że stąd nie ma sposobu na zbilansowanie autentycznych wymagań finansowych, rzeczowych i kadrowych jakiegokolwiek planu inwestycyjnego. „Cykliczność rozpadów planów inwestycyjnych w trzecim roku każdej pięciolatki — pointuje respondent nr 37 — bierze się stąd, że za każdym razem decydenci na jej początku są przekonani, że t e r a z oparli się na wiarygodnych przesłankach. Za każdym razem bilans środków pęka, rozpetując szaleństwo korektur, które zamraża środki już

zainwestowane i koncentruje bezplanowe nadmiary mocy wykonawczych tam, gdzie przy dobrej organizacji wystarczyłoby 50-60 % (przykład: huta 'Katowice')'.

Częściowym usprawiedliwieniem (jeśli można to przyjąć jako usprawiedliwienie dla osób, które kierują gospodarką) jest niedobór informacji. Jednakże „ukrywanie i zniekształcanie informacji zostało wbudowane w system” — na co zwraca uwagę ten sam respondent. „System nie nagradza lecz przeciwnie, karze za prawdę. Obieg informacji blokowany jest przez wszystkie działające siły i wszystkie mechanizmy naszej gospodarki. Centrum sądzi, że dysponuje monopolem informacji, tymczasem dysponuje monopolem tylko tych informacji, które źródłom informacji opłaca się podać. Nikt nie wie, ile czego w kraju mamy naprawdę; ani obrabiarek, ani obsianych hektarów, ani czynnych maszyn budowlanych, ani wolnych powierzchni produkcyjnych, ani rzeczywiście wydobytego węgla, ani maszyn drukarskich matę poligrafii; nie ma pełnego spisu zakupionych licencji (nie mówiąc o analizie celowości zakupu), nie ma też najprostszego katalogu ofertowego, informującego, co kto w naszej gospodarce podjąłby się produkować, gdyby to u niego zamówiono, nie wiadomo nawet, co kto naprawdę produkuje, bowiem próby wydawania informatorów tego typu okazały się sprzeczne z interesem samych producentów”.

System finansowania przedsiębiorstw zniekształca bieżące planowanie produkcji. Po pierwsze, nie planuje jej sam producent, lecz zostaje wmontowany do toczącej ponad nim „gry o plan”, po drugie — produkuje dla planu, nie po to, aby swą produkcję sprzedać. Z kolei samo „planowanie jest w stosunku do jednostek gospodarczych nadmiernie szczegółowe i ogranicza możliwości dostosowania produkcji do potrzeb rynku” — przypomina respondent nr 4, cytując dalej fragment wywiadu z wicedyrektorem Fabryki Tarcz Ściernych (*Życie Gospodarcze*, 25.3.1979): „... ja muszę robić nie tylko narzędzia, także wskaźniki... ułożenie asortymentowe produkcji tak, aby pogodzić wszystkie obowiązujące mnie dyrektywy: dyrektywę wartości sprzedaży ogółem i w przeliczeniu na jednego zatrudnionego, relację przyrostu średniej płacy do wydajności pracy, udział eksportu, udział kosztów, wielkość akumulacji itp. To czynność, przy której zaprojektowanie nowej rodziny narzędzi wydaje się igraszką”.

Badania Janusza Seksiaka i Urszuli Libury („Równowaga gospodarcza w socjalizmie”) potwierdziły obserwację specjalistów od organizacji: system finansowania przedsiębiorstwa „nagręca” koszty własne. Nie tylko nie skłania do ich obniżania

lecz w wielu przypadkach (wskaźniki przerobu) premiuje ich wzrost. Koszty własne gospodarki pomnaża system koordynacji centralnej — instytucje rozdzielników oraz mechanicznie stosowane nakazy lub zakazy. Stal z hut śląskich jedzie do zakładów przemysłowych w Zagłębiu Staropolskim; podobne mechanizmy dotyczą produkcji rynkowej — przechodzi ona z reguły przez magazyny central handlowych, blokując powierzchnie i zwielokrotniając przewozy. To samo spotyka buty, które centrala rozdziela między sklepy, niezależnie od popytu na dane obuwie w danej miejscowości i to samo książki — jak ukazał „Raport w sprawie książki” opracowany przez POP przy Oddziale Warszawskim Związku Literatów Polskich; książki, które przy ich deficycie mają z góry zapewniony zbyt (a więc bezpośredni adres placówki detalicznej) odbywają podróż z drukarni do centralnych magazynów „Składnicy Księgarskiej”, następnie stamtąd po przepakowaniu, do magazynów wojewódzkich i dopiero z nich do księgarni.

Trudno ustalić nawet, jaki procent przewozów kolejowych jest zupełnie zbędny (specjaliści oceniają, że 30-40 %), skoro np. przedsiębiorstwa budowlane muszą sprowadzać kruszywa i inne materiały budowlane z odległości co najmniej 100 km, choćby złożyć były pod bokiem: stało się tak w następstwie decyzji, która zakazała kolei przyjmować ładunki masowe dla przewozów krótszych niż 100 km.

Pomnaża kosztą własną również i nieprawidłowa struktura zatrudnienia. System finansowania przedsiębiorstw i rozbudowane procedury planistyczno-sprawozdawcze owocują rozrostem biurokracji. Klasycznym przykładem może być tutaj system skupu, zaopatrzenia i handlu. Mało pracowników w magazynach hurtowni i za ładami sklepów natomiast wiele za biurkami; kosztą własną aparatu skupu, zaopatrzenia i handlu są zdumiewająco wysokie przy relatywnie bardzo niskiej cenie pracy ludzkiej, ale łatwo to zrozumieć, kiedy zważymy, jaki bagaż biurokratycznego zatrudnienia dźwiga na swych barkach szeregowy pracownik hurtowni czy sklepu.

Mit o wyższości wielkich zakładów przemysłowych i historycznej konieczności likwidacji małych, doprowadził do koncentracji (prawda że często organizacyjnej, a nie produkcyjnej) przemysłu, która przewyższa to, co spotykamy w krajach znacznie bardziej od nas rozwiniętych. Porównanie z obu krajami niemieckimi wykazuje, że o ile w 1975 roku w Polsce zakłady do 100 osób stanowiły 11,3 % wszystkich przedsiębiorstw i zatrudniały 0,7 % siły roboczej, to w tym samym czasie w NRD

odpowiednie procenty wynosiły 61,5 % i 7,1 %, a w RFN — 86,0 % i 19,7 %. W tych liczbach ukrywa się i nasz niedorozwój usług — niedostatek drobnych warsztatów rzemieślniczych, usługowych, niedorozwój sieci handlowej, a także brak produkcji pomocniczej rozwijanej przez małe warsztaty (w rezultacie czego sprowadza się, bywa, proste normalia i detale z... Japonii). Przemysł kluczowy ze swym garbem biurokratycznym, paraliżując drobną wytwórczość, zablokował jednocześnie i rozwój innowacji.

Niesprawność organizacyjna i nieudolność zarządzania gospodarką uderzają we wszystkich obywateli, jako odbiorców i konsumentów; w niektórych podwójnie, jako producentów. Obserwujemy w przemyśle zaostrzenie się chronicznych schorzeń polskiego przemysłu, jak nierytmiczność, jak — na przemian — to przestoje, to gonienie planu, co powoduje wzrost godzin nadliczbowych, pracę w niedziele i święta. Wiele z tych poczynań nosi charakter wyzysku siły roboczej. Mnożą się strajki rewindykacyjne. Wszystko to wpływa na spadek wydajności pracy.

Zjawiska powyższe mają także pewne źródła w sytuacji międzynarodowej; nie tylko u nas nie przewidziano rozmiarów i trwałości recesji na Zachodzie, skąd importowaliśmy urządzenia, technologie i niektóre surowce — dla odnowienia bazy naszego przemysłu. Ten postęp obrócił się przeciwko nam i przestoje są często wynikiem braku importowanych materiałów i części zamiennych. To wszystko jak również ostatnia zima, która spowodowała klęskę energetyki i transportu, nie zwalnia nikogo od odpowiedzialności za popełnione błędy, o których mówiliśmy wyżej.

Wyżej przedstawiony obraz systemu kierowania gospodarką robi wrażenie przytłaczające, jednakże zawiera on pewien ukryty element optymizmu: za tymi wszystkimi anachronicznymi i niesprawnymi strukturami tudzież mechanizmami stoją co najwyżej nawyki oraz interesy; nie bronią ich żadne racje ideologiczne. Przeciwnie, krytyka może im nawet aplikować zarzuty doktrynalne, wychodzące z obrony podstawowych pryncypiów ustroju.

Inaczej wygląda sprawa kierowania produkcją rolną. Jest ona w Polsce obciążona z punktu widzenia dogmatów ideologicznych grzechem pierworodnym — utrzymaniem struktury własności, przy której 75 % gruntów znajduje się w rękach prywatnych. Wobec oddziaływania tych dogmatów — zauważają zgodnie respondenci — błędnie siła wszelkich racji, wysnutych z realnej analizy faktów; nie liczy się groźba załamania produkcji rolnej, a w konsekwencji — eksportu do stref walut wymienialnych;

nie liczą się autentyczne dane o efektywności gospodarowania średniej własności w porównaniu z wielką: nie liczy się niebezpieczeństwo konfliktu społecznego o nieobliczalnych następstwach. Wbrew zapewnieniom i słownym deklaracjom władz obowiązuje i jest w praktyce realizowana na terenie wielu województw polityka ograniczania własności prywatnej w rolnictwie, pierwotnie znajdująca swój wyraz w administracyjnie prowadzonej kolektywizacji, obecnie — w programie pegeeryzacji. Programowi temu służyło konsekwentne ograniczanie sprzedaży ziemi chłopom, ograniczanie dzierżaw, z drugiej strony — środki inwestowane w PGR-y w drastycznej dysproporcji do produkcji przemysłowej na rzecz rolnictwa indywidualnego.

„Podejrzewam — pisze respondent nr 36 — że za racjami ideologicznymi kryje się ta sama 'dyrektorska mentalność' w kierowaniu gospodarką. Chciałoby się móc dyrygować rolnictwem tak samo jak przemysłem, tymi samymi metodami, z tym samym poczuciem władzy. Ideologowie mówiąc o spółdzielczości myślą o niej serio: 'Dyrektorzy' naszej gospodarki używają tego pojęcia jako zastony dymnej. Gdyby im rzeczywiście chodziło o spółdzielczość, postaraliby się nadać spółdzielczy charakter instytucjom skupu, których pracownicy, wolni praktycznie od kontroli, przechwytują 10-15 % dochodów wsi; postaraliby się przekształcić agendy 'Samopomocy Chłopskiej' w autentyczne spółdzielnie, którymi nie są; pozwoliliby rozwijać się samorządowi kółek rolniczych; popieraliby spółdzielczość mleczarską, miast topić własne środki w inwestycje i przedsiębiorstwa o wadliwej i źle zarządzanej strukturze; stworzyliby miejsca dla rozkwitu różnych form spółdzielczości i społecznego współdziałania wsi (np. w budownictwie). Nie robią tego. Jak wynika z powyższego, ich prawdziwym ideałem jest po prostu taki sam model systemu kierowania, jaki kultywują wobec przemysłu”.

Polityka wobec rolnictwa składa się więc z tendencji sprzecznych z sobą — tej oficjalnej, akceptującej istnienie rolnictwa indywidualnego i tej drugiej, która je zwalcza. Pierwsza zyskuje na powadze w okresach, gdy drugiej udało się już doprowadzić do kolejnego kryzysu w rolnictwie. Tylko „zyskuje na powadze”, co wyraża się w doraźnych krokach zaradczych dla odbudowy pogłowia czy wzrostu zasiewów; nie dochodzi bowiem do przebudowania i zrównoważenia polityki długofalowej, która znajduje znów swój wyraz w programie działalności przemysłu i budownictwa na rzecz gospodarki żywnościowej, w programie działalności zawsze niedostatecznej i niedostosowanej strukturą do potrzeb rolnictwa. Dzieje się tak, bowiem wedle określenia jed-

nego z ekonomistów, „rolnictwo jako dział gospodarki narodowej jest dzieckiem nielubianym”. A szczególnie nielubiana jest gospodarka chłopska, która we wszystkich dziedzinach produkcji wykazuje większą efektywność gospodarowania, niż PGR-y, spółdzielnie produkcyjne i Spółdzielnie Kółek Rolniczych. We wszystkich parametrach, nawet tam, gdzie gospodarka wielkoobszarowa może i powinna mieć zdecydowaną przewagę — a więc w produkcji roślinnej — wydajność jej jest niższa od wydajności gospodarstw indywidualnych: produkcja zbóż w PGR-ach na 1 ha gruntów ornych jest o 20-25 % niższa niż w gospodarce indywidualnej — pomimo większej w tych pierwszych mechanizacji i większego zużycia nawozów sztucznych, a więc przy większych nakładach i kosztach. Dane o hodowli jeszcze pogarszają pozycję PGR. Stanowisko dla trzody chlewnej jest w fermie PGR-skiej 6 razy droższe od stanowiska w indywidualnej chlewni.

Przejmowanie i adaptacja gruntów z Państwowego Funduszu Ziemi przez PGR-y jest niebywale droga: 100 tysięcy złotych na hektar, w niektórych rejonach nawet więcej. Lekkomysłne forsowanie pegeeryzacji grozi wręcz katastrofą żywnościową. A tymczasem, choć państwowa gospodarka rolna niczym nie udowodniła swej wyższości, w latach 1971-73 przekazano PGR-om z Państwowego Funduszu Ziemi 10 razy więcej gruntów niż chłopom indywidualnym; działo się tak pomimo tego, że ekonomiści rolnictwa, różniący się między sobą poglądami w różnych kwestiach, są zdecydowanie solidarni co do tego, że racjonalną przyszłością rolnictwa mogą być tylko zdrowe i prężne gospodarstwa indywidualne — zgodnie z powszechnie funkcjonującym w Europie modelem (poza Anglią i ZSRR).

Istnieją również przy takim wariancie obiektywne trudności przede wszystkim natury demograficznej. Wieś polska się starzeje, zmniejsza się liczba chętnych do gospodarowania na roli; zasada przejmowania gospodarstw za emerytury, mimo wszelkie błędy wykonawcze, jest słuszna. Chodzi tylko o to, komu tę ziemię przekazać. Władze ostatnio zdają się bardziej zdecydowanie przychylić do jednomyślnej opinii ekspertów, ale potencjalni, prężni producenci mogą wykazywać nieufność, pomni na 35-letnie doświadczenia.

Warunkiem rozwoju rolnictwa jest przede wszystkim dostarczenie mu środków produkcji, znajdujących się dotychczas w permanentnym deficycie.

Szczególnie zębna okazała się dla polskiego rolnictwa gigantomania, zgodna z wyobrażeniami kierowników naszej gospodarki o postępie. Fermy koncentrujące zwierzęta w liczbach nieznanym żadnym innym krajom, przyniosły kolosalne straty. Kom-

binaty PGR uniemożliwiły już całkowicie racjonalne i ekonomiczne gospodarowanie, doprowadzając do biurokratyzacji i marnotrawstwa na skalę, którą nawet trudno zmierzyć.

Innymi słowy, również państwowa gospodarka rolna cierpi na podobne schorzenia co reszta gospodarki uspołecznionej. Przemysł rolno-spożywczy wykazuje zaś wszystkie skażenia struktur i mechanizmów, które już opisano wyżej.

Sumując — obecny stan gospodarki polskiej nie wziął się z jednorazowych błędów, z przekroczenia granic ryzyka w woluntarystycznych decyzjach kierowników gospodarki; wziął się ze schorzeń strukturalnych, które zdolne są zniekształcić najtrafniejsze nawet zamiary i plany, blokując zarazem szansę unikania i korygowania błędów.

Funkcjonowanie masowych środków przekazu

Przedstawiliśmy do tej pory podstawowe współczesne piony systemu władzy — organy przedstawicielskie, egzekutywy, sądownictwo oraz gospodarkę. Dla pełnego ujęcia należy jednak rozważyć problem masowych środków przekazu. W tradycyjnych analizach systemów władzy nie brano ich pod uwagę ponieważ siła ich wpływów i rola społeczna nie były nigdy tak duże jak dzisiaj; stanowią one współcześnie istotne narzędzie władzy, a zarazem swoisty pion władzy w układzie równowagi wielu współczesnych systemów.

Partia kieruje masowymi środkami przekazu, jako swym narzędziem władzy, przy pomocy metod trojakiiego rodzaju: *primo* — zaleceń i dyrektyw dotyczących kierunków polityki propagandowej, *secundo* — decyzji personalnych co do obsady stanowisk kierowniczych i polityki kadrowej, *tertio* — ograniczeń cenzuralnych i ograniczeń w polityce rozpowszechniania. Jednakże metody pierwszego i drugiego rodzaju może stosować jedynie wobec środków przekazu, podległych swej gestii; wobec różnorodnych czasopism środowisk katolickich, jak też wobec gazet pozostających w gestii ZSL i SD, decydującym narzędziem pozostaje dyspozycja co do ograniczeń cenzuralnych i ograniczeń rozpowszechniania. Jednocześnie podlegające pełnej dyspozycji partii masowe środki przekazu, odgrywające w kilku okresach powojennej historii Polski rolę czynnika kontroli społecznej i będące źródłem korektywnej informacji w gospodarce, zostały stopniowo podporządkowane aparatowi administracji i gospodarki; wpływał on przez ostatnie lata coraz szerzej tak na kierunki udzielanych dyrektyw, jak na treść zapisów cenzural-

nych. Ponadto aparat administracji i gospodarki systematycznie korumpował różnymi metodami środowisko dziennikarskie. Wszystko to razem stopniowo pozbawiło większość masowych środków przekazu ich zdolności perswazji; społeczne poczucie ich niewiarygodności, odniesione akurat do treści o znaczeniu politycznym sprawia, że nawet informacja prawdziwa traci w odbiorze społecznym przymiot prawdziwości, ponieważ ludziom nie zasługującym na zaufanie i nie zasługującemu na zaufanie sposobowi formułowania nikt nie wierzy. Na domiar dysponenci masowych środków przekazu w Polsce nie uświadamiają sobie, że ich monopol informacji działa w sposób ograniczony. Zagraniczne środki przekazu i rozwój publikacji wychodzących poza zasięgiem cenzury osłabiają wspomniany iluzoryczny monopol, a wykształcają się też aktualnie inne — ustne — formy społecznego przekazu wiadomości. W sumie więc i ten pion systemu władzy choruje na analogiczne dolegliwości, co pozostałe: niesprawność, nieskuteczność, nieautentyczność i niezdolność do autokorekcji.

Sposób funkcjonowania polityki społecznej

Opis struktur i mechanizmów systemu władzy nie byłby pełny gdyby pominąć problemy polityki społecznej lat 70-tych; jej los i deformacje w ciągu tych lat można uważać za znamienne.

Ekipa, która objęła rządy po wydarzeniach grudniowych 1970 roku przysłała do władzy z hasłem nowej polityki społecznej. Dokonano rzeczywiście, zwłaszcza w pierwszych latach, szeregu posunięć, które spotkały się z przychylnym społecznym przyjęciem — do języka potocznego weszły takie określenia jak „gierkowski dodatek”, „gierkowska sobota”. Potem nastąpiło gwałtowne zahamowanie i wręcz załamanie dotychczasowych tendencji, a nawet nacisk, głównie ze strony menedżerów i części administracji, aby uchylić lub ograniczyć już uzyskane zdobycze, jako zbyt kosztowne lub „demoralizujące”.

Zahamowaniu temu towarzyszyły inne, może bardziej jeszcze szkodliwe procesy. Nie można bowiem oderwać polityki społecznej od problemu równości czy raczej nierówności w tymże społeczeństwie. Okres ostatniego 10-lecia stał się ostatecznie okresem rosnącej stratyfikacji narodu polskiego. Ma to zjawisko źródła zarówno ekonomiczne jak i polityczne, a nieraz trudno je od siebie oddzielić. Lata siedemdziesiąte były dekadą szybkiego wzrostu dochodów, ale dochody te rosły najszybciej w górnych

warstwach zarobkowych, co doprowadziło do rozpiętości płac jak 1 : 20; odbiera to ustrojowi bardzo silny atut wobec społeczeństw kapitalistycznych — atut egalitaryzmu — który stanowił zarazem jeden z celów społeczeństwa socjalistycznego. Uprzywilejowanie co do poziomu dochodów jawi się w odczuciu społecznym jako fakt polityczny. Wiadomo, że 80 % dyrektorów zakładów są członkami PZPR, a 60 % członkami instancji; nierówność polityczna została prawnie usankcjonowana w poprawce do Konstytucji PRL. Z samej przynależności do PZPR nie czerpie się jeszcze korzyści. W sytuacji uprzywilejowanej społecznie znajdują się dopiero członkowie tzw. aktywu politycznego partii i stronnictw sojuszników oraz aparatu. Ich przywileje obejmują prawie wszystkie dziedziny życia; obejmowanie stanowisk, rzeczywiste dochody, dogodniejsze zakupy, zdrowie, oświatę, wyjazdy zagraniczne nie mówiąc o samym sprawowaniu władzy — w mniejszym lub większym zakresie. Co więcej, w latach 70-tych przywilejami tymi objęte zostały stosunkowo liczne grupy społeczne: w tych latach wzmocniło się także zjawisko dziedziczenia wymienionych przywilejów. Owe grupy, nie dzieląc kłopotów z większością, nie są zainteresowane w naprawie poszczególnych dziedzin życia, raczej w umocnieniu przywilejów i zdobywaniu nowych.

Co więcej, narasta tendencja do obsadzania stanowisk „swoimi ludźmi” z młodego pokolenia: dotyczy to nie tylko kierowniczych stanowisk w gospodarce czy aparacie zarządzającym, ale wszelkich stanowisk np. w wydawnictwach, na uczelniach i w placówkach naukowych. Należy przypuszczać, że nierówność tego typu, nierówność mająca źródła polityczne będzie się pogłębiała w najbliższych latach. Jest ona jednym z bardzo ważnych symptomów kryzysu.

W pewien paradoksalny sposób działa obecnie sprzężenie między tymi uprzywilejowanymi grupami a innymi sferami o wykim stopniu zamożności, np. prywatną inicjatywą. Część prywatnych posiadaczy, których dobre prosperowanie zależy od ogniw władzy, gotowa jest dzielić się z nimi swym dochodem, tradycyjna wrogość do komunistów u niektórych z tych posiadaczy się zatarła, prawdopodobnie dlatego, że są oni produktem obecnego systemu, a nie kapitalistycznego i mogą w nim funkcjonować. Jest rzeczą charakterystyczną, że obie te grupy narzucają określony styl życia i prestiżowy model konsumpcji.

Co do polityki społecznej w klasycznym tego słowa rozumieniu, odwrót w tej dziedzinie można mierzyć nakładami na cele, które w sposób umowny i wątpliwy nazywa się „nieprodukcyj-

nyymi", jak oświata, ochrona zdrowia, opieka społeczna, wypoczynek, sport; w 1960 roku wydatki te wyniosły jeszcze około 1/3 nakładów inwestycyjnych, obecnie spadły do 19 %. Kolejka do mieszkań wydłuża się wraz z czasem oczekiwania; w budownictwie mieszkaniowym, pomimo prób manewru gospodarczego pozostajemy w tyle nie tylko za krajami obozu socjalistycznego, ale np. za tak ubogim krajem kapitalistycznym jak Grecja. O ochronie zdrowia, kulturze, oświacie i wypoczynku mówimy na innych miejscach.

Również i stan polityki społecznej, jak widać, ukazuje niedwuznacznie symptomy kryzysu. Sądzić należy, że dostarczono dotychczas dość dowodów na to, że w systemie naszym kryzys taki istnieje. W jakim stopniu zagrażać może naszej przyszłości, przedstawimy w jednym z następnych rozdziałów.

Rozdział III

O STANIE SPOŁECZEŃSTWA I JEGO ŚWIADOMOŚCI

W naszym opisie społeczeństwa będziemy koncentrować się głównie na tych niepokojących sprawach, które w ankietowanych wypowiedziach wystąpiły najostrzej. Do nich należą przede wszystkim: struktura społeczna, jej hierarchiczny charakter, tendencje antyegalitarne, tworzenie się systemu uprzywilejowań godzących w poczucie sprawiedliwości społecznej, tak głęboko — także dzięki ideologii socjalistycznej — zakorzenione w naszym społeczeństwie. Uczestnicy ankiety zwracają uwagę na tworzenie się nowych grup interesów, powstawania nowych podziałów, pociągających za sobą ujemne skutki społeczne. Wiele istotnych kwestii nie weszło w krąg spraw rozważanych w tym fragmencie opracowania, częściowo z powodu braku odpowiednich wypowiedzi w ankietach, a częściowo z powodu niepodnoszenia ich przez naukę społeczną — choć istnieje oczywista potrzeba poddania ich naukowej analizie.

Osią, wokół której układa się wizja współczesnego polskiego społeczeństwa, jest proces pogłębiania się nierówności społecznych, skutków społecznych hamowania inicjatywy obywatelskiej, brak perspektyw wyjścia z impasu.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że do pełnego opisu społeczeństwa brakuje wielu istotnych elementów. Przede wszystkim wypadałoby przedstawić rzeczywistą skulturę społeczną, układ sił klasowych i wzajemne relacje między poszczególnymi klasami i warstwami. Dopiero na tym tle można przystąpić do analizy obrazu części składowych społeczeństwa i ich wzajemnych powiązań w świadomości społecznej.

Mamy jednak uprawnione podstawy twierdzić — o czym będzie jeszcze mowa — że stan świadomości jest równie realnym faktem, jak fakt istnienia klas społecznych. A działania ludzkie, opinie i pragnienia tworzą się właśnie na podstawie treści świadomościowych.



Społeczeństwo polskie wychodziło z wojny nie tylko w biedzie, ale jako twór w znacznej części zmieniony. Nastąpiło istotne przesunięcie granic, któremu towarzyszyło — nie notowane w naszych dziejach — przemieszczenie ludności. Autor odpowiedzi nr 26 pisze: *„Historia Polski Ludowej zaczyna od okresu wyjścia z okupacji, to znaczy ze stanu biologicznego zagrożenia narodowego organizmu. Okres ten stanowi znamienne i doniosłą cezurę w losach zbiorowości. Okres ten poprzez siłę przeżyć wiążących się z trwałością wspólnego zagrożenia, pomoc wzajemną w sytuacjach skrajnych, wspólną walkę i troskę o podstawowe wartości — wytworzył, w młodym szczególnie pokoleniu, głęboki odzew na hasła społecznej sprawiedliwości i przekonanie o konieczności zasadniczej społecznej przebudowy. Wytworzył jednocześnie, poprzez powrót do sytuacji niewoli, elementarną wrażliwość na problematykę niepodległości”*.

Projekt przemian społecznych, do którego odwoływały się nowe władze, zawierał w sobie dwa składniki, bynajmniej nie tożsame, prezentowane łącznie ze względu na polityczne realia pod nazwą Polski Ludowej, ale wiążące się z odmiennymi wyobrażeniami o „dobrym społeczeństwie”, pociągające za sobą odmiennie zasady organizacji sceny życia publicznego. Składniki te tworzą — po dziś dzień — dwie osie krystalizacji poglądów szerokich społecznych kręgów w naszym kraju, poglądów zarówno na to „jak jest”, jak i na to „jak być powinno”.

Różnice jakie tu występują odpowiadają „różnicom między dwoma typami ładu społecznego”, które Stanisław Ossowski określał jako typ zbudowany za zasadzie monocentrycznego sterowania i na zasadzie policentrycznej współpracy wokół instytucji gospodarczego i społecznego planowania. W ładzie domina-

cyjnym scena życia publicznego sprzyja wszechstronnej hierarchicznej kontroli, w ładzie współpracy sprzyja wszechstronnej komunikacji. Dłatego Ossowski nazwał ten typ ładu — „ładem porozumień”.

W ostrej walce, która toczyła się w pierwszych latach powojennych przeważały wątki ideologiczne i polityczne nad rzeczowymi determinantami klasowymi. Reforma rolna i nacjonalizacja przemysłu, planowy rozwój gospodarki, awans społeczny przez demokratyzację oświaty, nauki i kultury — to były wartości aprobowane powszechnie.

Dłatego, mimo dramatyzmu lat pierwszych, a potem bolesnych doświadczeń okresu stalinowskiego, trwałe porozumienie władzy i społeczeństwa było — i jest — możliwe. Świadczą o tym przykłady omówione w rozdziałach poprzednich. Dotyczy to w szczególności Kościoła Katolickiego, z którym zasadnicza część społeczeństwa jest blisko związana. Związek ten ma nie tylko światopoglądowy charakter. Nie mniejsze znaczenie ma tradycja, a zwłaszcza rola, jaką szczególnie w ciągu ostatnich dwóch stuleci, odgrywał Kościół w dziejach naszego narodu. Przeszedł on istotną ewolucję. W momentach szczególnie trudnych był — i jest — instytucją chroniącą wartości narodowe — historyczne i kulturalne, etyczne i wychowawcze. Stara się też występować w roli rzecznika interesów różnych warstw i środowisk zawodowych.

W wyniku wojny i przemian ustrojowych — kształtowało się nowe społeczeństwo. Społeczeństwo, które aprobeuje model państwa socjalistycznego, a zgłaszane przezeń postulatory zmierzające do naprawy Rzeczypospolitej mieszczą się w ramach ustroju, którego podstawowe założenia nie są kwestionowane. Trwałość tych postaw potwierdzają badania socjologów i historyków. Uczestnik ankiety nr 47 podkreśla, że *„większość krytyki funkcjonowania różnych instytucji — której tak wiele słyszymy w Polsce — jest dokonywana z punktu widzenia różnych standardów ideologii socjalistycznej. Socjalizm, który ludzie widzą, jest porównywany z socjalizmem, który chcieliby widzieć, i rozbieżność między rzeczywistością a standardem jest boląca”*.

Świadomość krytyczna nowego społeczeństwa

Uczestnicy ankiety niejednokrotnie stwierdzają, że świadomość krytyczna nowego społeczeństwa zyskuje najpełniejszy wyraz w okresach kryzysów. Tak było w roku 1956 i w roku 1970.

Dotyczyła ona nie tylko — i po prostu — rewindykacji społeczno-ekonomicznych, ale nadania autentycznego życia instytucjom wyrażającym potrzeby całego społeczeństwa lub jego grup. Postulaty te dotyczyły efektywnych funkcji Sejmu i rad narodowych, związków zawodowych (na których miejsce spontanicznie powoływano rady robotnicze i komitety fabryczne), rozbudowy różnych form samorządu, ugruntowania praworządności i stworzenia warunków wyrażania prawdziwej opinii publicznej. Określenie „fasadowość” używane powszechnie w roku 1956 oddaje istotę tej sprawy. Chodziło o to, by instytucje te żyły prawdziwym życiem.

O działaniach instytucji i postulatach zmian w tej mierze szerzej traktują inne rozdziały naszego opracowania. Tu — jak już stwierdziliśmy na wstępie — mówimy o nich z perspektywy tego, jak ludzie owe instytucje oceniają, jak je przeżywają, jak się do nich dostosowują.

Jest to zagadnienie niezwykle ważne. Zasadnicze. Świadomość społeczna ma nie mniejsze znaczenie niż obiektywny stan rzeczy. Obok rzeczywistego współudziału nie mniej ważna jest świadomość ludzi, że w tym współrzędzeniu, współdecydowaniu i współdziałaniu biorą udział. Ujawniające się niekiedy tendencje analizujące jedynie obiektywny stan rzeczy przy jednoczesnym pomijaniu świadomości ludzi są całkowicie nieuzasadnione i błędne. Możliwość aktywnego współuczestnictwa w życiu społecznym jest ważną potrzebą samą w sobie. Bez tego bowiem osobowość jest okaleczona. Człowiek czuje się wówczas tylko narzędziem doraźnych celów.

Tymczasem, jak słusznie w roku 1964 pisał Jan Szczepański, „społeczeństwo socjalistyczne może funkcjonować zgodnie z jego podstawowymi zasadami, jeśli potrafi wytworzyć typ osobowości człowieka działającego zgodnie z motywacjami stanowiącymi wytyczne działania, rozwijającymi instytucje i struktury społeczne tego społeczeństwa” („Odmiany czasu teraźniejszego”, str. 275). Bez odpowiedniego rozwoju współuczestnictwa na szczeblu formułowania celów i decyzji oraz ich rozwiązywania i realizowania — zmniejsza się poczucie odpowiedzialności, nie tylko za efekty pracy ale też i za warunki życia. Spada wówczas — bądź w ogóle zanika — satysfakcja z uzyskanego już nawet poziomu zaspokojenia potrzeb. Problem ten wyraził się w wielu tekstach naszej ankiety.

W odpowiedzi nr 8 czytamy: „*Tak zwane instytucje pośrednie (szkoły, związki zawodowe, organizacje społeczne itd.), które weszły w miejsca inicjujących grup pierwotnych przestają pełnić*”

skutecznie swoją rolę, poddane są bowiem tak daleko idącej kontroli i sterowaniu, że przeważająca większość ludzi, świadomie lub podświadomie, uodparnia się wobec ich wpływów i wymyka się spod ich oddziaływania ku indywidualnemu urządzaniu się w życiu (ewentualnie z pomocą małych grup-klik). Rośnie gwałtownie znaczenie motywacji indywidualnych. Natomiast słabnie więź społeczna i mnożą się ściśle z tym związane objawy dezorganizacji". Podobnie myśli autor odpowiedzi nr 7, który podkreśla: „Największe zagrożenie wewnętrzne upatrywałbym w osłabieniu więzi społecznej, w spadku poczucia odpowiedzialności za całość, w obniżeniu solidarności społecznej na co dzień".

Podając temat atomizacji społeczeństwa autor odpowiedzi nr 1 pisze: „Identyfikowanie się ludzi przede wszystkim z najmniejszą i największą z podstawowych grup społeczeństwa, więc rodziną i narodem, świadczy o utrzymywaniu się zastraszającej próżni w sferze pośrednich więzi społecznych. Takie społeczeństwo nie jest w stanie wytworzyć odpowiednio silnego nacisku w obronie swoich postulatów czy w prewencyjnym zapobieganiu szkodliwym decyzjom". Inny uczestnik ankiety stwierdza, że „pomiędzy poziomem pierwotnych grup (rodzina, grono przyjaciół) i poziomem narodowej społeczności istnieje — z punktu widzenia identyfikacji ludzi i ich emocjonalnego zaangażowania — rodzaj socjologicznej próżni", a także, że „instytucje są często postrzegane jako nieprzyjemne, niechętne, nierzetelne, a czasami wręcz zagrażające".

W sytuacji, kiedy wiele instytucji i organizacji społecznych powołanych do wyrażania potrzeb i interesów różnych grup obywateli, traktowanych było jako nieautentyczne, sformalizowane i nieprawdziwe, pojawiały się i pojawiają w powojennej historii grupy pretendujące do wyrażania potrzeb i interesów społecznych. Zarówno rady robotnicze w roku 1956, jak komitety fabryczne na Wybrzeżu były przejawem takich spontanicznych działań, zanim te pierwsze nie zostały wmontowane do systemu samorządu robotniczego, a te drugie rozwiązane. U podłoża obydwu tych inicjatyw było odczucie środowisk robotniczych, że Związki Zawodowe nie stanowią rzeczywistej ich reprezentacji.

W różnych okresach powojennej historii zwracano w dyskusjach socjologicznych uwagę na potrzebę „dowartościowania" szeroko pojętej samorządności, przez którą różne grupy społeczne i zawodowe mogłyby wyrażać swoje potrzeby i interesy.

W warunkach niejawności życia publicznego i w sytuacji krytycznej, która w ostatnich latach objęła różne dziedziny życia zbiorowego, pojawiły się grupy, zmierzające do wyrażania tych

potrzeb i interesów. Niektóre z nich stawiają sobie za cel społeczną i prawną ochronę interesów pracowników i chłopów, inne zmierzają do przełamania monopolu informacji, deformowanej przez środki masowego przekazu czy do upowszechniania wiedzy czy wreszcie do publikacji dzieł, niedopuszczonych do obrotu kulturalnego często nie z uwagi na ich treść, ale osobę twórcy.

Niektóre z tych grup czy kręgów określają siebie jako opozycyjne, innym miano to nadają środki oficjalnej propagandy.

Ze społecznego punktu widzenia najistotniejsze będzie stwierdzenie, że grupy te pojawiły się wówczas, gdy w społeczeństwie zaostrzyły się objawy kryzysu i poczucie niezaspokajania różnorodnych potrzeb, dotyczących sprawiedliwości, informacji, kultury i sztuki.

W momencie spełnienia postulatów demokratyzacji istotne wartości, które grupy te reprezentują, znajdują wyraz w działaniu instytucji zalegalizowanych, sygnalizujących i rozładowujących to, co nieprawidłowe w stosunkach władzy i społeczeństwa. Sygnalizujących i rozładowujących nie w atmosferze napięć ale w drodze dialogu władzy i różnych autentycznych grup społecznych, artykułujących swoje dążenia.

Wzrost różnic społecznych

Refleksja naukowa i świadomość potoczna mówią o wzroście dystansów społecznych i zaostrzających się nierównościach. Znamienne są pod tym względem materiały pierwszego zebrania plenarnego „DiP”. Poświęcone ono było polityce społecznej. Dominował na nim wątek krytyczny i postulatywny. Ale krytyka związana była z diagnozą. *„Nie ma takich spraw, które jednakoowo bolą cały naród”* — stwierdził jeden z dyskutantów. *„Jest to naród uwarstwiony społecznie, a nie mamy dobrych narzędzi pozwalających ściśle określać granice klasowo-warstwowe. Ale te granice istnieją i dają o sobie znać we wszystkich momentach przesilen”*. A inny, sugerując, że to, co obecnie się dzieje, jest tworzeniem nowego układu klasowego, stwierdzał, że przywileje są u nas dziedziczne. Na posiedzeniach PTS w marcu i w maju br. mówiono o wzroście nierówności dochodów, niespójności i nieracjonalności systemu płac, zróżnicowaniu udziału we władzy i związanych z nim przywilejów.

Sprawy te znalazły istotne odbicie również w ankiecie. Lapidarnie rzecz ujął respondent nr 9, który napisał: *„Niespra-*

wiedliwość i nierówność. Takie odczucie obecne jest wszędzie. Są szpitale, w których nie ma waty i w których członkowie naszych rodzin umierają na korytarzach, ale są szpitale z izolkami i pełną opieką w każdym pokoju. Płacimy mandaty za przekroczenie ciągłej linii, ale są ludzie, którzy nie odpowiadają za zabicie człowieka po pijanemu. Są lepsze sklepy i lepsze domy wczasowe, są ogromne ogrodzone tereny, do których nie ma wstępu normalny człowiek. Ludzie widzą to wszystko i wiedzą. Jest dla wszystkich oczywiste, że wysocy urzędnicy i działacze jeżdżą luksusowymi samochodami, choć znane są opowiadania o premierach jeżdżących tramwajem. Ludzie nie mogą darować niesprawiedliwości, która towarzyszy dziś w kraju wszystkim mającym jakikolwiek związek z władzą... Nie chodzi tu o pieniądze, ale o całą grupę nieformalnych korzyści płynących z posiadania władzy. Ten stan tak bardzo odległy od zasad naszego ustroju, razi mocno i jest powszechnie znany. Towarzyszy mu wrażenie bezradności, niemożności zmiany układu, który go spowodował”.

Do problemów związanych z tymi zjawiskami przyjdzie nam jeszcze wielokrotnie powracać. Tu odnotujmy, że wedle dużej części respondentów, którzy sprawy te poruszają, koszty dysharmonii rozwojowej ponoszą przede wszystkim grupy słabsze. Na problem ten zwraca uwagę również m.in. uczestnik ankiety nr 47. Píše on: „Zróżnicowania między jednostkami są postrzegane w naszym społeczeństwie zupełnie wyraźnie i niektóre z nich, zwłaszcza zróżnicowanie dochodów (ale nie tylko ono), są traktowane jako silnie dzielące ludzi i rodzące napięcia oraz niechęć między nimi”.

Wedle niemal zgodnej opinii w naszym społeczeństwie powszechnie jest aprobowany postulat równości szans życiowych. „Ludzie zgadzają się zazwyczaj na to, że kwalifikacje, wykształcenie, odpowiedzialność i rzetelna, wydajna praca powinny być wynagradzane w sposób zróżnicowany i jedynie bardzo niewielu postuluje całkowitą równość dochodów”. Tak więc zróżnicowanie społeczne jest aprobowane warunkowo i przymierzane do wzorca egalitaryzmu. Nie jest aprobowane zróżnicowanie, w którym dochody i przywileje pozostają w luźnym bądź wątpliwym związku z funkcjami pełnionymi w społecznym podziale pracy.

Z tych punktów widzenia rozpatrywać można te odpowiedzi naszej ankiety, które podejmują problem zróżnicowania społecznego i występowania na tym tle konfliktów między społeczeństwem a władzą i wewnątrz samego społeczeństwa. Na tym tle trzeba widzieć — omawiany szeroko w ankiecie — problem

formowania się elit (awansu i kariery), nierówności udziału różnych grup w płacach i przywilejach, problem (najczęściej niejawnych) grup nacisku i grup interesów dążących do utrzymania bądź zmiany udziału w dochodzie narodowym i władzy, sytuacji różnych grup zawodowych związanych z różnymi dziedzinami życia, a także różnych grup wieku.

Autor odpowiedzi nr 25 pisząc o konfrontacji haseł egalitarnych z praktyką stwierdza: „Egalitaryzm zmienia się w hierarchiczność, stratyfikację i nierówność. Ruchliwość pozioma i pionowa zmieniła się w znieruchomienie, skostnienie układów, przypisanie człowieka do miejsca pracy, zamieszkania i często nie przez niego wybranej, a narzuconej przez okoliczności i przyczyny, roli społecznej”. „Styszy się narzekania na zjawisko ujemnej selekcji na stanowiska kierownicze, do aparatu urzędniczego. A jakże ma być inaczej, jeśli umiejętność zrobienia kariery wymaga raczej posłuszeństwa niż samodzielnego myślenia, gotowości szybkiej zmiany frontu niż stałości przekonań? Zanim się osiągnie jedno z tych stanowisk, gdzie się decyduje o czymkolwiek, trzeba umieć właściwie jedno: wykonywać cudze dyrektywy, choćby one nawet z dnia na dzień były ze sobą sprzeczne” — pisze ten sam autor. Na problem ten zwraca uwagę wielu uczestników ankiety. W społecznym bowiem odczuciu istnieje niemal powszechne przeświadczenie, że droga awansu i kariery stoi otworem przede wszystkim przed ludźmi posłusznymi. Już u samego jej progu następuje swego rodzaju selekcja negatywna. W związku z rosnącym zróżnicowaniem pojawia się w odpowiedziach na ankietę problem sprzeczności interesów społecznych.

Spróbujmy uszeregować opinie respondentów. Zaczniemy od najogólniej sformułowanych.

„Sprzeczności interesów grupowych to wielki zaiste temat” — czytamy w odpowiedzi nr 10. — „Ograniczę się — pisze ów respondent — do stwierdzenia, że: najwyższy czas wprowadzić kategorię interesu do analiz społeczeństwa socjalistycznego, że likwidacja prywatnej własności środków produkcji bynajmniej nie likwiduje sprzeczności interesów grupowych i że istnieje w Polsce stosunkowo liczna grupa mająca sporo do stracenia i zdolna do wszystkiego, byle tylko nie stracić uzyskanych przywilejów. Istotnym czynnikiem stagnacji jest to, że monopol na aktywność polityczną przysługuje faktycznie grupie ekonomicznie uprzywilejowanej”. Zdaniem innych nie jest to diagnoza trafna: „Sytuacja się odwróciła. Udział we władzy daje korzyści ekonomiczne, wykształciła się święta renta od władzy”.

W odpowiedzi nr 7 pada pytanie: jaka jest podstawowa sprzeczność interesów w społeczeństwie? Respondent jest zda-

nia, że „przede wszystkim musimy zainteresować się tym, kto korzysta z istniejącej sytuacji. Odpowiedź na to pytanie może nam dostarczyć analiza budżetu państwa (utajniony) oraz analiza treści planów, korekt planów w trakcie realizacji inwestycji wprowadzonych poza planem. W tych wszystkich dziedzinach ujawnia się siła interesów cząstkowych. Polaryzacja konfliktu społecznego jest zjawiskiem nie ulegającym wątpliwości”.

Autor odpowiedzi nr 21 rozważając ten problem podkreśla, że „istnieją pewne sprzeczności, a w każdym razie różnice interesów między na przykład chłopami a wielkoprzemysłową klasą robotniczą. Nie sądzę — pisze — by były one istotne jako źródło konfliktów. Natomiast wtedy, gdy potraktujemy biurokrację jako grupę społeczną, to odnajdziemy dość wyraźnie zarysowane — i konfliktogenne — różnice między nią a na przykład inteligencją twórczą. Mnie osobiście najbardziej interesuje to, co trzeba by nazwać socjalistycznymi warstwami średnimi lub socjalistycznym drobnomieszczaństwem. Mają one niewątpliwy wpływ na aparat partyjno-państwowy, zresztą znaczną jego część do owych warstw średnich trzeba zaliczyć. Czy mają one zbieżne interesy z klasą robotniczą? Raczej nie. Bogacą się, lecz nie na tyle, na ile by chcieli. Przeszkadza im reszka frazeologii socjalistycznej na górze (aparat, który wszak rozbudził apetyty i rzucał hasło 'zasobności' rozumiane przez warstwy średnie jako 'bogactwo', mówi o marksizmie) i ideologii socjalistycznej na dole... Różnice interesów między średnimi a innymi grupami są z pewnością źródłem konfliktów, a w przyszłości mogą być takim źródłem w jeszcze większej mierze, zwłaszcza jeśli ograniczone będą możliwości szerokiego ujawniania i dyskusowania spraw konfliktowych”.

Autor odpowiedzi nr 12 zaostcza ten problem: „Powiększyły się — twierdzi — rozpiętości socjalne. Część społeczeństwa utrzymuje się nadal z dochodów niższych od minimum socjalnego, podczas gdy środowiska uprzywilejowane osiągają dochody kilkanaście lub kilkadziesiąt razy wyższe od średniej”. Nie wdajemy się w szczegóły, ponieważ różni badacze rozmaicie obliczają owe minimum socjalne. Według obliczeń Andrzeja Tymowskiego przedstawionych w pracy pt. „Minimum socjalne” (1973) — minimum spożycia samotnego mężczyzny wynosiło w roku 1970 1.515 złotych. W roku 1976, według Lucyny Deniszczyk („Wzorzec konsumpcji standardu niezbędnego”) suma ta przy braku równowagi rynkowej, wzrosła prawie do 2.000 zł. Podejmując ten problem autor opracowania nr 25 powiada — że w latach siedemdziesiątych nastąpiła wyraźna stratyfikacja społeczna. „Więc jednych stać, a drugich — i tych jest wielu —

nie stać na ceny komercyjne. I tymi drugimi właśnie warto się zająć. Do warstw, których nie stać, należą całe branże klasy robotniczej — przemysł lekki, wielu urzędników niższych rangą, licznych pracowników oświaty i służby zdrowia, nie mówiąc już o emerytach i rencistach, zwłaszcza wiejskich... Ci wszyscy wyćienieni ludzie odżywiają się często fatalnie... Istnieją w Polsce całe duże grupy ludności, żyjące w biedzie, a nierzadko na granicy wegetacji". Autor odpowiedzi nr 8 obecne przyczyny zaostření konfliktów widzi w tym, że „szybki rozwój musiał nieuchronnie pociągnąć za sobą zróżnicowanie się dochodów, źle odbierane w naszym egalitarnym społeczeństwie, a nie do zniesienia w sytuacji stagnacji i kryzysu, kiedy dla wielu grup społecznych stopa życiowa się obniża". „Konfliktotwórcza — powiada autor odpowiedzi nr 1 — jest zasadnicza sprzeczność interesów między ludźmi establishment'u oraz pozostałymi grupami społecznymi, ponoszącymi koszty jego niesprawności. Ponadto mogą zachodzić konflikty między grupami interesów wewnątrz establishment'u, wciągające w orbitę inne odcinki społeczeństwa (grupy menadżerskie, kategorie społeczno-zawodowe, środowiska branżowe i regionalne)".

Działanie (niejawnych przeważnie) grup interesów i grup nacisku znalazło w dotychczasowych materiałach ankiety wyraz bardzo cząstkowy. To, co w odpowiedziach napisano, sygnalizuje raczej istnienie samego problemu, na który zwraca się często uwagę w rozmowach prywatnych, a którego skala jest bardzo fragmentarycznie rozpoznana.. Tu sygnalizujemy jedynie ten problem który szerzej omówimy w innej części opracowania.

Ankieta nastawiona była na współczesność i przyszłość. Nie brakło jednak refleksji o tym, że pewne różnice społeczno-ekonomiczne związane z mechanizmami nowego ustroju pojawiły się zaraz po wojnie i z biegiem lat uległy utrwaleniu. Preferowanie jednych dziedzin kosztem innych, sztywny podział na tzw. inwestycje produkcyjne i nieprodukcyjne i związany z tym branżowy podział płac — to czynniki, które sprawiały, że ze środowiska nauczycieli, a także samorządu, zaczęły się ucieczki zaraz po wojnie, że utrwały się pewne selekcje i kontrselekcje zawodowe, a system płac uniezależnił się od wiedzy i kwalifikacji. Na sprawy te szczególnie silnie zwraca uwagę respondent nr 14. Uczestnik ankiety nr 3 powiada: „aktualnie funkcjonujący system i praktyka płac obniżyła istniejące hierarchie... Zburzono nie tylko tradycyjne relacje między wykwalifikowaną pracą umysłową i fizyczną, ale także wewnątrz kręgu szeroko rozumianych producentów dóbr i usług materialnych, zdegradowano pracę koncepcyjną, wymagającą inicjatywy i wysokich kwalifikacji. Głę-

boki kryzys przeżywa nasze szkolnictwo od lat zacořane, nie doinwestowane, dokonujące negatywnej selekcji kadr”.

Demoralizujący wpływ różnego typu niejawných przywilejów, wynikających z powizań personalno-instytucjonalnych podkreślało wielu uczestników ankiety. Na pierwszym zebraniu „DiP” jeden z dyskutantów podkreślał, że „*przywilej związany z lepszą sytuacją materialną jest (jednak) czymś lepszym od przywileju pozaekonomicznego, politycznego lub wynikającego z układów personalnych, przywileju ukrytego i najbardziej obrażającego poczucie sprawiedliwości*”.

Lepsi i gorsi. Egalitaryzm a hierarchiczność

Od hipotez i diagnoz ogólnych — w których zresztą autorzy odwołują się do konkretných przykładów — przejdźmy do charakterystyk bardziej szczegółowych. Społeczeństwo — a w tym i autorzy ankiety — w którym występują silne idee egalitarne, konfrontuje owe idee z procesami elitaryzacji. Pyta więc o stosunek haseł ogólných do praktyki i faktycznych kryteriów różnicowania społecznego. Porównuje oficjalne hasła z praktyką rosnących podziałów klasowych. Ponieważ przemiany społeczne znajdują się pod zasadniczym wpływem polityki, tworzenie się więc elit wiąże się głównie z pełnieniem funkcji w aparacie politycznym i gospodarczym. W związku z tym pojawia się w ankietach problem stosunku elity do społeczeństwa, poddaje się porównywaniu rzeczywiste drogi i kryteria awansowania i kariery z głoszonymi hasłami. A w dalszym rozwinięciu — pojawia się problem stosunku robotników i inteligencji, inteligencji dawnej i nowej, wreszcie sytuacja młodzieży.

Wśród większości odpowiadających nie ma wątpliwości co do tego, że masowa ruchliwość powojenna otworzyła dla warstw ludowych znaczne i szerokie możliwości awansu. Przedmiotem krytyki i troski jest więc raczej utrwalenie się niemerytorycznych kryteriów awansowania i faktycznego podziału obywateli na kategorie lepsze i gorsze.

W odczuciu społecznym jest to przede wszystkim podział na partyjnych i bezpartyjnych, ale także na bogatých i biednych, ustosunkowanych i bez „znajomości”. Przynależność do partii — zdaniem wielu autorów — jest w większości wypadków warunkiem koniecznym, ale nie dostatecznym, do zrobienia kariery. Utrwalenie niedemokratycznych procedur partii sprawia, że występuje w niej podział na członków aparatu i mniej lub bardziej milczącą większość, która żyje i odczuwa te same problemy, co

pozostała część społeczeństwa. Niektóre wypowiedzi podkreślają mocno, że warunkiem demokratyzacji państwa jest demokratyzacja samej partii oraz współdziałających z nią stronnictw, które powinny mieć możliwość pełnego wyrażania interesów warstw i środowisk, które reprezentują.

Podział na wierzących i niewierzących przebiega często przez poszczególne rodziny. Badania socjologiczne — a także potoczne obserwacje — zdają się wskazywać, że nie powoduje to w zasadzie napięć wewnętrznych i że współzycie układa się wedle reguł wzajemnej tolerancji. Przyjęta zasada świeckości państwa interpretowana jest jednak przez władze w sposób dyskryminujący ludzi wierzących. Świadczy o tym praktyka życia codziennego, do której odwołują się respondenci ankiety.

W związku z rosnącym zróżnicowaniem społecznym powraca w odpowiedziach problem dziedziczenia miejsca i przywilejów. Była już o tym — w nieco innym aspekcie — mowa. Lapidarnie rzecz ujmie respondent nr 25, który pisze, że elita „*pragnie nie tylko zachować do końca życia swe liczne, niemal feudalne przywileje, ale — zgodnie z feudalnym porządkiem — przekazać je potomstwu*”.

Nawiązując do tworzenia się elit politycznych, gospodarczych i regionalnych, do ich statusu uczestnik ankiety nr 27 stwierdza: „*Ze względu na swoje stanowiska nie płacą oni (ani ich rodziny) za istniejącą dezorganizację. Władza bowiem daje dostęp do drugiego rynku — w sferze zaopatrzenia, mieszkań, świadczeń zdrowotnych, dostępu do organizacji dóbr. Co więcej, im gospodarka bardziej niesprawna, tym (władza) ma więcej atutów, by przez rozdzielenie przywilejów zdobywać popleczników. To samo dotyczy informacji — im bardziej jałowy jest oficjalny jej nurt, tym więcej cenione są 'specjalne informacje'*”.

W związku z nową hierarchią społeczeństwa występują problemy stosunku między różnymi klasami, warstwami i grupami społeczeństwa. W odpowiedziach na ankietę słaby wyraz znalazło zróżnicowanie na różne kategorie robotników, choć problem ten pojawił się tam, gdzie mowa była o branżowych preferencjach i upośledzeniach(jako przykłady można tu podać różne wyposażenie branżowych służb zdrowia i ośrodków wypoczynkowych, a także krytycznie przyjęty system zaopatrzenia wybranych wielkich zakładów przemysłowych w mięso i wędliny). Nie wiele miejsca poświęcono w ankiecie utrwalonemu podziałowi na pracowników miejscowych i dojeżdżających z daleka, przeważnie chłopo-robotników, których warunki życia są szczególnie ciężkie i w której to kategorii można mówić o kumulacji upośledzeń.

Więcej uwagi poświęcono stosunkowi robotników i administracji, różnicy między inteligencją dawną i nową. Podejmowano także w tym kontekście problem młodzieży, jej sytuacji i szans życiowych. Wymienione rodzaje stosunków, a także konfliktów międzynarodowych jest wyliczeniem cząstkowym i dalekim od precyzji. Tak jak inna jest sytuacja robotników wielkich i preferowanych branż przemysłowych a inna gałęzi zacofanych i nie doinwestowanych, tak różna też jest sytuacja ludności rolniczej. Warto w tym miejscu podkreślić, że aż 30 % gospodarstw to gospodarstwa o powierzchni od 0,5 do 2 ha. Odrębną kategorię stanowią — wspomniani tu już — chłopo-robotnicy. Inna (i też niezmiernie zróżnicowana) jest sytuacja rencistów. Jednych dostatnia, innych — dramatyczna i na pograniczu nędzy. Koszty dysharmonijnego rozwoju spadają szczególnym ciężarem na barki zawodowo pracujących kobiet, tracących ogromne ilości czasu na zaopatrzenie gospodarstwa domowego. Inna wreszcie — zróżnicowana zamożnością oraz miejscem zamieszkania rodziców — jest sytuacja młodzieży. W ciągu ostatnich lat wydłużyła się jej droga do szkoły. Również i tej podstawowej. Wedle niektórych badań z 4 do 13 km. Skromne jest jej wyposażenie. Trudny ma młodzież dostęp do lektur. A tymczasem resort kultury planuje w ciągu najbliższych lat zredukować liczbę bibliotek pracujących na wsi z 6.500 działających obecnie do 3.000 w 1990 roku. Problem udziału młodzieży wiejskiej w kulturze, problem wykorzystania czasu wolnego — to kolejne sprawy, które w tym miejscu mogą być tylko wspomniane. Aspiracje młodzieży wiejskiej rosną, możliwości ich realizacji maleją. A wraz z nimi szanse na unowocześnienie rolnictwa i cywilizacyjne pchnięcie wsi.

Odpowiedzi na naszą ankietę podejmują tylko część tych problemów. Uwagi na ten temat wskazują jednak na pewne rodzaje napięć wewnętrznych, które mogą — i bywają — manipulowane w celu antagonizowania środowisk, których interesy powinny być jawnie i mediacyjnie uzgadniane. Uczestnicy ankiety dostrzegają w stosunkach międzygrupowych pewne punkty zapalne, których uświadomienie sobie wydaje się sprawą istotną.

Autor odpowiedzi nr 20 stwierdza rosnącą w niektórych wypadkach wzajemną wrogość robotników i administracji fabrycznej. Dwaj inni zajmują się antagonizmem dawnej i nowej inteligencji. A gdy o tej ostatniej już mowa — pisze respondent nr 35 — „*podkreślić trzeba, że jeśli skromny zastęp inteligencji pochodzenia chłopskiego nie zerwał kontaktu ze swym środowiskiem, to niepokoić musi fakt, że duża część inteligencji pochodzenia robotniczego nie ma poczucia związku z klasą, z której wyrosła*”.

W wielu wypowiedziach podkreśla się postępującą elitaryzację wykształcenia i zwraca się uwagę na różny dostęp do oświaty — wbrew ustrojowym założeniom i głoszonym hasłom — różnych warstw i środowisk. Mowa jest między innymi o tym, że rezygnacja z ambicji oświatowych „przekształca społeczeństwo w twór składający się z dwóch nierównoprawnych części: nielicznej elity mającej dostęp do wykształcenia oraz masy pozbawionej szans rozwoju”. Np. reprezentacja młodzieży chłopskiej na wyższych uczelniach wynosi ok. 9 %. W tym kontekście wiele obaw i poważnych zastrzeżeń wzbudza reforma oświatowa. O sprawach tych piszemy w rozdziale następnym.

Młodzież: aspiracje i sytuacje

O ile niewiele uwagi skupiła w ankiecie dramatyczna często sytuacja ludzi starych, o tyle więcej zajmowano się młodzieżą. Zróżnicowanie społeczne i oświatowe utrwała nierówność startu młodej generacji. A dziedziczenie pozycji rodziców świadczy o narastaniu klasowych różnic w społeczeństwie. Obserwując dorosłe życie, młodzież z warstw lepiej sytuowanych nie spieszy się do dojrzałości społecznej. Respondent nr 47 pisze: *„Wśród młodzieży rzadkie są stosunkowo ambicje i wysoko sięgające aspiracje czy też bardziej romantyczne wzory życia. Młodzież chce awansu społecznego powyżej poziomu rodziców, ale wydaje się bardziej realistyczna w ograniczaniu swoich aspiracji do możliwości istniejących w społeczeństwie. I, mówiąc ogólnie, nie różni się w zasadzie od rodziców w sferze własnych aspiracji i wartości życiowych”*.

Problem zróżnicowania startu życiowego poruszył też na pierwszym zebraniu „DiP” jeden z dyskutantów. Stwierdził on: *„Absolutnie niskie płace dla młodych ludzi (zwłaszcza z wyższym wykształceniem) powodują konieczność długiego korzystania z pomocy rodziców, co daje w rezultacie bardzo niekorzystne skutki społeczne (m.in. zjawisko zatrważającego nieraz infantylnizmu dawno dorosłych ludzi). Ponadto stwarza to układ, w którym już w punkcie startu życiowego sytuacja młodych ludzi jest zasadniczo różna, zależna od zamożności ich rodzin. Ci, którym rodzina nie może pomóc, skazani są na start wyjątkowo trudny, inni natomiast żyją nadal na koszt swych rodzin, a swe pobory przeznaczają na drobne wydatki”*.

Problem młodej generacji najszerzej rozwinął autor odpowiedzi nr 23. Podkreślając trudną sytuację mieszkaniową nowych małżeństw, trudną sytuację na rynku pracy, stwierdza on:

„Kariera zawodowa w coraz to większym stopniu zależy 'od siły przebicia', to znaczy od osobistej energii i braku skrupułów, zależy od umiejętności manipulowania sytuacjami i osobami (bez względu na 'cudze koszty'); zależy od politycznej dyspozycyjności i nieograniczonej 'taryfy ulgowej' wobec przełożonych i własnych kolegów. Wymagania wobec siebie mogą być darowane, jeśli nie łączą się one z wymaganiami wobec innych. W tej sytuacji wzór dobrego specjalisty, który swój zawód wykonuje zgodnie z określoną profesjonalną etyką, zgodnie z wyobrażeniami o osobistej odpowiedzialności za wykonywaną pracę — staje się coraz bardziej wzorem prywatnym. Wzory oficjalne, publicznie głoszone i wzory rzeczywiście realizowane rozmiągają się coraz bardziej. Ta rozbieżność dewaluje hasła socjalistycznej moralności pracy”.

Poprzez różnicowanie społeczne, a także konformistyczne wzorce kariery i awansu przewijają się, jako sprawa podstawowej doniosłości, problem partnerskiego uczestnictwa młodzieży w życiu społecznym i politycznym.

Możliwości, jakie daje jej oficjalna scena polityczna, organizacje dla młodzieży, są przede wszystkim ofertą przystosowania się do warunków zastanych. Wielki kapitał postaw twórczych, ale krytycznych, zmierzających przez własne uczestnictwo do ulepszania rzeczywistości na różnych polach — znajduje bardzo częściowe zastosowanie. Brak pozytywnego i realnego wzorca osobowości, utożsamiającego się z wartościami ustroju, działa w sposób rozkładowy. Obok konformizmu, wywołuje postawy negacji, albo całkowitego uprzywatnienia celów. Przede wszystkim zaś powoduje marnotrawstwo największego bodaj kapitału, jakim Polska dysponuje. Jest to kapitał składający się z wielkiej liczby ludzi młodych, wykształconych, mających wszelkie dane, aby podjąć cywilizacyjne i kulturalne wyzwanie nadchodzącego stulecia.

Świadomość fałszywa

Wypowiedzi dotychczas przedstawione świadczą przeważnie o tym, że często potoczna wiedza i przeżywanie rzeczywistości pokrywa się z obrazem badań socjologicznych, a także z refleksją obywatelską, która znalazła wyraz w ankiecie. Prowadziłoby to i prowadzi do wniosków mimo wszystko optymistycznych, skoro ludzie powszechnie widzą, że czarne różni się od białego, a to co pozorne od prawdziwego, co znaczy przecież, że nie zatracili krytycyzmu i wrażliwości na problematykę społeczną.

Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana. Bo to, co pozorne, jest zarazem w jakimś stopniu prawdziwe (bo trwa i funkcjonuje). Po wtóre zaś dlatego, że mamy do czynienia nie tylko z zamknięciem kanałów dla prawdziwej opinii publicznej, ale co ważniejsze mamy do czynienia z manipulowaniem ową opinią. Monopol na informację złą czy pozorną, na selekcję faktów i indoktrynację stwarza możliwość różnorodnych manipulacji, o której skutkach niewiele wiemy. Na wielorakie skutki deformowania opinii zwraca uwagę wielu uczestników ankiety. Powiedzmy tu jednak od razu, że nie chodzi tylko o niedoinformowanie społeczeństwa. „Totalna niejawność domeny publicznej”, o której pisze jeden z respondentów, to jedna strona medalu. Druga, to indoktrynacja świadomości fałszywej, manipulowanie świadomością społeczną, co pozwala nieraz na antagonizowanie poszczególnych grup.

„Niedopuszczenie do powstania opinii publicznej — pisze autor odpowiedzi nr 8 — czynione jest celowo przez deformację stosowaną przez środki przekazu. W rezultacie świadomość społeczna kształtowana jest w dużym stopniu przez informację cząstkową, co przyczynia się do formowania postaw irracjonalnych”.

W tym miejscu powróćmy — raz jeszcze — do tych wypowiedzi, które dotyczą spraw różnych, lecz zarazem w jakimś stopniu wspólnych. Chodzi tu o pewne stany świadomości i postawy Polaków z pozoru wewnętrznie sprzeczne. Jakie to stany świadomości i jakie postawy? Dezaprobatą dla istniejącej sytuacji, a zarazem poczucie niemożności jej zmiany. To, jak Polacy „grają” nie tylko z władzą, ale sami ze sobą (ale „grając” z władzą, w istocie też „grają” ze sobą, bo w ogromnej części są w ów system władzy uwikłani). Prywatnie mówią jedno, a publicznie drugie i tylko niektórzy przeżywają na tym tle rozdwojenie jaźni. Wielu jest demonstracyjnie wierzących, ale owa wiara staje się często odgraniczona od moralności publicznej i prywatnej. Uprywatniają swoje cele nie w tym znaczeniu, które jest ludzkie i pochwały godne, ale w tym, co ich prywatnie przeciwstawia innym ludziom. Bo uznając niemożność rzeczywistych działań publicznych rozgrzeszają się we własnej bierności, a nieraz i aspołeczności. Na tym tle obserwuje się bezwład społeczny, często doznania frustracji, wzajemną agresywność, nasilenie zjawisk patologicznych. Ludzie przeżywają sytuacje podobne, ale często nie wyzwala to w nich odruchów solidarności społecznej, wszystkiemu bowiem winni są „oni”. I na tym tle obok postaw zrozumiałych rewindykacji jawią się groźne elementy świadomości fałszywej, antagonizującej tych, których sytuacje są często podobne.

Samotnie i przeciw sobie

Bierność i apatia dużej części społeczeństwa to stan i dla państwa i dla władzy — groźny. „Wydać mi się — pisze autor odpowiedzi nr 28 — że motywem dominującym obecnie w świadomości społecznej jest poczucie kryzysu gospodarki i instytucji społecznych, połączone z przekonaniem o niemożliwości zmiany i jednocześnie — przybierającym formy absurda — oczekiwaniem na katastrofę... Problem stanowi postępująca utrata wiary w rzetelną pracę, dążenie jednostek do bogacenia się za wszelką cenę, do 'rwania ku sobie'. Wiąże się z tym zamrożenie inicjatyw społecznych, o których trudno powiedzieć, w jakiej mierze spowodowane są przez biurokratyczną inercję, w jakiej mierze zaś przez to, że przedstawicielom różnych grup społecznych łatwo zwać własną, prywatną nieudolność i lenistwo na ogólny bałagan”.

Na problem biurokratyzacji, która zabija twórczą inicjatywę i osłabia tętno życia społecznego, zwraca uwagę wielu uczestników ankiety. Coraz słabiej funkcjonuje mechanizm: błąd-informacja-korekta. W tej sytuacji, jeśli do jakichkolwiek zmian dochodzi, to ich genezą są trudności i napięcia, a kosztem — zwielokrotnione straty. Łatwo też wtedy zgubić ostateczne, wyznaczone cele, zadowalając się celami częściowymi, a bywa, że marginalnymi.

„Społeczeństwo polskie — stwierdza uczestnik ankiety nr 27 — wydaje się przeżywać stan skrajnego wyczerpania energetycznego. Jest to przede wszystkim rezultat stagnacji gospodarczej, gdy zablokowane są perspektywy awansu i szybkiej poprawy sytuacji materialnej i pogłębiona jest frustracja. ... Deficyt energii społecznej to również — obserwowany od dawna — zanik motywacji do przedsiębiorczego i gospodarczego działania... Narastanie wrogości między grupami i klasami — częściowo jako wynik odczuwania absurda obecnej polaryzacji — a równocześnie poczucia winy, że nie umie się grać inaczej. Jedno z podstawowych zagrożeń to występujący jako zjawisko społeczne brak szansy na zachowanie godności... Dramatyzm sytuacji polega na tym, iż często społeczeństwo występuje przeciwko samemu sobie. Nieraz każdy bowiem zainteresowany jest — na jakimś odcinku — stabilizacją części rzeczywistości i nie chce rezygnować z przywilejów i wyjątków (co trzeci mężczyzna w wieku 30-40 lat pełni jakieś stanowisko kierownicze). Splot takich stabilizacyjnych tendencji to jeden z podstawowych mechanizmów trwania absurdu. Jest to bowiem absurd, gdy patrzy

się z zewnątrz. Rozłożony na fragmenty — jego animatorom wydaje się wewnętrznie racjonalny”.

Staje się to przyczyną frustracji, o których wspomina wielu autorów. Autor odpowiedzi nr 1 pisze m.in.: „frustrująco oddziałuje dystans między krytycznym stosunkiem do rzeczywistości w której się żyje, a życiową potrzebą ustawicznego przystosowywania się do obowiązujących w nim mechanizmów i reguł gry. Owo rozdwojenie jaźni deformuje świadomość moralną i obywatelską społeczeństwa przy tym i w tej dziedzinie mamy do czynienia z czymś w rodzaju kumulacji negatywnych objawów”.

„Ludzie piją i kradną — czytamy w odpowiedzi nr 9. — Ludzie dają i biorą łapówki. Idą na układy. Ludzie żartują ze wszystkiego. Każdy temat jest dobry. Straszne to wszystko i przygnębiające. Ale jestem przekonany, że za to, jacy jesteśmy, nie można winić tylko nas. Trzeba bowiem zauważyć, że wszystkie te godne potępienia cechy zyskały w gruncie rzeczy społeczną aprobatę i zrozumienie, inaczej bowiem nie mogłyby plenić się w takim stopniu. Jak daleko zaszliśmy, jeśli dziś nie wypada już żyć normalnie i uczciwie, jeśli wygląda to na słabość”.

Kumoterstwo, nepotyzm, korupcja, łamanie norm współzycia społecznego, alkoholizm to kilka z wielu plag naszego życia. O niektórych piszemy w rozdziale następnym. M.in. o alkoholizmie. Tu przypomnijmy jedynie kilka liczb. Statystyczny Polak wypił w 1977 roku wedle GUS — 8,2 litra czystego spirytusu. a więc 80 ćwiartek. Wedle obliczeń znawców w rzeczywistości, więc po uwzględnieniu pędzonego bimbrow i przywiezionych z zagranicy koniaków, wypił przeszło 10 litrów. Mógł je kupić niemal wszędzie. W Szwecji jeden sklep z alkoholem przypada na 25 tys. mieszkańców. Jest ich tam w sumie 350. U nas trzydziestokrotnie więcej. Prawda, że niektórzy działacze antyalkoholowi opracowali ambitne plany walki z plagą, którą jeden z uczestników ankiety nazwał „stopniowym, zbiorowym samobójstwem narodu”. Ale jednocześnie państwo zainteresowane jest — co wskazuje przeprowadzona w 1974 roku podwyżka cen wyrobów alkoholowych, która cenę wódki podwyższyła o 20,6 %, zaś wina o 41,4 % — w utrzymaniu rozmiarów tych wydatków ludności. Na plagę pijaństwa złożyło się wiele przyczyn. Jedną, i to wcale nie ostatnią, jest zablokowanie możliwości zaspokajania potrzeb społecznych.



Diagnoza, która wyłania się z dotychczasowych odpowiedzi, jest diagnozą krytyczną. Ponieważ przemiany społeczne w Polsce

dokonywały się i dokonują pod wpływem czynnika politycznego, znaczna część postulatów związanych z oceną obecnego stanu rzeczy, to postulaty zmiany mechanizmów i struktur politycznych. Występuje powszechna świadomość, że skutki społeczne oddalają się od głoszonych haseł politycznych, że rozwój dysharmonijny pogłębia różnice społeczne, za które najczęściej płacą naj-słabsi. W ankiecie naszej niejednokrotnie pojawia się określenie „biedni ludzie”, być może jest ono socjologicznie nieprecyzyjne — ale jest bardzo znamienne. Stan społeczeństwa zależny jest od różnorodnych działań politycznych, ale ich skutków często się nie przewiduje, w związku z czym nasilają się procesy żywiołowe. Znajdują one inny i bardziej skomplikowany wyraz niż w ustroju kapitalistycznym (na skutek zmiany stosunku polityki i ekonomii) ale owa odmiennosc nie chroni nas — jak pokazuje dotychczasowa historia — od niespodziewanych wybuchów kryzysu.

Z istniejącego kryzysu można wyjść tylko przez szeroko podjęty świadomy wysiłek całego społeczeństwa. Bez takiego wysiłku nie będziemy mogli wytrzymać kryzysu gospodarczego, przeprowadzić reform zarządzania, stawieć czoła nakazom współzawodnictwa światowego i wyzwaniom epoki.

Rozdział IV

O ZAGROŻENIACH

Rozwój społeczeństwa nigdzie nie przebiega bez zakłóceń. Na jego drodze pojawiają się różnego rodzaju zagrożenia. Są czymś normalnym. Więcej — stanowią próbę jego żywotności. Zwłaszcza dla społeczeństwa przeżywającego radykalne przeobrażenia.

Spółeczeństwo polskie niejednokrotnie stawalo w obliczu różnorodnych zagrożeń. Niejednokrotnie udawało się te zagrożenia przezwyciężyć i zlikwidować. Ale obecna jego sytuacja jest bardziej — niż kiedykolwiek dotąd — złożona i trudna. Szczególnie dwa zjawiska napawać muszą troską i budzić niepokój. Chodzi o tempo i zakres narastania tych zagrożeń, bezpośrednich i długofalowych oraz — na co już wskazywano — brak mechanizmów zdolnych zagrożenie bezpośrednio likwidować, a przed długofalowymi chronić.

Specyficzną cechą obecnej sytuacji jest też różnorodność za-

grożeń. Grozi nam zarówno dalsze osłabienie sił i suwerenności naszego państwa, jak też zahamowanie i wielkie trudności w rozwoju gospodarczym. Grozi nam pogłębianie się zależności gospodarczej od obcych i dalsze pogorszenie warunków życia, a w związku z tym coraz ostrzejsze konflikty wewnętrzne, osłabienie i nieskuteczność działania władzy państwowej oraz konflikty wynikające z nierówności dochodów i wyzysku. Grozi nam także drastyczny spadek przyrostu naturalnego, pogorszenie stanu zdrowotności, dalszy regres kulturalny i oświatowy, a przede wszystkim pogłębienie się kryzysu moralno-politycznego ze wszystkim, co taki kryzys niesie: brakiem klimatu zaufania, słabnącą aktywnością i zanikiem inicjatywy społecznej, osłabieniem ogólnej odporności społeczeństwa.

Kiedy mowa o braku skutecznych mechanizmów, które mogłyby społeczeństwo chronić przed tymi zagrożeniami, oznacza to, że nikt nie pobudza społeczeństwa do podjęcia skutecznego przeciwdziałania, że brakuje świadomego i zorganizowanego wysiłku dla przygotowania społeczeństwa do oczekujących je prób. Nie podejmuje się w dostatecznej skali działań dla tworzenia lub odtwarzania instytucji i mechanizmów społecznych niezbędnych dla stawienia czoła wyzwaniu.

Groźba wybuchu

Zagrożenie bezpośrednie to możliwość dalszego pogłębienia się kryzysu gospodarczego w wyniku złego zarządzania, to perspektywa rosnących trudności w bilansie płatniczym oraz dalszego spadku własnej produkcji. Spodziewane dla nadchodzących 2-3 lat obniżenie się stopy życiowej może przekroczyć wszelkie granice odporności psychicznej społeczeństwa. Dolegliwości te na pewno nie rozłożą się równomiernie, zatem społeczne napięcia będą — co najmniej w niektórych grupach społecznych — szczególnie silne. W tej sytuacji bezpośrednią przyczyną zaburzeń o charakterze rozszerzających się strajków, manifestacji, lub wręcz aktów gwałtu wobec instytucji i organów władzy, może być nawet bardzo błahy konflikt lub przypadek.

„Konsekwencje trudno przewidzieć w szczegółach — pisze respondent nr 6. — Ich zarys ogólny można sobie wyobrazić. Wcześniej czy później nastąpi eksplozja w stylu, który już znamy. Jest sprawą raczej drugorzędną, jakie konkretne zjawisko spełni rolę detonatora (w warunkach walki o władzę nie można też wykluczyć prowokacji). Koszty społeczne są zawsze wysokie. Ale w tym wypadku mogą przekroczyć rozmiarami to, co znamy

z naszej dotychczasowej historii lat powojennych. Doświadczenie poucza, że próba opanowania sytuacji siłą rokowałaby niewielkie szanse sukcesu. Społeczeństwo polskie jest bowiem — jak się zdaje — wyjątkowo trudno nakłonić do czegokolwiek metodą zastraszania”...

Z takim stanem zagrożenia stykają się i stykać się będą, nie mające żadnej autentycznej praktyki politycznej, kadry partii i administracji w ogóle nie przygotowane do pracy w podobnych warunkach społecznych.

„Doświadczenie uczy — podkreśla uczestnik ankiety nr 8 — że... lokalne zaburzenia z niezwykłą łatwością mogą się rozszerzać powodując od razu atrofję działania istniejących struktur organizacyjnych, a nawet... aparatu władzy i przymusu”.

Wybuchy tego rodzaju nie muszą być oceniane jako czynnik bezwzględnie negatywny. Stanowiły one w ciągu ostatnich dwudziestu paru lat jedyny — niestety — skuteczny czynnik regulacji działań systemu, który nie wytworzył innych mechanizmów dla korekty błędów i zmian personalnych. Jednakże metoda ta niezwykle kosztowna społecznie i jako środek podstawowej politycznej edukacji narodu w rozwiązywaniu najważniejszych swych problemów musi być oceniana sceptycznie. Uczy wprowadzić skutecznego działania, uczy obrony własnej godności i interesów, ale nie pozwala doświadczać praktycznie innych metod rozwiązywania konfliktów; nie służy ani wzmacnianiu władzy państwowej (która musi również opierać się na zaufaniu), ani zwiększeniu podmiotowości społeczeństwa, któremu bardziej potrzebne są instytucje polityczne i prawne, niż tradycja zwyczajskich konfrontacji z własną władzą.

W odpowiedzi nr 8 czytamy: *„Zgodnie z trzykrotnymi doświadczeniami, wybuch gniewu mas prowadzi prawie od razu do cofania się i ustępstw władzy (zwykle przejściowych lub pozornych). Tylko duże błędy czy też rażące zbrodnie mogą spowodować rozszerzenie się krwawych konfliktów na cały kraj. Takim błędem lub zbrodnią może być niezdolność władzy do ustępstw i dialogu ze społeczeństwem. Jedynie w powyższym przypadku prawdopodobny jest w określonych warunkach drugi wariant, mianowicie: pacyfikacja kraju przy pomocy interwencji zagranicznej, kosztowniejsza dla kraju i dla interwenta niż podobne interwencje w przeszłości.*

Należy jednak podkreślić, że drugi wariant może w naszych warunkach mieć miejsce (ale nie musi) tylko w sytuacji, gdy ośrodkowi władzy zostaną od wewnątrz zupełnie sparaliżowane. Jak dotąd, ani doświadczenie ani analiza sytuacji nie skłaniają do poglądu, że parcie mas może być tak silne, aby wytworzyć situa-

cję politycznie i militarnie nie do przyjęcia przez blok, w którym się znajdujemy. Przeciwnie, społeczeństwo polskie wykazywało znaczną powściągliwość w swych rewindykacjach politycznych i gospodarczych wobec władzy, podobnie zresztą jak to miało miejsce w okresie międzywojennym. W obu przypadkach funkcjonowała świadomość wymogów sytuacji ogólnej”.

„Sprawa jest jednak bardzo poważna — stwierdza respondent nr 13. — Koszty społeczne kryzysów mogą obecnie być znacznie większe niż w latach 50-tych, w początku lat 70-tych, czy nawet w roku 1976. Aspiracje ludności rosną, a rozróżnienie między nimi a możliwościami ich zaspokojenia jest coraz większy. Jest też rzeczą jasną, że dokonanie skutecznego manewru w polityce gospodarczej mogło być 2-3 lata temu znacznie łatwiejsze niż dziś”.

Musimy zdać sobie sprawę, że w 1956 roku istniały poważne rezerwy i pole politycznego manewru, które wykorzystano. M.in. był do dyspozycji przywódca o dostatecznym społecznym prestiżu, można było wycofać się z kolektywizacji, podjęto sprawę samorządu robotniczego i znacznie podniesiono zarobki, kontynuowano proces naprawiania krzywd okresu stalinowskiego, uwolniono Prymasa Polski, poczyniono mu pewne przejściowe ustępstwa i uzyskano jego poparcie, wreszcie wykazano, że możliwy jest większy zakres narodowej suwerenności. Podobnie w roku 1971 wypracowane w latach 60-tych rezerwy gospodarcze pozwalały nowej ekipie na obietnice, które zostały w pewnym stopniu spełnione w okresie *boom*’u 1972-1974.

Dziś na ogół takich rezerw politycznych i gospodarczych, które pozwalałyby złożyć społeczeństwu nową ofertę nie ma lub dużo trudniej je uruchomić.

Sytuacja pogorszyła się znacznie po czerwcu 1976 roku. Ponieważ nie nastąpiły żadne istotne zmiany — pogłębiła się frustracja społeczna. Spowodowała ona znaczną polaryzację postaw. U jednych wzbudziła chęć dorobienia się za wszelką cenę wszelkimi — także nieprawnymi — sposobami, za cenę moralnych kompromisów, konformizmu i milczącej, pozorowanej zgody na wszelkie posunięcia władzy: uruchomiła nawet istniejące już przedtem tendencje cichego sojuszu lub choćby naturalnej życzliwości pomiędzy różnymi grupami sięgającymi po rozmaite przywileje — tymi w aparacie władzy i tymi poza nim, często w oparciu o wzajemną korupcję. U innych spowodowała postawy politycznie opozycyjne. U jeszcze innych wzmogła poczucie bezsilności i wynikającej stąd apatii, przerywane czasem aktami agresji przeciw najbliższemu sąsiadowi w kolejce lub innej warstwie społecznej, albo też porywami ślepego buntu.

W odpowiedzi nr 2 zaprezentowane zostały postawy aparatu władzy wobec wzrostu dzisiejszych trudności. *Wśród części tego aparatu pojawiają się postulaty: umocnienia kierowniczej roli partii w tradycyjnym ujęciu, zaostrenia dyscypliny społeczno-politycznej, rozumianej mechanicznie i realizowanej metodami nacisku administracyjnego...* „Sami reprezentanci takich postaw nie zdają sobie sprawy, jakim zagrożeniem dla kraju i dla nich bezpośrednio mogą być takie tendencje w naszej sytuacji”.

Ta sama odpowiedź analizuje inną postawę występującą w tych grupach kierownictwa politycznego i gospodarczego, które określają aktualną politykę. Polega ona na dążeniu do „osiągnięcia usprawnień i lepszej efektywności systemu w drodze kolejnych korekt i usprawnień nie dotyczących istotnych (jego) elementów...”. Jest to polityka takiego czy innego manewru gospodarczego, której podstawową zasadą i celem jest przetrwanie.

Taktyka manewru

Doświadczenie i aktualne symptomy wskazują, że taka strategia będzie prawdopodobnie kontynuowana.

Najważniejszym założeniem tej polityki jest względna elastyczność taktyczna i zdecydowana sztywność ustrojowa. W razie potrzeby władza będzie doraźnie ustępować politycznie i gospodarczo różnym grupom społecznym, płacąc nawet za to bardzo wysoką cenę (zwykle z narodowej kiesy). Takim ustępstwem jest płacenie załogom fabrycznym za przestoje. Ale również jest nim zezwolenie na budowę kościołów i — *toutes proportions gardées* — przyjazd Papieża. Takim ustępstwem jest tolerowanie istnienia ugrupowań i periodyków opozycyjnych.

Dojdzie więc prawdopodobnie do różnorakich dalszych doraźnych ustępstw dla uniknięcia większych napięć i społecznych wybuchów. Będą się one przeplatać z próbami administracyjnej, policyjnej lub gospodarczej presji.

Manewr gospodarczy będzie prawdopodobnie realizowany przy pomocy następujących środków:

- a) dalsze ograniczenie inwestycji połączone z przesunięciami ku najbardziej potrzebującym gałęziom, jak: energetyka, transport, gospodarka rolna, ale także ku produkcji eksportowej i rolnej. Być może będą próby zwiększenia inwestycji mieszkaniowych;
- b) odpowiednie przesunięcia w rozmieszczeniu siły roboczej;
- c) staranie o konwersje lub uzyskanie nowych kredytów zagranicznych;

- d) wysiłki w kierunku zrównoważenia rynku pieniężnego w drodze dalszego ruchu cen, zlikwidowania przywilejów płacowych nie mających pokrycia w produkcji oraz zlikwidowanie kominów płacowych i nadmiernych dochodów najwyżej zarabiających ok. 10 % grup ludności (m.in. przez wyrównujące podatki i ewentualne obcinanie wydatków socjalnych). Analizę tych sposobów zawierają m.in. odpowiedzi nr 1, 4, 11 i 13.

Niezbędnym elementem wszelkich manewrów „taktyki przetrwania” musi być pomoc zagraniczna. Konieczna będzie — choć zapewne niewystarczająca — pomoc sojusznicza ale najważniejsza pozostanie pomoc krajów zachodnich. Jak dotąd, obserwujemy na Zachodzie tendencje do udzielania Polsce ograniczonego wsparcia, zresztą na gorszych niż dotąd warunkach. Można przyjąć, że grają tu rolę następujące czynniki: dotychczasowe doświadczenie z handlu z blokiem wschodnim, który dotąd terminowo płacił swe zobowiązania; Polska ma już zbyt duży dług, aby można było jej zezwolić na bankructwo, trzeba jej zatem pomóc; polskie rezerwy surowcowe, kwalifikowana siła robocza i rozbudowany potencjał gospodarczy stanowią do pewnego stopnia perspektywiczną gwarancję pokrycia zobowiązań i efektywnej kooperacji produkcyjnej; kontrahenci zachodni będą prawdopodobnie stawiali warunki reformy systemu zarządzania uważając, że w pewnym zakresie są one możliwe do wprowadzenia; łączy się z tym pragnienie utrzymania pewnej niezależności Polski od ZSRR.

Wszystkim tym elementom strategii przetrwania towarzyszyć będzie odpowiednie dostrajanie stosowanych środków. Jednakże, na ogół będą zapewne czynione wysiłki, aby nie zmieniać nic w klimacie i układach politycznych. Wyjątkiem mogą być tylko stosunki z kościołem. Dla jego pozyskania lub co najmniej neutralizacji mogą być poczynione pewne dalej idące ustępstwa, nie tylko taktyczne ale i prawne (np. uregulowanie statusu prawnego).

Wyżej przedstawiony zarys możliwej koncepcji wyjścia z kryzysu polityczno-gospodarczego stanowi również poważne zagrożenie dla kraju, ponieważ jest on w równym stopniu oderwany od rzeczywistości jak koncepcja powrotu do twardych metod rządzenia.

Wszelki plan wyjścia z kryzysu przy pomocy środków wyłącznie gospodarczych jest dziś nierealny, skoro głębsze przyczyny kryzysu są pozagospodarczej natury. Bez reform systemu zarządzania i zmiany atmosfery społecznej nie sposób wypracować żadnych rezerw, a „czynniki sztywne” obecnej sytuacji gospodar-

czej, które omówimy bliżej w rozdziale VII, nie pozwalają liczyć na dopływ środków ekstra.

W tej sytuacji nierealne są np. projekty zlikwidowania przywilejów płacowych i zaopatrzeniowych oraz ograniczenia nadmiernych dochodów niektórych grup ludności. Nieuzasadnione wypłaty zarobków ciążyą na rynku pieniężnym i kosztują nas wszystkich, ale władza orientuje się, że przodujących oddziałów klasy robotniczej czyli załóg tych 150 dużych zakładów, nie wolno wyprowadzać z równowagi psychiczno-politycznej, bo może to wyprowadzić je na ulice. Ponieważ zaś — w warunkach deficytu i poważnych braków w energetyce, transporcie i zaopatrzeniu dewizowym oraz przy ogólnej dezorganizacji gospodarki — przestoje i brak rytmiczności produkcji będą nadal czymś powszechnym, więc będzie się za to płacić. I to dużo. Podobnie będzie z zaopatrzeniem w mięso i w inne deficytowe artykuły, a także z podziałem funduszy socjalnych. Część pracowników przemysłowych będzie nadal przekupywana kosztem reszty społeczeństwa. Z punktu widzenia kalkulacji politycznej ma to sens, bo zamiast „kupować” większość społeczeństwa, aby „trwać” wystarczy stosować odrębną niejako politykę płacową wobec 7-15 % (czołowe zakłady i aparat władzy). Należy wątpić, by jakikolwiek eksport gospodarczy mógł podważyć tę podstawową naukę płynącą z doświadczeń ostatnich lat. Niemniej przekreśla ona szansę na odciążenie rynku pieniężnego i rynku towarów.

Niewiele również dadzą próby likwidacji kominów płacowych, opodatkowanie nadmiernych dochodów, jak też ograniczenie innych przywilejów. Priorytetowe, przyspieszone budowy będą musiały nadal dużo płacić, będziemy płacić za produkcję eksportową i antyimportową, będziemy musieli — od wypadku do wypadku — więcej płacić rolnikom. Dodatkowe obciążenie budylności i rzemieślników jest gospodarczo niebezpieczne, bo może grozić produkcji i zaopatrzeniu rynku, a równocześnie nie jest tak bardzo potrzebne, bo wysokie dochody w tych grupach, są przejmowane przy pomocy wysokich cen środków inwestycyjnych i konsumpcji luksusowej. Poza tym trzeba pamiętać, że wysoko zarabiające grupy partyjno-meniadżerskie nie po to uzyskały wyraźnie wyższy standard życia w latach 70-tych, aby go bez walki oddać.

Równocześnie masowe parcie na fundusz płac będzie rosło. Mówi o tym autor odpowiedzi nr 8:

„Dziś motywacja się zmienia, a raczej rozszerza. Dotyczy to zwłaszcza takich potrzeb jak mieszkania i samochody. W wypadku mieszkań ich niedobór i wzrost cen powoduje, że mieszkanie staje się dla wielu młodych i dla wielu starszych a biedniej-

szych rodzin czymś nieosiągalnym, w każdym razie na najbliższe lata.

Samochód był długo przedmiotem luksusowym, dostępnym dla niewielu, i nie stanowił wartości z zakresu bezpośredniego doświadczenia i pożądania. Teraz się to zmieniło. Jeśli w mojej fabryce czy biurze 20-30 % kolegów ma samochody, to zaczyna być czymś oburzającym, że ja go nie mam. Oba te czynniki będą wyraźnie zwiększać parcie na płace''.

Pozostaje zatem głównie pomoc zagraniczna. W tym roku obsługa i spłata kredytów zagranicznych ma wynieść ok. 4 miliardów dolarów, co stanowić będzie 65-70 % wartości eksportu, w walutach wymienialnych. W roku przyszłym liczy się na spadek doraźnych obciążeń kredytowych o ok. 10 %. Trudno ocenić realność tych przewidywań. Sytuacja na rynku światowym będzie nadal bardzo trudna. Nie ma podstaw do nadziei, że będzie nam łatwiej eksportować. Równocześnie nasze potężnie rozbudowane przemysły metalowy i chemiczny nie mogą pracować bez zaopatrzenia w surowce i półprodukty z krajów kapitalistycznych. Stąd jedynym ratunkiem mogą być tylko dalsze kredyty, podobne do ostatnio zaciągniętych w I kwartale 1979 r., z tym, że będą one coraz droższe, a wyjście z kryzysu będzie się coraz bardziej oddalało.

Wszystko to uzasadnia tezę, że przy pomocy środków gospodarczych rozwiązać istniejącego kryzysu nie można. Podejmowane próby będą tak jak dotąd doraźnym łataniem, za które trzeba będzie zapłacić w przyszłości, tyle że drożej. Stwierdza to m.in. autor wypowiedzi nr 34: *„Dotychczasowe przedsięwzięcia władz, zmierzające do wyjścia z przedstawionej sytuacji, nie wróżą powodzenia. Zmiana programu gospodarczego w postaci głośnego 'manewru' nie powiodła się. Świadczą o tym wyniki planów gospodarczych, niekorzystnie odbiegające od przyjętych ustaleń. Lawina nerwowych, doraźnych poleceń i restrykcji powiększa tylko chaos, ponieważ nie jest i nie może być wewnętrznie spójna''.*

Trudno przypuścić, żeby sposób kierowania, który w ciągu trzech lat pogłębił tylko kryzys mógł osiągnąć coś innego, niż doprowadzenie go do dna. Środki, które do końca niemal rozpręgły naszą machinę gospodarczą, nie mogą jej postawić na nogi, mogą tylko swe dzieło kontynuować.

Spółeczne konsekwencje „taktyki na przetrwanie”

Wybuch społeczny lub seria konfliktów mogą spowodować

zasadniczą zmianę sytuacji i zmusić do podjęcia pewnych kroków politycznych, a więc np. dialogu władzy ze społeczeństwem na nowych zasadach. Ale może też być tak, że w określonych okolicznościach taktyka manewru „na przetrwanie” będzie przez pewien czas osiągała rezultaty, odsuwając wybuch o dwa, trzy lata. Píše o tym autor odpowiedzi nr 13: „Wyjście na ulice... może się zdarzyć... ale uważam to za znacznie mniej prawdopodobne niż odmienne zagrożenie, mające charakter długofalowy. Mam na myśli stagnację gospodarki, utrzymywanie się przez dłuższy czas notowanych obecnie schorzeń... rosnące znużenie 'bałaganem', a równocześnie narastanie pewnego rodzaju pogodzenia się ze zjawiskami ujemnymi. Stan, którego się obawiam, nazwałbym „falszywą zgodą” — zarówno władze, jak i społeczeństwo tolerują się nawzajem, nie mając dla siebie i do siebie ani szacunku, ani zaufania...”.

Odbija się on na morale społecznym i wpłynie na dalsze osłabienie władzy państwowej. „Demoralizacja — píše autor odpowiedzi nr 28 — jest szczególnie widoczna w warunkach obecnego kryzysu, a to na skutek szczególnego rodzaju czynników stabilizujących. Akceptacja założeń modelu konsumpcyjnego — przy niemożliwości jego realizacji — skierowała wiele postaw w stronę osobistego urządzania się, co przy niesprawnie działających mechanizmach gospodarczych prowadzi do nasilającej się kradzieży mienia społecznego, korupcji, wszelkiego rodzaju konformizmu, jeśli tylko jest on należycie opłacany. Polityka inflacyjna rodzi nowe sytuacje psychologiczne — człowiek bez pieniędzy gotów jest do postaw buntowniczych, człowiek z pieniędzmi, lecz bez towaru gotów jest go poszukiwać po całym kraju, skupiając się na realizacji tych celów. W paradoksalny sposób zjawiska te prowadzą do stabilizacji systemu; kryzys, stając się przewlekłą gangreną, stopniowo zabijającą organizm społeczny, traci elementy wybuchowe i może przeistoczyć się w stan chroniczny, bardzo przewlekły. Powstają także sytuacje, w których pewne, nawet dość szerokie kręgi społeczne zaczynają być zainteresowane w istniejącym bezwładzie. Część klasy robotniczej — ponieważ może w ten sposób uniknąć zbyt surowej dyscypliny pracy przy praktycznej bezkarności. Część chłopów — ponieważ sytuacja stwarza możliwości spekulacyjne. Część inteligencji — ponieważ otwiera się przed nią sporo opartych na konformizmie i kumoterskim możliwości karierowych i materialnych. Niedogodności płynące z anarchii rynkowej równoważone są dla pewnej grupy społeczeństwa możliwością pokątnych zarobków, kumoterskich transakcji, większą ilością wolnego (nie kontrolowanego) czasu na załatwianie swoich spraw itd. Frus-

tracę aktywniejszych kół młodzieży rozładują częściowo wyjazdy na prace wakacyjne, pozwalające „przeskoczyć” kilka lat oczekiwania na mieszkanie czy samochód (dotyczy to oczywiście młodzieży studiującej, a nie robotniczej, której sytuacja jest najcięższa). Wydaje się także, że ów stan bezładu jest na rękę klerowi, umacniając jego pozycję i autorytet”.

W odpowiedzi nr 27 czytamy: „Apatia, jałowość, nuda, stagnacja pod każdym względem. Na tym tle — sporadyczne wybuchy agresji — jako akty rozpacz. Kryzys moralny i intelektualny — równie groźny jak ekonomiczny. Stopniowe przejście do kategorii krajów nie liczących się w świecie pod żadnym względem. Narastanie wrogości między grupami i klasami — częściowo jako wynik odczuwania absurdalności obecnej polaryzacji, a równocześnie poczucie winy, że nie umie się grać inaczej. Jedno z podstawowych zagrożeń to — moim zdaniem — brak szans na zachowanie godności jako zjawiska społecznego”.

Wrogość między grupami społecznymi będzie narastać nieuchronnie. „Szybki rozwój — pisze autor odpowiedzi nr 8 — musiał nieuchronnie pociągnąć za sobą różnicowanie się dochodów, źle odbierane w naszym egalitarystycznym społeczeństwie, a nie do zniesienia w sytuacji stagnacji czy kryzysu, kiedy dla szeregu grup społecznych stopa życiowa się obniża, podczas gdy inni nieźle się urządzają”. „Polskie paradoksy — podkreśla respondent nr 25 — polegają na tym, że są w Polsce wcale niemałe grupy społeczne, dążące do wyśrubowanej, a nawet luksusowej konsumpcji, co sprawia, że nie ma towarów za drogie, które by nie poszły, oraz czyni wrażenie ogólnej zamożności, a także orientuje produkcję i handel właśnie na te grupy. Z drugiej strony istnieją całe warstwy żyjące jeśli nie poniżej minimum socjalnego, to niewiele powyżej, w niedostatku, biedzie, a często na granicy wegetacji i nędzy”.

Autor wypowiedzi nr 7 dodaje: „Sytuacja rozpadu więzi społecznych, przy rosnącej polaryzacji sił społecznych, może przynieść w wyniku konflikty wewnętrzne, których zakresu... nie sposób bliżej przewidzieć i określić”.

Fakt ten może chwilami stwarzać władzy okazję do próby wygrania takich napięć na swoją korzyść. Będzie to jednak korzyść pozorna. W skutkach może to się okazać niezwykle dla niej niebezpieczne. Gniew ludu bardzo bowiem łatwo może się odwrócić od neomieszczańskich dorobkiewiczów i zwrócić ku samej władzy. Bo ona wszak i we własnym i w powszechnym odczuciu jest za wszystko odpowiedzialna. Nie mówiąc już o tym, że i w jej szeregach coraz częściej można znaleźć przykłady ekstraganckiej konsumpcji.

Tak więc przy wariacie okresowego powodzenia taktyki „na przetrwanie” groźba wybuchu również nie zostaje wyeliminowana, wybuch odsuwa się tylko w czasie, przy ciągłym kumulowaniu się napięcia. Świadomość społeczna krystalizuje się, popychana w kierunku buntu przez nieuniknione refleksje. Ten proces tak charakteryzuje autor odpowiedzi nr 9:

„Coraz częściej obserwuję, że ludzie zadają sobie poważniejsze pytania, że powód frustracji leży głębiej. Dlaczego moja praca jest tak mało warta? Na co idą pieniądze, które zarabiam? Czemu, jeśli już muszą na coś iść, nie wiem co to jest? Czemu żadne moje poważne wątpliwości nie mogą być przedstawione na żadnym forum, czemu musi być tak, że boją się je przedstawić? Czemu, żeby osiągnąć wyższe stanowisko, żeby poprawić warunki życiowe swojej rodziny tak często muszą postępować wbrew własnemu sumieniu? Dlaczego i jak to się właściwie stało, że jestem świnią? Kiedy, w którym momencie to zobaczyłem i od kiedy jest mi wszystko jedno?”

Innymi słowy, czynnikiem stymulującym bunt stała się dziś już nie tylko aktywność środowisk opozycji, lecz też i prosta, podstawowa refleksja moralna. I każde kazanie w kościele przypominające o sumieniu, każda książka przypominająca o godności ludzkiej, nawet każda audycja telewizyjna o abstrakcyjnych zdawałoby się tematach uczciwości i szlachetności muszą działać w tej sytuacji niby katalizator protestu.



Omówiliśmy wyżej zagrożenia bezpośrednie, których źródła tkwią w sferze polityczno-gospodarczej. Istnieje jednak inna grupa zagrożeń, wynikających przede wszystkim z błędów szeroko rozumianej polityki społecznej, oświatowej i kulturalnej.

Mamy tu na myśli:

- pogarszający się stan zdrowotności społeczeństwa,
- niepokojące tendencje w dziedzinie edukacji narodowej,
- sytuację w dziedzinie kultury.

Z d r o w i e

I w tej dziedzinie, podobnie jak w wielu innych, informacje o rzeczywistym stanie zdrowia społeczeństwa są niedostępne. Z konieczności zatem ograniczymy się w tym miejscu do zasygnalizowania tylko kilku spraw: sytuacji demograficznej i rodzinnej,

stanu szpitalnictwa, zaopatrzenia w leki, kosztów leczenia, alkoholizmu, stanu środowiska naturalnego.

Przyrost ludności odbywa się u nas głównie poprzez rodziny najuboższe. Rodziny inteligencji i robotników wykwalifikowanych mają zazwyczaj jedno dziecko a jedna trzecia spośród nich nie ma dzieci w ogóle. Zaznacza się wyraźne dążenie do uzyskania wyższego standardu życiowego, a jednocześnie duża część rodzin jest w sytuacji bardzo ciężkiej. Jedna trzecia młodych małżeństw nie ma mieszkania a kolejka oczekiwania na mieszkanie wydłuża się.

Poważnym problemem dla życia społecznego są również inne ciężkie schorzenia życia rodzinnego jak nagminne przerywanie ciąży oraz częste konflikty rodzinne, które powodują rozpad małżeństw i zwiększanie się co roku liczby pól sierot o kilkadziesiąt tysięcy dzieci.

Jeśli idzie o ilość łóżek szpitalnych w przeliczeniu na liczbę ludności, spadliśmy na przedostatnie miejsce wśród krajów obozu socjalistycznego. Nawet w Warszawie liczba ta wynosi zaledwie połowę średniej europejskiej. Stan szpitali miejskich oraz klinicznych jest fatalny, sale chorych są przepełnione, nierzadkie są przypadki, iż ludzie umierają na korytarzach. Właśnie te warunki, spowodowane chronicznym niedoinwestowaniem służby zdrowia, pozwalają mówić o tym, iż dostęp do leczenia, dobrego lekarza, szpitala, aparatury medycznej stał się w skali społecznej dobrem trudno dostępnym. Jednocześnie istnieją luksusowe enklawy dla uprzywilejowanych, zamknięte przed ludźmi nie należącymi do owej grupy. Drastycznym tego przykładem jest lecznica Ministerstwa Zdrowia w Aninie.

Objęcie większości społeczeństwa bezpłatnymi świadczeniami służby zdrowia słusznie zaliczano niegdyś do osiągnięć Polski Ludowej. Obecnie realna sytuacja kształtuje się pod tym względem zupełnie odmiennie. Anomalie i braki w dziedzinie ochrony zdrowia spowodowały, że leczenie wymaga pieniędzy i to wcale niemało. Wymaga też stosunków i protekcji. Dochodzi do oburzających zjawisk: jeżeli się nie zapłaci salowej lub pielęgniarce nie będzie się miało w miarę przyzwoitej opieki szpitalnej, jeśli nie zapłaci się lekarzowi — i jego opieka będzie zdawkowa.

Zaczyna kosztować miejsce w szpitalu, operacja, nie mówiąc już o lekach. Stopniowo następuje różnicowanie ludzi na tych, których stać na porządne leczenie, i tych, których nie stać. Jeżeli obecna sytuacja nie ulegnie zasadniczej poprawie, tych ostatnich będzie przybywało. Gdybyśmy zestawili realne koszty zapewnienia sobie odpowiedniego leczenia specjalistycznego z dochodami, niewykluczone, iż okazałoby się, że połowy

ludności nie stać dziś na takie leczenie. Taka sytuacja jest zagrożeniem dramatycznym. Przeprowadzona przed kilkoma laty reorganizacja systemu służby zdrowia przy jej niedoinwestowaniu, niskich płacach lekarzy, niedostatecznej produkcji sprzętu medycznego — nie poprawiła tej sytuacji. Trudno tu mówić o wszystkich jej konsekwencjach. Odnotujemy takie zjawiska jak rosnąca liczba zakażeń w szpitalach oraz w najwyższym stopniu alarmujące sygnały o wysokiej umieralności niemowląt (pod tym względem jesteśmy w Europie na 5 miejscu od końca). A także ogromny brak sprzętu dla inwalidów od najprostszego poczynając (w Polsce mamy 4,5 mln. inwalidów, w tym 2 mln. w wieku produkcyjnym). Trzeba dodać, iż polski przemysł uważa produkcję dla potrzeb małych dzieci za nieopłacalną, chociaż u sąsiadów (w CSRS i NRD) uznano ją za priorytetową.

Ostatnio nastąpiło załamanie na rynku leków, co wiąże się z zaniedbaniem przemysłu farmaceutycznego. Jak stwierdziła sejmowa Komisja Zdrowia i Kultury Fizycznej, na 2148 pozycji Urzędowego Spisu Leków brakuje stale sześciuset pozycji. Podjęcie przez apteki szpitalne produkcji niektórych leków wykazało ponadto, że w handlu osiągnąć jest w wielu przypadkach dziesięciokrotny zysk na poszczególnych lekach (w porównaniu z kosztami wytwarzania). Zjawisko to stoi w jaskrawej sprzeczności z teoretyczną zasadą bezpłatności służby zdrowia. Jeżeli bowiem cena leku jest ok. dziesięć razy wyższa niż koszt jego produkcji, to nawet jeśli ubezpieczony płaci tylko 30 % tej ceny, akumulacja osiągana na kupionym przez niego leku i tak jest nieprawdopodobnie wysoka.

Gdy mowa o stanie zdrowotnym społeczeństwa, trzeba przypomnieć o nieustabilizowanym i zdeorganizowanym rynku żywnościowym. Po 1976 roku, od momentu, gdy nie udało się jednorazowo podnieść cen żywności, następuje wzrost tych cen w formie ukrytych ale drastycznych podwyżek. Utworzenie sklepów komercyjnych pozwala mówić o rozwarstwianiu się ludności na tych, których stać, i na tych, których nie stać na zaopatrywanie się w drogie wędliny i mięso, czyli na tych, którzy odżywiają się lepiej i gorzej — zależnie od warunków materialnych. Zły stan rynku żywnościowego powoduje, iż niewłaściwe odżywianie staje się udziałem coraz szerszych warstw ludności. Należy sądzić, iż w miarę postępującej inflacji stan ten będzie się pogłębiał. Biorąc pod uwagę fakt, iż w naszym kraju przeważająca część przyrostu naturalnego to dzieci rodzące się w rodzinach o najniższym standardzie materialnym — można i w tym przypadku mówić o realnym zagrożeniu zdrowia społecznego. Warto też przypomnieć, iż według badań prowadzonych przez władze sanitarno-

epidemiologiczne ok. 25 % znajdujących się w handlu środków żywnościowych wykazuje właściwości mniej lub bardziej szkodliwe dla zdrowia, nie mówiąc już o zwykłym fałszowaniu przez producentów wielu produktów żywnościowych. Konsumenci nie mają przy tym praktycznie żadnych możliwości obrony przed tego rodzaju praktykami, a oficjalna działalność kontrolna jest pod tym względem całkowicie nieefektywna.

W sytuacji stałych, poważnych niedoborów na rynku żywnościowym szczególnie drastycznej wymowy nabiera fakt coraz bardziej nasilającego się alkoholizmu. Informacje na ten akurat temat są zresztą znane, nie trzeba ich tu raz jeszcze przedstawiać. Sytuacja jest alarmująca nie mniej niż nieskuteczność apeli i prób podejmowanych dla zwalczenia tego zatrważającego zjawiska. Nie można zresztą mówić o żadnej konsekwencji działań pod tym względem. Należy natomiast zastanawiać się, dlaczego ludzie coraz więcej piją i dlaczego alkohol jest jedynym produktem dostępnym o każdej niemal porze dnia i nocy (mamy 30 razy więcej sklepów z alkoholem niż Szwecja). Według opinii specjalistów i powszechnego odczucia, szerzenie się alkoholizmu wskazuje na głębokie nieprawidłowości życia społecznego. Autor odpowiedzi nr 7, przypomina znane stwierdzenie Engelsa na ten temat, który pisał: „Alkoholizm jest w znacznym stopniu reakcją na frustrację, na brak życiowych perspektyw”. Nie musimy podkreślać, iż właśnie alkoholizm stanowi jedno z najpoważniejszych zagrożeń dla bytu społecznego.



Kiedy mówimy o zagrożeniach biologicznych wynikających z przedłużenia się obecnej sytuacji w naszym kraju, nie możemy pominąć zjawiska nieustannego pogarszania się warunków naturalnych, w jakich żyjemy. Całkowite lekceważenie przez długie lata spraw środowiska naturalnego zostało po roku 1970 zastąpione formalnym uznaniem wagi sprawy, przy czym w praktyce nie zmieniło się nic, albo bardzo niewiele.

Oto kilka faktów. Według *Rocznika Statystycznego* na rok 1978 skontrolowano w roku 1977 90.600 studzien, z których czerpie wodę ludność. Wodę dobrą znaleziono w 5 % studzien, niepewną — w 25 %, złą — w 69,1 %. W roku 1975 zła woda znajdowała się w 44,2 % studzien.

W Wiśle kontrolowanej na całej długości woda klasy I (nadająca się do picia) — 0 %, klasy II (nadająca się dla zwierząt gospodarskich i do kąpielii) — 16,8 %, klasy III (tylko dla przemysłu i dla nawodnień rolniczych) — 54,4 %. Natomiast

woda o takim stopniu zanieczyszczenia, że nie nadaje się już dla żadnych celów wynosiła 28,8 %.

W Odrze jest jeszcze gorzej. Klasa I — 0 %, klasa II — 2,4 %, klasa III — 32,9 %, woda nie nadająca się do użytku — 64,7 %.

Z 803 miast — tylko 336 obsługiwane jest przez oczyszczalnie ścieków. W roku 1977 wypuszczono do rzek 4.321 tys. m³ ścieków komunalnych i przemysłowych wymagających oczyszczenia, ale poddano oczyszczeniu jedynie 2.554 tys. m³.

Zakłady przemysłowe wypuściły w roku 1977 w powietrze 3.439 tys. ton gazów, z czego zatrzymano jedynie 667 tys. ton. Jeżeli dodać, że obecnie, w wyniku trudności energetycznych, większość zainstalowanych elektrofiltrów jest niemal zawsze wyłączona — dojdź musimy do wniosku, że Polska jest jednym z nielicznych krajów na świecie, w których emisje gazów i pyłów przemysłowych w powietrzu odbywa się w sposób niekontrolowany.



Sumując sądzimy, że omówione przez nas zagrożenia, które nazwaliśmy biologicznymi, mają charakter poważny. Każde z nich z osobna tłumaczą poszczególni eksperci władzy w sposób bagatelizujący, przy czym sugeruje się, że ma ono charakter przejściowy. W rzeczywistości jednak mają one charakter trwały i już dziś dają efekty, które pod względem zdrowotnym zaczynają nas wyraźnie spychać do tyłu w porównaniu z resztą Europy, pogłębiająca się zaś nierówność społeczna w sferze zdrowotności zagraża, jak wspomniano, przyszłości biologicznej całego narodu.

Oświata

naszego społeczeństwa to jedno z najbardziej niewątpliwych osiągnięć będących wynikiem przemian społecznych w Polsce powojennej. Rzeczą powszechnie znaną jest ogromny wysiłek państwa i społeczeństwa w pierwszych latach po wojnie, kiedy mimo zniszczeń, braku nauczycieli i środków materialnych zdołano zapewnić całej młodzieży dostęp do oświaty.

Znane są też kłopoty i wady naszego systemu oświatowego. Pisano o nich wielokrotnie, a Raport o Stanie Oświaty zawiera pełną analizę sytuacji naszego szkolnictwa — jego braków i potrzeb. Czyni to niepotrzebnym przypominanie w tym miejscu wielu bardzo nawet ważnych spraw. W ostatnich jednak latach pewne tendencje, których geneza sięga początków okresu powo-

jennego, uległy zaostrzeniu. Im właśnie chcielibyśmy poświęcić w tym miejscu nieco więcej uwagi. Chodzi bowiem o tendencje, które prowadzić mogą do zablokowania podstawowych społecznych, edukacyjnych i wychowawczych funkcji systemu oświatowego. Co więcej, mogą one poważnie — na co zwracało uwagę wielu uczestników ankiety — zaciążyć na przyszłości naszego społeczeństwa.

Chodzi tu o:

- rolę systemu oświatowego jako czynnika ułatwiającego lub utrudniającego awans społeczny,
- nasilenie postaw antyedukacyjnych.

Przyjrzyjmy się kolejno tym sprawom.

W sferze procesów społecznych system oświatowy jest najważniejszym bodaj czynnikiem awansu społecznego. Powszechność, dostępność i drożność tego systemu przesądzają o skali ruchliwości społecznej, a pośrednio decydują o dynamizmie całego społeczeństwa. W tej dziedzinie sytuacja od pierwszych niemal lat po wojnie budziła wiele wątpliwości. Od początku bowiem poszczególne stopnie drabiny oświatowej oddzielone były od siebie różnego rodzaju barierami selekcyjnymi. Od początku nie mieliśmy sprawnego systemu wyrównywania szans młodzieży pochodzącej ze środowisk robotniczych, chłopskich czy małopolskich. I od początku poziom szkół podstawowych i średnich był bardzo zróżnicowany, a dzieci ze szkół gorszych miały niewielką szansę na kontynuację nauki w szkole średniej czy wyższej. Niedługo po wojnie zapadły na domiar decyzje rozbudowania systemu zasadniczych szkół zawodowych, które praktycznie zamykały przed swymi uczniami możliwość dalszego kształcenia. Ten stan rzeczy, wielokrotnie zresztą bardzo krytykowany, wyrządził wielkie, często nieodwracalne szkody. Wystarczy przyrzeć się poziomowi wykształcenia roczników wyżu demograficznego, by uświadomić sobie skalę problemu: około 70 % młodzieży z tych roczników legitymuje się podstawowym (ukończonym lub nie ukończonym) oraz zasadniczym zawodowym wykształceniem.

Od paru jednak lat obserwujemy dalsze pogarszanie się sytuacji. Wynika to stąd, że w ostatnim dziesięcioleciu w związku z ogólnym awansem kulturalnym znacznie wzrosły aspiracje oświatowe społeczeństwa polskiego. Zwiększyła się liczba rodzin, w których rodzice legitymują się wykształceniem średnim lub wyższym, a zatem dążą do zapewnienia swym dzieciom wykształcenia co najmniej równego własnemu. Jednocześnie od końca lat sześćdziesiątych do szkół ponadpodstawowych wchodzić

zaczęły roczniki wyżu demograficznego. Tymczasem liczba miejsc w szkołach ponadpodstawowych, szczególnie typu maturalnego, rosła w tempie pozwalającym zaspokoić zaledwie najniezbędniejsze potrzeby wyżu. Nie poprawiły się natomiast żadne wskaźniki procentowe przyjęć, tłok w szkołach był większy, a warunki nauczania gorsze.

W efekcie zaostrzył się konkurs do szkół średnich i wyższych, a wobec rosnącego zróżnicowania materialnego w konkursie tym znaczną rolę zaczęła odgrywać sytuacja materialna rodziców (pozwalająca np. na opłacanie korepetytorów), ich sytuacja zawodowa, stanowisko i udział we władzy — słowem możliwości protekcji. Gwałtownie zaś zmalały szanse młodzieży ze środowisk robotniczych, chłopskich czy małomiasteczkowych.

W miarę upływu lat i rosnącego rozwarstwienia ludności naszego kraju różnice szans nieustannie rosły i dziś o dostępie do oświaty w bardzo dużym stopniu decydują takie czynniki, jak pozycja zawodowa i majątkowa rodziców. Niedawno przeprowadzone badania wykazały np., że współcześnie dziecko, którego rodzice mają wyższe wykształcenie, ma 7,5 raza więcej szans pozostania w warstwie inteligencji, niż dziecko robotnika rolnego na wejście do warstwy inteligencji.

Władze oświatowe podejmowały szereg prób przynajmniej złagodzenia tej sytuacji. Służyć temu miały m.in. gminne szkoły zbiorcze i akcja dokształcania nauczycieli. Chroniczny brak funduszy na inwestycje, remonty i wyposażenie szkół, a także brak środków dowożenia dzieci do szkół zbiorczych w wielkim stopniu wysiłki te uczyniły daremnymi.

Dziś można więc mówić o istnieniu przywileju oświatowego i dziedziczności statusu, a nawet o klasowym charakterze oświaty. W konsekwencji duża część zdolnej młodzieży zostaje pozbawiona możliwości kształcenia się z naruszeniem podstawowych zasad sprawiedliwości i wielką szkodę dla naszego kraju.

Opisane wyżej procesy wzmocnione zostały wspomnianym uprzednio nasileniem postaw antyedukacyjnych. Te postawy od dawna zresztą z różnym nasileniem występowały w rozmaitych okresach i różnych ośrodkach decyzji. Ich wyrazem była m.in. omówiona wyżej zasada prymatu szkolnictwa zawodowego nad ogólnokształcącym, o której respondent nr 25 tak oto pisze: *„Utrwalił się u nas w oświacie wzorzec, który od wielu lat daje przewagę kształceniu przede wszystkim zawodowemu, pojętemu jako wąskie kształcenie rzemieślnicze, nad wykształceniem ogólnym. Proporcje między absolwentami ósmej klasy, którzy szli dalej do szkół zawodowych niższego szczebla, a tymi, którzy*

dostawali się do szkół maturalnych różnego typu kształtowały się na stałym niemal poziomie 60 : 40. W pierwszym okresie industrializacji, gdy wielkie masy ruszyły ze wsi na budowy i do miast, owa tendencja była w pewnym stopniu zrozumiała. Ale model ten wykazał wielką trwałość... I od lat już szkoły zawodowe niższego stopnia, dające bardzo mizerne i wąskie wykształcenie, stały się po prostu głównym hamulcem awansu oświatowego naszego społeczeństwa”.

Przejawiały się te postawy również w ogólnej polityce finansowania oświaty, chronicznie niedoinwestowanej, w płacach nauczycieli. Wydawało się jednakże, że po raporcie o stanie oświaty i decyzjach o wprowadzeniu obowiązkowej 10-latki sytuacja się poprawi. Że uwzględnione zostaną postulaty wyrównania szans młodzieży z różnych środowisk. Przede wszystkim zaś, że reforma oznaczać będzie znaczne podniesienie poziomu wykształcenia ogólnego młodych robotników. Tymczasem stało się inaczej. Dziś wiadomo już, że wbrew zgodnej opinii działaczy oświatowych i wbrew chyba nawet opinii władz oświatowych istnieje tendencja utrzymania dotychczasowych proporcji kształcenia i kierowania po 8 klasie 60 % młodzieży do zasadniczych szkół zawodowych. Zrealizowanie tego oznaczałoby całkowite przekreślenie reformy oświatowej. Biorąc zaś pod uwagę, że istnieje koncepcja, by droga z 10-latki na studia wyższe prowadziła przez tzw. dwuletnią szkołę specjalizacji kierunkowej, mielibyśmy nawet do czynienia ze znacznym pogorszeniem w stosunku do obecnej sytuacji. Zamiast dwóch progów selekcyjnych — po ósmej klasie i po liceum, istniałyby trzy progi: po ósmej klasie, kiedy 60 % młodzieży szłoby do szkół zawodowych, po 10 klasie i po dwuletniej szkole. Realizację tego pomysłu można by tłumaczyć jedynie w ten sposób, że postanowiono świadomie pozbawić młodzież warstw słabszych ekonomicznie oraz młodzież robotniczą i chłopską korzyści płynących z przedłużenia o dwa lata obowiązku szkolnego.

Należy podkreślić, że za taką decyzją nie przemawiają żadne względy merytoryczne. Biorąc pod uwagę stopień rozwoju kraju mamy za mało ludzi z wykształceniem średnim i za mało ludzi z wykształceniem wyższym. Poza tym jest dziś banałem teza, że o rozwoju oświaty nie mogą decydować jedynie względy kadrowe. I że oświata stała się wartością samą w sobie, wartością lokującą się na pierwszym miejscu w sferze aspiracji życiowych.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że nieuwzględnienie tych potrzeb, uczynienie z oświaty dobra rzadkiego, niedostępnego dla ogółu społeczeństwa i faktycznie zastrzeżonego dla niektórych

tylko warstw dowodzi po prostu lęku przed społeczeństwem oświeconym, przed oświeconą klasą robotniczą i chłopską.



Lista problemów z jakimi boryka się nasz system oświatowy jest bardzo długa.

— Niskie uposażenia i niski prestiż zawodowy wpłynęły na to, iż od dawna obserwujemy selekcję negatywną do zawodu nauczycielskiego. Nauczyciele są przeciążeni licznymi zajęciami pozadydaktycznymi, często niedostatecznie wykształceni, a do tego, jak wykazują badania, około 50 % nauczycieli popada w wewnętrzny konflikt moralny wynikający z konieczności mówienia czegoś innego niż to co myślą. Sprawia to, że obniżył się autorytet moralny nauczyciela, jego prestiż jako wychowawcy, kształtującego osobowość i stosunek młodzieży do świata wartości.

— Programy szkolne są przeładowane, często po prostu nie-
zbyt dobre, a w niektórych przedmiotach, jak historia czy język polski, pełne przemilczeń i zniekształceń, co w zasadniczy sposób podważa w oczach uczniów autorytet szkoły.

— Szkoła od dawna przestała być środowiskiem wychowującym, nie kształtuje postaw młodzieży, nie uczy jej samodzielności myślenia i nie przygotowuje do prawdziwego uczestnictwa w życiu politycznym i kulturalnym.

— Wysoce niepokojąca jest sytuacja w szkolnictwie wyższym. Powstała tu zgoła paradoksalna sytuacja. W ostatnich paru latach nastąpiło bowiem znaczne ograniczenie przyjęć na studia i szkoły wyższe już dziś mają charakter elitarny. A zarazem — na skutek chronicznego niedoinwestowania — szkoły te cierpią na brak pomieszczeń, wyposażenia, kadry dydaktycznej i nie są w stanie należycie wywiązywać się ze swych obowiązków.

Każda ze wspomnianych spraw — a nie wyczerpują one listy zarzutów, jakie można by skierować pod adresem naszego systemu oświatowego — wpływa w niekorzystny sposób na poziom wykształcenia naszego społeczeństwa. Każdą można by potraktować jako źródło zagrożeń dla kultury polskiej.

Jednakże — jak sądzimy — dla przyszłości samego narodu najpoważniejszym zagrożeniem jest omówione wcześniej niewywiązywanie się systemu oświatowego ze swych podstawowych funkcji społecznych i owe postawy antyedukacyjne. Utrzymywanie się tych tendencji oznaczałoby rezygnację z podstawowych wartości socjalistycznych, groziłoby głębokim i trwałym rozwar-

stwieniem społeczeństwa a na dalszą metę — jego intelektualną degradacją z wszystkimi płynącymi stąd konsekwencjami.

Twórczość i kultura

Oceniając zagrożenia, jakie niesie ze sobą sytuacja w dziedzinie kultury, można by je przyrównać do omówionych wyżej zagrożeń w dziedzinie oświaty, są one bowiem ze sobą nierozłącznie związane. Trzeba jednak wyraźnie wyróżnić dwa obszary, w których istniejąca sytuacja i sposób, w jaki realizowana jest polityka władz — działają szczególnie niekorzystnie. Mowa tu o stanie twórczości kulturalnej i o stanie upowszechnienia kultury wśród szerokich warstw społeczeństwa, które w założeniu miały stać się, zwłaszcza upowszechnienie, jedną z głównych legitymacji ustroju socjalistycznego.

W twórczości artystycznej wszelkiego rodzaju kraj nasz zapisał na swoje konto wiele osiągnięć najwyższej rangi, chociaż działo się to często w walce ze stawianymi oficjalnie przeszkodami i nieraz wbrew oficjalnym tendencjom. Powstało jednak wiele wybitnych dzieł, zwłaszcza w muzyce, teatrze, filmie, a także i w literaturze. Jednakże zarówno w pierwszej, jak i w drugiej dziedzinie od dłuższego czasu działają hamulce, które stawiają pod znakiem zapytania zwłaszcza perspektywę w tej dziedzinie.

Odrębnym zagadnieniem, któremu poświęcimy więcej miejsca w rozdziałach następnych — jest kwestia cenzury. Dotyczy ono zresztą w równej mierze kultury, jak nauki i oświaty. Charakterystyczny jest głos uczestnika nr 20, który napisał:

„Najsilniej działają na myśli i wyobraźnię współczesnych wzory zawarte w historii im najbliższej. Losy naszych starszych braci, naszych ojców, naszych dziadów interesują nas najżywiej. Ogromne zainteresowanie, również młodego pokolenia, szeregiem wartościowych publikacji, które ukazały się u nas w związku z 60-tą rocznicą odzyskania niepodległości, potwierdza prostą prawdę, że twórcza myśl historyczna poszukuje w przeszłości korzeni dnia dzisiejszego. Stanowczo trzeba uznać za szczęśliwą decyzję władz uczczenia 60-lecia odzyskania bytu naszego państwa; przy tej okazji wyszło sporo istotnych książek, ukazało się kilka ważkich filmów, przełamano milczenie wokół pewnych wydarzeń i postaci. Co prawda i tym razem tak pożądaną inicjatywę częściowo utopiono w asekuranctwie i w fobiach pewnych sił wobec tak zwanej „Polski sanacyjnej”, włączono mechanizmy hamujące, zatrzymano (lub drastycznie ograniczono ich zasięg) różne publikacje, odłożono na półki filmy (np. znakomity film

telewizyjny o Grocie-Roweckim). Ale mimo tych wszystkich niekonsekwencji — obchody 60-lecia niepodległości były z pewnością wydarzeniem godnym odnotowania. Rzecz w tym, żeby raz jeszcze nie uznano sprawy za 'odfajkowaną' i nie powrócono teraz bądź do 'wyciszania' tematu, bądź do bezceremonialnego traktowania go w koniunkturalnie propagandowych wersjach. Źródła świadomości publicznej współczesnych Polaków biją w wieku XIX-tym (zwłaszcza w drugiej jego połowie) i w pierwszej połowie naszego stulecia. W tych czasach kształtowała się nowoczesna myśl polityczna, rysowały podziały i dokonywały wybory do dziś jeszcze często aktualne. Toteż młody człowiek szukając źródeł swojej ideowej tożsamości będzie się zwracał najpierw właśnie ku tym najbliższym mu dziesięcioleciom: a jeśli jest studentem urodzonym około roku 1960, to oczywiście będzie go przede wszystkim interesowała prawda dziejów Polski Ludowej. I czegoż dowie się z podręczników akademickich, z opracowań tak zwanej historii współczesnej, z całej literatury? Co wyczyta o roku 1948, 1968, 1970-tym? Będzie miał do czynienia z opisem, jak partia wiodła naród krok po kroku konsekwentnie do coraz to nowych osiągnięć, jak realizowane były założenia i cele systemu socjalistycznego. I bardzo prędko, najpierw wyobraźnią a potem resztą myśli odwróci się od tej monotonii zakłamania. Okres wojny i okupacji zakłamywany jest szczególnie w tych fragmentach, które dotyczą stosunków polsko-radzieckich".

W innym fragmencie tej wypowiedzi czytamy: „Był czas, nie tak dawno przecież, kiedy nawet 'Dziady' nie mogły się ukazać na polskiej scenie. Dziś ten klasyczny kanon narodowy ma swoje miejsce w polityce kulturalnej. Jest to jednak miejsce obwarowane; mimo wielokrotnych prób nie mogą zostać sfilmowane ani 'Wierna rzeka', ani 'Syzyfowe prace', ani 'Uroda życia', ani 'Echa Leśne'. Na próżno też od paru ładnych lat podejmowane są próby uzyskania zgody na ekranizację takich współcześnie napisanych powieści historycznych jak Terleckiego 'Spisek', czy 'Czarny romans' lub J. J. Szczepańskiego 'Wyspa'. (W tym ostatnim przypadku odmowę powodował fakt, że bohaterem książki jest Aleksander Berezowski — carobójca — zresztą niedoszły!). Cały ten negatywny program polskiej kinematografii sformułował przed paroma laty pewien działacz — mówiąc, że w polskim filmie mundur rosyjski (również ten carski) nie ma prawa wywoływać nieprzyjaznych skojarzeń...”.

Zdaniem uczestników ankiety, podejmujących tę kwestię, polityka uprawiana dziś w Polsce wobec kultury zagraża polskiej tożsamości narodowej.

Znajduje ona m.in. wyraz w szykanach i restrykcjach, jakie

spotykają każdego twórcę, który ośmielił się wyrazić własne zdanie, odrębne od poglądów oficjalnie usankcjonowanych. Ludzi tych z uporem się prześladowe, skazując wielu na „nieistnienie publiczne”; premiowane są przede wszystkim postawy konformistyczne. W rezultacie zniknęło ze sceny życia kulturalnego sporo najświetniejszych nazwisk. Przedłużania się takiego stanu rzeczy może mieć dla kultury i życia umysłowego skutki jak najgorsze.

W sferze upowszechniania kultury, podobnie jak w oświeceniu, Polska Ludowa zanotowała początkowo poważne sukcesy. Niestety, dziś już o nich mówić nie można. Cytowany wyżej autor tak widzi regres powszechnej dostępności kultury i konsekwencje społecznego tego regresu:

„Smętny obraz Polski osiedlowej, jednakowej w kształcie nowych okolic Podkarpacia i Pomorza, Nadodrza i Podlasia, tylko do pewnego stopnia tłumaczy się przemysłowym charakterem budownictwa. W tych jednakowych kształtach osiedli odbija się również brak miejscowej inicjatywy i pomysłu. Odbijają się tam jednakowe w całej Polsce imprezy w klubo-kawiarniach Ruchu, w klubach Książki lub w klubach osiedlowych. W jednako zaplanowanych mieszkaniach modelowa rodzina żyje rytmem pracy i wypoczynku zaplanowanym od góry, z telewizją jako źródłem powszechnych wzruszeń. Nie ma co się cieszyć z takiej jedności. W tej jedności energia i twórcze zdolności społeczeństwa spoczywają uspięne, ludzie nawet nie podejrzewają w sobie szansy twórczego istnienia. Wepchnięci w bytowanie, dla którego ideałem staje się konsumpcyjna stabilizacja, tracą tę szansę z dnia na dzień, z roku na rok, coraz bardziej nieodwołalnie. I jednocześnie traci tę szansę pozbawiony energii narodu kraj”.

Trudno nie wspomnieć także o regresie bazy materialnej kultury: kurczą się zasoby papieru na książki i liczba kin, zmniejsza się sieć dostępnych powszechnie bibliotek i maleją ich możliwości powiększania księgozbiorów; niedawno minister Kultury oświadczył komisji sejmowej, że nie zostaną wydrukowane nawet potrzebne podręczniki.

W Początkach Polski Ludowej rozbudzone masowe potrzeby czytelnicze — dziś wartościowa książka stała się w Polsce towarem deficytowym, sprzedawanym spod ludy na podobieństwo importowanych towarów luksusowych. Opracowanie egzekutywy POP przy Związku Literatów przedstawiło dobitne tego dowody, nie musimy więc jeszcze raz powracać do szczegółów. Nie zaspokaja się w dostatecznym stopniu ani wysoko rozwiniętych potrzeb wykształconej publiczności czytającej, ani czytających robotników

i chłopów. Dobra literatura dziecięca stała się czymś niemal całkowicie nieosiągalnym. Brakuje podręczników, słowników, książek fachowych. Polska przemienia się z wolna w kraj deficytu słowa drukowanego, zajmując w tej dziedzinie już dziś jedno z ostatnich miejsc w Europie. I nie są to trudności przejściowe, lecz stan, który pogarsza się od wielu lat.

Z jednej więc strony działają ograniczenia cenzuralne, z drugiej ograniczenia typu materialnego, które powodują chroniczne niedoinwestowanie wszystkich dziedzin kultury oraz cięcia finansowe wynikające z lekceważenia jej potrzeb. Ten stan odbija się w jednakowym stopniu na obszarach działalności kulturalnej: twórczości oryginalnej i upowszechnieniu. Przez pewien czas wyraźnie dominowała tendencja (wynikająca z głębokiego niezrozumienia istoty potrzeb kulturalnych) zastąpienia obu dziedzin (a zwłaszcza upowszechnienia) telewizją. Było to oczywiście nieporozumienie, dziś rezygnuje się nawet i z tego. Działalność telewizji jest coraz silniej podporządkowywana doraźnym, instrumentalnym potrzebom propagandowym i zanikają w niej nawet owe dawne ambicje.



Wśród ludzi mających głos decydujący w Polsce, zarówno w aparacie politycznym, jak i wśród wyższego i średniego kierownictwa gospodarczego, można nieraz, gdy mowa o kulturze, usłyszeć zdanie: „nie stać nas na takie luksusy: na to czas przyjdzie później”. Jednakże ten czas wciąż nie nadchodzi, a mowa jest nie o luksusach, lecz o jednej z najważniejszych spraw w Polsce. W naszym kraju kultura od dawna odgrywa rolę ogromną. To ona umożliwiła narodowi przetrwanie w latach zaborów, to ona w wielkiej mierze pozwoliła narodowi uratować swą tożsamość. Dowiodła tego również jej rola integrująca w okresie okupacji hitlerowskiej. Dlatego ograniczanie, amputowanie i przymusowe spłykanie kultury narodowej jest sprzeczne z podstawowym interesem narodu polskiego. Kultura nie jest luksusem. Należy do wartości podstawowych, podobnie jak inne, o których mówi się w tym rozdziale.

Zagrożenie bezpośrednie i długofalowe, o których mówiliśmy mają — zdaniem uczestników ankiety — decydujący wpływ na

stan moralny społeczeństwa.

Autor odpowiedzi nr 3 napisał:

„W pokoleniu najbardziej aktywnym zawodowo widać zmę-

czenie i apatię. Stary entuzjazm ZMP uległ erozji, wielokrotne rozczarowania nauczyły pragmatyzmu życiowego. Większość ludzi unika ryzyka jakiejkolwiek innowacji tłamszonej najpierw we własnym środowisku, a następnie przez anonimowe władze różnych szczebli.

W moim głębokim przekonaniu kryzys, jaki przeżywamy, ma przede wszystkim charakter polityczny. Uzyskałszy taki etap rozwoju sił wytwórczych, technologii, oświaty, że stare, inercyjne struktury polityczne zaczynają hamować i paraliżować... rodząc olbrzymie marnotrawstwo i system antybodźców..."

Wedle uczestników ankiety zły stan moralny społeczeństwa, co do którego zgodni są wszyscy uczestnicy ankiety (i który niejednokrotnie potwierdzają również publicyści w masowych środkach przekazu) bierze się przede wszystkim właśnie stąd: ze świadomości ogromnego marnotrawstwa środków, przede wszystkim zaś energii społecznej, dobrej woli i zdolności. Trudno bowiem przekonać ludzi, aby pracowali dobrze i przejawiali gospodarski stosunek do dobra publicznego, gdy widzą wokół siebie jak wielkie bogactwa są marnowane złym zarządzaniem i nieprzemyślanymi decyzjami, jak pełni się korupcja, a jej nosiciele są chronieni, jak przedstawiciele średniego szczebla władzy, a często i wysokiego, ciągną z faktu sprawowania władzy ogromne korzyści, korzystając z licznych przywilejów kosztem dobra publicznego (np. budowanie niemal za darmo luksusowych rezydencji). I jak kolejno rezygnuje się *de facto* z realizacji podstawowych haseł ustroju socjalistycznego: sprawiedliwości społecznej, równości, powszechnego dostępu do oświaty i kultury, równości szans, powszechności wczasów itp., od ludzi pracy domagając się jednocześnie poświęceń, ograniczeń i rezygnacji.

Uczestnik nr 20 pisze: „*Władza odzwyczaiła społeczeństwo od wszelkiej oddolnej krytyki, od autentycznej inicjatywy. Ustanowiwszy się w roli jedynej i bezkonkurencyjnego dysponenta, spowodowała wytworzenie się w społeczeństwie nastawienia w odruchu czekania na dyspozycje z góry. Jeszcze jednego dowodu na taki stan ducha dostarczyła miniona 'katastrofa' zimowa. Taki stosunek do władzy jako do wyłącznego dyspozytora mocy doskonale kojarzy się z krytyczną, łagodnie mówiąc, oceną jej działania, z pogardą wobec nieudolnych, a często i nieuczciwych jej przedstawicieli na różnych szczeblach. Te skrajnie negatywne oceny kierownictwa w połączeniu z zakodowaną w świadomości ludzi wyłącznością wszelkich decyzji, jako przypisaną górze, przyczyniają się do wytworzenia fatalnego kompleksu narodowej niemożności"*

„Popadając w coraz głębszą bierność wobec wspólnego dobra

i dorobku, jakim powinno być państwo — pisze uczestnik nr 20 — ludzie kierują całą swoją aktywność w stronę zabiegów wokół swoich spraw prywatnych. Zależność między rozwojem ogólnospołecznym a interesem osobistym jest w powszechnej świadomości raczej iluzoryczna. Obywatel jest na ogół przekonany, że poprawa warunków życia — jego i jego rodziny — zależy nie od tego, jak rośnie produkcja przemysłu i rolnictwa, ale od tego, jak on sam potrafi się urządzić, jakimi układami zabezpieczyć sobie przydziały i otworzyć perspektywy dla dzieci, jakimi łuchami i chałturami zaspokoić potrzeby życia. Taki stan ducha jest w pewnym sensie wygodny dla ludzi sprawujących władzę, jeśli ich główną dyrektywą działania pozostaje utrzymanie się na stanowisku. Tacy decydenci potrafią grać na zdegenerowanych nastrojach konsumpcyjnych, potrafią pobudzać łaknienie, stawiać na 'rwaczy', potrafią wikłać swoich podwładnych w system premiiwanej zależności, szafować łaskami (zwalniać z podatków, przydzielać talony itp.). Ludzie, często niepostrzeżenie dla samych siebie, grzęzną we wszechogarniającej sieci tych układów. I nawet jeśli z natury nie są pozbawieni charakteru, w pewnym momencie tracą perspektywę odmowy, zaczynają cenić ten układ, który zabezpiecza im jakoś codzienną egzystencję, przestają być zainteresowani w naruszaniu porządku”.

W ten sposób w ciągu lat, zwolna, ale konsekwentnie, zaczęły się zatracać wielkie wartości wykazane przez nasze społeczeństwo w latach okupacji i w pierwszych latach odbudowy, wartości, które jeszcze dwukrotnie ujawniały się na krótki czas (po roku 1956 i 1970), i dwukrotnie zostały zepchnięte w cień jako coś niepotrzebnego i wręcz podejrzanego. Dlatego znowu tak bardzo są potrzebne wielkie wartości polskiej klasy robotniczej, które uformowały się w latach dawniejszych a o których Maria Dąbrowska pisała:

„Gdyby robotnicy nie mieli poczucia moralności zawodowej, gdyby nie kochali, nie cenili swej pracy i nie chcieli jej wykonywać, jeśli pomimo słusznego niezadowolenia z kapitalistycznych porządków — nie wykonywaliby jej jak najlepiej — nie wytworzyłaby się wcale tak wspaniała postawa godności pracującego człowieka i to surowe poczucie ważności pracy, które umożliwiło robotnikom odegranie wielkiej roli w kształtowaniu nowoczesnej demokracji”.

Właśnie brak demokracji, brak udziału w decyzjach i zanikające w związku z tym poczucie współodpowiedzialności sprawiły, że to, co rozwinęło się w latach kapitalizmu, w warunkach istnienia bezrobocia, poczucia krzywdy społecznej i w ustroju o ostrych rysach klasowych, dziś, po 35 latach budowy ustroju socjalistycz-

nego rozwiewa się i ginie, wywołując irytujące i jałowe narzekania publicystów i rządzących na społeczeństwo i wady narodowe.

Narzekaniami tymi nie sposób osiągnąć niczego. Podobnie jak już wspomnianymi, manewrami i manipulacją. Zakończymy ten rozdział urywkiem wypowiedzi uczestnika nr 10: „... *jest coraz bardziej wątpliwe, czy problemy gospodarcze mogą być skutecznie rozwiązywane bez spełnienia wstępnych warunków polityczno-społecznych, które polegałyby na odbudowie minimalnego choćby zaufania do kierownictwa, wiary w sens dobrej pracy i możliwość pracy dla siebie, poczucia proporcjonalności nagrody do zasługi itd. ... nie należy (nawet w wypadku spełnienia owych warunków) oczekiwać w wyobrażalnej przyszłości takiej zmiany ekonomicznej, która zapewniłaby naszemu społeczeństwu obfitość dóbr, pozwalającą na zaspokojenie aspiracji ukształtowanych na wzorach najzamożniejszych krajów kapitalistycznych. Wiadomo już dzisiaj, że socjalizm nie daje żadnych bezterminowych gwarancji szybkiego wzrostu gospodarczego, który prowadziłby w sposób konieczny do 'dogonienia' Zachodu'.*”

W tych warunkach zasadniczego znaczenia nabiera, zdaniem autora, problem, na ile przy jednoczesnym ogólnym zaakceptowaniu modelu umiarkowanej zamożności społeczeństwo nasze przyjmie jako źródła prestiżu i satysfakcji inne wartości, niż konsumpcja i posiadanie.

„*Od tego — pisze autor — zależy przyszłość socjalizmu w Polsce. Przyszłość w najwyższym stopniu niepewna wobec erozji socjalistycznego systemu wartości, jaką obserwować można na każdym kroku.*”

I może właśnie niepokojący stan moralny społeczeństwa, który objawia się coraz gorszymi stosunkami między ludźmi, nieuczuciwością, obojętnością wobec spraw wspólnych, rozpadem więzi społecznych — jest największym zagrożeniem, przed jakim stoimy.

Rozdział V

O STOSUNKACH MIĘDZYNARODOWYCH I SUWERENNOŚCI POLSKI

Zbliżamy się teraz w naszym opracowaniu do kwestii najważniejszej i najtrudniejszej zarazem: konstruktywnych wios-

ków, czyli dróg prowadzących do naprawy Rzeczypospolitej. A kiedy o tym mowa, wówczas na czoło wysuwa się w przekonaniu uczestników ankiety sprawa suwerenności, panującego układu stosunków międzynarodowych i uwarunkowań zewnętrznych.

Uczestnik nr 17 pisze: „Polacy są narodem, dla którego sprawa suwerenności ma wartość najwyższą. Można oczywiście powiedzieć, że dla każdego narodu suwerenność jest sprawą najważniejszą i będzie to prawda, ale nie wszystkie narody miały, jak my, możliwość przekonać się jak łatwo utracić niepodległość i jak trudno ją odzyskać. A także o tym, że utrata niepodległości może grozić zagładą tożsamości narodowej, a nawet po prostu zagładą biologiczną. Dlatego każdy Polak ma od dzieciństwa wręcz zakodowane w podświadomości przeświadczenie, że niepodległość jest sprawą narzędną, której warto i trzeba wszystko poświęcić i podporządkować”.

Jednakże opinia społeczna w Polsce, zdaniem uczestników, dostrzega istnienie głębokiej sprzeczności między interesami Polski a całością istniejącego układu stosunków międzynarodowych, między interesami sił zewnętrznych a naszymi interesami narodowymi.

Uczestnik nr 4 pisze: „Reforma systemu politycznego nie może w skutkach swoich naruszać istniejącego układu sił międzynarodowych w Europie i musi liczyć się we właściwym zakresie z uwarunkowania zewnętrznymi”.

Nikt z uczestników ankiety nie kwestionował tego punktu widzenia.

Poczucie owej niezgodności istniejącego obiektywnie układu a aspiracjami narodowymi Polaków budzi głębokie urazy i niepokoje, a w chwilach przełomowych może się skumulować w potężny ładunek zdolny do wstrząśnięcia całym życiem społeczeństwa, jego instytucjami i utrwaloną systemem równowagi międzynarodowej. Dlatego nikomu nie wolno go lekceważyć. Emocje związane z tym stanem rzeczy od dawna przekształciły się w realny czynnik społeczny poważnie wpływający na atmosferę życia w kraju, są zatem w polityce, jako sztuce uwzględniania faktów, siłą realną — i to zasadniczej wagi.

Uczestnik nr 35 pisze: „Niewiele istniejących dziś na mapie politycznej świata narodów ma za sobą podobne do nas doświadczenia. Niewiele ma w swym dziejowym bagażu tyle blizn, krzywd i zapóźnień. Były one — i są nadal — konsekwencją lat narodowej niewoli. Siła napięcia naszej świadomości narodowej wypływa z tamtych lat. Lat walki o przetrwanie, o zachowanie

wanie własnej tożsamości narodowej, o odbudowanie własnego państwa”.

Uczestnik nr 36 uzupełnia ten obraz:

„Wystawiliśmy po stronie aliantów czwartą co do liczebności armię. Ponad milion Polaków walczyło na wszystkich europejskich frontach Drugiej Wojny Światowej, nie licząc armii podziemnej. Walczyliśmy, w odróżnieniu od innych, od pierwszej do ostatniej chwili, ponosząc największe procentowo straty ludzkie i materialne. A mimo to okazaliśmy się jedynym wielkim liczebnie narodem Europy, któremu nie było dane samodzielnie stanowić o swoim losie. Byliśmy zbyt wyniszczeni, a zatem zbyt słabi, w polityce zaś warunki stawiają silni. Ale pamięć ludzka nie ocenia rachunków krwi wedle prostej kalkulacji siły, lecz według wartości, jaką ta krew w sobie zawierała. Trudno zapomnieć, że w fazie narodzin obecnego układu europejskiego o losach całych narodów decydowało często złe lub dobre samopoczucie poszczególnych mężów stanu, posiadanie lub też brak dostatecznie zręcznych reprezentantów politycznych o silnych osobowościach i dużym autorytecie — a nie zrozumienie dla potrzeb i poglądów milionów ludzi”.

Suwerenność i tożsamość narodowa

Uczestnik nr 20 pisze:

„Świadomość ograniczonej suwerenności narodowej... Ta doktryna, która znalazła wyraz w artykule Konstytucji PRL mówiącym o sojuszu i przyjaźni z ZSRR jako zagwarantowanym obowiązku politycznym Polski ciąży bardziej lub mniej dotkliwie (zależy w jakim środowisku i w jakich okolicznościach) na obywatelskim samopoczuciu Polaków, wyznacza ich ambicji związanej z losem narodu pewien pułap ograniczający, ustawia wobec ościennego (choćby nawet szczerze akceptowanego jako rzeczywisty sojusznik historyczny) państwa w roli członka zbiorowości podporządkowanej. Jest to nacisk o zmieniającym się natężeniu, na ogół odczuwany jako głuchy, ćmiący, wszechobecny czynnik obojętniający. Kierownictwo partii i państwa a przynajmniej pewni jego przedstawiciele zdają się nie dostrzegać jak hamująco wpływa na działanie pozamaterialnych motywacji obywatelskiej aktywności ów kompleks 'zależności'. Podbudowuje się więc patriotyczną dumę Polaków, powołując z przeszłości obrazy dawnej chwały, osiągnięć i sukcesów narodu...”.

Rozumiejąc w pełni jak bardzo to trudny, delikatny i złożony problem, uczestnicy ankiety widzą jednak nie tylko konieczność,

ale również — co istotniejsze — możliwość przemian i poprawy w tym zakresie. Rozumieją oni — powtarzamy to jeszcze raz — że skutki istniejącej sytuacji rodzą napięcia, uczucie buntu i frustracji, zagrażają pokojowi wewnętrznemu, przynoszą złowrogie skutki polityczne, co z kolei źle wpływa na wszystkie dziedziny działalności państwowej i życia społecznego. Pamiętają, że znaczenie suwerenności jest dla narodu polskiego tak wielkie, że wszelkie naruszenie w tej dziedzinie gromadzi potężny i groźny ładunek napięć. Ale wskazują też, że dzieło naprawy musi zostać rozpoczęte od zmian w podejmowaniu tej kwestii wewnątrz kraju, w stosunkach wewnętrznych; musi być zapoczątkowane przyjęciem zasady otwartości i rzeczowości, dopuszczeniem do szczerzej dyskusji, rezygnacji z ukrywania prawdy.

Albowiem, jakkolwiek by na sprawę nie spojrzeć, trzeba dojść do wniosku, że dotychczasowe metody nie zdały egzaminu.

Uczestnik nr 2 pisze:

*„Głębokie przeobrażenia, jakim podlega społeczeństwo polskie oraz wewnętrzne i zewnętrzne warunki jego istnienia i rozwoju są przyczyną zakłóceń w tożsamości narodowej. Przejawia się to m.in. w wypaczonym stosunku do historii i tradycji narodowej oraz do wartości odziedziczonych i kształtujących postawy wobec współczesnych i przyszłych celów i zadań. Brak prawidłowego rozwoju różnorodnych wątków myśli i świadomości narodowej (w tym równie światopoglądowych), jest konsekwencją mechanicznego ograniczania dyskusji i twórczych poczynąń, jeśli tylko wydają się one odchyłać od przyjętych na danym etapie oficjalnych sformułowań. Odruchy samoobrony, nacechowane często nadmiernym udziałem emocji i negatywizmu, mogą być również groźne... Ujmując rzecz paradoksalnie: niebezpieczeństwa dla zdrowego rozwoju tożsamości narodowej występują zarówno pod postacią serwilistycznego i konformistycznego poddawania się... uproszczonym formułom... jak i pod postacią bazującego na emocjach 'antysowietyzmu', bowiem tożsamości narodowej nie można opierać na zasadzie przeciwstawiania się, negacji. Tożsamość narodowa jest dziedzicem całej, a nie tylko przebranej przeszłości narodu, przyjętej krytycznie, ale rzetelnie przez współczesne pokolenie Polaków. Tożsamość narodowa to poczucie jedności dążeń mimo różnic poglądów i stanowisk, które to różnice nie zawsze mogą być uzgodnione, lub wyeliminowane (mechaniczna ich eliminacja prowadzi tylko do pozornej jedności)”.
I jeszcze uczestnik nr 20:*

„Rejestrem tematów objętych ścisłym zakazem poruszania w publikacjach... tłumieniem wypowiedzi niczego się nie załatwi.

Niechć, ogłędnie się wyrażając, do Związku Radzieckiego nabrała w szerokich kręgach naszego społeczeństwa wręcz patologicznego zabarwienia. Ile razy byliśmy zaszokowani widząc chorośliwie wrogą reakcję tłumów na występach sportowców radzieckich. Ale nasi decydenci, jeśli nawet dostrzegają takie zjawiska, to wyciągają z nich zupełnie opaczne wnioski. W dalszym ciągu uważają, że można narodowi wmówić pożądane uczucia, głębszą zaś świadomość ukształtować amputując pewne wątki i fakty z historii, starannie retuszując przeszłość. Tak właśnie formuje się schizofreniczną psychikę społeczeństwa, pełnego urazów do kraju i narodu, z którym naprawdę należałoby układać stosunki na zasadzie dobrosąsiedzkiego i przyjaznego współżycia”.

Chodzi więc o przyjęcie zasady rzeczowego i otwartego rozważania wszelkich faktów dotyczących zarówno historii, jak i polityki współczesnej. Uwolnienie się od owej „schizofrenicznej psychiki” jest w Polsce potrzebą społeczną. Choć wiele mówiło się nieraz — i mówi nadal — o tradycyjnym romantyzmie postaw polskich, to jednak historia dowiodła też nieraz naturalnej skłonności Polaków do kierowania się w polityce zdrowym rozsądkiem. Ten właśnie zdrowy rozsądek pozwalał szlachcie polskiej uniknąć wojen religijnych w wiekach szesnastym i siedemnastym i on też pozwolił w końcu wieku osiemnastego podjąć reformy, na które było już niestety za późno, ale które w kraju o lepszym położeniu geograficznym doprowadziłyby do rozkwitu społeczeństwa. I to również poczucie odpowiedzialności i rozsądku pozwoliło w tak krótkim czasie doprowadzić po roku 18-tym do zrośnięcia w jedną całość trzech zaborów, do zintegrowania w jedno społeczeństwo, które w latach okupacji okazało się zdolne do zachowania jednolitej i solidarnej postawy. I wreszcie ten rozsądek został wielokrotnie ujawniony w latach powojennych, a zwłaszcza w roku 1956, gdy tylko on właśnie uchronił kraj przed aktami zemsty, które mogły doprowadzić nas do wojny domowej. Narzekanie na naród stało się ulubionym chwytem niektórych publicystów, niezdolnych do zaproponowania lepszych koncepcji, ale nie znajduje ono poparcia ani w wynikach badań socjologicznych, ani też w historii.

Uczestnicy ankiety bardzo zgodnie podkreślali, że ów rozsądek i poczucie odpowiedzialności polskiego społeczeństwa są nadal mocnym atutem, który można jednak wykorzystać tylko wtedy, gdy się z tym społeczeństwem rozmawia poważnie i szczerze, traktując je jako pełnoprawnego partnera, jako pana swej ziemi.

Aby jednak osiągnąć pewien minimalny stopień porozumienia wewnętrznego i wytworzyć klimat współpracy i zaufania, należy

uznać istnienie pewnych faktów historycznych, których wykreślić się nie da.

„Polska jest — jak pisze uczestnik nr 17 — krajem, który od tysiąca lat rósł i kształtował się w łączności z kulturą łacińską. Polskie tradycje kulturalne i polityczne wywodzą się z pnia europejskiego. W taki też sposób ukształtowała się polska tradycja republikańska i wolnościowa, od dawna w Polsce obecna i wielce dla niej charakterystyczna, zaznaczająca się też wyraźnie w polskiej mentalności. Inne tradycje: monarchiczna i despotyczna — są nam obce. Nie oceniamy ich tu i nie wartościujemy, stwierdzamy po prostu fakty historyczne. Próby oderwania Polski od jej tradycji, przerywania tysiącletnich więzów, są skazane na niepowodzenie. Wywoływały i będą wywoływać niepokój i sprzeciw, uniemożliwiać niezakłócony i twórczy rozwój narodu i państwa”.

„Polska jest inna, a naród polski ma własne, niepowtarzalne cechy. Jedne są jego słabością, inne stanowią jego siłę. Trzeba je traktować łącznie, z pełną świadomością skomplikowanego materiału społecznego, z jakim mamy w Polsce do czynienia. Wszelkie próby odcinania jednych tradycji, a narzucania innych, likwidowania jednych cech, a rozpowszechniania innych, prowadzi muszą do fermentu i niezgody”.

Godzi się tu przypomnieć słowa wybitnego historyka Tadeusza Manteuffla, który ujął tę rzecz lapidarnie: *„Prawda chyba jest taka — pisał — że podobnie jak nie może rozwijać się kraj, którego ekonomika jest chora, tak samo narażone jest na skarlenie i wegetację kulturową społeczeństwo, które odwróciło się i odcięło od własnej historii”.* Bo, jak pisze respondent nr 35: *„Świadomość wspólnej przeszłości stanowi jeden z najsilniejszych elementów więzi społecznej. Daje poczucie tożsamości. Odróżnia nas od innych”.*

Polska a układ równowagi europejskiej

Niejednokrotnie już wracaliśmy w naszym opracowaniu do stwierdzenia, że w polskim interesie narodowym leży zachowanie pokoju wewnętrznego. Jest więc najzupełniej oczywiste, że do naszych najżywotniejszych interesów należy również zachowanie pokoju międzynarodowego. Żaden kraj w Europie nie jest równie zainteresowany w odprężeniu międzynarodowym, jak Polska.

Istniejący od roku 1945 stan równowagi europejskiej skutecznie — jak się okazało — służy zachowaniu pokoju w Europie. Wielokrotnie wprawdzie pojawiały się rozmaite napięcia, nadal istnieje wiele szkodliwych barier, stan wymiany gospodarczej i kulturalnej nie jest z pewnością zadowalający, nadal utrzymują się ograniczenia w wymianie ludzi i idei, w swobodnym przemieszczaniu się i podróżowaniu. Jednakże pokój został zachowany. Dlatego nie jesteśmy jako naród zainteresowani w zmianie tego stanu równowagi. W takiej sytuacji, zgodnie z realiami geopolitycznymi, miejsce Polski jest wewnątrz Układu Warszawskiego i uważamy za słuszne, że nikt w Polsce nie głosi polityki zmiany sojuszków. W Europie podzielonej, nad którą unoszą się wspomnienia ekspansji niemieckiej, w sytuacji gdy nie wszystkie jeszcze liczące się siły polityczne RFN uznały polską granicę zachodnią za ostateczną i nienaruszalną, nikt nie może głosić takiej polityki bez narażania się na zarzut nieodpowiedzialności.

Uczestnik nr 17 pisze:

„Zagadnienie niemieckie ciąży na świadomości Polaków i musi wywierać wpływ na polską politykę. Nie można go pominąć przy jakichkolwiek rozważaniach o przyszłości kraju. Nie oznacza to, że wolno nam rezygnować z dążenia do ułożenia naszych stosunków z zachodnimi sąsiadami w sposób lepszy, niż to bywało dawniej, ukształtowania ich, po pierwsze: w duchu pokoju, po drugie: wzajemnego szacunku i zrozumienia. Takie obopólne dążenie winno w przyszłości doprowadzić do zaleczenia ran przeszłości i do takiego stanu, aby nikt nie używał problemu polsko-niemieckiego jako wygodnego narzędzia manipulacji, straszenia i realizacji własnych celów. Jednakże warunkiem takiego ułożenia wzajemnych stosunków musi być najpierw uznanie przez wszystkich polskiej granicy zachodniej jako fundamentu i nienaruszalności części pokoju w Europie”.

Uczestnik zaś nr 37 dodaje:

„Nadzieje niektórych kół w RFN na powrót do regulowania problemów Europy Środkowej metodami polityki bismarkowskiej kierują się przeciw europejskiemu pokojowi i równowadze. To prawda, że głównym gwarantem polskich granic zachodnich jest ZSRR, ale trwałość tych granic nie zależy tylko od ZSRR. Trzydziestopięciomilionowy naród nie może być 'narodem przesuwalnym', i wszyscy w Europie muszą zrozumieć, że kwestionowanie polskich granic zachodnich grozi pokojowi, prowadzi do gwałtownych i groźnych reakcji Polaków. W tej sprawie nie ma w narodzie polskim żadnych różnic”.

I nie ma ich też wśród uczestników naszej ankiety.

Polska a ZSRR

Polska z uwagi na swoje położenie geograficzne jest krajem, na którego terenie od dawna ścierają się sprzeczne ze sobą prądy i interesy, krzyżują przeciwstawne dążenia, oddziałującej płynące z różnych stron wpływy. Wszystko to razem należy również do realiów, które trzeba uwzględniać przy kształtowaniu polityki narodowej.

Z jednej strony jest to potężny wpływ Związku Radzieckiego, z którym nasz kraj jest związany sojuszem politycznym, gospodarczym i wojskowym, wpływ, który utrwalił się jako jeden z naczelných rezultatów drugiej wojny światowej. Zainteresowanie ZSRR sytuacją w Polsce nie może nikogo dziwić i znajduje swe racje w obiektywnym interesie politycznym tego kraju.

Nauczony doświadczeniami historii, w której jest niemało przykładów inwazji, jakie wyruszały przeciw Rosji z zachodu, poprzez terytorium Polski właśnie, ZSRR traktuje ten obszar jako odgrywający zasadniczą rolę dla jego bezpieczeństwa. Co więcej, rodzaj ładu jaki panuje na obszarze Polski ma dla ZSRR nie tylko znaczenie strategiczne, lecz i ekonomiczne. Ważny jest także z przyczyn wewnętrznych.

Jest rzeczą jasną, że gdy chodzi o zachowanie równowagi w Europie i pokoju europejskiego, interes Polski oraz ZSRR i innych partnerów Układu Warszawskiego jest zbieżny. Nikt z uczestników nie podaje tego w wątpliwość. I jest też równie jasne, że wszelka poważniejsza próba zmiany istniejącej równowagi, gdyby taka miała miejsce, napotykałaby na ostre przeciwdziałanie ZSRR. Ale istnieją też w tej dziedzinie rzeczy mniej oczywiste i różnie oceniane przez uczestników ankiety. Powstaje przede wszystkim pytanie czy Polacy mogą się stać pełnoprawnym podmiotem polityki międzynarodowej, realizować swą suwerenność nie naruszając *status quo* i niczyich autentycznych interesów, będąc zarazem w zgodzie z zasadami, o których mówiliśmy uprzednio? Padają również pytania idące jeszcze dalej: czy wewnętrzny rozkład Polski i kryzys jej państwowości nie jest wręcz na rękę sąsiadom, ponieważ, jak napisał uczestnik nr 28: „*Obawą, jaka w związku z kwestią polską może istnieć w krajach sąsiedzkich, jest jedynie obawa przed sytuacją wybuchową, natomiast niczemu nie zagraża sytuacja gnilna...*”.

Odzywa się w tym echo tragicznych polskich doświadczeń wieku osiemnastego. Jednakże dziś sytuacja jest inna. Wtedy Polska została podzielona między trzy państwa zaborcze, przestała istnieć jako samodzielny organizm państwowy. Dziś Polska istnieje, jest państwem zjednoczonym, liczącym 35 milionów

mieszkańców i reprezentującym drugi pod względem potencjału organizm gospodarczy w układzie państw socjalistycznych. Stawianie na rozkład Polski byłoby działaniem bardzo krótkowzrocznym. Obiektywny interes ZSRR, jak go rozumie większość uczestników ankiety, polega na posiadaniu w Polsce sojusznika nie tylko sprawnego, lecz i autentycznego. Stała obawa o dalszy bieg wypadków w Polsce nie może nikomu i niczemu służyć.

Również pod względem gospodarczym rzeczy przedstawiają się podobnie. Sprawność i efektywność gospodarki polskiej nie tylko nie kłóci się z interesem gospodarki naszych wschodnich sąsiadów, ale jest z nim zbieżna. Świadczy o tym nie tylko okres po roku 1945, ale i dzieje lat z końca wieku XIX-go i początków XX-go. Wzajemna współpraca gospodarcza obu państw może być niezwykle korzystna i dla jednej strony, i dla drugiej. Warunkiem jest jednak istnienie wzajemnego zaufania i partnerstwa.

Wreszcie, jak pisze uczestnik nr 37: *„Nie wydaje się, aby interesy ZSRR w sferze ideologii mogły być zaspokojone przez taki układ w sytuacji w naszym kraju, gdy zbliżony ład polityczny rozdzierany jest przez głębokie sprzeczności, napięcia i kryzysy. Jest to sytuacja niebezpieczna, która nikomu korzyści przynieść nie może”*.

Polska a Zachód

Z drugiej strony oddziałuje również w Polsce bardzo silny — choć mniej bezpośredni — wpływ Zachodu. Zachód, uznając formalnie stan istniejący, jest jednak zainteresowany utrzymaniem pewnego braku stabilizacji i istnieniem pewnego napięcia nie przekraczającego jednak niebezpiecznego progu. Innymi słowy: jest zainteresowany istnieniem stanu przysparzającego Związkowi Radzieckiemu maksimum kłopotów przy minimum ryzyka i bez potrzeby zaangażowania ze strony Zachodu.

Można by zatem przypuszczać, że Zachodowi może zależeć na istnieniu w Polsce stanu permanentnego kryzysu i napięcia i na tym, aby nie doszło u nas do trwałej naprawy funkcjonowania państwa i wszelkich instytucji publicznych, a także funkcjonowania gospodarki. Chociaż jednak nie brakuje tego rodzaju głosów na Zachodzie, nie brak tam również głosów innych, przy czym te ostatnie pochodzą na ogół od najtrzeźwiejszych i najbardziej odpowiedzialnych polityków i publicystów. Te ostatnie wskazują, że głównym i podstawowym interesem państw zachodnich jest również zachowanie równowagi europejskiej i odprężenia międzynarodowego, poprawa zaś sytuacji politycznej i społecznej w Polsce bez wątpienia służyłaby temu celowi.

Za tego rodzaju podejściem przemawiają również szybko w ostatnich latach rosnące powiązania gospodarcze Polski (a również i innych państw socjalistycznych), z gospodarką Zachodu, a zwłaszcza krajów zachodnioeuropejskich. Wszyscy uczestnicy ankiety uważają, że rozwój współpracy gospodarczej z krajami zachodnimi jest zjawiskiem korzystnym. Nie brak wszelako w odpowiedziach głosów wskazujących, że polityka obecnych kierowników gospodarki polskiej w nadmiernym stopniu zwiększyła uzależnienie kraju zarówno od Wschodu jak i od Zachodu. Współpraca gospodarcza jest bowiem rzeczą dobrą, ale nie jest rzeczą wskazaną nadmierne (i często nieprzemyślane, a nawet wręcz marnotrawne) zadłużenie państwa. O tych sprawach mówimy obszerniej w innych partiach opracowania, tu ograniczymy się do podkreślania, że lekkomyślne i nieefektywne zadłużenie państwa w niepokojący sposób podważa jego suwerenność.

Jeden z uczestników (nr 37) zwrócił nawet uwagę na pewien paradoksalny skutek takiej sytuacji: *„Zadłużenie w walutach wymiennalnych wzrosło do takiego poziomu, iż obecni wierzyciele muszą być zainteresowani wypłacalnością dłużnika, może bardziej nawet, niż on sam... Państwo rozkładającej się gospodarki, skłócone i zdezorganizowane biernym oporem społeczeństwa, długów swoich nie spłaci...”*.

Jest to jednak wniosek sformułowany żartobliwie. Większość uczestników wyraziła zaniepokojenie rozwojem sytuacji w tej dziedzinie.

Sumując tę część powołamy się na wypowiedź uczestnika nr 17: *„Polska nie może sobie pozwolić na zerwanie więzi z którąkolwiek ze stron. Więź ze Wschodem zerwana być nie może i nie powinna. Nie może i nie powinna być również zerwana więź z Zachodem. Pierwsze groziłoby naruszeniem równowagi w Europie i fatalnymi skutkami politycznymi. Drugie byłoby sprzeczne z całą polską tradycją kulturalną i z polską historią, ugodziłoby w polską tożsamość narodową, prowadząc tym samym do głębokich zaburzeń społecznych. Byłoby też szkodliwe dla polskiej gospodarki. Musi zatem być zachowany specyficznie polski stan równowagi, który odróżnia nas od niektórych spośród naszych partnerów politycznych, ale im w niczym nie zagraża”*.

Jak umacniać suwerenność

Co oznacza słowo suwerenność w obecnych warunkach, jaki jest jego zakres? Uczestnik nr 2 pisze na ten temat: *„Polega*

ona w istocie rzeczy na tym, że społeczeństwo samodzielnie i samoistnie określa treść interesu narodowego, kierunki i sposoby jego urzeczywistnienia, weryfikuje wyniki i na tej podstawie utrzymuje lub zmienia hierarchię różnorodnych elementów składających się na to, co nazywamy interesem narodowym. W tym procesie uczestniczyć winien i aparat władzy i wszystkie samorządnie działające, sformalizowane i niesformalizowane instytucje społeczne, rozmaite ośrodki i nurty reprezentujące różnorodność i bogactwo autentycznego życia narodu — bez zewnętrznego dyktatu. Ośrodkiem myśli i działania powinien być jedynie i wyłącznie naród polski... Nie oznacza to bynajmniej, że suwerenność narodowa i samodzielność stanowienia o kwestiach związanych z interesem narodowym kształtują się w izolacji od warunków zewnętrznych, od sytuacji międzynarodowej, od tendencji występujących we współczesnym świecie. Jest rzeczą oczywistą, że suwerenne decyzje podejmowane przez społeczeństwo rodzą się między innymi pod presją czynników zewnętrznych... Rzeczą w tym, by nacisk zewnętrzny nie stawał się nadrzędnym mechanizmem decyzyjnym i aby uwzględnianie nacisków zasadało się na samodzielnym uznaniu wspólności interesów lub też na samodzielnym uznaniu wspólności interesów lub też na samodzielnym zadecydowanym ustępstwie. Jest w obecnych czasach truizmem twierdzenie, że współcześnie i powszechnie występuje zjawisko ograniczania suwerenności państwowej i co za tym idzie również suwerenności narodowej. Problemem centralnym jest natomiast: jaki może być zakres tego ograniczenia oraz w jakim trybie się ono dokonuje”.

A zatem: suwerenność jest niezbędna, aby realizować interes narodowy. Jednak pojęcie interesu narodowego jest względne i różni ludzie, środowiska i warstwy społeczne rozmaicie go rozumieją. Nie wydaje się słuszny pogląd, jaki wyrażają wypowiedzi wielu uczestników ankiety i który przeważa również, jak sądzimy, w całym społeczeństwie: aby nie tylko jedna grupa i nie tylko jeden kierunek myślowy rozstrzygały czym jest, a czym nie jest interes narodowy, jak ma być realizowany, co zaś ma zostać uznane za rzecz z tym interesem sprzeczną. Istnieją bowiem pewne nadrzędne racje, które są wspólne wszystkim, co czują się Polakami i na gruncie których możliwe byłoby uzgodnienie stanowisk. Zaprzeczanie tym racjom byłoby równoznaczne z samobójstwem, albo ze zdradą narodową. Są to:

- a) dążenie do ochrony bytu biologicznego narodu;
- b) dążenie do zachowania tożsamości narodowej;
- c) dążenie do zachowania pokoju społecznego, to znaczy do uniknięcia wojny domowej, lub stanu do niej zbliżonego.

Czwartą racją, co do której osiągnięcie zgody jest nieporównanie trudniejsze, jest:

- d) dążenie do zapewnienia optymalnego rozwoju we wszystkich dziedzinach, a zwłaszcza wzrostu poziomu życiowego i rozwoju kultury.



Najważniejszym warunkiem realizacji tak pojętego, podstawowego interesu narodowego jest osiągnięcie minimum zgody co do zasad wspólnego działania przez wszystkie, lub przeważającą większość grup i sił w społeczeństwie. Jeśli tego minimum nie ma, następuje albo wojna domowa, albo stan wyjątkowy, stan przymusu, w którym skuteczna i twórcza działalność nie jest możliwa. Słowem: stan mniej lub bardziej otwartego, trwałego konfliktu.

Mógłby ktoś powiedzieć, że z wyjątkiem punktu czwartego są to sprawy oczywiste i nie budzące sporu. Tak jednak nie jest. Wyniki naszej ankiety i materiały jakie prezentujemy w niniejszym opracowaniu wskazują w sposób alarmujący, że obecnie nie ma zgody w społeczeństwie we wszystkich tych czterech punktach, a raczej nie ma zgody co do zasad i sposobów ich realizacji.

Stworzenie mechanizmów pozwalających na uzgodnienie w społeczeństwie poglądów na zasadniczy, podstawowy interes narodowy jest rzeczą najwyższej rangi i to właśnie jest głównym tematem naszego opracowania. W tym jednak celu niezbędne jest rzeczowe, oparte na realiach i wystrzegające się ulegania emocjom, ale szczere i poważne rozpatrzenie zagadnienia suwerenności narodowej i sposobów jej umocnienia.

Jeżeli przyjmuje się ogólnie sojusz polityczny z ZSRR i wszechstronną z nim współpracę jako niezbędne i ważne, to jednak niepokój ogólnospołeczny budzi sposób realizacji tego sojuszu i współpracy. Masowe opinie, przekonania i wyobrażenia muszą być w tym przypadku traktowane jako fakt społeczny, którego nie sposób przekreślić żadnym wartościowaniem, żadną negatywną kwalifikacją. Nie udało się też zepchnąć ich na dalszy plan, niejako w podświadomość.

Uczestnik nr 3 pisze: „Dla naszego 'dziś' i naszego 'jutra' olbrzymie znaczenie mają stosunki polsko-radzieckie. W świetle oficjalnych informacji w stosunkach tych nie ma żadnych trudnych problemów, w świetle natomiast potocznej opinii społecznej stosunki te nie mają charakteru partnerskiego i są źródłem wielu naszych kłopotów. Z przykrością należy stwierdzić, że traktowanie jako tabu wszystkich ważnych aspektów tych stosunków

(także w historii) rodzi zjawiska zubożenia lub negatywnej frustracji...".

Spółeczeństwo chce znać obiektywną rzeczywistość tych stosunków. Szanuje własną godność i suwerenność i oczekuje eliminowania przez obie strony zachowań sprzecznych z zasadą obopólnych korzyści i przyjaźni. Powiedzmy szczerze: na tle braku informacji i nadmiaru pompatycznej propagandy pewne negatywne opinie i kompleksy trudne są do przezwyciężenia, chociaż trzeba je stale przezwyciężać.

Uczestnik nr 17 pisze: *„Wedle ogólnego przekonania osiągnięcie prawdziwej i trwałej poprawy w państwie nie jest możliwe bez ułożenia na nowo bardziej równoprawnych stosunków z ZSRR. Jest rzeczą oczywistą, że każde rzetelne, dbające o pomyślność kraju kierownictwo państwa, zaprzątnięte troską o przyszłość, musi do tego dążyć. Chodzi o to, aby postulowany jako niezbędny warunek postępu wzrost samorządności społecznej był uzupełniony przez wzrost samorządności państwa. O to, aby istotne decyzje dotyczące życia publicznego i gospodarczego były podejmowane w kraju i by miały na względzie przede wszystkim interesy polskie, nie były też podejmowane i utrzymywane w tajemnicy przed społeczeństwem. Aby nie było tak, że Biuro Polityczne w oficjalnym komunikacie nawołuje organizacje partyjne i państwowe, a także obywateli, do wykonywania podjętych podczas rozmów w Moskwie uzgodnień — ale nie informuje jakie to były uzgodnienia”.*

Polska jest drugim co do wielkości i potencjału państwem socjalistycznym w Europie. W poczuciu polskiej opinii publicznej ten fakt nie znajduje właściwego odzwierciedlenia w charakterze stosunków łączących nas z ZSRR.

Uczestnik nr 37 pisze: *„Polacy rozumieją, że pozostawanie w sojuszu z ZSRR jest dla nich korzystne, ale chcą aby tak było na podstawie ich własnej decyzji, a nie dlatego, że tak zdecydowano za nich... Przyjaźni zaś lepiej służy prawda niż niedomówienia i przeinaczenia, lepiej służy wzajemny szacunek niż osten-tacyjna służalczość”.*

Uczestnik nr 20 zwraca uwagę na ważny aspekt sprawy: *„Warunkiem zaufania, którym społeczeństwo obdarzyć by miało kierownictwo partii jest, aby okazywało ono w swej działalności całkowitą samodzielność, aby nie powstawały przesłanki wątpliwości czy nie służy ono innym celom poza suwerennym interesem kraju i narodu polskiego; aby ośrodek inspiracji i pełnej władzy politycznej w kraju znajdował się w Warszawie i nigdzie indziej”.*

Świat się zmienia. Uczucia narodowe i patriotyczne, które ujawniają się pod każdą szerokością geograficzną, są jedną z najpotężniejszych — a może i największą — siłą wprawiającą w ruch masy ludowe i kształtującą światową politykę. Nikomu nie wolno ich lekceważyć, ponieważ takie lekceważenie prowadzić musi do katastrofy. Zmienia się również polityka światowa. Jej punkt ciężkości zaczął się przesuwać do innych rejonów, niż dotąd. Ogromne znaczenie mają wydarzenia w rejonie Pacyfiku i na Dalekim Wschodzie. Istnieje szansa, by Europa stała się rejonem trwałego pokoju, w którym zaniknie wciąż na razie trwający stan zbrojnego pogotowia i konfrontacji. W takiej Europie rola Polski musi wzrosnąć i jest to niezbędnym warunkiem trwałego uregulowania spraw. Polskie położenie geograficzne, które przez tyle lat było przyczyną nieszczęść narodowych, może wówczas nabrać zupełnie innego i korzystnego dla nas znaczenia. Musimy umieć to sobie wyobrazić i dostosować do takiej możliwości nasze działania.

Wszelkie układy sił, struktury stosunków międzynarodowych, wszelkie koncepcje są zjawiskami historycznymi i nie są wiecznотrwale. Trwale są tylko podstawowe interesy narodów. Pogląd na stan i istotę tych naszych interesów przedstawili uczestnicy ankiety bardzo wyraźnie.

My Polacy możemy być cennymi i niezawodnymi partnerami tylko wtedy, gdy traktuje się nas właśnie jako partnerów. Wówczas za przyjaźń płacimy przyjaźnią.

Rozdział VI

O PRZEMIANACH POLITYCZNYCH, REFORMACH I GWARANCJACH

Z wypowiedzi uczestników ankiety daje się wyodrębnić pewien zespół zasad uprawiania polityki w naszym kraju, zasad, których przestrzeganie może gwarantować danej polityce skuteczność, a więc ogólnospołeczną akceptację. Uszeregowaliśmy je w siedem poniższych punktów:

1. Władza, a nie wszechwładza

Władza w Polsce nie powinna żywić ambicji osiągnięcia

wszechwładzy, ponieważ — przynajmniej w naszym kraju — rozkłada to w konsekwencji ją samą.

2. Współuczestnictwo

Współuczestnictwo, więc negocjacje, a nie arbitralność. Jednostronne nadawanie społeczeństwu ustaw daje w Polsce nawet w przypadku reform demokratycznych znacznie mniej niż negocjacje i porozumienie.

3. Świadomość dziedzictwa narodowego

Oznacza to znajomość i poszanowanie dla odrębności tradycji polskich, uwzględnianie jej tak w nawykach politycznych i społecznych jak w kulturze.

4. Republikanizm i praworządność

W tym punkcie mieści się dziedzictwo po staropolskiej zasadzie *non rex sed lex regnat* (nie król rządzi, ale prawo); tradycja monarchiczno-despotyczna i feudalna, dowolność w stosowaniu prawa są w Polsce najgłębiej obce. I dlatego nie deklaracje słowne, lecz przemyślane i logiczne gwarancje instytucjonalno-prawne mogą u nas określać perspektywę autentycznej realizacji wspólnie uzgodnionych zasad.

5. Szacunek dla wartości socjalizmu

Chodzi tu o szacunek dla wszystkich wartości utożsamianych w poczuciu polskiej opinii publicznej z socjalizmem; chodzi o to, by nie były one traktowane przez władzę jako kłopotliwe obciążenia systemu gospodarowania czy też systemu władzy, by nie były dla niej przykrymi serwitutami, lecz autentycznymi, niepozorowanymi celami systemu. Równość szans, równość wobec prawa, zasada wynagradzania wedle pracy (nie wedle stosunków), prawo do pracy, prawo do opieki społecznej, równy i powszechny dostęp do kultury, rozwój samorządności, ochrona inicjatywy obywatelskiej, prawo do wyrażania swych poglądów i krytyki władzy — wszystko to są wartości, związane w Polsce z pojęciem socjalizmu i wraz z nim społecznie akceptowane.

6. Ocena ludzi wedle pracy

Stosowanie kryteriów obiektywnych i sprawdzalnych, jakimi są wyniki pracy ludzkiej, daje więcej korzyści w praktyce, niż ocena wedle stopnia znajomości, wedle ustosunkowania, przynależności polityczno-organizacyjnej itp. Daje też więcej dla mo-

rale społecznego, które akceptuje zasadę równości szans jako jedną z podstawowych wartości socjalizmu („socjalizm dla wszystkich”).

7. Jawność życia politycznego

Zasada jawności stanowi zabezpieczenie wszystkich poprzednich zasad; jej przestrzeganie służy najlepiej samej władzy, którą chroni przed błędami i przed ich następstwami.

Uczestnicy ankiety sądzą, że takie siedem zasad regulujących sposoby uprawiania polityki w Polsce nie należy do sfery przesadnych marzeń; wszystkie powyższe zasady były przy różnych okazjach formułowane przez same władze w ciągu ostatnich 35 lat. I zawsze, kiedy próbowano je realizować w praktyce, owocowały sukcesami.

Przełanki reform

To co jest możliwe do wynegocjowania między różnymi uczestnikami procesu życia społecznego, to, co może liczyć na zgodne porozumienie między nimi wszystkimi, musi być pewną formą kompromisu. Pozostaje natomiast zawsze aktualne pytanie, czy dany kompromis zabezpiecza *najistotniejsze interesy* każdej ze stron, a więc czy uzyska on *consensus* konstruktywny, czy też zawarte porozumienie da w rezultacie tylko odłożenie decydującego starcia, a więc wybuchu konfliktu, na później.

Przedstawione propozycje z jednej strony zmierzają do oparcia filozofii sprawowania władzy przez grupy rządzące w Polsce na czymś, co można by nazwać „pakietem kontrolnym” systemu, a więc na gwarancjach bezpieczeństwa władzy (większość w centralnych i wojewódzkich organach przedstawicielskich, decydujący wpływ na obsadę kierowniczych stanowisk w rządzie, kierownictwie gospodarki i zwierzchnich władzach sądownictwa, dyspozycja wobec planowania i agendy kontroli, własny koncern prasowy). Z drugiej strony — propozycje te zmierzają do zaspokojenia najsilniej odczuwalnych przez społeczeństwo potrzeb, które dadzą się nazwać i uszeregować jako „głód szacunku” (głód partnerstwa), „głód praworządności”, „głód demokracji” i „głód gwarancji”; ta ostatnia potrzeba oznacza konieczność zapewnienia również i społeczeństwu poczucia bezpieczeństwa, nie tyle wobec popełniania błędów, niemożliwych do wykluczenia, ile

wobec niezdolności ich korygowania, oraz wobec groźby paraliżu społecznego utrwalającego błędy.

Jest jeszcze trzecia przesłanka, określająca kierunek proponowanych zmian. Jeden z respondentów nazwał obecny system władzy „ustrojem rowerowym”, tj. takim, który przy zawsze możliwych wahaniciach nie może reagować samoczynnym powrotem do równowagi, ponieważ brak mu elementów zapewniających taką reakcję. Jedynym sprawdzonym przez historyczne doświadczenie lekarstwem jest w tym stanie rzeczy wprowadzanie „podziału władzy”, a więc dokładnego rozdzielenia prerogatyw poszczególnych instytucji władzy i ustawienie ich wzajemnych stosunków tak, by każda z nich miała dość swobody dla wykonywania swych konstytucyjnych zadań, a zarazem tak, by inne instytucje systemu władzy mogły przeciwdziałać błędom. Innymi słowy, do przesłanek proponowanych reform zaliczyć też należy dążność do zapewnienia systemowi władzy niezbędnej mu sprawności.

Polityczna potrzeba reform

Jednocześnie podkreślić wypada, że spośród kilkuset fachowców — ekonomistów, socjologów, specjalistów od organizacji i zarządzania, prawników, specjalistów od polityki społecznej — którzy w ciągu ostatnich miesięcy uczestniczyli i wypowiadali się w trakcie prac i dyskusji różnych instytucji i organizacji, jak komitet „Polska 2000”, Komitet Nauk Organizacji i Zarządzania PAN, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Polskie Towarzystwo Socjologiczne, *ani jeden* nie wypowiedział się na rzecz polityki, która dla najbliższych dwóch-trzech lat przewidywałaby jedynie manipulację instrumentami ekonomicznymi (podział dochodu narodowego, struktura inwestycji, zatrudnienie, płace). Oznacza to, że nikt z kręgu blisko 400 fachowców traktowanych przez władze i opinię publiczną jako specjaliści najwyższej klasy, nie rokuje powodzenia takiej polityce. Przeciwnie, należy się spodziewać, że polityka tego rodzaju prowadziłaby do pogłębienia rozkładu i paraliżu.

Specjalista w zakresie polityki społecznej tak określił na pierwszym plenarnym spotkaniu Konwersatorium „DiP” aktualne konieczności polityczno-gospodarcze:

„Najważniejszym zadaniem jest dzisiaj zahamowanie procesów negatywnych i przywrócenie proporcji rozwoju. Ale musi to potrwać kilka lat i sama władza, jakakolwiek by była, nie da

sobie z tym rady bez daleko posuniętego współudziału, cierpliwości i zrozumienia ze strony społeczeństwa. Stąd tak istotna jest kwestia dialogu i uczestnictwa. Jest to najpoważniejsza rezerwa nieinwestycyjna, którą przy dużym wysiłku możemy uruchomić”.

„Społeczeństwo musi uwierzyć — napisał publicysta, specjalizujący się w problematyce organizacji i zarządzania, członek partii — że będzie traktowane serio. Jeśli nie uwierzy, nic się nie zmieni. Na żadne próby manipulacji, tu popuścimy, tam po-ciśniemy, nie ma dziś miejsca. A bez społeczeństwa gotowego do współpracy nie da się odrodzić gospodarki i państwa”.

Niemal identycznie wypowiedział się na forum komitetu „Polska 2000” jeden ze specjalistów od polityki społecznej:

„Wydaje mi się, że społeczeństwo nie zmieni swej postawy, ogólnie biorąc, jeżeli nie nabierze przekonania, że rzeczywiście następuje jakaś zasadnicza zmiana w nastawieniu tych, którzy są odpowiedzialni za losy kraju, którzy kierują państwem”.

I wreszcie na tym samym forum socjolog:

„Zwykłe powiedzenie 'myśmy się pomylili' nie wystarczy — ludzie już po prostu w zwyczajne słowa nie uwierzą, potrzebne są głębokie zmiany, niemalże wymagające określenia 'ustrojowe'”.

W wypowiedziach uczestników ankiety „DiP” opinie takie powtarzały się we wszystkich przypadkach w różnych wersjach słownych, w powoływanych tu materiałach i opracowaniach występowały we wszystkich wypowiedziach, które dotyczyły tego tematu.

Oznacza to potrzebę wiarygodnych gwarancji w postaci proponowanych poniżej reform konstytucyjnych i politycznych, niezbędnych z kolei dla powodzenia reform i kroków zaradczych w gospodarce.



Gdy w opisie stanu i sytuacji społeczeństwa ankieta wniosła wiele różnorodnego materiału, to dorobek jej w zakresie reform i gwarancji jest skromniejszy. Materiały świadczą, że respondentom bliskie są idee sprawiedliwości społecznej, rzeczywistej równości praw, demokracji i jawności, świadczą też, że naprawa ustroju wymaga gwarancji nie tylko prawnych, ale tyjących samego sposobu uprawiania polityki.

Konkretne propozycje reform i gwarancji — z uwagi na zróżnicowanie uczestników ankiety — nie mogą liczyć na zgodę tak powszechną, jak ustalenia diagnostyczne, tym bardziej, że nie dane nam było przedyskutować ich na zebraniu plenarnym.

W tej sytuacji przedstawiamy wariant pewnych rozwiązań i propozycji szczegółowych znajdujący oparcie w części ankiet — w przekonaniu, że mogą one stanowić punkt wyjścia do dyskusji.

Zasada rozdziatu władzy

Punkt pierwszy, to konsekwentne rozdzielanie partii (a tym samym także i aparatu zawodowego innych organizacji politycznych i społecznych) od aparatu administracji, gospodarki i sądownictwa. Nie jest to postulat nowy; powtarzał się on wielokrotnie w uchwałach i dezyderatach władz PZPR, także aktualnej ekipy rządzącej. Przejmowanie funkcji, lub nawet tylko włączenie aparatu partii (i innych organizacji) w bieżący tok procesów praktycznego rządzenia państwem, kierowania gospodarką i wyznacznym sprawiedliwości nie tylko wprowadza bezład, wywoływany dwuwładzą, ale obciąża partię odpowiedzialnością za procesy, których przebiegiem nie może skutecznie kierować (z braku bezpośrednio podporządkowanego aparatu wykonawczego), ani też których nie może kontrolować z braku jasnych rozgraniczeń kompetencji. W sytuacji, gdy zwłaszcza codzienne praktyczne rządzenie państwem i kierowanie gospodarką narodową narażone jest, z natury rzeczy, na błędy w podejmowaniu decyzji lub ich wykonywaniu, aparat partyjny przekształca się w swoistego „chłopca do bicia”, koncentrując na sobie krytykę i całe odium społecznego niezadowolenia.

W świetle zarówno teorii prawa państwowego, jak też zaleceń nauki organizacji i zarządzania, za prawidłowy sposób wykonywania swych funkcji przez partię rządzącą uznać można określanie celów oraz regulację ustawodawczą życia społecznego *poprzez działalność organów przedstawicielskich*, jak też wykonywanie poprzez tę działalność funkcji nadzoru oraz kontroli, oceny i wnioskowania korekt.

Zasada, że partia kieruje życiem państwa wyłącznie poprzez swych członków zasiadających w organach przedstawicielskich, którzy korzystają ze współpracy swego aparatu sztabowego w postaci aparatu partyjnego, a więc kieruje wyłącznie za pośrednictwem środków konstytucyjnych, uregulowanych prawem, winna stać się kamieniem węgielnym ustroju Polski współczesnej, jeśli ma on uwolnić się od chorób bezładu, dwuwładzy i braku odpowiedzialności.

Konstytucyjne prerogatywy organów przedstawicielskich po-

winni w tym świetle ulec zasadniczemu rozszerzeniu (o czym niżej): jednakże zasada, że tylko organy przedstawicielskie są władne podejmować decyzje obowiązujące wszystkich obywateli państwa, powinna znaleźć swe wyraźne konstytucyjne odzwierciedlenie.

Dla wprowadzenia jasnego rozdziału prerogatyw instytucji władzy konstytucja winna w konsekwencji wykluczyć kumulowanie w jednym ręku stanowisk we władzach partii, organizacjach politycznych i społecznych, a wedle części respondentów — także mandatów w organach przedstawicielskich, ze stanowiskami w administracji państwowej, w gospodarce i sądownictwie. To nawiązanie do staropolskiej zasady *incompatibilitas* wykluczające niegdyś łączenie stanowisk o charakterze przedstawicielskim, sądowniczym lub duchownym ze stanowiskami państwowymi, nie ma waloru tylko historycznego. Bez tego rozdziału możliwość kontroli i oceny działania aparatu administracji i gospodarki czy też sądownictwa zamieni się w fikcję, a doświadczenia tych państwowości współczesnych, które wprowadziły rozdział między stanowiskami w administracji i mandatem poselskim potwierdzają w pełni celowość takiego rozwiązania.

Rzeczą porozumienia społecznego w Polsce, podyktowanego znajomością realiów jej sytuacji, byłoby uzyskanie dla PZPR, w drodze negocjacji z innymi stronnictwami politycznymi i środowiskami bezpartyjnych obywateli, większości w ogólnokrajowym oraz wojewódzkich organach przedstawicielskich. Należałoby jednak szeroko przedyskutować ewentualność takich rozwiązań co do organizacji systemu wyborczego, które by wyborom nadały maksymalnie personalny charakter. Ze środowiska prawników — uczestników Konwersatorium — wpłynęły sugestie, by opracować i wprowadzić np. system wyborów wstępnych, które by pozwoliły społeczeństwu wyrazić swe opinie, zaś partii, stronnictwu czy też środowisku zawodowemu, reprezentowanemu w Sejmie zorientować się, który z ich kandydatów cieszy się największym poparciem i popularnością. Inny proponowany wariant to rywalizacja i miejsca (mandaty) przyznane w drodze porozumienia przez komisje porozumiewawcze danym stronnictwom politycznym i środowiskom zawodowym poza grupą miejsc dla tych postaci życia politycznego, które mają ogólnokrajowe (ogólnowojewódzkie) znaczenie i których kandydatury byłyby ustalane przez komisję porozumiewawczą stronnictw politycznych i środowisk zawodowych, na inne miejsca przedstawiano by wyborcom kandydatury alternatywne przy ustalonej uprzednio puli miejsc dla danego stronnictwa czy też środowiska zawodowego,

tak że np. o dany mandat „partyjny” rywalizowałoby dwóch kandydatów partyjnych, o mandat, dajmy na to, reprezentacji środowiska robotniczego w danym województwie — dwóch robotników itp. Formuła taka pozwoliłaby zastąpić obecną, budzącą tyle irytacji i niechęci, instytucję „głosowania” instytucją o rzeczywistym charakterze wyborów. Formuła taka, z jednej strony potwierdzająca zasadę „pakietu kontrolnego” władzy, z drugiej strony zmusiłaby jednak wysuwające swych kandydatów organizacje polityczne i zawodowe do sięgania po ludzi zdolnych uzyskać akceptację wyborców, a zarazem zmusiłaby wybieranych kandydatów do wykazywania się taką aktywnością, która dawałaby im szansę rywalizowania z kontrkandydatem na swoje miejsce w następnych wyborach.

Konsekwencją logiczną proponowanego rozdziału instytucji władzy powinno być — wedle części respondentów — przejście do bezpośrednich wyborów szefa rządu, wojewodów i naczelników gmin. Jest to rozwiązanie, co podkreślają ci uczestnicy ankiety, nieznane naszej tradycji ustrojowej, racjonalne jednakże w epoce, w której odpowiedzialność i znaczenie szefów egzekutywy są nieporównywalnie wyższe niż dawniej. Rozwiązanie takie podniosłoby do właściwego poziomu społeczną rangę ich stanowisk, a jednocześnie pozwoliłoby i w tym przypadku na dokonywanie przez społeczeństwo autentycznych wyborów między wysuniętymi przez komisje porozumiewawcze kandydatami, którzy musieliby starać się o autentyczną akceptację społeczną.

Pozostaje do przedyskutowania czas kadencji na poszczególnych stanowiskach. Dla pozycji kierowników organów wykonawczych wyższego szczebla, rządowego i wojewódzkiego, wydaje się celowe zastosowanie czasokresu zalecanego przez teorię zarządzania, tj. sześciu lat, przy wykluczeniu dwukrotnego kolejno sprawowania urzędu. Na szczeblu gminy wystarczający wydaje się w świetle doświadczeń administracji okres 2 lat (przy możliwości reelekcji). W przypadku posłów i radnych wojewódzkich można by dla kadencji o tradycyjnym wymiarze czasowym 4 lat przyjąć zasadę wymiany co dwa lata połowy składu izby (rady), w przypadku radnych gminnych — dla kadencji dwuletniej wymianę połowy składu coroczną (przy zachowaniu prawa do ubiegania się o reelekcję). Częstsze wybory dawałyby częstszą okazję do pomiaru nastrojów i opinii społeczeństwa, które preferując jednych kandydatów w stosunku do drugih wyrażałoby te nastroje i opinie w sposób autentyczny. Pod adresem partii i stronnictw politycznych w Polsce respondenci ankiety skierowali dezyderat umieszczenia w ich statutach zasady rotacji na

czołowych stanowiskach, którą to zasadę zgodnie uznają za jeden z podstawowych elementów systemu gwarancji.

Rozszerzenie prerogatyw organów przedstawicielskich

Punkt drugi stanowi logiczne uzupełnienie pierwszego: jest nim *konstytucyjne i praktyczne rozszerzenie prerogatyw organów przedstawicielskich*. Teoria państwa socjalistycznego od swego zarania przewidywała nadrzędną pozycję organów przedstawicielskich w systemie władzy, jednakże aż po dzień dzisiejszy taka tendencja nie znalazła dostatecznego wyrazu w rozwiązaniach instytucjonalnych. System interpelacji i możliwość powoływania przez Sejm komisji nadzwyczajnych (w praktyce nie wykorzystywana) nie starczą do sprawowania pełnego nadzoru i kontroli wobec organów wykonawczych. Organom przedstawicielskim brakuje też wyspecjalizowanego aparatu pomocniczego w zakresie planowania informacji sprawozdawczo-statystycznej i kontroli.

Dlatego prawnicy oraz specjaliści od zarządzania, uczestnicy ankiety „DiP”, proponują konstytucyjnie wyposażyć organy przedstawicielskie oraz wszelkie ich komisje (nie tylko komisje specjalne, zwane dotychczas śledczymi) w prawo wezwania przed oblicze organu przedstawicielskiego (lub jego komisji) dowolnego pracownika aparatu organów wykonawczych, dowolnego obywatela, dla uzyskania odeń wszystkich niezbędnych informacji tudzież wyjaśnień pod rygorem sankcji karnych za niestawiennictwo, odmowę odpowiedzi lub podanie fałszywych danych.

Oznaczałoby to udzielenie również organom przedstawicielskim prawa do odwołania ze stanowiska — w drodze odpowiedniej, przepisanej ustawą procedury — dowolnego urzędnika aparatu organów wykonawczych, który nie spełnia swych obowiązków. Brak takich prerogatyw, zauważmy, spychał partię rządzącą, samą logiką niemożliwości skutecznego kierowania, ku bezpośredniemu przejmowaniu funkcji aparatu administracyjnego i gospodarczego.

Suwerenność organów przedstawicielskich należałoby zdaniem części uczestników ankiety, umocnić realizacją dalszych przedstawionych przez nich propozycji. Obejmują one całkowite, zarówno konstytucyjne, jak praktyczne wyłączenie aparatu Najwyższej Izby Kontroli, Komisji Planowania i Głównego Urzędu Statystycznego spod gestii rządu oraz aparatu administracji i gospodarki, a podporządkowanie ich organom przedstawicielskim. Nie wymaga szerszego wyjaśnienia pogląd, że zarówno planowanie

w sferze rozwoju, jak sprawozdawczość państwowa i kontrola powinny być atrybutami najwyższych organów władzy, a więc organów przedstawicielskich i zasiadających w nich kierowników życia politycznego (niezależnie od służb planowania krótkookresowego, sprawozdawczości i kontroli, którymi dysponować musi rząd i podległa mu administracja). Chodzi tu o coś więcej, niż formalne dowartościowanie organów przedstawicielskich; chodzi o to, by na przyszłość wykluczyć sytuacje, w których kierownicy życia politycznego nie dysponują żadnym, niezależnym od urzędników administracji i menadżerów gospodarki aparatem sztabowym, a więc sytuacje, w których sami stają się nieświadomie przedmiotem manipulacji i ukrytych nacisków. Nawet jeśli GUS i Komisja Planowania pozostałyby w gestii organów wykonawczych, należałoby zapewnić Sejmowi i innym organom przedstawicielskim wyposażenie w dostateczny i kompetentny aparat pomocniczy w dziedzinie planowania i statystyki.

Uregulowanie zasad funkcjonowania masowych środków przekazu

Punkt trzeci dotyczy funkcjonowania masowych środków przekazu. Jest możliwe a zarazem celowe konstytucyjne zdefiniowanie miejsca i roli prasy, radia i telewizji w systemie władzy i równowagi społecznej w Polsce. Masowe środki przekazu, zaspokajając społeczną potrzebę informacji i kultury, mogą wyrażać jednocześnie opinię publiczną wobec działalności aparatu administracji i gospodarki, być czynnikiem społecznej kontroli wobec niej, tak jak bywały w okresach demokratyzacji i wzmożonego tętna życia politycznego w kraju. Wobec kierowników życia politycznego i organów przedstawicielskich spełniać mogą, jak we wspomnianych okresach, rolę jednego z istotnych źródeł informacji o stanie państwa i gospodarki, o ich funkcjonowaniu i ewentualnych zakłóceniach.

Taka rola masowych środków przekazu wymaga eliminacji wpływu aparatu administracji i gospodarki na to, co się drukuje w prasie, nadaje w radio czy prezentuje w telewizji, a także wpływu tychże aparatów na obsadę stanowisk w masowych środkach przekazu. Jedynym sposobem, jakim administracja i gospodarka winny zabiegać o swój obraz w masowych środkach przekazu, będzie w tej sytuacji prawidłowo prowadzona działalność.

Oznacza to istotne ograniczenia uprawnień cenzury i nadanie jej legalnego charakteru. Jeśli cenzura ma istnieć w państwie praworządnym jako instytucja legalna, zakres jej kompetencji

musi regulować ustawa, nie zaś postanowienia organów wykonawczych, jej działanie musi być zaskarżalne przed sądem i nie może ona podlegać w systemie władz państwowych organom wykonawczym, wobec których prasa, radio i telewizja spełniają funkcje społecznej kontroli tudzież oceny. Przedmiot ochrony ze strony cenzury prewencyjnej może i powinien być jasno zdefiniowany. Można więc brać pod uwagę ochronę cenzuralną wobec takich wartości, jak konstytucyjne podstawy systemu państwowego i ustroju, układ podstawowych sojuszków politycznych państwa, konstytucyjnie określone prawa i obowiązki obywatelskie oraz tajemnice wojskowe; można poprzez cenzurę eliminować wszelkie formy propagowania dyskryminacji czy też niechęci na tle różnic światopoglądu, wyznania, narodowości czy rasy, eliminować z upowszechniania akcenty sadyzmu, przemocy i pornografii.

Z kolei każdy, kto w wyniku nieusprawiedliwionej interesem społecznym działalności dziennikarza lub redaktora ponosi istotną stratę finansową lub krzywdę moralną, musi mieć zapewnione prawo dochodzenia swych roszczeń z tego tytułu.

Postulat demokratyzacji pociąga za sobą potrzebę zagwarantowania środowiskom twórczym, zawodowym, samorządowym i światopoglądowym możliwości wyrażania swych opinii poprzez własne organy prasowe; bez takich gwarancji trudno spodziewać się wiarygodności ewentualnych przemian politycznych w naszym kraju.

Wypowiedzi uczestników ankiety „DiP” wskazują, że m.in. od polityki partii, której gestii podlegają gazety koncernu RSW „Prasa-Książka-Ruch”, zależy w konsekwencji powrót masowych środków przekazu do roli jaką już niejednokrotnie spełniały w historii ostatnich 35 lat w Polsce — areny dialogu między kierownikami politycznymi państwa a społeczeństwem, narzędzia kontroli wobec działań administracji i gospodarki, źródła informacji o tych działaniach. Brak takiego elementu w systemie władzy i równowagi społecznej paraliżuje ten system, jak ukazały doświadczenia ostatnich lat, bardziej drastycznie, aniżeli najgorsze błędy administracji i gospodarki.

Prawo, praworządność i ochrona praw obywatelskich

Punkt czwarty proponowanych reform dotyczy systemu prawnego. Nie można wyobrazić sobie sprawnie działającego państwa bez porządku prawnego: zdaniem uczestników ankiety „DiP” należałoby podjąć szereg różnych kroków dla jego uregulowania.

Po pierwsze trzeba by ustawowo zagwarantować kontrolę nad zgodnością prawa z konstytucją i nad prawodawstwem rządowym, którego rozmiar niebezpiecznie się zwiększył. Niezależnie od tego, jakiej agencji zadania te będą powierzone, w interesie samego systemu władzy należy zagwarantować sprawne i skuteczne ich wykonywanie. Dla funkcjonowania zaś gospodarki porządek prawny stanowi warunek *sine qua non* — nie przypadkiem feudalizm ze swą dowolnością w sferze prawa upadł pod naciskiem pierwszej rewolucji przemysłowej, które wymagała prawa jasnego, równego dla wszystkich i celowego.

Drugi problem to gwarancje instytucjonalne ochrony praw obywatela wobec działań administracji. Ewentualny trybunał administracyjny, którego przywrócenie od dawna postulowali administratywiści polscy, powinien podjąć orzekanie w sprawie legalności i zasadności prawnej działań administracji jako wyspecjalizowana agenda sądownictwa, wyłączona z sądownictwa powszechnego; funkcjonowanie takiego trybunału nauka uznaje za istotny warunek równowagi w systemie władzy, ponieważż zaskarżalność działań administracji likwiduje poczucie bezbronności obywatela, a więc jedno ze źródeł niezadowolenia społecznego (sprzeciw społeczny budzą nie same błędy administracji, lecz niemożliwość obrony przed nimi, skorygowania ich i usunięcia). Przy powoływaniu jednak takiej agencji należałoby zwrócić uwagę na środki zapewniające sądownictwu administracyjnemu należyłą szybkość rozpoznania spraw i skuteczności, np. poprzez udzielenie mu prawa do zawieszenia w określonych wypadkach zaskarżonej decyzji i natychmiastowego postępowania zabezpieczającego; doświadczenia sądownictwa administracyjnego w krajach o dużym historycznym dorobku w tej dziedzinie wyraźnie ukazują, jak administracja potrafi neutralizować skuteczność działań tegoż sądownictwa.

Należałoby również wprowadzić zasadę dostępu obywatela do wszelkich aktów administracyjnych, zapewniając tej zasadzie pełną egzekucję. Zwłaszcza w zbliżającej się epoce komputeryzacji i rozwoju różnorodnych „banków danych” obywatel musi mieć zagwarantowane bezpieczeństwo w sferze informacji gromadzonych na swój temat przez jakiekolwiek agendy administracji.

Zdaniem uczestników ankiety „DiP”, byłoby też celowe powołanie specjalnego urzędu o charakterze i roli zbliżonej do roli trybuna ludowego w ustroju republiki rzymskiej lub instytucji ombudsmana w skandynawskim systemie państwowym. Pełnomocnictwa takiego urzędnika, który mógłby nosić miano „trybuna prawa” lub — w nawiązaniu do tradycji staropolskiej

— „strażnika prawa” — musiałyby jednak być szersze od uprawnień ombudsmána. Powinny rozciągać się aż po prawo zawieszenia każdej decyzji administracji, jeśli zdaniem tego urzędu zachodzi uzasadnione domniemanie jej sprzeczności z prawem, a zwłaszcza jeśli dana sprzeczna z prawem decyzja grozi wyrządzeniem nieodwracalnych szkód lub strat dowolnej osobie fizycznej lub prawnej. Szczegółowe analizy wykazują, że jedyne decyzje administracyjne które wykluczają prawo do ich zawieszenia to decyzje o charakterze wojskowym, a w razie zagrożenia publicznego, klęski żywiołowej, ratowania życia lub zdrowia ustawy wyjątkowe; wszelkim innym aktom administracji zawieszenie do chwili wyjaśnienia sprawy w niczym nie szkodzi. Należy mieć nadzieję, że administracja świadoma takich prerogatyw „trybuna prawa”, będzie skrupulatniej przygotowywała swe decyzje: „trybun prawa”, świadomy, że nieuzasadniona interwencja spotka się z naganą ze strony trybunału administracyjnego, będzie, miejmy nadzieję, wkraczał w sytuacjach uzasadniających jego interwencję.

Uporządkowanie systemu prawnego oraz sprawny nadzór i kontrola wobec działań administracji gwarantują przede wszystkim sprawność i skuteczność machine państwowej; prawo celowe, prawo egzekwowane, prawo równe dla wszystkich obywateli, a także ich szacunek dla państwa, które się tym prawem rządzi.

Oczywiście wymaga również gwarancji egzekucja w procesie wykonywania prawa. W świetle negatywnych doświadczeń zarówno ostatnich lat, jak też w świetle wielowiekowych historycznych tradycji państwowości polskiej z epoki Pierwszej Rzeczypospolitej celowe jest — zdaniem części uczestników ankiety „DiP” — dla zapewnienia niezawisłości sądów wyłączenie sądownictwa spod gestii rządu i organów wykonawczych państwa w osobny pion systemu władz państwowych, a także przyjęcie zasady dożywności funkcji sędziowskich (nieusuwalności sędziów) i należycie wysokiego uposażenia aparatu sądownictwa. Sędzia, pewny, że jeśli nie naruszy norm regulaminu sędziowskiego, zachowa swój urząd aż do osiągnięcia wieku emerytalnego, sędzia opłacany na poziomie najwyższych uposażeń pracowników administracji ma większe szanse zyskać opinię nieskazitelności, niż sędzia niepewny swej posady i ubogi; należy oczekiwać od sędziów, jak od każdego zawodu specjalisty, dbałości o honor profesjonalny, jednakże trzeba dla realizacji takich postulatów stwarzać korzystne warunki.

Jest pozornie łatwiej sprawować władzę w warunkach chaosu i braku norm, w warunkach uprzywilejowania, w warunkach moż-

liwości manipulowania wyrokami sądów; wszelako jest to łatwość, która na dłuższą metę prowadzi do zjawisk paraliżu społecznego i frustracji, a w konsekwencji do rozkładu samej władzy.

Zasady awansu

Punkt szósty dotyczy przyjęcia reguły, że obsada wszelkich stanowisk w administracji, sądownictwie i gospodarce zależy od kwalifikacji i kompetencji kandydata; nikt nie może być dyskryminowany w szansach awansu i szansach uzyskania pracy odpowiadającej swym kwalifikacjom z powodu swego światopoglądu czy też innych przyczyn. Przestrzeganie tej zasady gwarantuje poczucie równości praw u obywateli, ich poczucie równości szans, a co za tym idzie — ich poczucie partnerstwa wobec kierowników życia politycznego, bez czego trudno sobie wyobrazić korzystną zmianę postaw społecznych. Z drugiej strony kierownicy życia politycznego, dysponując „kontrolnym pakietem” władzy nie muszą dostrzegać zagrożenia swej władzy w oparciu decyzji personalnych na kompetencji i kwalifikacjach kandydatów do stanowisk, ponieważ, jak udowodniła praktyka, naprawdę liczyć można jedynie na efektywność pracy ludzi kompetentnych i kwalifikowanych. Dobór kandydatów gorszych, pozornie gwarantujących lojalność, nie tylko frustruje pominiętych ale upokarza zarazem przyszłych podwładnych, co nie sprzyja ich ochocie do pracy. Stanowić o celach, dobierać najlepszych ludzi dla ich realizacji a następnie kontrolować ich i z ocen ich pracy wyciągać wnioski, to komplet prerogatyw politycznych, wystarczających dla sprawowania władzy.

Poszanowanie samorządności

Respondenci ankiety wielokrotnie podkreślali znaczenie różnego rodzaju organizacji samorządowych w życiu społecznym naszego kraju. Powinny one nie tylko utwierdzać poczucie partnerstwa obywateli wobec władzy, ale odgrywać istotną funkcję opiniotwórczą, zwłaszcza gdy mowa o stowarzyszeniach profesjonalnych, kulturalnych i twórczych. Jest to kwestia tak „głodu demokracji”, jak potrzeb sprawności systemu.

Zasada, że wszelkim ciałom i organizacjom o charakterze samorządnym pozostawia się pełną swobodę wyboru swoich władz, wedle ich najlepszej woli, mieści się w postanowieniach

prawa o stowarzyszeniach. Jest rzeczą niecierpiącą zwłoki jego nowelizacja, a właściwie stworzenia ustawy o jednolitym, jasnym charakterze, ponieważ od roku 1932, czyli od chwili promulgowania prawa o stowarzyszeniach ulegało ono wielokrotnym, często chaotycznym modyfikacjom. Nie ma wątpliwości, że należy w przyszłości szanować, nie tylko formalnie, prawo ciał i organizacji samorządowych do nieskrępowanego wyboru swoich władz. Praktyka, która to prawo przekreśla, blokuje aktywność takich ciał i organizacji, które tracą swe poczucie tożsamości. Nie chodzi bynajmniej tylko o manipulowanie wyborami i naciski; chodzi o przeciwdziałanie takim zjawiskom jak z reguły całkowicie zbędna rozbudowa hierarchicznych struktur samorządnych organizacji, jak podporządkowanie formalne bądź personalne władz organizacji samorządowych aparatowi administracji, jak rozbudowa aparatu urzędniczego, który z reguły bierze górę nad samorządem. Chodzi też o nadanie samorządnego charakteru tym instytucjom życia społecznego (np. uczelniom wyższym), które mogą swe zadania spełniać samorządnie znacznie lepiej, niż w strukturach biurokratyczno-administracyjnych. Można skrupulatniej kontrolować statutowe sformułowanie zadań danego ciała czy organizacji, można skrupulatniej badać — zwłaszcza za pośrednictwem komisji organów przedstawicielskich — czy dane ciało samorządowe lub organizacja przestrzega swego statutu, ale interesem samej władzy jest, gdy podobna ocena wypada korzystnie, by wszystkie ciała samorządowe i samorządne organizacje autentycznie działały i znajdowały satysfakcję w skuteczności swego działania. Biorą one bowiem na siebie bagaż zadań, których bardzo często żaden aparat administracyjny w ogóle nie może podjąć; podamy tu przykład skrajny — w dawnych czasach organizacje opiekuńcze o motywacji religijnej dostarczały kandydatów o niesłychanej zdolności poświęcenia, niezastąpionych, gdy chodzi o pracę w zakładach dla osobników niedorozwiniętych psychicznie czy też osób nieuleczalnie chorych, w dziedzinie opieki nad inwalidami i ludźmi starymi, niezdolnymi do samodzielnego życia. Ale wystarczy zapoznać się z wynikami działalności czechosłowackiego młodzieżowego ruchu ochrony środowiska „Brontosarus” czy ruchu ochrony konsumenta w krajach zachodnich, by zrozumieć, ile pożytku społecznego przynosi nieskrępowana inicjatywa obywatelska. Natomiast koncepcja „zajmowania się wszystkim”, jak dowodzi doświadczenie, nie da się po prostu zrealizować. Bierność obywateli przez nią wywoływana pociąga za sobą, jak widzieliśmy, katastrofalne skutki dla samej władzy.

Szczególnie samorząd młodzieżowy (od organizacji politycznych do sportowych) powinien zyskać warunki rozwoju, gwarantujące mu autentyczność i spontaniczność, bez których nie można wychowywać przyszłych obywateli do współuczestnictwa i współodpowiedzialności.

Gwarancje

Prócz reform ustrojowo-konstytucyjnych konieczne wydaje się — zdaniem uczestników ankiety „DiP”, a także uczestników dyskusji na forum wspomnianych tu już instytucji i organizacji — udzielenie podstawowym klasom polskiego społeczeństwa, jak też społeczeństwu w całości, określonych gwarancji, zdolnych wytworzyć poczucie trwałości dokonywanych zmian.



Gwarancją taką dla klasy robotniczej byłoby przekształcenie związków zawodowych w organizację grupującą wyłącznie pracowników zatrudnionych, z pominięciem członkostwa pracodawców. Powinna ulec również zmiana funkcja związków zawodowych — w warunkach ustabilizowanej gospodarki kraju średnio rozwiniętego nie ma potrzeby oczekiwać od związków zawodowych funkcji mobilizacyjnej, funkcji pobudzania do wydajnej pracy. Taką funkcję lepiej może spełniać, i powinien, prawidłowo rozwiązany system płac, system prawno-ekonomiczny współwłasności środków produkcji, system współuczestnictwa w zarządzaniu, o czym mówi rozdział następny niniejszego opracowania. Natomiast związki zawodowe powinny przede wszystkim realizować swe podstawowe powołanie — reprezentacji pracowników wobec pracodawców, ochrony interesów pracowniczych itd. Powinny się dla tych celów wykrystalizować w możliwie najkrótszym czasie zasady negocjacji między pracodawcami a pracownikami, zasady wyłaniania rzeczywistej reprezentacji robotniczej, zasady interwencji związków w obronie pracowników. Po utrwaleniu się tradycji w tym względzie można spodziewać się, że polskie związki zawodowe z własnej inicjatywy zechcą uczestniczyć w procesie doskonalenia gospodarki; jak wyraził się jeden z uczestników ankiety *„robotnicy polscy nieraz wykazali, że lepiej potrafią zadbać o swój warsztat pracy niż ich pracodawcy; traktowani jak partnerzy — zachowują się jak partnerzy”*.



Niezbędne są również gwarancje dla wsi polskiej, dla klasy chłopskiej. Pierwsza z nich to zapewnienie polskim chłopom pełnej i autentycznej reprezentacji politycznej; spodziewać się można — zdaniem uczestników ankiety „DiP” — że działacze Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego będą potrafili podjąć otwartą i szczerą dyskusję ze swymi członkami i potencjalnymi sympatykami na wsi polskiej, by uzyskać lub odzyskać mandat pełnej i autentycznej reprezentacji. Doświadczenia ostatnich lat pokazały, że ruch chłopski tego właśnie pragnie i oczekuje.

Drugą gwarancją byłoby nadanie autentycznego charakteru instytucjom samorządu wiejskiego. Postulat, sformułowany przez uczestnika nr 10, „napełnienia słów treścią” nigdzie chyba nie pasuje lepiej, niż w tym przypadku. Nie tylko odczucia społeczne, lecz i interes gospodarczy kraju nakazuje radykalne odbiurokratyzowanie struktur samorządu wiejskiego. Przekształcenie spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, będących dziś podobnie jak „Społem” przedłużeniem aparatu administracji państwowej, w prawdziwe spółdzielnie, dobrowolnie zrzeszone, przekształcenie kółek rolniczych w organizmy autentycznie samorządne, wreszcie — przekształcenie wszelkich agend państwowego aparatu skupu w agendy spółdzielcze nie tylko nada chłopu polskiemu status rzeczywistego gospodarza, ale pozwoli zlikwidować kosztowny, obejmujący ponad 100 tysięcy osób aparat biurokratyczny i uwolnić się od konieczności stosowania mało skutecznej kontroli prowadzonej przez wyższe instancje urzędnicze; ci sami ludzie będą dla gospodarki narodowej niewspółmiernie bardziej wydajni, pracując bezpośrednio za ladami sklepów, w warsztatach kółkowych bądź hurtowniach handlu.

Trzecia gwarancja polegałaby na zapewnieniu autentycznej obieralności władz lokalnych na wsi. Zgodnie z przekonaniem większości czołowych teoretyków administracji na świecie, jak też zgodnie z doświadczeniem w tej mierze, żaden samorząd lokalny nie jest w stanie ani przeciwstawić się w pełni władzom centralnym ani im w jakimkolwiek stopniu zagrozić. Polityka państwa wobec wsi nie musi zaś być reprezentowana przez naczelników gmin; służyć temu może niemało innych, znacznie skuteczniejszych instrumentów. Obieralne władze gmin wiejsko-rolniczych otworzą natomiast drogę dla inicjatywy społecznej na wsi tak w sferze gospodarki, jak kultury i rozwoju infrastruktury cywilizacyjnej; inicjatywa taka wymaga bowiem spełnienia jednego podstawowego, czy może raczej wstępnego warunku — odbudowy zaufania, wiary w sens ludzkich poczynań.

Czwarta gwarancja winna polegać na sformułowaniu potwier-

dzonych ustawą długofalowych zasad polityki państwa wobec wsi. Zasady takie musiałyby stanowić swoistą umowę między państwem, reprezentującym całość społeczeństwa, a klasą chłopów polskich; ustawowe tych zasad wyrażenie miałoby swą wagę ze względu na uprawnienia ewentualnego urzędu w rodzaju trybuna prawa, który byłby mocen zawiesić każdą decyzję administracji sprzeczną z wyżej wzmiankowaną ustawą — bez takich uprawnień podobnego urzędu sformułowane zasady nie nabrałyby, co oczywiste, dostatecznej wiarygodności, ponieważ praktyka polityki państwa wobec wsi utrwaliła w tej ostatniej przeświadczenie o iluzoryczności wszelkich ustaw i obietnic nie popartych odpowiednimi gwarancjami.



Wprowadzenie stabilnych zasad polityki, a więc gwarancji ustrojowych o podobnym charakterze, wymaga też drobna i rodzinna przedsiębiorczość prywatna w sferze produkcji przemysłowej, rzemieślniczej i handlu. W sensie społecznym rzemiosło i drobny handel prywatny w Polsce zostały zrównane w prawach z innymi ludźmi pracy, nadano im prawo do opieki zdrowotnej, zabezpieczenia emerytalnego itd. Decyzja ta, ze wszech miar słuszna (choćby dlatego, że wysiłek energetyczny w pracy rzemieślnika polskiego lub sprzedawcy sięga poziomu równego pracy uznawanej wręcz za uciążliwą) — nie wystarcza wszelako dla wytworzenia poczucia bezpieczeństwa i gwarancji praw, bez czego ta klasa społeczna nie będzie odgrywać należytej i prawidłowej roli w gospodarce i społeczeństwie polskim. I tu potrzebna jest swego rodzaju długofalowa umowa społeczna, a więc poparte gwarancjami, wyrażone prawnie zasady polityki państwa.



Nie trzeba dodawać, że tym bardziej — zdaniem nie tylko uczestników ankiety „DiP” — wymaga rzeczowego potraktowania spółdzielczość. Spółdzielczość nieautentyczna, obciążona biurokracją, przekształcona w kompleks zhierarchizowanych urzędów nie może spełnić oczekiwanych funkcji gospodarczych ani społeczno-kulturalnych, nie stwarza bowiem miejsca na inicjatywę ludzką; wymagają zatem rewizji obowiązujące formalnie przepisy, jak też praktyka ruchu spółdzielczego. Żywa i autentyczna spółdzielczość niczym nie zagraża funkcjonowaniu przedsiębiorstw państwowych, przeciwnie, stanowi ich naturalne uzupełnienie — we wszystkich tych dziedzinach gospodarowania,

w których środki własne ludności wystarczają dla prawidłowego inwestowania i dla pokrycia zapotrzebowania danej jednostki gospodarczej na kapitał obrotowy. Znaczenia zaś integracyjnego działalności spółdzielczej nie sposób przecenić.



Gwarancji lojalnego traktowania przez system prawno-państwowy i politykę państwa wymaga krąg obywateli wierzących i zaspokajający w głównej mierze ich religijne potrzeby Kościół katolicki. Mają oni prawo oczekiwać, podobnie jak ludzie niewierzący, przestrzegania zasady świeckości państwa. Państwo świeckie nie preferuje żadnych poglądów obywateli w sprawach religii: jest w tych sprawach „nieobecne”, nie prowadzi więc propagandy ani na korzyść religii ani przeciw niej, nie ogranicza też swobody manifestacji wierzeń religijnych czy poglądów religijnych, jeśli tylko manifestacje takie nie obrażają uczuć lub godności osób o innych poglądach i nie naruszają zasad tolerancji. Państwo nie powinno wobec powyższego utrudniać praktyk religijnych, ograniczać prawa zainteresowanych obywateli do budowy ośrodków kultu, blokować życia religijnego rozwijanego za pośrednictwem prasy wyznaniowej i wydawnictw. Ludzie wierzący stanowią po dziś dzień większość społeczeństwa polskiego, dobrej woli zaś Kościoła państwo niejednokrotnie już zawdzięczało uratowanie pokoju wewnętrznego. Usunięcie wszelkich form dyskryminacji może oddziaływać tylko pozytywnie na atmosferę życia społecznego kraju, otwierając drogę do realizacji hasła „socjalizmu dla wszystkich”. Z kolei przemiany, które przeszedł Kościół w Polsce i na świecie, mimo doktrynalnej sprzeczności z marksizmem, pozwalają się spodziewać, że usunięcie wszelkich form dyskryminacji wobec niego i ludzi wierzących nie sprawdzi za sobą nawrotu do polityki dyskryminowania przez nich ludzi o innym światopoglądzie.



W sferze rozwiązań ustrojowo-politycznych ankieta „DiP” wskazała na jeszcze jedną specyficzną potrzebę dotyczącą społeczeństwa polskiego w całości. Społeczeństwo polskie oczekuje bowiem gwarancji bezpieczeństwa dla dobrej roboty, jak to ujął jeden z uczestników ankiety. Wszelkie zespoły ludzkie, organizmy społeczne, prawidłowo spełniające swe zadania statutowe, muszą uzyskać pewność, że dorobek ich i nagromadzone doświadczenie nie zostaną z dnia na dzień unicestwione arbitralnymi decyzjami

personalnymi, reorganizującymi czy też likwidacyjnymi. Praktyka tego rodzaju, dotycząca równie redakcje gazet, jak zespoły konstrukcyjne lub całe przedsiębiorstwa i przedsięwzięcia, pociąga za sobą coś więcej, niż dezintegrację, bo zniechęcenie i paraliż społeczny; przeciwdziałać tej praktyce mogą w pełni skutecznie tylko gwarancje o charakterze systemowym, a więc wspomniane instytucje ustrojowe o prerogatywach trybuna prawa. Należy uważać je za niezbędne, ponieważ wszelkie obietnice i deklaracje zawiodły, a samowola różnorodnych agend biurokracji nie napotykała nigdy na mogący ją zrównoważyć opór; w tej sytuacji trudno liczyć na zaufanie obywateli do jakichkolwiek obietnic i deklaracji niepopartych odpowiednimi gwarancjami.



Uczestnicy ankiety „DiP” sądzą zgodnie, że przyjęcie wyżej opisanych reform i gwarancji otworzy drogę porozumieniu między władzą a społeczeństwem. Jest to owoc wielu miesięcy dyskusji w różnych kręgach zawodowych, zajmujących się problematyką systemu władzy w Polsce; nie twierdzimy, że ostateczny, jednakże wydaje się on autorom opracowania konstrukcją dość spójną. Mamy nadzieję, że podobne wrażenie odniesie Czytelnik tego tekstu.

R o z d z i a ł VII

O WNIOSKACH W SPRAWACH GOSPODARKI I POLITYKI SPOŁECZNEJ

Materiały ankiety, nawet uzupełnione i wzbogacone materiałami innych dyskusji i prac analitycznych prowadzonych na forum wspomnianych uprzednio organizacji i instytucji, różnią się poważnie, co zrozumiałe, stopniem szczegółowości wypowiedzi w sprawach gospodarki, polityki społecznej i kultury. Ogólne jest — *bez żadnego wyjątku* — przekonanie o potrzebie głębokich reform, jednakże, choć kierunki ich zarysowały się dość jednoznacznie, trudno mówić o zamkniętym, szczegółowym programie reform czy nawet zamkniętym pakiecie propozycji. Auto-

rzy niniejszego opracowania podjęli wobec powyższego próbę przedstawienia poniżej najważniejszych myśli i sugestii, określających w jakimś sensie punkt wyjścia do dalszych dyskusji.

W sprawach gospodarki kilku respondentów zajęło się przedstawieniem, jak to określił respondent nr 24, „czynnikiem sztywnych, tj. takich elementów istniejącej już sytuacji ekonomicznej Polski, które nawet przy genialnym kierownictwie, doskonałym systemie kierowania i doskonałych koniunkturach będą bardzo powoli i opornie poddawać się zmianom”. Za takie czynniki uznaje się zgodnie:

1. Zamrożone inwestycje. Ten problem obejmuje nie tylko fabryki nieskończone, ale i te, którym dla produkcji brakuje surowca, przeważnie z importu, a czasem i krajowego.

2. Handel zagraniczny. Styczniowa konferencja w hotelu „Victoria” z przedstawicielami banków zachodnich, głównie amerykańskich, i zapowiedź dodatkowej pożyczki 500 mln. dolarów ustrzegła Polskę przed oficjalnym zawieszeniem spłat długów i odsetek. Zadłużenie będzie rosło, nie osiągnięto po dzień dzisiejszy bieżącego zrównoważenia bilansu handlu zagranicznego. Należy zaś pamiętać, że koszt importu zbóż i pasz w roku 1978 wyniósł ponad miliard dolarów, przy czym ani w samych dostawach ani w ich kredytowaniu nikt nie może zastąpić USA; każde zakłócenie w stosunkach z USA oznacza tym samym *katastrofę* dla kraju.

3. Produkcja żywności. Wieś polska, mimo wielu różnorodnych bodźców negatywnych, stosunkowo żywo reaguje na bodźce pozytywne, ale nawet przy „idealnej” polityce rolnej korzystne zmiany produkcyjne muszą następować dość powoli z uwagi na ogromne braki w dostawach sprzętu, nawozów, materiałów dla wsi indywidualnej, czego nie da się szybko odrobić. Można się spodziewać w przeciągu 3-4 lat wielkiego skoku produktywności wsi w zakresie zbóż i pasz, ponieważ wedle szacunku specjalistów kilka milionów ha gruntów ornych i łąk jest uprawianych źle, zaniedbanych lub w ogóle nieuprawianych; jednakże nawet 3-4 lata to wariant optymistyczny. W tej sytuacji kraj pozostanie nadal, jak jest nim od roku 1974, importerem żywności netto.

4. Surowce, zwłaszcza energetyczne. Od roku 1978 Polska stała się importerem netto paliw, mimo swego ogromnego eksportu węgla (ok. 40 mln. ton rocznie, z tego 12 mln. ton do ZSRR). Przy rosnącej cenie paliw płynnych sytuacja może zmienić się dopiero z chwilą zrównania się kosztów pozyskiwania przez nas importowanej ropy naftowej z kosztami uzyskiwania

paliw płynnych z węgla (przy rozwoju nowych, wydajniejszych technologii w tej dziedzinie, które są wspólnym przedmiotem zainteresowania Polski i USA); jest to kwestia co najmniej pięciu-sześciu lat. Krajowy bilans w zakresie energii elektrycznej nie da się zrównoważyć wcześniej, niż za 4-5 lat, prawidłowo zaś prowadzona polityka energetyczna (program oszczędności poprzez modernizację systemów przesyłania i urządzeń elektrotechnicznych) napotka i tak barierę rozwojową w niemożności podniesienia wydajności węgla (brak rąk do pracy, zapóźnienie w procesach automatyzacji).

Te wyznaczniki naszej sytuacji musi znać społeczeństwo, by wiedzieć, czego można się po gospodarce spodziewać, by odrodzenie aktywności społecznej nie stało się źródłem nowej frustracji, wywołanej poczuciem kolejnego niepowodzenia.

W rozważaniach nad koniecznymi reformami ujawniły się wśród uczestników niewielkie stosunkowo rozbieżności. Dotyczyły one głównie tempa ewentualnej realizacji programu reform, niemniej warto je odnotować. Respondent nr 13 postuluje:

„... potrzebna jest i dłuższa dyskusja wstępna i uzyskanie szerokiego zrozumienia wśród kadr i załóg i wreszcie gotowość władzy do spokojnego, etapowego, ale pełnego zrealizowania spójnej koncepcji. Myślę, że wymagałoby to dwóch, jeśli nie trzech lat od momentu rozpoczęcia solidnej pracy nad zagadnieniem, co oczywiście nie wyklucza wcześniejszego dokonania pewnych odcinkowych zmian”.

Ten punkt widzenia znajduje poparcie m.in. w opinii respondenta nr 7, formułującego propozycję strategii, jak ją nazywa, „cząstkowej”.

Opinie innych ekonomistów jak też specjalistów od zarządzania sugerują raczej strategię „wnikliwie dyskutować, szybko wprowadzać”. Zalecają oni równocześnie z dyskusją korygowania tych anomalii, co do których wiadomo, jak to zrobić; różnicę poglądów wyraża lapidarnie respondent nr 36:

„Całe doświadczenie nauki o zarządzaniu wskazuje, że reorganizacja dla każdej instytucji czy też przedsiębiorstwa bywa czymś w rodzaju pożaru. Mając to na uwadze przedstawiciele nauki o zarządzaniu poczynając od Taylora i Adamieckiego wskazują, że reorganizację należy dobrze przygotować, natomiast przeprowadzać możliwie szybko. Inaczej wprowadza się w działanie instytucji i przedsiębiorstwa, a tym bardziej w działanie państwa, stan tymczasowości i niejasności zasad gry, co pogłębia tylko dotychczasowe mankamenty, uzupełniając je nowymi i... kompromitując samą nawet ideę reorganizacji”.

Stanowisko to podziela większość pozostałych uczestników ankiety, wypowiadających się na ten temat. Uczestnik nr 35 podkreśla:

„Dla zmiany stosunków między władzą a obywatelem, przy świadomości że reformy gospodarcze nie mogą być kwestią dnia, najistotniejsze wydaje mi się w chwili obecnej podjęcie ogólnej, otwartej dyskusji nad gospodarką... Społeczeństwo oczekuje przedstawienia mu prawdy o stanie gospodarki, przedstawienia jej w sposób rzeczowy i wiarygodny. Otwarcie dyskusji nad drogami wiodącymi do naprawy, fakt niewątpliwie polityczny, zdejmiemy z problemu gospodarki odium problemu politycznego, przekształci go w to, czym naprawdę jest — w problem organizacji, w problem wspólnego poszukiwania najlepszych rozwiązań technicznych, organizacyjnych i ekonomicznych”.

Ten sposób podejścia do sprawy gospodarki reprezentują wszyscy uczestnicy ankiety: remedium na dzisiejsze schorzenia nie może, ich zdaniem, polegać na przejęciu gestii przez agendy i instytucje o charakterze politycznym, ponieważ w praktyce, jak można wnioskować z dotychczasowych doświadczeń, pogłębi to jedynie chaos. Respondent nr 34 tak rysuje oczekiwany układ stosunków między najwyższymi organami władzy: w tym układzie „wiodące ogniwa centrum politycznego przesuwają się z pozycji bezpośredniego dyrygenta w kierunku pozycji kierownictwa partii, mającej bezwzględną przewagę w parlamencie. Pozycja ta oznacza, że wiodące ogniwa centrum politycznego mogą nadal decydować o wszystkich generalnych sprawach kraju, ale też tylko za nie biorą na siebie odpowiedzialność. Nie mogą natomiast zajmować się szczegółami, które nie wchodzą w zakres kompetencji parlamentu. Centrum polityczne nie może także wpływać na rząd inaczej niż za pośrednictwem parlamentu. Oczywiście, możliwe są tu różne warianty tego rozwiązania...”.

Powyżej nakreślony układ stosunków pozwoliłby kierownictwu politycznemu kraju zachować pozycję kierowniczą i kontrolną bez przejmowania na siebie odpowiedzialności za codzienną praktykę gospodarczą, za jej wszystkie bieżące problemy i trudności. Analogicznie aparat partyjny nie musiałby pełnić funkcji „straży pożarnej” ani odgrywać roli „komandosów do zatykania dziur systemu”. Jasność co do zakresu kompetencji i jasność co do zakresu odpowiedzialności — oto główny walor układu zapewniającego systemowi władzy zdolność autokorekcji w sprawach gospodarczych bez wywoływania okresowych napięć politycznych.

Jest to w rzeczywistości reforma bardzo głęboka, ponieważ sprzeczna z ukształtowaną tradycją stylu rządzenia i nawykami.

Oznaczałaby ona odmienny sposób wykonywania władzy. Dodajmy, że i sposób gwarantujący — zdaniem uczestników ankiety — większe poczucie równości praw i równości szans wśród obywateli (skoro gospodarka i kierownictwo w niej stanowiska są dziś najszerszym polem ekspansji dla ludzi utalentowanych), jak też gwarantujący zarazem większe bezpieczeństwo władzy (skoro system nie musiałby traktować nieuchronnych różnorakich mankamentów gospodarki jako tabu politycznego).

Respondent nr 37 dodaje:

„Dyskusja potrzebna jest nie tylko jako rękojmia dobrej wiary ze strony kierownictwa gospodarki. Potrzebna jest także dlatego, że wskutek braku autentycznej dyskusji naukowej w środowisku ekonomicznym — nie zdołaliśmy po dziś dzień uporządkować i wyjaśnić wielu obiegowych pojęć które bywały i bywają często przesłankami zasadniczych decyzji o charakterze politycznym”.

Zdaniem innego respondenta szeroka, publiczna dyskusja nad gospodarką przyniosłaby dodatkową korzyść w postaci powszechnej edukacji ekonomicznej społeczeństwa, możliwej do zrealizowania dzięki poczuciu współuczestnictwa i kontroli nad tokiem rozważań. Ze wszystkich tematów takiej dyskusji jeden zwłaszcza wymaga udziału wszystkich obywateli — temat wizji społeczeństwa i gospodarki, którą zamierzalibyśmy, jako kraj, wcielać w życie w ciągu najbliższych 15 lat. 15 lat nie jest terminem zbyt odległym. Oznacza konieczność dokonania przez społeczeństwo pewnych wyborów, konieczność określenia społecznych preferencji, i to w sposób taki, by realizacja wspólnie zaakceptowanej wizji mogła w każdej chwili stać się przedmiotem analizy i oceny. Można wówczas liczyć i na ogólnospołeczne zaangażowanie w realizację tak nakreślonych celów, zaangażowanie tak dla tej realizacji istotne.

Tematy, które w świetle wypowiedzi uczestników ankiety „DiP” jak też uczestników innych dyskusji wymagają publicznej wymiany zdań rysują się następująco:

1. *Grupa problemów związanych z rozwojem i zastosowaniem teorii ekonomii politycznej.* Według opinii uczestników ankiety brakuje rozstrzygnięć o znaczeniu niemal podstawowym, np. na ile politykę gospodarczą państwa socjalistycznego ma definiować ekonomia wzrostu gospodarczego. Miernik wzrostu, wokół którego wykształcił się pewien zespół reakcji ambicjonalnych, eliminuje wszelkie inne podstawy oceny postępu, a dzieje się to

w sposób naturalny, ponieważ do tej pory nasza ekonomia nie skondyfikowała listy celów gospodarowania, które uprawiamy. Bez takiej listy celów nie można też ustalić, jakie dziedziny wydatkowania środków podlegają ocenie z punktu widzenia przynoszonych zysków, które zaś nie mogą być kwalifikowane wedle mierników ekonomicznych (wyjawszy badanie kosztów). Nie jest też sprecyzowane na ile pojęcia ekonomii politycznej, pojęcia o charakterze ogólnym, można traktować jako przesłanki praktycznych decyzji w polityce gospodarczej. Codziennosc naszej gospodarki ukazywała wielokrotnie, jak bardzo szkodziło jej opieranie praktycznych decyzji na wierności naukowym, ale wysoce abstrakcyjnym uogólnieniom. Respondenci wskazują na niedorozwój metodyki i technik planowania, fatalnie ciążyący zwłaszcza na planowaniu rozwoju. Szerokiej i wnikliwej dyskusji wymagają również kwestie równowagi rynkowej, pieniądza, płac, cen i zatrudnienia. Dla przykładu — jak wiadomo, problem równowagi rynkowej i inflacji w naszej gospodarce bynajmniej nie poddaje się tradycyjnym instrumentom analizy i rozwiązań — występująca przez cały powojenny okres nadwyżka popytu nad podażą oddziaływuje na rynek w sposób albo całkowicie sprzeczny z teorią albo też omijając w sporej części jej oczekiwania, zaś równowagi rynkowej nigdy w rzeczywistości nie udało się osiągnąć. Luk intelektualnych jest mnóstwo, niemal w sferze każdego problemu: „*Tradycyjne środki ograniczania inflacji poprzez zmniejszenie zatrudnienia i globalnego funduszu płac mogą działać przy prawidłowej strukturze zatrudnienia, gdy nie ma żadnych rezerw zatrudnienia w usługach* — zwraca uwagę respondent nr 36. — *Jeżeli natomiast, tak jak w Polsce, zatrudnienie w rzemiośle i usługowym i drobnym handlu jest karykaturalnie małe, może zdarzyć się, że przy poprawie struktury zatrudnienia, wobec zmniejszenia liczby rąk do pracy w przemyśle, globalna liczba zatrudnionych wcale nie spadnie, a płaca jednostkowa w przemyśle wzrośnie. Efekt antyinflacyjny ten sam, a konsekwencje społeczne diametralnie różne*” — kończy swój wywód respondent.

Z materiałów ankiety rodzi się refleksja, że potrzebne jest opracowanie kwestionariusza pytań, adresowanych do środowiska nauk ekonomii, organizacji i zarządzania w sprawie nierozstrzygniętych, niewyjaśnionych i niejasnych problemów teoretycznych naszej gospodarki, ponieważ za te luki intelektualne płaci gospodarka, a co za tym idzie, całe społeczeństwo. Mówiono o tym na pierwszym posiedzeniu Konwersatorium „DiP”, wielokrotnie problem ten poruszono na sesjach PTE, a ostatnio sprawę tę sygnalizowano na majowej sesji PTS.

2. Problemy stanu i możliwości rozwojowych gospodarki.

Doświadczenie ukazało, że dyskusje zamknięte, ograniczone do forum wyspecjalizowanych komisji z reguły pozwalają dominować pewnym opiniom i osobom na niekorzyść innych; jeśli ten tryb przygotowania decyzji rozwojowych nie ulegnie zmianie, grozi naszej gospodarce dalszy ciąg tak popełnianych błędów. Respondenci wymieniali wiele gałęzi i branż, których stan i możliwości w skutek kryzysu systemu informacyjnego są oceniane w sposób całkowicie sprzeczny z autentycznym obrazem. Wskazali też na pilną potrzebę opracowania przez różne grupy ekspertów równoległych raportów o stanie i możliwościach rozwoju poszczególnych gałęzi i branż gospodarki.

3. Potrzeby struktur organizacyjnych.

Zdaniem respondentów korzystniej wygląda intelektualny punkt wyjścia w sprawach struktur organizacyjnych naszej gospodarki. Prace Komitetu Nauk Organizacji i Zarządzania PAN oraz grupy ekspertów Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego ukształtowały pewien dorobek w tej dziedzinie.

W kwestii struktur organizacyjnych — na co warto zwrócić tu uwagę — przeważa opinia, że między centralnym ośrodkiem decyzji gospodarczych a kierownikami „liniowymi” przedsiębiorstw wszelkie pośrednie szczeble organizacyjne powinny być ograniczone do niezbędnego minimum, centralny zaś ów ośrodek decyzji powinien być reprezentowany wobec przedsiębiorstw państwowych przez instytucję analogiczną raczej do rady nadzorczej niż do ministerstwa; wskazuje się, że rada nadzorcza, reprezentując interesy ogólnospołeczne wobec kierowników przedsiębiorstw, z natury swego oddelegowania wyspecjalizowana w analizie i ocenie danej organizacji gospodarczej, będzie działać efektywniej niż dotychczasowe resorty gospodarcze, które o żadnym z podległych sobie zakładów nie mogą w dowolnej chwili powiedzieć, jak pracuje.

Zdaniem ekspertów z Instytutu Organizacji, Zarządzania i Ekonomiki Budownictwa, odrębnych rozwiązań organizacyjnych wymaga problematyka realizacji inwestycji. Sugerują oni wykorzystanie doświadczeń CSRS, gdzie całością realizacji programu inwestycyjnego kieruje wyodrębniony organ kierowniczy (nie posiadający własnych sił wykonawczych), a także doświadczeń NRD, gdzie budownictwo mieszkaniowe prowadzą władze lokalne (na szczeblu odpowiadającym naszemu województwu), korzystające z instytucji inwestora zastępczego, jako koordynatora całego pro-

gramu budowy osiedla. Niezależnie od tego sugestie tych ekspertów wskazują na celowość reformy w organizacji budownictwa.

4. Mechanizmy zarządzania.

Znacznie mniej zaawansowane są analizy i dyskusje dotyczące mechanizmów zarządzania. Wskazywano, że dla przejścia do pieniężnych mierników gospodarowania trzeba m.in. uporządkowania, także teoretycznego, problemów pieniądza. Z drugiej strony wymagają praktycznego rozwiązania problemy prawno-ekonomiczne własności w gospodarce państwowej. Respondent nr 36 podkreśla, że uczestnictwo pracowników w zarządzaniu nie może być oparte wyłącznie na bodźcach natury ideowo-moralnej.

„Należałoby jako rozwiązanie przyjąć raczej stworzenie w przemyśle państwowym formy współwłasności środków produkcji: państwo, reprezentujące całość społeczeństwa i reprezentowane w odpowiedniej proporcji w radzie nadzorczej przedsiębiorstwa, dzieliłoby 'akcje' z pracownikami jako posiadaczami reszty 'akcji', reprezentowanymi w radzie nadzorczej przez swoich przedstawicieli i otrzymującymi dywidendy od wypracowanych zysków (w drodze bezpośredniej i w drodze naliczenia funduszu zakładowego). Taki system, stwarzający ekonomiczne podstawy współuczestnictwa w zarządzaniu, ma, jak poucza doświadczenie tych przedsiębiorstw na świecie, gdzie go zrealizowano, pozytywny wpływ tak na sprawność pracy kierownictwa, jak i na motywację pracowniczą”.

Oczywiście, jest to jedna z możliwych dróg, wiodących do autentycznego współuczestnictwa pracowników w zarządzaniu a zarazem efektywnego gospodarowania w przedsiębiorstwie.

5. Problemy aktualnej polityki gospodarczej i wizji rozwoju.

Nawet skrótowe omówienie wszystkich tych problemów wymagałoby odrębnej książki; autorzy opracowania próbowali ukazać wyjątkowo niektóre najistotniejsze kierunki i propozycje. Tutaj uważamy za celowe zatrzymać się przy pewnych niewyjaśnionych kwestiach aktualnej polityki gospodarczej.

Respondent nr 13 wskazał na konieczność ograniczenia inflacji, złagodzenia, lub, jeżeli to możliwe, likwidacji dysproporcji w bilansach rzeczowych (energia, możliwości przewozu itd.) wreszcie — na konieczność ograniczenia importu. Jednakże wśród sporej grupy ekonomistów jak też działaczy gospodarczych ograniczenie inflacji rozumie się głównie jako redukcję, nie zaś jako zmianę struktury zatrudnienia, nie docenia się też kwestii

„zakręcenia kurków inflacji”, skąd rodzą się koncepcje, wymagające dalszych „ofiary” ze strony społeczeństwa. Zdaniem respondenta nr 37 natomiast jedyne „ofiary”, których należy oczekiwać od społeczeństwa, to zgoda na zasadę, że gospodarka płacić będzie jedynie za pracę wykonaną, to — dalej — zgoda na wyeliminowanie ubocznych źródeł dochodów, tj. spekulacji, korupcji, nadużywania stanowisk itp. Społeczeństwo oczekuje ustabilizowania cen, koncepcja zaś dążenia do równowagi rynkowej poprzez dalszy wzrost cen już wykazała całą swą nieprzydatność (w roku 1976 przy wzroście dochodów budżetu z przemysłu o 33,7 mld. zł., tj. o 7,8 %, wydatki budżetu na przemysł wzrosły o 82,4 mld. zł., tj. o 114,9 %), ponieważ pracownicy odpowiadają na nie automatycznie żądaniami rewindykacyjnymi, na które zakłady przy braku rąk do pracy muszą się zgodzić. *„Społeczeństwo oczekuje, że w miarę uzdrowienia mechanizmów gospodarki obniżka kosztów własnych produkcji i wzrost podaży nadadzą siłę nabywczą posiadanym przez ludność zasobom pieniężnym; na realizację takiej perspektywy jest gotowe czekać i w realizacji takiej perspektywy jest gotowa wziąć udział”* — pisze respondent nr 37. Pokrywa się to spostrzeżenie z potoczną wiedzą o stanie naszej opinii publicznej. Z kolei ograniczenie wydatków dewizowych ze względu na rozmiar zadłużenia musi być równie wnikliwie rozpatrywane, ponieważ import artykułów konsumpcyjnych przeciwdziała narastaniu inflacji w takiej gospodarce, która koncentruje się na produkcji eksportowej (produkcja eksportowa wprowadza na rynek wewnętrzny jedynie płace za jej wykonanie, a więc rozszerza popyt, natomiast nie wprowadza na ten rynek niczego, co by mogło ów wzrost popytu zrównoważyć); co więcej — konieczny dziś intensywny rozwój eksportu musi nieuchronnie wytwarzać nadwyżkę popytu na rynku wewnętrznym nawet wówczas, gdy maksymalnie wzrosnie efektywność produkcji na rynek krajowy. Z tego prosty wniosek, że nie samą produkcją towarów, lecz rozwojem usług, a więc wtórnym podziałem dochodu narodowego, można i trzeba powyższą lukę inflacyjną zapełnić.

Pozostaje ostatnia kwestia sporna, co do której wszelako uczestnicy ankiety „DiP” reprezentują stanowiska jednoznaczne: koszt reform.

Zdaniem wszystkich wypowiadających się na ten temat nie stać gospodarki polskiej na dalsze odkładanie zasadniczych reform (oczywiście solidnie przeanalizowanych i dobrze przygotowanych). Reformy powinny zmierzać przede wszystkim do likwidacji marnotrawstwa i chaosu, a więc do eliminacji ciągle rosną-

cych strat; *wszystkie* dyskutowane w różnych gronach rozwiązania wychodzą z tego właśnie założenia. „*Nie ma kwestii rezerw na reformy, jest kwestia reform dla stworzenia rezerw*”, jak ujął to jeden z respondentów. Co więcej, warto brać pod uwagę, że jakiegokolwiek moratorium zadłużenia zagranicznego lub pomoc ze strony Międzynarodowego Funduszu Walutowego nie wchodzi w rachubę, jeśli partnerzy rozmów w tej kwestii nie uzyskają widomych gwarancji efektywnego wykorzystania udzielonych środków. Trudno spodziewać się, by ktoś zechciał topić w nas swe pieniądze bez nadziei na ich odzyskanie, zwłaszcza w czasach, gdy pieniądź na rynku światowym będzie drożał. Powstała wprawdzie opisywana tu już paradoksalna, choć znana z praktyki gospodarczej, korzystna dla nas sytuacja, gdy skutek rozmiarów naszego zadłużenia nasi wierzyciele stali się równie jak my zainteresowani doprowadzeniem polskiej gospodarki do porządku, niemniej nikt nie będzie finansował „beczki bez dna”, jak określił naszą gospodarkę jeden z zachodnich komentatorów. Wiarygodny program reform gospodarczych będzie oznaczał dla naszych partnerów istotne, pozafinansowe zabezpieczenie ich wiarytelności — zwróciło uwagę kilku respondentów. Nasze zasoby i możliwości są znane, zagwarantować trzeba zdolność ich wykorzystania.

6. *Problemy polityki społecznej.*

W świetle zebranych wypowiedzi można również podjąć próbę przedstawienia zespołu konstruktywnych propozycji natury ogólnej i szczegółowej w dziedzinie polityki społecznej.

Po pierwsze proponuje się przyjąć za generalną przesłankę analiz i decyzji w dziedzinie polityki społecznej fakt uwarstwiania naszego społeczeństwa. Zwracając szczególną uwagę na los tych, których warunki egzystencji są szczególnie trudne, a więc znaczną część chłopstwa i warstwy szeregowych pracowników umysłowych, wypada przede wszystkim uwzględnić fakt upośledzenia klasy robotniczej w podstawowych aspektach jej położenia społecznego.

Za naczelne zadanie polityki społecznej proponuje się uznać konieczność minimalizacji, a w dalszej perspektywie likwidację międzyklasowych i międzywarstwowych nierówności społecznych. Sugestia ta dotyczy także nierówności wyrastających z innych źródeł, jak podział na płeć, miasto i wieś, pracę fizyczną i umysłową czy podziały regionalne. Należy też opracować program zahamowania rozwijających się tendencji antyegalitarnych.

W dziedzinie polityki płac i dochodów wysuwają się na czoło następujące kwestie:

- oparcie płacy najniższej, renty i emerytury na minimum socjalnym,
- wprowadzenie do polityki płac zasady zmniejszania dysproporcji między najniższymi i najwyższymi płacami,
- przyjęcie polityki rodzinnej za podstawę polityki społecznej wobec faktu, że dysproporcje w dochodach i poziomie życia występują zwłaszcza w zależności od stanu i wielkości rodziny,
- zrównoważenie zarobków kobiet i mężczyzn. Obecnie stosowana dyskryminacja w zarobkach kobiet przypomina podobne zjawisko w niektórych krajach kapitalistycznych,
- wprowadzenie do polityki płac zasady podwyższania płac najniższych i emerytur o taki odsetek, o jaki wzrasta w wyniku inflacji koszt utrzymania. Zasadę tę stosują nie tylko kraje kapitalistyczne ale również socjalistyczne, np. Jugosławia,
- opracowanie programu walki z nędzą i ustalenie rozmiarów tego zjawiska.

Kolejnym zadaniem dla polityki społecznej jest postulat wzrostu nakładów na tzw. inwestycje nieprodukcyjne (oświata, ochrona zdrowia, opieka społeczna, wypoczynek, nauka, sport).

Dwa dalsze elementy położenia materialnego ludności wymagają jeszcze odnotowania, mianowicie kwestia mieszkaniowa i infrastruktura społeczna. Kwestia mieszkaniowa jest problemem społecznym nr 1. Rozwiązania domaga się także problem komunikacji miejskiej i podmiejskiej. Pracownicy gospodarki uspołecznionej powinni w sposób wygodny dojeżdżać do pracy, powracać z pracy do domu, w drugiej dopiero kolejności należy rozwiązywać problem komunikacji indywidualnej.

Polska posiada bardzo nisko rozwiniętą infrastrukturę społeczną. Buduje się nowe wielkie osiedla pozbawione sklepów, aptek i różnorodnych usług, co obniża znacznie standard życiowy ludności, rodzi masową stratę czasu, potęguje zmęczenie społeczeństwa.

Uporządkowanie i poprawy domaga się ustawodawstwo pracy, uregulowanie czasu pracy, podniesienie na wyższy poziom bezpieczeństwa i higieny pracy, rodzi się też konieczność likwidacji pracy nocnej, w pierwszej kolejności kobiet, a w perspektywie również mężczyzn poza zakładami wymagającymi pracy ciągłej (pozbawienie części pracowników wypoczynku niedzielnego oraz

nagminnie występujący wydłużony czas pracy stawia pod znakiem zapytania trwałość zdobyczy socjalnych klasy robotniczej).

Wobec utajnienia statystyki wypadków trudno ocenić stan bezpieczeństwa pracy; fakt utajnienia jest wszelako wymownym dowodem, że sytuacja w tej dziedzinie nie jest najlepsza. Mówią, też o tym poufne dane dotyczące zwłaszcza wypadków śmiertelnych i ciężkich, a także większa liczba osób przechodzących na renty a nie emerytury w niektórych branżach.

Polityka rodzinna powinna skutecznie zabiegać zarówno o stan materialny, jak również o stan i sprawność moralno-wychowawczą rodziny, co wymaga lepszego przygotowania do życia rodzinnego, ochrony trwałości rodziny oraz dążenia do ograniczenia masowego zjawiska przerywania ciąży.

Jak wiadomo, w zaskakujący sposób szerzy się w Polsce alkoholizm. Tworzenie „pijanych budżetów” było cechą Rosji carskiej. Rozpijanie społeczeństwa można przyrównać do powolnego zbiorowego samobójstwa narodowego. W tej dziedzinie niezbędna jest szeroko zakrojona polityka społeczna ograniczania alkoholizmu i likwidacji ujemnych skutków społecznych tej choroby.



Tak skrótkowo zarysowane wnioski uczestników ankiety w sprawach gospodarki i polityki społecznej mogły objąć z konieczności tylko problemy najistotniejsze; w wielu przypadkach postulowały przede wszystkim dalszą otwartą obywatelską dyskusję. Opracowanie wyników ankiety pominęło zaś bardzo ważny element wypowiedzi — kwestię, co mogą i powinny zrobić poszczególne środowiska, grupy i warstwy dla przełamania obecnego impasu. Pominęliśmy ten temat, ponieważ w chwili obecnej zarówno uczestnikom ankiety, jak autorom opracowania decydującą sprawą wydawało się zarysowanie płaszczyzny możliwej mediacji dla osiągnięcia ogólnospołecznego porozumienia; jest jasne, że od osiągnięcia go lub niepowodzenia w tej mierze będzie zależało przyszłe zachowanie wszystkich obywateli kraju.

ZAKOŃCZENIE

Natura tego opracowania i charakter wypowiedzi stanowiących jego podstawę sprawiają, że nie może ono zawierać pełnego, usystematyzowanego opisu sytuacji kraju, nie może też wyczer-

pywać złożonej problematyki oczekiwanych reform. Jest zestawieniem i próbą syntetycznego ujęcia różnych, często subiektywnych wypowiedzi, stanowiących odbicie różnych doświadczeń i różnych punktów widzenia, a dotyczących spraw, które leżą na sercu uczestnikom ankiety i które uznają za szczególnie doniosłe.

Pewne sprawy doniosłej wagi nie zostały w tym opracowaniu wydzielone w osobnych rozdziałach i rozwinięte w sposób na jaki zasługują. Dotyczy to w szczególności spraw moralności, kultury, etyki społecznej i zawodowej, a także problematyki rodziny. Sprawy te, budzące najwyższą troskę, wymagają odrębnego, szerokiego potraktowania w ujęciu odmiennym od tego jakie reprezentuje niniejsza ankieta, nastawiona w pierwszym rzędzie na analizę konkretnych struktur i mechanizmów naszego życia zbiorowego. Ale większość wypowiedzi wyraża niepokój o te sprawy i przynosi cenne refleksje na ten temat.

Obok pewnych stale powracających wątków wszystkie wypowiedzi znamionuje pewien wspólny, zasługujący na podkreślenie rys: bezkompromisowej surowości w krytyce metod sprawowania władzy towarzyszy uparte dążenie do porozumienia i nawiązania z władzą dialogu. Wynika to z przekonania, że porozumienie to, wbrew utrwalonym wzorcom, nie może się opierać na taktycznych wybiegach i półprawdach, że owocnym może się okazać tylko wówczas, gdy osiągnięte zostanie w atmosferze szczerości, choćby kosztem ostrej wymiany poglądów.

Wśród niedostatków, które trapią nasze społeczeństwo, najważniejszym nie jest brak mięsa czy inne braki zaopatrzenia, ale niedostatek jasności i szczerości, brak zaufania do słów przywódców, do oficjalnych deklaracji, do informacji prasowych czy telewizyjnych. Ilekroć nuta szczerości zadźwięczała w słowach przywódców skierowanych do społeczeństwa, ilekroć okazywano mu zaufanie, mówiąc otwarcie o trudnościach, o popełnionych błędach i drogach wiodących do ich naprawy, tylekroć zmieniał się radykalnie klimat społeczny i postawy ludzi, wyzwalaly się nowe energie i inicjatywy.

Były to jednak, niestety, momenty zbyt krótkie aby móc przynieść trwałe owoce. Gdy potem następowały długie okresy, w których władza odgradzała się od społeczeństwa barierą odświętnych rytuałowych gestów i słów coraz bardziej pusto brzmiących dla ucha rządzonych, wtedy nieodmiennie zaostrzały się objawy kryzysu, zanikały postawy obywatelskie, panoszyć się zaczynał zachłanny egoizm indywidualny i bierność w działaniu społecznym, niosące groźbę rozkładu więzi społecznych.

Teraz znów dosiegamy dna kryzysu, być może głębszego od

poprzednich, gdyż postęp cywilizacyjny narzuca systemowi współdziałania społecznego coraz trudniejsze i coraz bardziej złożone zadania. Aby im sprostać, musimy przywrócić autentyzm życia społecznego, musimy uwolnić się od pozorów, które zawładnęły polityką i gospodarką. Pozorem jest bowiem silna i scentralizowana władza, skoro nadmiar spraw jej podlegających skazuje ją na bezsilę lub arbitralność i przypadkowość decyzji. Fikcją jest planowanie, jeśli wznoszone fabryki nie mają surowca i energii. Jakże często pozornej pracy odpowiada pozorne wynagrodzenie. Jakże często ważne sprawy nie znajdują rozstrzygnięcia i toczą się tak, „jak nie chciał nikt, ale pozwoliło nazbyt wielu”.

Nie jest to obraz podyktowany rozgoryczeniem, odpowiada on doświadczeniom milionów ludzi — niemych i bezradnych świadków marnotrawstwa, nieudolności i braku odpowiedzialności. Być może objawy pogłębiającego się kryzysu nie są równie ostro widoczne z perspektywy władzy, zwłaszcza z perspektywy jej najwyższych pięt. Jest to jeszcze jeden dodatkowy argument za tym, aby o nich mówić z brutalną szczerością. Dyktuje ją poczucie obywatelskiego obowiązku i z niego się zrodziła inicjatywa ankiety i niniejszego opracowania. Zresztą nie jest ono bynajmniej jedynym głosem alarmu i przestrogi, z najrozmaitszych stron podnoszą się podobne głosy, domagające się podjęcia radykalnych i szeroko zakrojonych reform zdolnych uzdrowić społeczną atmosferę i wyrwać kraj z marazmu i obezwładnienia.

Jest rzeczą zrozumiałą, że mogą istnieć różnice zdań co do zakresu, głębokości i trybu przeprowadzenia niezbędnych reform. Jednakże w naszych warunkach, nie sprzyjających zbiorowej refleksji, myśl o naprawie Rzeczypospolitej wydaje się niebezpiecznie rozproszona, oscylująca między marzeniem o idealnym ładzie a małym realizmem połowicznych lub pozornych reform. Jednym z podstawowych celów ankiety jest próba sprowadzenia refleksji o naprawie na twardy grunt konkretnej sytuacji historycznej i konieczności jakie ona narzuca. Dlatego też postulaty zawarte w tym tekście mogą się spotkać z zarzutem z jednej strony minimalizmu, z drugiej — nadmiernej śmiałości.

Wynika to ze świadomie przyjętego przez uczestników ankiety założenia, że w sprawach dotyczących polityki ściśle liczenie się z tym co możliwe jest warunkiem urzeczywistnienia tego co potrzebne.

Wyłaniający się z ogromnego materiału ankiety obraz wyobcowania władzy oraz zniechęcenia i zobojętnienia społeczeństwa może wydać się przytłaczający, a postulat przezwyciężenia kryzysu zaufania i upartego budowania od podstaw — choćby ograniczo-

nego i warunkowego — porozumienia między władzą a społeczeństwem może dziś być dla wielu Polaków postulatem doraźnym i utopijnym co najmniej w równym stopniu, jak nie liczące się z rzeczywistością budowanie modeli społeczeństwa idealnego.

W istocie jest to zadanie niezmiennie trudne i nie ma żadnych gwarancji, że uda się je urzeczywistnić, ale nie jest bynajmniej utopijne. Istota utopii — i jej atrakcyjność — tkwi w tym, że jest łatwa, nie liczy się z oporem rzeczywistości, i może się poruszać swobodnie w tworzonych przez siebie światach, a ograniczają jedynie struktura umysłu i wyobraźni tego, kto ją tworzy. Tu zaś chodzi o trudności realne, tkwiące w postawach i nawykach ludzi, a także w utrwalonych strukturach organizacyjnych. Ale przewyciężenie ich jest możliwe pod warunkiem, że dostateczna liczba ludzi zdecydowanie odrzuci to upokarzające i paraliżujące przekonanie, że istotna zmiana jest niezbędną i zarazem niemożliwą.

Naród nasz w przeszłości niejednokrotnie wykazywał w obliczu trudności i zagrożeń godną podziwu żywotność, zdecydowanie i ofiarność. Pozwala to wierzyć, że i tym razem zdołamy wyjść zwycięsko z próby, którą niesie nam przyszłość. Wymaga ona zgodnego wysiłku najtęższych umysłów i milionów świadomych ludzi, umiejących z umiarem i rozsądkiem domagać się swych praw obywatelskich.

Największe nawet trudności nie stanowią groźby dla egzystencji narodu, póki zachowa on wolę ich przewyciężania i elementarne poczucie wspólnoty losu kształtowanego zbiorowym wysiłkiem. Zanik tej woli i tego poczucia określa głębokość obecnego kryzysu. Przewyciężenie go wymaga równoczesnych i uzupełniających się działań zarówno w materialnej i instytucjonalnej sferze życia jak i w sferze świadomości, wymaga zatem mobilizacji różnych przeciwstawnych nawet sił społecznych. Trudność tego zadania nie stanowi argumentu przeciwko jego podjęciu w sytuacji, w której nic innego nie pozostaje do zrobienia, chyba tylko wierzyć w cud lub beczynn timerzekaociwać na katastrofę.

OD REDAKCJI

Józef Kuśmierek jest właściwie żywą legendą polskiego reportażu i publicystyki. Jeden z autentycznych, a nie cudownie rozmnożonych żołnierzy batalionu Czwartaków AL, pseudonim „Arnold”, został po wojnie dziennikarzem, specjalizującym się szczególnie w sprawach gospodarki narodowej. Już tomem opowieści-faktu „Uwaga człowiek”, wydanym w latach pięćdziesiątych, sygnalizował odmienne spojrzenie na rzeczywistość od większości urzędowych chwalców. Zawsze był nonkonformistą i człowiekiem piszącym i mówiącym głośno to, co myśli. Ale jego krytyczne spojrzenie na rzeczywistość sprawiło, że często musiał zmieniać pracę — i to w okolicznościach dla siebie niedogodnych. Cechą charakterystyczną Józefa Kuśmierka jest niezwykła, niezmordowana energia: mimo iż przekroczył on pięćdziesiątkę, nadal pozostał typem reportera — dla jednego reportażu potrafi przejechać Polskę wszerz i wzdłuż. Ale też każdy jego reportaż jest wydarzeniem. Wywołuje często wściekłość speców od „propagandy sukcesu”, zaostrza czujność cenzury.

Kuśmierkowi nieraz udawało się wydać to, czego nie udawało się innym. Ale jego tekst „O czym wiedziałem” nie mógł się nigdzie ukazać w prasie oficjalnej. Jest to obraz wstrząsającego stanu naszej gospodarki, szczególnie transportu i energetyki; ale wychodzi on daleko poza techniczne opisy — staje się oskarżeniem nieudolności ustroju, które wywiera wrażenie tym większe, że pochodzi od człowieka od młodości z tym ustrojem związanego. Kuśmierek daleki jest od opozycji politycznej, o czym sam zresztą pisze w zakończeniu. Jest jednak człowiekiem zbyt uczciwym, aby milczeć.

Uznaliśmy ten tekst za zbyt ważny dla obecnego stanu państwa, aby — gdy udało nam się zdobyć jego egzemplarz bez wiedzy autora — również bez jego wiedzy i zgody go rozpowszechnić. Tekst ten powinien być znany wszystkim Polakom jako dokument epoki.

Józef KUŚMIEREK

O CZYM WIEDZIAŁEM

CZĘŚĆ PIERWSZA

Niesprzyjające pory roku zrosły się z naszym życiem ekonomiczno-społecznym, tak jak zrosło się z nim — jako przeciwwaga — stałe przekraczanie planów, przedterminowe oddawanie obiektów, połączone zawsze z poświęceniem i ofiarnością ich realizatorów. Najwyższy czas, by brzydką pogodę z jednej a ofiarności z drugiej strony wyrzucić z naszego codziennego słownictwa zachowując je na te momenty, kiedy ich zastosowanie będzie w pełni uzasadnione.

Wiemy w jakich szerokościach geograficznych egzystujemy jako naród i państwo od tysiąca lat. Od lat dwustu odnotowywane są najwyższe i najniższe temperatury, wielkość opadów letnich i zimowych, poziom wód w rzekach i siła wiatru. Od czasów staszycowskich do dnia dzisiejszego. Od 1851 roku jest to obowiązkiem w tym celu powołanych urzędów. Wszystkie te dane meteorologiczne są dokładnie ewidencjonowane i stanowią przedmiot badań naukowców wszystkich dyscyplin. Na podstawie tych badań — stale uzupełnianych nowymi odkryciami, stosowaniem nowych materiałów i metod — opracowuje się normy dla budownictwa, komunikacji, energetyki, wojska. Do tych stałych zjawisk w naszych szerokościach geograficznych dostosowano parametry smarów i olejów, płynów hamulcowych, używanych w motoryzacji, olejów w transformatorach, substancji zabezpieczających zwrotnie przed zamarzaniem, wytrzymałość uszczeliek przy wszelkiego rodzaju zaworach. Opracowano zasady izolacji rur i przewodów przebiegających nad powierzchnią, na powierzchni i pod powierzchnią ziemi. Te normy musi wkuwać na pamięć uczeń każdego technikum a inżynierski nadzór inwestycyjny jak też nadrzędne inspekcje budowlane własnymi podpisami stwierdzają, że wszystkie te normy będące obowiązującym prawem zostały dotrzymane i należycie wykonane. Istnieją specjalne

urzędy, które właśnie pod kątem panujących u nas warunków atmosferycznych dopuszczają do powszechnego użytku i zezwalają na stosowanie nowych materiałów, nowych substancji lub stosowanie starych w nowych technologiach czy systemach budownictwa.

Wszystko to wraz z wiekowym doświadczeniem zabezpiecza nas przed kapryсами przyrody, które czasami mogą być przykre, ale nigdy nie powinny być katastrofalne.

Nasza sytuacja jest o tyle lepsza niż innych narodów, że nie żyjemy w strefie trzęsień ziemi ani też tajfunów, których nadejścia ani siły przewidzieć jeszcze nie potrafimy.

Nasza sytuacja powinna być o tyle łatwiejsza, że od trzydziestu pięciu lat ściśle ewidencjonujemy dzięki gospodarce planowej tak moc odbiorników energii elektrycznej jak i moc wytwarzających ją turbin. Znamy powierzchnię i kubaturę pomieszczeń, którą mamy ogrzać, moc instalacji i potrzebne ilości energii, by wymaganą warunkami higieny i bezpieczeństwa temperaturę w pomieszczeniach tych utrzymać. Nawet bez powszechnego systemu komputerowego możemy w każdej chwili przewidzieć, ile kilowatów i kilokalorii w mikroskali lub megawatów i gigokalorii cały kraj nasz w konkretnych sytuacjach będzie potrzebował.

W związku z tym opracowano obowiązujące normy zapasów potrzebnych elektrowni, elektrociepłowni i ciepłowni na miesiące zimowe, plus rezerwę na awarie, wypadki losowe lub zjawiska meteorologiczne na krótszy lub dłuższy czas, odbiegające od przeciętnej wieloletniej. Cały ten system opracowano i nadano mu moc prawną, albowiem z normalnym funkcjonowaniem życia trzydziestopięciomilionowego narodu, z jego zdrowiem igrać nie można, nikomu nie wolno bawić się w orła i reszkę czy kolejna zima będzie łagodna i ulgowa czy też normalnie mroźna, lub, co zawsze zdarzyć się może, krańcowo niesprzyjająca. Niestety od szeregu lat w żadnej z wymienionych i we wszystkich innych nie wymienionych tu dziedzinach norm tych się nie przestrzega.

W ostatnim trzydziestopięcioleciu czterokrotnie użyto określenia „zima stulecia”, a od kilkudziesięciu dni wraca się do tego określenia po raz piąty. Używamy tego określenia nieodpowiedzialnie, nie sprawdzając, że w żadnej z tych zim nie mieliśmy tak niskich temperatur jak zimą 1929 roku, że w żadnej z tych zim pokrywa śnieżna nie utrzymywała się tak długo, jak zimą 1939-1940 oraz w żadnej z tych zim nie mieliśmy *non stop* czterdziestu kilku dni z temperaturą oscylującą w granicach 20-28 stopni, jak odnotowana przez wszystkich historyków woj-

skowości zima 1941-1942. Mimo że tamte zimy były wyjątkowe, nie spowodowały rewizji norm obowiązujących w budownictwie i transporcie, norm, które przewidywały nawet tak wyjątkowe zjawiska jako możliwe w naszym klimacie.

Środki masowego przekazu na początku każdej zimy, i tej łagodnej i tej ciężkiej, używają obraźliwego dla wszystkich zwrotu „zima nas zaskoczyła”. Może ktoś czuje się zaskoczony, że między grudniem a marcem padają śniegi — temperatury spadają poniżej zera, wieją wiatry, a na drogach pojawia się gołoledź. Większość narodu nie jest zaskoczona, czego dowodem, że maluchom kupujemy sanki i łyżwy pod choinkę, otrzepujemy z naftaliny zimowe odzienie, a ci, którzy muszą, zaopatrują się w opał w miesiącach letnich, zgodnie zresztą z apelami tychże środków masowego przekazu.

Każdej zimy, ale to dosłownie każdej, okazuje się, że dwie trzecie pługów śnieżnych, piaskarek jest niesprawne, a wydzwianie na dozorców domów, że nie czyszczą chodników jest kpina ze zdrowego rozsądku, o czym można się przekonać z ewidencji posesji zarejestrowanych w architekturze i ilości etatów dozorców czy gospodarzy domów, przewidzianych w planie etatów naszych miast.

Obrażliwe jest to zwalanie skutków zaskoczenia zimą na nas wszystkich, bo odrzucając nieodpowiedzialne brechty „najstarszych górali” i innych podobnych „znawców” zjawisk przyrody, współczesna meteorologia z dużą dozą prawdopodobieństwa, a rzeczywiście doświadczony, umiejący obserwować i rejestrować zjawiska przyrody rolnik czy ogrodnik z całą pewnością potrafią przewidzieć, jaki przebieg będzie miała nadchodząca zima.

Mnie osobiście ani obecna, ani wszystkie poprzednie zimy stulecia nie zaskoczyły. Rzeczywiście doświadczeni rolnicy nauczyli mnie obserwować zachowanie kretów, z niego obliczam, jakie będą temperatury nadchodzącej zimy. Przez 40 lat ani krety, ani ja nie popełniliśmy omyłki.

Połączone wysiłki meteorologów, rolników, pszczelarzy mogą co roku dać nam prognozę długoterminową, tak, że słowo „zaskoczenie” wypadłoby z dziennikarskiego żargonu. Nie tylko zresztą dziennikarskiego.

To, co się stało w noc sylwestrową w energetyce, ciepłownictwie i komunikacji zaskoczeniem być nie może.

Na konferencji prasowej, bodajże w roku 1973 ówczesny wicepremier a zarazem minister Górnictwa i Energetyki oznajmił (a obecni na konferencji dziennikarze szeroko to rozdmuchali), „że energetyka polska po raz pierwszy uzyskała rezerwę

mocy nad szczytowym zapotrzebowaniem". Na tejsze konferencji zapoznano nas z uchwałami rządu o szybkiej budowie dwóch wielkich elektrowni — Połaniec i tzw. „Górna Odra” — aby ten zdrowy stan nadwyżki mocy utrzymać jako podstawowy warunek prawidłowej i przewidywanej dynamiki wzrostu całego naszego życia gospodarczego. Zgodnie z wydanymi w owym czasie aktami prawnymi obydwie elektrownie miały włączyć swoje bloki począwszy od roku 1975 i osiągnąć pełną moc w roku 1978. Kto chce, niech sprawdzi w uchwałach rządu podjętych w owym okresie.

Ambicją ówczesnego kierownictwa resortu górnictwa i energetyki, a także wykonawców krakowskiego „Energoprzemu” i szczecińskiego Przedsiębiorstwa Budowy Elektrowni i Przemysłu było skrócenie czasu budowy obydwu tych elektrowni, tak zwanego cyklu inwestycyjnego, do 36 miesięcy, zamiast dotychczas stosowanego cyklu 50-60 miesięcy. Kalkulacja była prosta: budowa w ciągu 36 miesięcy jest droższa niż w ciągu 60, ale za to wcześniej włączona do sieci elektrownia swoją pracą ten jednorazowy wyższy koszt inwestycji wypłaci z nadwyżką, a przedsiębiorstwa budowlane wraz ze sprzętem o 15-25 miesięcy wcześniej będą mogły wejść na następny plac budowy, jakim miał być Bełchatów. Z rozmachem rozpoczęto obydwie budowy. Wtłoczono w fundamenty setki tysięcy metrów betonu i tysiące ton stali. Zgromadzono potrzebny sprzęt i fachowców, wybudowano bocznicę i stację wydławczą materiałów.

I w roku 1974 obydwie budowy przerwano. Opole całkowicie — wykonawcy przenieśli się na budowę Świnoujścia III, na placu pozostawiając tablicę „obcym wstęp wzbroniony” i bariery zabite deskami. Pozostawiono w ziemi uwięzione miliardy, które miały procentować już w roku 1975 energią elektryczną i ciepłem dla Opola. W Połaniecu zabrano podstawowych wykonawców, zachowując pozory, że się coś robi, tak, by pierwsze megawaty, jak z triumfem ogłosiła telewizja, dać... po roku 1980. W związku z tym odwołano w Raciborzu budowę zamówionych dla tych elektrowni kotłów, wstrzymano rozbudowę wrocławskiego „Dolmelu”, cofając zamówienia w elbląskim „Zemachu”. Budowa Połaniec pobiła wszelkie rekordy i jej cykl budowy będzie trwał 100, a Opola 120 miesięcy. Nie jestem zaskoczony tym, co się stało w noc sylwestrową bieżącego roku, bo w drodze powrotnej z Raciborza, już po tej samobójczej dla naszej gospodarki decyzji, przez wiele godzin rozmawiałem z trzema mózgami naszej energetyki i naszego przemysłu elektromaszynowego. „Nie chcemy myśleć, co się stanie z naszym krajem

po roku 1977" — mówili wtedy czołowi przedstawiciele tego trustu. I nie myślą; wszyscy co do jednego zostali zdjęci ze swoich stanowisk.

Zagadnięty przeze mnie ówczesny wiceprzewodniczący PKPG minister inżynier Jan Chyliński wyjaśnił, że, cytując: „Nie zrezygnowaliśmy z budowy tych elektrowni, tylko przesunęliśmy efekty”. Jan Chyliński na swoim urzędzie był odpowiedzialny za rozwój energetyki.

Na efekty nie trzeba było czekać do roku 1977. Nie powiadomione o energetycznych decyzjach inne resorty dynamicznie rozwijały swój potencjał, meldując każdego 22 lipca o oddaniu do ruchu nowych zakładów i modernizacji starszych. Na efekty nie trzeba było czekać. Już w 1975 roku zaczęto „limitować” energię dla starych i nowych zakładów, a w rok później wyłączać energię fabrykom nawozów sztucznych, rolnictwu, zakładom usługowym. W roku 1977, kiedy wyłączanie energii stało się nagminne, i to nie w miesiącach zimowych czy szczytowych, obydwie elektrownie powinny były dać 7 tysięcy megawatów. Zgodnie z uchwałą rządu!

2 września 1978 roku Przewodniczący Państwowej Rady Energetycznej, prof. dr inż. Kazimierz Kopecki oświadczył: „Straty, jakie ponosi gospodarka polska z powodu wyłączeń energii elektrycznej szacować trzeba na około 20 miliardów złotych rocznie”. Podał to Dziennik Wieczorny Polskiego Radia w programie pierwszym w sobotę 2 września o godzinie 20-tej. Minister Chylińskiego już nie ma na stanowisku, ale efekty są.

Połaniec budowany w przyspieszonym terminie miał kosztować 18 miliardów. Brak Połania powoduje utratę wartości jednej elektrowni co dwanaście miesięcy.

Jak twierdzą fachowcy, w roku 1985, kiedy ruszy Bełhatów, katastrofalna przepaść między mocami zainstalowanymi w naszej energetyce a potrzebami kraju będzie jeszcze większa niż w roku 1979. Jeszcze większa nawet, niż w noc sylwestrową.

Rezygnacja z budowy Opoli i Połania to nie jedyna strata energetyki i całej gospodarki. Na razie jednak nie mówmy o zaszkoczeniu i nie mówmy o ofiarności energetyków.

Ich ofiarnością nie wyrównamy strat wywołanych nieodpowiedzialnymi decyzjami z 1974 roku.

CZĘŚĆ DRUGA

Temperatury powyżej 10-15 stopni, oczywiście powyżej zera,

wiatry do 5 metrów na sekundę i widzialność do granic widnokregu — oto optymalne warunki dla transportu. Potwierdzi to każdy maszynista kolejowy, kierowca ciężarówki, pilot samolotu i kapitan statku.

Przez ile dni w roku mogą panować te optymalne dla transportu warunki? Piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści? Czy takie optymalne warunki mogą wystąpić na obszarze całego kraju? Nie spodziewajmy się od przyrody cudów. Nie zakładajmy z góry, że te wyjątkowo sprzyjające warunki, te dodatnie kaprysy przyrody będą stale sprzyjały człowiekowi i jego poczynaniom.

Przez większą część roku, a czasami przez cały rok trzeba się liczyć z wystąpieniem chociażby jednego niekorzystnego dla transportu zjawiska, a przez trzy czwarte roku trzeba zakładać, że te zjawiska będą się nakładały na siebie, a ich skutki kumulowały. Deszcz, wiatr i słaba widzialność występują jednocześnie, mróz, śnieg i mgła plus wichura mogą występować łącznie. Nikt nie potrafi określić górnej czy dolnej granicy tych niesprzyjających warunków. Dziesiątka w skali Beauforta może z minuty na minutę na oceanie zamienić się w „trzynastkę”. A skrajnie niska temperatura w latach 1881-1930 jaka wystąpiła w Opolu (!!!) może lokalnie i na kilka godzin obniżyć się do 40 czy nawet do 42 stopni. Wszystkie te problemy są ważne, skoro w roku 1978 mieliśmy 376 stacji meteorologicznych dokonujących pomiarów temperatur, wiatrów i opadów, a stacji dokonujących wyłącznie pomiarów opadów aż 2.298. Widać te dane o warunkach atmosferycznych są ważne, skoro odnotowuje się je aż w tylu punktach kraju, zatrudniając przy tym tysiące ludzi. Jednocześnie korzystamy przy badaniu warunków atmosferycznych z informacji pochodzących z dziesiątków tysięcy stacji meteorologicznych rozsianych po całym świecie, dziesiątków satelitów meteorologicznych i sond stratosferycznych.

Ale nawet wtedy, w czasie jednego z tych dziesięciu dni idealnej pogody w roku, możemy na idealnie suchej jezdni złapać gwoźdźnia, statek może się nadziać na nieoznaczoną w locji rafę podwodną, w setkach tysięcy kół kolejowych może pęknąć obręcz, a w jednym z silników samolotowych może spaść ciśnienie oleju i już mamy katastrofę.

Nie ma idealnych warunków dla transportu. Cały wysiłek ludzkości nastawiony był i jest na to, by pokonywać lub przeciwdziałać warunkom niesprzyjającym. Bohaterami roku nie są ci kierowcy, którzy przekroczyli 300 kilometrów na godzinę na autostradzie Słońca, ale ci, którzy dojechali, chociażby na końcu, w rajdzie Safari, Londyn-Sydney, Monte Carlo czy wzdłuż konty-

mentu południowoamerykańskiego. Bohaterami są dlatego, że nie poddali się, że przezwyciężyli skrajnie niesprzyjające warunki.

Niesprzyjające warunki dla transportu trzeba traktować jako zjawisko stałe i stałe być przygotowanym technicznie, organizacyjnie, psychicznie i propagandowo do przeciwstawienia się tym warunkom. Mimo różnych teorii i rzekomo idealnych recept jedynym sposobem zabezpieczenia się przed przerwami, zakłóceniami czy dezorganizacją w transporcie jest posiadanie zapasów.

„Zapasy”, „rezerwy” — to słowa niemodne. W naszej terminologii, pożałujcie Boże, „ekonomicznej”, do tych rzeczowników dodajemy przymiotniki „nadmierne”, „ponadnormatywne”, „zbędne”. Wysilek administracji gospodarczej i państwowej skierowany jest na szukanie zbędnych rezerw, likwidację zapasów i tym podobne a różnie nazywane akcje. Przez 34 lata istnienia Polski Ludowej nie było ani jednej ogólnokrajowej akcji tworzenia rozumnych i gospodarczo uzasadnionych rezerw.

Żaden dyrektor czy dyrekcja zakładu, która mimo awarii czy awaryjnych warunków transportu ani na minutę nie przerwała produkcji nie była nagrodzona za gospodarność, sztukę przewidywania, a zawsze mogła się liczyć z oskarżeniem o „chomikowanie” i „zamrażanie środków”.

Bo zamrażaniem środków nie jest zatrzymanie czy ograniczenie produkcji zakładu miliardowej wartości, gdzie każde stanowisko pracy kosztowało setki tysięcy czy nawet miliony złotych. Bo zamrażaniem środków nie jest ciągłość produkcji wartości od kilku do kilkunastu milionów na dobę, a zamrażaniem jest posiadanie przez te zakłady zapasów wartości kilkuset czy kilku milionów złotych. Ci dyrektorzy, którzy zatrzymali lub zostali zmuszeni do zatrzymania produkcji w swoich zakładach, do wysłania tysięcy ludzi na „zieloną trawkę”, płacąc im za to, zawsze wytłumaczają się trudnościami obiektywnymi. Jak na przykład parogodziną zawieją śnieżną. I ci dyrektorzy zawsze mogą liczyć na nagrody, premie i pochwały „za gospodarność”. I bywają właśnie tak nagradzani. Czy nie za ślepe, bezmyślne posłuszeństwo?

Powtarzam — żaden z kierowników zakładów nie zna innego rozwiązania dla trudności transportowych jak posiadanie odpowiednich zapasów. Powtarzam jeszcze raz z całym naciskiem, że kierownicy takich zakładów jak elektrownie, ciepłownie i elektrociepłownie, tak jak ich władze nadrzędne, były i są zobowiązane odpowiednimi zarządzeniami do posiadania zapasu paliw przewidzianych normami na okres zimowy. Kto i kiedy zwolnił ich z tych obowiązków? Kto i kiedy uchylił zarządzenia — które są aktami prawnymi?

Wiadomo, że efekty ekonomiczne ogrzewania miast centralnym systemem elektrociepłowni, gdzie tę samą ilość kalorii można wykorzystać jednocześnie i do produkcji energii elektrycznej i dla celów ogrzewczych, są najwyższe. Wiadomo mi jednak, że kiedy zdecydowano się na budowę w Warszawie ogólnomiejskiego systemu grzewczego opartego o elektrociepłownię Żerań, Siekierki, Powiśle i ciepłownię Wola, specjaliści od gospodarki ciepłej ostrzegali „odnośne władze” przed likwidacją lokalnych, osiedlowych, wcale wydajnych ciepłowni. Większość z nich wybudowano w latach 1950-70, więc w chwili likwidacji były całkowicie sprawne. Miały one być zabezpieczeniem przed silniejszymi niż przeciętne mrozami, przed awarią jednego z ogniw centralnego systemu grzewczego. Znana mi ich argumentacja wydaje się arcysłuszna. Dowodzili, że straty ciepłe gdy temperatura obniża się poniżej 30 stopni, a w mieszkaniach temperatura nie powinna spaść poniżej 20 stopni, są kilkadziesiąt razy wyższe, niż wtedy gdy temperatura wynosi minus 7, a w pomieszczeniach wspomniane plus 20 stopni. A te „siedem stopni” poniżej zera to nawet nie połowa przeciętnych temperatur miesiąca stycznia na obszarach, które zamieszkujemy — jak udowodnili archeologowie — od tysięcy lat, „Przeciętnie” bywa w styczniu cieplej.

Najdoskonalszy, najwydolniejszy centralny system ogrzewczy nie nadrobi strat ciepłych, nie wyrówna ulatniania się kalorii, gdy temperatura spada do minus 27 stopni. Rzeczoznawcy powoływali się na przykłady krajów i miast, które wcześniej od nas przechodziły na system centralnych ciepłowni, nie likwidując przy tym lokalnych kotłowni, ba, stale utrzymując przy nich dyżury przy — oczywiście — odpowiednim zapasie paliwa. Dzięki temu w Berlinie nie wysiadł system grzewczy i nie trzeba było ogłaszać stanu wyjątkowego mimo że temperatury panowały takie same jak w Warszawie.

Odpowiednie memoriały na ten temat — jeżeli nie zostały przedtem skrętnie zniszczone — można by odnaleźć w odpowiednich instytucjach odpowiedzialnych za gospodarkę ciepłą i komunalną.

Uczono mnie, że społeczeństwo to żywy organizm, którego działalność można obserwować i badać tak jak biolog czy fizjolog studiuje organizmy badanych przez siebie stworzeń lub zwierzęcych czy owadzych społeczności.

Każdy ze studentów medycyny czy weterynarii byłby obciążony egzaminem, gdyby chciał krytykować czy negować funkcjonowanie gruczołów hormonalnych regulujących gromadzenie zapa-

sów przez organizmy w okresie letnio-jesiennym. Dzięki działaniu tych gruczołów żywe organizmy przygotowują się do przetrwania niesprzyjających warunków i do prawidłowej gospodarki cieplnej ludzkiego lub zwierzęcego ciała. Nikt nie śmie krytykować społeczeństwa pszczelego za to, że bez opamiętania gromadzi zapasy nektaru pozwalającego mu nie tylko na przetrwanie okresu zimowego, ale nawet na dokarmianie w tym okresie trutniów potrzebnych jednak w okresie wiosennym. Dzięki tej swojej zapobiegliwości pszczoła stała się symbolem rozumnej, oszczędnej i prawidłowej gospodarki.

W różnych wersjach bajek o koniku polnym i mrówce zawsze miała rację mrówka a nie konik polny, który liczył na to, że zimą „jakoś tam będzie”. Genialny Maurycy Maeterlinck mimo ślepoty udowodnił, że pszczele i mrówcze społeczeństwo gromadzi na zimę zawsze tyle zapasów, ile potrzeba na przetrwanie okresu zimowego bez ogłaszania stanów wyjątkowych.

Skoro mrówcza i pszczela społeczność dysponuje tylko zapasami genetycznymi w chromosomach, o ileż wyżej powinna stać społeczność ludzka dysponująca zapisami statycznymi swoich GUS-ów; oczywiście, o ile nie są one dla doraźnych celów „aktualizowane”.

„Cywilizowani” badacze społeczeństw prymitywnych nie mogą zrozumieć lekkomyślności plemion zamieszkujących Borneo lub dorzecze Amazonki czy Pigmejów w dorzeczu Kongo, którzy, nie rozumiejąc korzyści płynących z gromadzenia zapasów, żyją z dnia na dzień, raz przejadając się tak, że tracą chęć działania, a częściej głodując tak, że tracą chęć do życia.

Każda z teorii ekonomicznych, wszystko jedno, z jakiej ideologii zrodzona i w jakim wieku powstała, tworzenie zapasów traktuje jako działalność pozytywną i twórczą a utratę zdolności czy umiejętności tworzenia takich zapasów tak przez jednostki jak i społeczeństwa porównuje z utratą instynktu samozachowawczego. Jak daleko posunęliśmy się w utracie tego instynktu niech świadczy wypowiedź — uczyniona mi oczywiście w tajemnicy i prywatnie — kilku wybitnych wojskowych, którzy autorytatywnie stwierdzają, że w dniach między 31 grudnia 1978 a 5 stycznia 1979 mogliśmy być całkowicie zawojowani i zaanektowani prawie bez wystrzału przez o wiele słabszego, a tylko trochę lepiej zorganizowanego sąsiada. Na szczęście nie mamy słabych sąsiadów.

Konieczność posiadania zapasów musi nas zabezpieczyć także przed zjawiskami, które nie mają nic wspólnego ani z cechami narodowymi, ani z kaprysami przyrody. To tylko u nas może

się zdarzyć, że minister Wrzaszczyk, chcąc „przyspieszyć” budowę małego Fiata, zaanektował i podporządkował Zjednoczeniu Polmo kilkadziesiąt zakładów nie tylko ze swego i innych resortów, ale także z przemysłu terenowego, mimo że zakłady te kooperowały — w mniejszym lub większym stopniu — z prawie połową polskiego przemysłu. To tylko u nas może się zdarzyć, że gotowe, nowoczesne zaplecze remontowe ciężkiego sprzętu transportowego budownictwa, zakłady w Antoninku pod Poznaniem — bo i Poznań miał embicję, tak jak i Katowice, posiadania „własnej” fabryki samochodów — zostały rozbebeszone i zamiast tego niezbędnego zaplecza mamy Tarpana. Tylko u nas się zdarza, ale za to bardzo często, że zaspokajając czyjeś ambicje „przyspieszamy” wybudowanie jakiegoś kombinatu o 6, 12 czy nawet 24 miesiące, pozbawiając setki innych budów sprzętu, wykonawców oraz cementu, stali, kabli i rur. I tylko nasza propaganda może to jeszcze nazywać „gospodarką planową”.

Żaden z dyrektorów kombinatu czy wielkich zakładów, kładąc się spać wieczorem, nie wie, o jakich decyzjach dotyczących jego branży dowie się w porannym Dzienniku Radiowym i dlatego chce i musi mieć zapasy, by się przed tymi niespodziankami zabezpieczyć. Posiadanie zapasów jest koniecznością zabezpieczającą nas przed niespodziankami naszego systemu zarządzania. Nikt przy tym wiedzieć nie może, jakie zapasy i kiedy będą mu potrzebne. Z godziny na godzinę dyrekcja wyspecjalizowanego w budowie rafinerii przedsiębiorstwa jakim jest Płocka Petrobudowa dowiedziała się, że odebrano jej budowę rafinerii w Gdańsku, zlecając jej... budowę Fabryki Traktorów w Ursusie! Tak samo z godziny na godzinę dyrekcja bydgoskiej przemysłówki wyspecjalizowanej w budowie fabryk celulozy i papieru (budowniczo wie Świecia) dowiedziała się, że odebrano jej budowę największej fabryki celulozy w Europie w Kwidzynie, przekazując plac budowy i materiały Gdańskiemu Przedsiębiorstwu Budownictwa Przemysłowego. To zaś przedsiębiorstwo, wyspecjalizowane raczej w budownictwie morsko-portowym, dowiedziało się równie nagle, że zostaje generalnym wykonawcą budowy rafinerii i fabryki celulozy.

W nomenklaturze urzędowej nazywa się to „zmianą profilu produkcji”, w pracy zaopatrzeniowców nazywa się to, że niezbędne, a potrzebne natychmiast nowe materiały wartości wielu miliardów złotych są nieosiągalne, gdyż wszystkie centrale zbytu w najidealniejszym przypadku pracują „na styk”, a przeciętnie z rocznym poślizgiem. Trzeba nawiązywać nowe kontakty kooperacyjne, szukać podwykonawców, często „zabezpieczając” ich w

surowce i maszyny, co musi potrwać rok albo i dwa. Na takie zjawiska nie pomogłaby ani niemiecka rutyna, ani japońskie zdolności, wobec tych zjawisk bezradny jest także Polak, który choć dużo potrafi, nie potrafi jednak wszystkiego.

Wśród braku rezerw taranujących raz za razem naszą gospodarkę brak rezerw w transporcie doprowadził nas już do ekonomicznego chaosu i gospodarczej ruiny. Nie możemy być tym zjawiskiem zaskoczeni, tak jak nie możemy być zaskoczeni sylwestrowym spadkiem temperatury do minus 20 stopni C. Trudności transportowe występują od 15 lat, tylko nie są kapryśne jak pory roku: natężają się z groźną regularnością. Już nie co rok, a z miesiąca na miesiąc trudności transportowe coraz bardziej paraliżują naszą gospodarkę.

Czy można ten fakt nazwać zaskoczeniem, tak jak na przykład nazywamy śnieg w styczniu, a brak opadów w czerwcu? Nie! Ten sam fakt można było przewidzieć już w roku 1945 i zakładając już wtedy przekształcenie kraju z rolniczego w przemysłowo-rolniczy przewidzieć, że w połowie lat sześćdziesiątych powstały przed 1939 rokiem system transportowy „pęknie”, zacznie się ostry kryzys w transporcie, który się będzie stale pogłębiał.

Zacznijmy od faktów znanych wszystkim fachowcom z dziedziny motoryzacji.

Przedwojenne doświadczenia krajów wysoko uprzemysłowionych wskazywały niezbicie, że transport kolejowy traci na znaczeniu na rzecz transportu samochodowego. Doświadczenia ostatniej wojny wykazały, że transport samochodowy jest niezastąpiony i najbardziej „manewrowy”. Po każdej wojnie pokojowa gospodarka wyciąga pozytywne wnioski, co udowodnił już Hannibal przecierając po raz pierwszy najbardziej dziś atrakcyjną trasę turystyczną przez Alpy. Gdyby nie Napoleon i jego blokada kontynentalna, kto wie czy do dzisiaj nie słodzilibyśmy herbaty cukrem trzcinowym. Wojna 1939-1945 udowodniła, że ciężarówka to najwspanialszy rodzaj transportu.

Kiedy podejmowało się decyzje o budowie wcale dziś niemałego przemysłu motoryzacyjnego, należało sobie zadać pytanie, jaki ma być samochód, który by jeżeli nie współzawodniczył, to w każdym razie współpracował z koleją, wyeliminował transport konny z miast i azjatyckie rozwiązanie zaopatrzenia, jakim jest riksza rowerowa.

Jako wielki sukces witaliśmy pierwsze pięć samochodów ze Starachowic na Zjeździe Zjednoczeniowym. Był to efekt kontynuacji przedwojennych koncepcji i prac naszych konstruktorów.

Właśnie przedwojennych.

Trzytonowy samochód to było cudo motoryzacji do roku 1939, choć już wtedy wiele europejskich i amerykańskich firm nastawiało się na samochód 7-10-15 ton. Zachwyt nad sukcesem Starachowic zamglił nasze spojrzenie na przyszłość motoryzacji. Był to dobry wóz na potrzeby wojska, ale za mały, za lekki dla transportu międzymiejskiego, a za duży jako samochód dostawczy w miastach. Dyskutując tę sprawę z konstruktorami w Starachowicach jeszcze w latach sześćdziesiątych, usłyszałem argument, że nasz czterotonowy już wówczas Star trafia w europejską próżnię przemysłu motoryzacyjnego. Udowodniano mi, że wszystkie wielkie firmy przechodzą na budowę albo wielkiej ciężarówki, albo dostawczego *pickup'a* z nośnością do półtona. Nie bardzo mi te argumenty przemawiały do przekonania. Skoro tak doświadczane firmy jak Fiat, Mercedes, Berliet, Volvo, Leyland, a nawet maleńki Steyer przechodzą na budowę ciężarówki powyżej dziesięciu ton, to chyba lepiej znają potrzeby rynku — dziś nazywa się to *marketing*'iem — niż nasz młodzieńcy choć ambitny zespół ze Starachowic. I rzeczywiście trafiliśmy w lukę europejskiego przemysłu motoryzacyjnego, bo sześciotonowy dziś już Star jest sierotą w rodzinie europejskich samochodów ciężarowych. Fakt, że nikt takiego nie produkuje, ale faktem też jest, że nikt go nie chce kupować. Ot, sprzedamy albo подарujemy partię Starów do krajów Trzeciego Świata i to wszystko. Dziś Star jest przyczyną zapaści w naszym transporcie samochodowym. Choć urosł nam do sześciotonówki, to dalej jest stanowczo za duży jako miejski samochód dostawczy i absolutnie za mały jako samochód uzupełniający transport kolejowy.

Szybko spostrzeżono ten błąd, skoro zdecydowano się na samodzielną konstrukcję, a potem budowę samochodów ciężarowych w Jelczu, najpierw pod nazwą Żubr, a obecnie już Jelcz. Wadą tego samochodu w chwili jego narodzin był silnik Wola, więc szybko zdecydowano się na zakup licencji Leylanda, silnika wówczas jeszcze o europejskim standardzie. Ale cóż, także Żubr z silnikiem Wola, a później Laylanda pozostał w dolnej granicy wielkich samochodów ciężarowych i z trudem pisał się od swoich początkowych sześciu do dzisiejszych dziesięciu ton. Kupiono jednak licencję na dobry silnik, uruchomiono jego produkcję w Mielcu i Andrychowie i tu... rzecz przedziwna.

Dwukrotnie odbyłem podróż po trójkącie Starachowice (gdzie próbowano nową wersję silnika właśnie do sześciotonówki) — Mielec (gdzie wyduszono dodatkowe konie mechaniczne z licencyjnego Leylanda, słusznie przewidując, że kończąca się w 1970

roku kooperacja Skoda-Karosa-Jelcz wywoła potrzebę silnika do dużego autobusu) i Andrychów, gdzie produkowano już licencyjnego Leylanda, silnik świetnie nadający się właśnie do napędzania samochodu 6-7 ton. Że tak było, dowodem współpraca Andrychowa z Sanokiem, który wołał andrychowski, a nie starachowicki silnik do budowanych przez siebie autobusów. Na czym polegała ta „rzecz przedziwna”? Otóż żaden z konstruktorów Mielca i Andrychowa nie odwiedzał i nie interesował się, co się robi w Starachowicach i *vice versa*. Rzecz przedziwna, bo wszystko to odbywało się nie tylko w jednym resorcie, ale w jednym zjednoczeniu. I tak „oficjalnie” jedyną osobą, która wiedziała, co się we wszystkich trzech fabrykach dzieje, byłem ja — reporter.

I przyszła wreszcie dynamika wzrostu. I przyszła konieczność przewozu kontenerów, wspomżenia kolei, zaspokojenia rosnącego zapotrzebowania na komunikację autobusową miejską i międzymiastową, wreszcie na obsłużenie handlu zagranicznego przez powołany w międzyczasie „PEKAES” — nie mylić z krajowym PKS — i obsłużenie fabryk, domów i wielkiego przemysłu. I my, posiadając wcale niemały potencjał „zamrożony” w przemyśle motoryzacyjnym, zmuszeni byliśmy i jesteśmy do dewizowego zakupu Espano-Suizy, Berlieta, Steyera, Fiata, Volvo, Tatra, Mercedesa, Magirusa, węgierskiego Ikarusa, jugosłowiańskiego Sanosa, czy nawet rumuńskiego Internationala, którego mimo miłej dla naszego ucha nazwie nikt nie chce. I żeby to jeszcze nawiązano kontakt i podpisano kontrakt z jedną firmą, z warunkiem nawiązania kooperacji i zapewnieniem sobie jednolitego serwisu. Zrobiono tak kiedyś z Chaussone i wcale warszawska komunikacja źle na tym nie wyszła. Nie ma kraju na świecie, po którego wcale niezłych szosach kursowałoby tyle marek i tyle typów samochodów, co po polskich drogach. Remontowcy mają uciechy po pachy. A Centrala Złomu wysokie obroty. Każdy z tych drogo, dewizowo zapłaconych samochodów po przejechaniu tych swoich 200-300 tysięcy kilometrów z powodu braku części zamiennych idzie na złom. No, co do części zamiennych, to nawet z naszym krajowym Starem, Jelczem i już teraz Berlietem wcale nie jest lepiej.

Nie możemy być zaskoczeni tym, że transport samochodowy, który wszędzie na świecie na łeb na szyję bije kolej, u nas niedomaga i że... mamy deficyt płatniczy z krajami KK.

Transport samochodowy musi być uzupełniany transportem specjalistycznym. I znów przedziwna historia. Wrocławską Fadrę nic nie wie, że Stalowa Wola zakupiła w międzyczasie

licencję na silnik i maszyny Harwestera. O istnieniu tej licencji i tego silnika nic nie wie nasz przemysł stoczniowy (napęd dla kutrów i agregatów) ani producent maszyn górniczych katowicki POLMAG. Każdy z nich chce kupić na własną rękę silnik „Deutz”.

Każde z tych przedsiębiorstw chce eksportować nie zapewniając oczywiście serwisu, bo to w tej silnikowo-licencyjno-motoryzacyjnej kołomyjce jest niemożliwe. Aby pokryć swoje potrzeby importowe sięga się do kasy rotszyldów, morganów, mitsubishi czy wreszcie do kiesy każdego, kto tylko daje kredyt nie zważając na warunki, procenty, sposoby i możliwości spłaty.

By jeszcze urozmaicić ten chaos, każdy z samochodów jeździ na oponach innej firmy, mimo że zapłaciliśmy miliony za licencję i budowę Fabryki Opon w Olsztynie.

Zima zaskoczyła nasz transport? Każdy może być zaskoczony, że on jeszcze funkcjonuje. A funkcjonuje tylko dlatego, że Polak potrafi. Jednakże przy aktualności tego hasła tracą swoją aktualność takie hasła jak „jesteśmy kowalami własnego losu” i „jutro buduje się dziś”. Dziś musimy płacić za błędy popełnione wczoraj. A co będzie jutro? Tu się dopiero okaże, czy Polak jednak potrafi.

CZĘŚĆ TRZECIA

Nowoczesny kraj rolniczo-przemysłowy to kraj, który jest w stanie zaspokoić wszystkie techniczne potrzeby rolnictwa i większą część popytu na artykuły przemysłowe, które jego społeczeństwu pozwalają żyć na przeciętnym poziomie właściwym dla danej epoki.

Nowoczesny kraj rolniczo-przemysłowy to kraj, którego rolnictwo jest w stanie zaspokoić potrzeby konsumpcyjne społeczeństwa w artykuły właściwe dla jego strefy klimatycznej i wygospodarować nadwyżki na opłacenie importu produktów właściwych dla innych stref klimatycznych.

Nowoczesny kraj, niezależnie czy z przewagą rolnictwa czy przemysłu, niezależnie od epoki, to taki kraj, w którym transport zaspokaja potrzeby ludności, obsługuje przemysł i rolnictwo, zapewnia mu skuteczną obronność a także stwarza możliwości współżycia z sąsiadami.

Bez sprawnego nowoczesnego transportu nie było i nie ma nowoczesnego kraju. Każdy naród wkraczający na drogę postępu i rozwoju zaczyna od tworzenia lub rozbudowy infrastruktury

transportowej, która w wielu wypadkach przeżyła nie tylko te państwa i narody, które ją stworzyły, ale całe epoki i do dziś, modernizowana, stanowi pomnik sztuki prawidłowego przewidywania i umiejętności rządzenia. Dobry transport i sprawna łączność to podstawowy warunek właściwego i efektywnego zarządzania krajem.

W naszym kraju po wyeliminowaniu transportu samochodowego, po wygraniu bitwy o nowoczesność transportu niejako walkoverem, na placu boju pozostała kolej ze swoją organizacją, taborem i wyposażeniem technicznym.

Skończmy z mitem o rozwoju i unowocześnieniu transportu, czyli w naszym przypadku kolejnictwa. W latach 1960-1977 eksploatowana sieć kolejowa skurczyła się o prawie sto kilometrów. Sieć skurczyła się bardziej, bo statystyka do „sieci” zalicza liczące dziesiątki kilometrów ślepe bocznice kolejowe, jak z Piasieczna do elektrociepłowni Siekierki, jak z Bękowca do elektrociepłowni Kozienice czy do Połańca i wielu, wielu innych. To nie sieć rozbudowano, a labirynt ślepych, kolejowych zaułków. Pamiętajmy, że nasza podstawowa sieć kolejowa stanowiła kiedyś krańce sieci trzech wielkich imperiów Romanowych, Hohenzollernów i Habsburgów. Podstawowym zadaniem poprzedniego, naszego i następnego pokolenia było i będzie powiązanie tych końcówek w jedną logicznie funkcjonującą całość sieci kolejowej państwa polskiego. W dziesięcioleciu 1928-1938 przybyło Polsce 1.141,9 kilometrów nowych linii kolejowych. Przybywało, mimo spadku przewozów wywołanego kryzysem i wiadomą polityką gospodarczą. Przybywało, mimo że nie było gospodarczej integracji, podziału pracy i kooperacji z zaprzyjaźnionymi sąsiednimi krajami. Gdyby nie wybudowana wtedy linia Herby-Gdynia i Warszawa-Radom-Miechów-Kraków, zdechlibyśmy z naszym transportem już przed dwudziestu laty. Nie zaślaniajmy się zniszczeniami wojennymi. Od zakończenia wojny minęły 34 lata. Pozostałości wojenne 1914-1920 nie były mniejsze, a mimo tego już w roku 1921 wybudowano 111 kilometrów nowych linii kolejowych.

Nie zaślaniajmy się argumentem „krótkiej kołdry”. Transport i energetyka muszą wyprzedzać bieżące potrzeby i oszczędności w tych dziedzinach doprowadzają do tak wielkich strat we wszystkich innych, że „krótka kołdra” kurczy się do rozmiarów pieluszki.

I jeszcze z jednym mitem krótkiej kołdry trzeba skończyć. W wyniku wojny 1914-1920 i powstałych wówczas granic nie odziedziczyliśmy ani Pa-Fa-Wagu, ani Fabryki Wagonów w Świd-

nicy, ani „Zastalu” w Zielonej Górze. Zniszczone bo zniszczone, ale były i już w 1947 roku dały pierwsze wagony.

Polska lat międzywojennych tylko jeden wyrób swojego przemysłu mogła traktować jako eksportowy o światowym standardzie. Potrafiłiśmy budować dobre lokomotywy i wagony kolejowe. Gdy w czasie wojny istniała możliwość porównania stanu taboru wszystkich krajów europejskich, to lokomotywa Cegielskiego czy z Chrzanowa, polski wagon towarowy 35 ton i wagony osobowe warszawskiego Lilpopa były na głowę tabor francuski, włoski, a nawet niemiecki.

Lokomotywy eksportowaliśmy do Rumunii, Bułgarii, Brazylii, Argentyny i paru innych krajów. Wśród koncernów takich jak Pullmana, Kruppa, Schneider-Creusot nasz H. Cegielski się nie liczył, ale na wszystkich międzynarodowych targach i wystawach przemysłowych jego lokomotywa wywoływała zachwyt... i zakupy. Był to naprawdę narodowy przemysł.

Można wybaczyć błędy popełnione w rozwoju przemysłu motoryzacyjnego, być dumnym z przemysłu okrętowego, przemysłu kotłowni i turbin energetycznych. W tym zaczynaliśmy nie tylko od zera, ale od stanów minusowych. Trzeba było odbudować zakłady, szkolić kadry, zdobywać doświadczenie. Tylko w przemyśle budowy taboru kolejowego byliśmy „do przodu”, a dodać trzeba, że poza zakładami w Świdnicy, Wrocławiu i Zielonej Górze lokomotywy budował przed wojną i w czasie wojny także Elbląg i Gdańsk. Była kadra, choć mocno przetrzebiona, i był ten szósty zmysł, kolejowa smykałka Polaków, budząca podziw między innymi na międzynarodowych konferencjach rozkładów jazdy i to zarówno w roku 1924, jak i w 1948. Według polskich pociągów można było regulować zegarki, nie tylko przed wojną, ale i po wojnie.

Jest rzeczą oczywistą, że w krajach obozu socjalistycznego poza ZSRR — inny rozstaw torów — Polska powinna utrzymać i umocnić swój prymat w tym właśnie dziale produkcji. W grę wchodzi nie tylko ambicje narodowe. Nasze linie kolejowe są dwa razy dłuższe niż Czechosłowacji, prawie trzy razy dłuższe niż Rumunii.

Wozimy koleją tyle towarów, ile Francja i RFN razem wzięte. Dlaczego aż tyle wozimy, to już inny problem, ale coś mówi o skali potrzeb.

To nie żaden dyktat, nie zdobywanie rynków, to po prostu korzyści wypływające ze skali potrzeb i produkcji, posiadanych umiejętności i większego doświadczenia wysuwały nas na czoło producentów taboru kolejowego wśród krajów RWPG.

Stała się rzecz niepojęta. Po pięknym zaraz po wojnie starcie naszego przemysłu taboru kolejowego, wtedy jeszcze o trakcji parowej, daliśmy się po 15 latach nie tylko wyprzedzić, zepchnąć na boczny tor, ale wręcz zlikwidować. Przodujący w tej dziedzinie biedny kraj cofnął się na antypody postępu.

Kupiliśmy co prawda w latach pięćdziesiątych angielską licencję na elektrowóz, ale że w metryce tej licencji jako data urodzenia wpisany był rok... 1929, zrezygnowaliśmy z własnego elektrowozu zaspokajając nasze nikłe wówczas potrzeby elektrowozem „Bo-BO”, szwedzką ASA i Siemensem.

W tym samym czasie Rumunia zakupiła u tych samych Anglików licencję na nowoczesny elektrowóz i dzisiaj PKP, jeżeli chce uzyskać naprawdę ekspresową szybkość naszych „Chemików” czy „Górników”, dopina do nich rumuński elektrowóz!

Czechosłowacja, która ma o połowę mniej linii kolejowych niż Polska nie tylko bije nas w produkcji lokomotyw elektrycznych i spalinowych, ale objęła prowadzenie w Europie w tej dziedzinie.

Dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych obudziliśmy się z ręką w nocniku, uruchamiając produkcję nowoczesnych lokomotyw. Nowoczesnych?

W lokomotywach spalinowych musieliśmy się oprzeć na licencji Henschla zakupionej wcześniej przez przemysł maszynowy i przewidzianej jako napęd maszyn budowlanych produkcji Waryńskiego.

Przemysł okrętowy wbudował na siłę trzy czy cztery fiатовskie silniki, ale zrezygnował z nich i podrzucił... kolejnictwu. Maszyn budowlanych z silnikiem Henschla nikt nie chciał kupować, nie chciał go także przemysł okrętowy jako napędu agregatów i kutrów, więc podrzuciono go kolei. W fiатовskim silniku pękają korbowody i — choć licencję zakupiono przed 25 laty — nasi konstruktorzy do dziś nie uporali się z tym mankamentem. Silnik Henschla był starością już w chwili zakupu licencji i chociaż dziś Henschel jest głównym dostawcą silników dla wojsk pancernych NATO, to nie jest to ten sam silnik, którego licencję nam sprzedano. Tymi dwoma licencjami wpędziliśmy się w pokrzywy i, jak się wyraził jeden z wicepremierów odpowiedzialny za stan kolejnictwa w roku 1975, Cegielski produkuje lokomotywy spalinowe, które kolejnictwo z kolei odstawia w pokrzywy po pierwszym defekcie. Silnik Fiata poza wadą konstrukcyjną ma jeszcze i tę, że jest horrendalnie trudny technologicznie w remontach.

Zostaliśmy za to trzecią potęgą świata, po USA i ZSRR,

w budowie wagonów towarowych. Tuż za nami w Europie idzie Rumunia, reszta się nie liczy.

Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle właśnie z wagonami. Dlaczego ich stale brakuje?!

Przede wszystkim krążą one jak pijane zające po naszej nieskorygowanej nowymi inwestycjami sieci PKP. Po drugie wykonują plany przewozów, a nie przewozy. Po trzecie, wagony przez nas budowane są nienowoczesne, małe. Gdy trzeba rozładować zboże — a przewozimy go więcej niż reszta krajów RWPG (bez ZSRR), ratuje nas wagon rumuński i czeski. Gdy do portów zawita czeski, enerdowski lub rumuński wagon z rozsuwanymi ścianami, dokerzy w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie modlą się do niego, bo uwalnia on ich od niewolniczej pracy ręcznego rozładunku, do którego przymusza wagon produkcji polskiej. Petrochemia ratuje się dzierżawą cystern z Republiki Federalnej, bo bez nich musiałyby zamknąć Płock, a CPN swoje stacje benzynowe.

Ten potężny przemysł taboru kolejowego cofnął naszą gospodarkę do stanu sprzed roku 1914. Budujemy przede wszystkim wagon dwuosiowy, 25 tonowy. W roku 1976 dyskutowano budowę dwuosiowego wagonu osobowego, z którego produkcją świat zerwał definitywnie w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku. Na dwuosiowym podwoziu budujemy kryte wagony do przewozu zboża, mimo że do naszych portów zawijają statki ze zbożem o nośności stu tysięcy DWT.

W stosunku do lat przedwojennych wydobycie węgla wzrosło dziesięciokrotnie, w stosunku do lat pięćdziesiątych udziesięciokrotnie się wydobyć w poszczególnych kopalniach węgla, a tymczasem przeciętna nośność wagonu zmalała o 30 % w stosunku do wagonu budowanego w roku 1930. W ostatnim pięcioleciu wybitnie podskoczyła i jeszcze podskoczy produkcja cementu, ale za to na PKP „gruszki” do jego przewozu zeskoczyły z podwozia wagonowego 60 ton na podwozie 25 ton. A Europa przestawia się na wagon 90-120, a nawet 160 ton!

Można było na bocznicach kopalnianych jako tako manewrować 25 tonówką, gdy kopalnia wydobywała przeciętnie półtora, dwa miliony ton rocznie, ale staje się to koszmarem, gdy na ten sam wagon 25 ton trzeba załadować 12-18 milionów ton. Zamiast jednego manewru wagonem 60 czy 90 ton, dwa lub trzy manewry dwudziestką piątką. Ileż więcej manewrów na stacjach i górkach rozrządowych! Handel zagraniczny do wywieżenia 11 milionów ton węgla na eksport w roku 1938 miał do dyspozycji wagon 35 ton, teraz przy eksporcie 42 milionów ton ma 25 to-

nową taczkę. Ofiarność kolejarzy nic nie pomoże, gdy muszą wykonywać trzykrotnie więcej pracy tylko dlatego, że przemysł taboru kolejowego nie buduje nowoczesnych wagonów. Jedna nowoczesna wywrotnica w Porcie Północnym — druga w Kozienicach — połączona technologicznie z rozmrażalnią — może pionierem rozładowywać dwa wagony 60 ton lub jeden 90 czy 120. Ale też dla Portu Północnego Ostrów Wielkopolski musiał budować specjalne wagony i tylko dla Portu Północnego. Kozienice nie były aż tak uprzywilejowane i musiały wybudować aż cztery wywrotnice — dla czterech typów wagonów. Czy można potępiać energetykę i hutnictwo i innych wielkich odbiorców węgla i koksu, że nie śpieszą się z budową wywrotnic i rozmrażalni, bo te kosztowne inwestycje muszą dać konkretne efekty, a nie dadzą ich nigdy przy przewracaniu i rozmrażaniu dwudziestopięciotonówki?

Rozmrażać można wagon tylko z metalowymi ścianami, a co najmniej połowa węglarek ma ściany drewniane. Taki wagon można tylko spalić w rozmrażalni, zanim się ładunek rozmrozi.

Jedynym sposobem na pełniejsze wykorzystanie nieuzupełnionej choć zelektryfikowanej sieci kolejowej jest zwiększenie ciężaru składów pociągów towarowych. Na zatłoczonych do granic technicznej wytrzymałości liniach Śląsk - Gdynia, Śląsk - Szczecin, Śląsk - Warszawa jeden przelot pociągu o wadze 3,5 tysięcy ton brutto to dwa albo trzy przeloty składu pociągów towarowych o przeciętnym ciężarze. A ten ciężar przeciętny w trakcji elektrycznej między rokiem 1960 a 1977 wzrósł o... 43 tony. Jak na tyle lat mówienia o postępie technicznym w kolejnictwie, to bardzo mało. Jeżeli chcemy pociągnąć skład o wadze 3 tysięcy czy 5 tysięcy ton, musimy u Czechów pożyczyć albo kupić ciężkie elektrowozy Skoda. Bez pomocy Czechów nie możemy poprawić przelotowości naszych linii kolejowych. Czesi zamieszkują jedną trzecią terytorium w porównaniu z Polską, jest ich o połowę mniej i mają o połowę mniejszą sieć linii kolejowych.

Gdybyśmy mieli własny ciężki elektrowóz i własny wagon 90 lub 120 ton, to zamiast 32 tysięcy (!!!) składów pociągów, którymi dowozimy 26 milionów ton węgla i koksu do portów, wystarczyłoby tylko 10 tysięcy składów pociągów. Składy te wracają z portów na Śląsk puste, bo nawet gdyby zabierały po drodze rudę sprowadzaną drogą morską, wykorzystywałyby swoje zdolności przewozowe tylko w jednej piątej, gdyż rud sprowadzamy tą drogą około 6 milionów ton. Śląsk z portami łączą praktycznie tylko dwie magistrale kolejowe. Spełniają one także ważną rolę w obrotach wewnętrznych. Wielkim obciążeniem na tych

liniach byłoby puszczanie 60 par składów pociągów ciężkich na dobę zamiast ponad 200, jak to się dzieje obecnie.

Jeżeli można mówić o zaskoczeniu nas kryzysem transportowym, to nie dlatego, że padają czasami śniegi albo latem temperatura wzrasta do plus 30 stopni i tory się wypuczają. Można być tylko zaskoczonym, dlaczego nasze kolejnictwo wraz z przemysłem taboru kolejowego przestało być nowoczesne. We współczesnym świecie, jeżeli się nie nadąza za postępem technicznym, to się najpierw przestaje liczyć, a potem przestaje istnieć.

Jesteśmy dumni, ale to naprawdę dumni jako naród z rozwoju gospodarki morskiej, przemysłu stocznioowego i naszej floty. Wszystkie wydatki ponoszone w tej właśnie dziedzinie — nawet kosztem obniżenia naszej stopy życiowej — ponosimy bez szemrania. Znamienne, że w okresach kryzysów politycznych 1956 i 1970 społeczeństwo domagało się rozpisania pożyczki wewnętrznej przeznaczonej na rozbudowę floty. Może w tym odruchu — bo w rachunkach ekonomicznych jako społeczeństwo jesteśmy słabi i częściej kierują nami odruchy a nie zimna kalkulacja — znajdujemy kompensatę i satysfakcję za tysiącletnie bezskuteczne dobijanie się o dostęp do morza i możliwość stworzenia własnej floty. Jedno i drugie uzyskaliśmy dopiero w roku 1945.

Dziś flota polska ze swoimi 3,5 milionami BRT zajmuje 17 miejsce w świecie. Jest to rachunek mylący, bo przed nami jest flota Panamy, Liberii, Cypru, Singapuru, ale nie mają te floty nic wspólnego z ich gospodarką narodową. Także 17 miejsce w światowych przeładunkach zajmują nasze porty, choć struktura naszego handlu zagranicznego jest wybitnie lądowa. W imporcie drogą morską przybywa do nas zaledwie jedna trzecia sprowadzanych towarów.

Posiadamy nowoczesną flotę, budujemy cztery nowoczesne porty — w Świnoujściu, bazę rudową w Porcie Północnym do przeładunków masowych, w Policach do przeładunku fosforytów i w Gdyni bazę kontenerową. Każdy z nich będzie przeładowywał więcej niż przedwojenna Gdynia. Lecz wszystko to, zarówno rozbudowa floty jak portów staje się coraz kosztowniejszą zabawką! Choć w portach pozostaje jeszcze wiele do zbudowania, trzeba sobie zadać pytanie — a po co? Na redach i przy nabrzeżach naszych portów tygodniami i miesiącami oczekują na wagony statki naszej i obcej bandery. Przeciętny czas oczekiwania naszych masowców przekracza 30 dni, a statków liniowych dochodzi do 80 dni w jednym rejsie! Bywa, że nasze nowoczesne szybkie i kosztowne statki przebywają w portach przycumowane

do nabrzeży przez 150-180 dni w roku!! Przy ich szybkościach i dzielności morskiej mogłyby w tym czasie trzykrotnie opłynąć z ładunkiem kulę ziemską i zarabiać. Tymczasem postój statku w porcie kosztuje od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy złotych. Jeżeli jest to statek obcej bandery, od kilkuset do kilku tysięcy dolarów. I to nie dolarów „przeliczeniowych” czy w bonach PKO, ale w zielonych papierkach wypłacanych przy okienkach specjalnych oddziałów banków intendentom statków innych bander, w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie.

Zajmując 17 miejsce w ilości przeładunków w świecie, nasze porty zajmują zenujące 110-120 miejsce, jeśli chodzi o czas przeładunku i postoju statków. To wszystko kosztuje, za wszystko trzeba płacić. Naszym armatorom za postój płacimy w złotych, a że złotówka jest tania, więc i postojowe nie kosztuje drogo. Tymczasem gdy nasze statki tanio stoją, czarterujemy obce statki, płacąc... dolarami. Tracimy więc i tanie złotówki i cenne dolary, nic nie zarabiając. To 110 miejsce kosztuje nas o 5 dolarów drożej na każdej tonie zboża i to niezależnie od płaconych oddzielnie kar za przetrzymywanie statku. Tyle samo tracimy przy eksporcie węgla. Bywało, że połowę ładunku węgla statek zabierał jako karę za przetrzymywanie go na redzie, a dopiero drugą połowę jako eksport na nasz rachunek. Bywało, że na redach po węgiel oczekiwało 100-110 statków. I działo się to nie zimą, kiedy można się tłumaczyć trudnościami transportowymi i zaskoczeniem, ale w pełni lata. I działo się to nie w roku 1978, kiedy zaczęto wreszcie przebąkiwać o kryzysie transportowym, ale w roku 1974 i 1975, kiedy hasłem była „dynamika wzrostu” i „Polak potrafi”. W tym to czasie jeden ze statków brytyjskich stał z dziesięcioma tysiącami ton rudy najpierw 30 dni na redzie portu w Gdyni a potem 40 dni w basenie portu gdańskiego. Odpłynął nierozładowany do jednego z portów szwedzkich, by rozładować się... na nasz rachunek. W tym czasie telefoniczne i teleksowe połączenia między Nową Hutą a Zarządem Portu w Gdyni i ówczesnym Zjednoczeniem Portów pękały ze wstydu przenosząc wszystkie brzydkie słowa, jakie dyrektorzy tych trzech jednostek państwowych wymieniali między sobą. Nowa Huta prosiła o szybki rozładunek i przesłanie tych hematytów, gdyż będzie musiała wygasić jeden z wielkich pieców, a potem już groziła, że wygasi jeden z wielkich pieców, jeżeli ten Anglik nie zostanie natychmiast rozładowany. W rozmowy te włączyły się kierownictwa aż czterech resortów — przemysłu ciężkiego, gospodarki morskiej, handlu zagranicznego i wreszcie komunikacji. Wszystko bezskutecznie, gdyż... nie było wagonów.

Nie było? Ale codziennie do tego samego rejonu portu przybywały wagony z węglem, hałdowały go — bo nabrzeże było zablokowane przez Anglika i odjeżdżały puste na Śląsk po następny transport węgla. Anglik w tym czasie inkasował 4 tysiące dolarów na dobę jako kary postojowe, nie licząc kar, jakie pobierali armatorzy statków oczekujących na węgiel. Jak obliczyłem, wynajęcie 300 taksówek bagażowych na trasie Gdynia-Nowa Huta kosztowałoby taniej niż oczekiwanie na wagony. W końcu znalazło się rozwiązanie: jak wspomniałem, Anglik odpłynął do Szwecji i jak później przeczytałem w *Trybunie Ludu*, remontowi z Nowej Huty podjęli zobowiązanie przedterminowo wyremontować jeden z wielkich pieców. Okazja do zobowiązań nasunęła się sama. Anglik stał z rudą przez połowę kwietnia, cały maj i czerwiec. Do 22 lipca było już niedaleko. Piec, który poszedł do remontu to właśnie ten, którego wygaszeniem — z powodu braku rudy — groziła dyrekcja Nowej Huty. A wszyscy pracowali ofiarnie!

Zwróciłem się o wyjaśnienie tego skandalu do kierownictwa Ministerstwa Komunikacji. Okazało się, że to nie pierwszy przypadek i wcale nie skandal. Jak mi oświadczył jeden z podsekretarzy stanu, cytując: „gdybyśmy podstawili tyle wagonów, ile żąda hutnictwo pod rudy importowane z KK, to hutnicy nie wytapialiby wcale rudy radzieckiej”. Nie znam się na tyle na technologii wytopów, by decydować, ile racji miał podsekretarz stanu, ale na tyle znam się na zarządzaniu, że wiem, iż nie sprawą kolejarzy jest ustalanie składu węgla do wielkiego pieca, a decydować o tym powinien technolog Nowej Huty.

Jeszcze dziwniejsze wydało mi się wyjaśnienie Węglo-Koksu w Katowicach, gdzie udawadniano mi, że w tym czasie, kiedy Anglik blokował nabrzeże a statki po węgiel drzemały sobie słodko w Zatoce Gdańskiej, Węglo-Koks zarobił... na przyspieszeniu załadunku węgla. Dla laika ten rachunek może się wydać dziwny, ale dla ludzi z gospodarki morskiej czy handlu zagranicznego, którzy znają kulisy, jest on zrozumiały. Kary za postój rozkłada się równomiernie między „winnych”, a jest ich wielu: port, Węglo-Koks, PKP, Hartwig, Polcarga i paru innych. Nagrody za „przyspieszenie” inkasuje Węglo-Koks. Przyspieszenie? Jeżeli dysponując urządzeniami przeładunkowymi w portach o zdolnościach przeładunkowych od kilkuset do czterech tysięcy ton na godzinę w umowach frachtowych na wywóz węgla wstawia się klauzulę trzydziestodniowego terminu załadunku, no to można zarobić kilkaset nędznych dolarów na „przyspieszeniu”. Tylko, że taki fracht kosztuje od kilku do kilkudziesięciu tysięcy

dolarów drożej. Obcy armatorzy, a szczególnie ci dysponujący przestarzałym tonażem, bardzo kochają i chwalą nasze porty. Można w nich świetnie zarabiać stojąc nie nadwyrężając mocno zdezelowanych siłowni.

Płacimy za to wszystko eksportem, a w tym eksporcie węgiel jest jedynym naszym złotem — czarnym złotem.

Nikt będący przy zdrowych zmysłach nie podważy znaczenia węgla i jego eksportu w naszej ekonomice. Od sprawności eksportu tego złota zależy nasza równowaga płatnicza, zaufanie w świecie, no i cena. A jak wygląda ten eksport? Obserwowałem to w porcie gdańskim w basenie im. Zawadzkiego. Było to na początku września, temperatura wynosiła około 15 stopni, wiatru prawie nie było. Przy nabrzeżu stał masowiec o ładowności 15 tysięcy BWT. Do załadowania statku „na fali” brakowało tylko ośmiuset ton — jeden lekki skład pociągu. Statek miał opuścić port o godzinie 16-tej, co było wypisane na tablicy statku zawieszonej przy trapie. Statek zabierał do swojej ładowni trzy gatunki czyli „sortymenty” węgla. Nadszedł właśnie oczekiwany skład pociągu. Prosto ze Śląska skierowano go pod burłę piętnastotysięcznika. W tym przypadku (jeden na sto, jeden na tysiące?) zasada pracy na styk naszej kolei zdała egzamin. W składzie znajdowało się oczekiwane osiemset ton węgla pożądanych gatunków. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że wagony z każdym z „sortymentów” uformowane są w składzie po kolei. Tak podpowiadał zdrowy rozsądek. Dwa dźwigi firmy Krone (z importu) załadowałyby te osiemset ton w 120 minut. Potem już tylko zamknięcie luków, rzucenie cum i statek mógłby popłynąć w świat, zwalniając te 150 metrów nabrzeża basenu dla następnej jednostki. Kilka takich jednostek oczekiwało już na wolne nabrzeże od kilkunastu dni, a węgiel dla tych jednostek też od kilkunastu dni oczekiwał na wagonach na podejściach do portu.

Niestety w pierwszym wagonie znajdował się sortyment „A”, w drugim „C”, w trzecim „B”, w czwartym... i tak aż do sześćdziesiątego. I zaczęła się ofiarna praca portowców — manewrowanie całym pociągiem w poszukiwaniu odpowiedniego wagonu z odpowiednim sortymentem. Praca ta trwała do 5-tej rano dnia następnego. Mimo ofiarności portowców, mimo sprawnych dźwigów trzeba było zapłacić armatorowi dwa tysiące dolarów za przetrzymanie statku. Ile kosztowało te pół doby cały port gdański?

Gdyby stacja Herby skompletowała skład pociągu logicznie, to zamiast 12 godzin wagony mogłyby być zatrzymane tylko dwie

godziny w porcie, a „spływając” na Śląsk osiągnęłyby w tym czasie stację Zduńską Wolę.

W dyrekcji DOKP w Katowicach wyjaśniono mi, że stacja Herby ma za mało torów i że wybieranie wagonów ze składu formowanego jak popadnie to już sprawa klienta!!!

Obrazek, jaki przedstawiłem, można zaobserwować w każdym basenie każdego dnia i o każdej porze. Ta zabawa w transport trwa już kilkanaście lat, a od czasu kiedy brak wagonów daje się naszej gospodarce ostro we znaki jest już zabawą samobójczą.

Działalność floty handlowej to też *par excellence* transport. Ta nowoczesna flota w nowoczesnych portach styka się technologicznie z innym rodzajem transportu — z koleją. Z koleją nowoczesną, bo niedoinwestowaną, nie posiadającą odpowiednich wagonów, zafaną technicznie i organizacyjnie. Na takim „styku” wygrywa ten gorszy. Dzieje się tak, jak w konwoju, który musi dostosować swoją szybkość do najsłabszego statku.

Musimy eksportować, by opłacić niezbyt przemyślany zakup licencji, budowę zakładów „pod klucz”, które osiągają swoją pełną zdolność produkcyjną dopiero po 10 latach, musimy wreszcie płacić za i tak coraz skromniejszy import niezbędnych towarów. Zadłużenie naszego kraju jest przerażające. Jeżeli już musimy eksportować, to róbmy wszystko, by nie podrażać kosztów tego eksportu stratami powodowanymi przez kolej.

W latach pięćdziesiątych, chcąc zmniejszyć upust dolarów na opłacanie obcych bander obsługujących nasz handel zagraniczny i eksport węgla, stworzono fundusz „antycarterowy”. Zamiast płacić obcym armatorom kupowaliśmy statki nieraz stare... i dzięki temu powstała nasza nowoczesna flota. Teraz ta flota ponosi straty z powodu niewydolności kolei. Może więc powołać fundusz „antydemedżowy” i zamiast płacić sobie i innym kary (*damages*) i dopłacać te 5 dolarów do każdej tony, kupmy wreszcie nowoczesne wagony i ciężkie lokomotywy, wywrotnice w portach i rozmrażalnie w hutach i elektrowniach. Problem ten jest wątkowany już od kilku lat i nie znalazł rozwiązania, nie z powodu braku pieniędzy, a z braku odpowiedzi kto ma to zrobić, kto ma te wagony kupić. Porty? Węglo-Koks? Handel Zagraniczny? Spedytor? Wszyscy odpowiadają zgodnym chórem, że zakupić je powinien przewoźnik czyli PKP. Odpowiedź pozornie logiczna. Polak wiele potrafi, ale nie potrafi tłuc długo głową o mur. Gdyby tak było, siarka nie miałaby „swoich” cystern, a petrochemia „swoich”, tylko do dzisiaj tłukłaby głową o mur gmachu Ministerstwa Komunikacji, dopominając się o właściwe wagony. Szybko więc zakupili potrzebny im tabor.

Dzięki temu pracują rafinerie, eksportujemy siarkę. Podobne rozwiązanie znalazło Ministerstwo Budownictwa kupując „sobie” cementowagony. Może by wreszcie kierownictwo resortu handlu zagranicznego i gospodarki morskiej wraz z resortem górnictwa, energetyki i hutnictwa zaprzestało bezpłodnej korespondencji z resortem komunikacji i znalazło rozwiązanie „problemu wagonów”, tak jak znalazły je chemia i budownictwo.

„Krótka kołdra” w latach 60-tych pozwoliła nam jednak na stworzenie nowoczesnej floty handlowej..., która prawie 50 % swego „czasu pracy” spędza w portach. Jeżeli już nie ma innego wyjścia, to sprzedajmy 1/3 tonażu, kupmy za te pieniądze nowoczesne ciężkie wagony i elektrowozy, by pozostałe 3/4 floty zarabiała na przetrzymywanie obcych statków. Jeżeli nie stać nas na kupno, to wydzierzawmy te wagony, tak jak to zrobiła już Petrochemia.

Wiem, że propozycją sprzedania 1/3 floty zrywam więzi przyjaźni łączącej mnie z ludźmi z gospodarki morskiej. Ale w ekonomice nie ma miejsca na sentymenty ani... na przysłowia o krótkiej kołdrze.

Resort handlu zagranicznego jest o tyle w lepszej od nich sytuacji, że może czarno na białym, bez prac studialnych, przedłożyć „odpowiednim władzom” rachunek, ile ta zabawa nasz kraj kosztuje.

Wiemy, że spać pod krótką kołdrą jest bardzo niewygodnie, ale w ekonomii chować głowę pod tę krótką kołdrę długo nie można, wtedy inne części ciała mogą być zaskoczone niesprzyjającymi warunkami atmosferycznymi.

Polak potrafi także zadać pytanie — ile kosztuje takie chowanie głowy pod kołdrę i kto za nie płaci. I Polak potrafi wymusić odpowiedź na to pytanie.

CZĘŚĆ CZWARTA

Nie tylko ja, reporter, na zapewnienie najwyższych czynników o pracach i wysiłkach mających udoskonalić nasz system zarządzania wzruszam ramionami.

O tym, że kolej rządzi gospodarką kraju od 10 lat, rządzi z całą bezwzględnością — wiedzą nie tylko kierownictwo WOG-ów, zjednoczeń, kombinatów, fabryk i fabryczek, wie o tym każdy kierownik zmiany tak w kopalni jak i w porcie, tak w hucie jak i w przemyśle papierniczym. Będą wagony, bę-

dzie produkcja, nie będzie wagonów, nie będzie produkcji. Ot i cała tajemnica naszego systemu zarządzania.

Jeden z niezbyt precyzyjnych dziennikarzy nazwał transport „nerwem gospodarki”. Dając swoim wywodom taki tytuł, wykazał nieznamość anatomii organizmów żywych i anatomii gospodarki. Nerwami gospodarki można nazwać sieć energetyczną, sieć telekomunikacyjną, ale nie sieć kolejową. Sieć kolejowa to system krążenia, a wiadomo, że zaburzenia krążenia w organizmach powodują ciężkie chorobowe wstrząsy organizmów i są jedną z najczęstszych przyczyn śmierci klinicznej.

Kolej stała się nie tylko dyktatorem w sprawach ruchu zakładów, ale także w sprawach technologii produkcji i rodzaju surowców, jakie w tej produkcji mają czy mogą być używane.

Wiadomo, że w krajach uprzemysłowionych (w Stanach Zjednoczonych już pod koniec lat trzydziestych) samochód - wielka ciężarówka zdystansował kolej. Dochodziło do bankructw, do zamykania nierentownych linii kolejowych. A jednak kolej, ten dziewiętnastowieczny zwiastun epoki pary, a potem pary i elektryczności, nie tylko nie zniknęła z powierzchni globu, ale odrabia utracone na rzecz samochodu pozycje.

Kolej amerykańska, której samochód z naczepą kontenerową omal nie dobił, szybko zmniejszyła średnicę swoich kół (!!!), obniżyła wysokość platformy załadowniczej i wzięła na siebie kontener wraz z naczepą. Ratując swoje istnienie, przystosowała się technicznie do potrzeb nowoczesnego transportu i upowszechniła używanie kontenera tak dalece, że kraj, który chce handlować ze Stanami Zjednoczonymi, musi wszystko ładować w kontenery. Innego rodzaju ładunku rynek amerykański nie przyjmuje.

Jak wiadomo, miało to wpływ nie tylko na rynek amerykański. Do konteneryzacji musiał się przyzwyczaić cały świat, aż w końcu, doceniwszy jej zalety, pokochał ją i żyć dziś bez niej nie potrafi. W naszym kraju mimo przymusów administracyjnych i te minimalne przewozy kontenerów drogą kolejową spadły o prawie 300 tysięcy ton tylko między 1971 a 1977 rokiem.

Kolej polska, nie bojąc się konkurencji ciągnika siodłowego z naczepą, zmusiła swoich klientów do ładowania kontenerów na wagony, jakie im podstawiała, a że wymaga to horrendalnego usprzętowania dźwigowego, zarówno u odbiorcy jak i u nadawcy, odstraszyla od kontenera cały nasz przemysł. Nie pomogły zarządzenia premiera, który na poszczególne resorty nakładał kontyngenty ładunków, jakie mają pakować w kontenery.

Paleta — nieodzowne uzupełnienie kontenera — stała się w transporcie wewnątrzzakładowym, na placach budowy, w gos-

podarce portowej i magazynowej istną rewolucją techniczną. Paleta, ten techniczny twór paru desek i paru gwoździ, zmusiła koleje skandynawskie, zachodnioeuropejskie, a ostatnio także czeskie i węgierskie do budowy wagonów z rozsuwanymi ścianami lub z rozsuwanym dachem lub połączenia jednego systemu z drugim. Było to konieczne, by wagon kolejowy mógł przyjąć paletę bez techniczno-organizacyjnych perturbacji.

Wiem, że w ciągu piętnastolecia powołano 6 komisji paletyzacji lub paletyzacji i unowocześnienia transportu. Komisje te i komitety wydały mnóstwo instrukcji, zarządzeń, zredagowały merytorycznie wiele uchwał rządu i zarządzeń premiera, ale sprawę paletyzacji nie posunęły ani o krok. W transporcie morskim, gdzie paletyzacja jest często warunkiem zawarcia kontraktów, spadła ona między rokiem 1975 a 1977 o 159 tysięcy ton.

Jeżeli jest jakiś postęp w tej dziedzinie, to tylko taki, że w roku 1979 większa liczba ludzi śmieje się z paletyzacji, niż to miało miejsce w roku 1970. Powodów do śmiechu ciągle przybywa. Cegła, przychodząca na plac budowy Warszawy, ładowana ręcznie na wagony w cegielniach, rozładowywana ręcznie na stacjach rozładunkowych Warężsawy, jest tam dopiero ręcznie układana na palety i od tego momentu ładowana mechanicznie na samochód a następnie na 11 czy 18 kondygnację budowanego wieżowca. Po co więc trzy pracochłonne ręczne operacje, by w końcu ostatnie czynności zmechanizować? Ano po to, że na 18 piętro cegły wnieść ręcznie nie można, a dźwig, w przeciwieństwie do człowieka, nie jest technicznie przygotowany do pionowego transportu cegła po cegle. To dźwig wymógł paletyzację cegieł na stacjach rozładunkowych Warszawy, a nie zarządzenia komitetów od paletyzacji.

Z takiej właśnie paletyzacji, która zaczyna się na ostatnim ogniwie łańcucha transportowego, można się uśmieć. Śmiech kosztowny, bo kosztowny, ale lepszy i zdrowszy niż próba rozumnego wyjaśnienia problemu. Taka próba musiałaby się skończyć w domu wariatów.

Sam uśmiełem się serdecznie widząc w listopadzie ubiegłego roku szwedzkie samochody ze szwedzkimi paletami przewiezione przez Bałtyk przez Szwedów do naszych portów, po to, by tu w porcie ręcznie rozładowywać wagony i ręcznie „paletyzować” towar na te szwedzkie palety. Było to konieczne, gdyż w Szwecji bez paletyzacji nikt towaru nie weźmie. W dziale eksploatacji portu wyjaśniono mi, że taka operacja jest dla portu... korzystna (!). W czasie sztormów lub niepogody, kiedy przerywa się prace portowe, jest przy czym zatrudnić część wolnej dokerskiej

załogi. W tym konkretnym przypadku, na który się przed chwilą powołałem, odległość między zakładem nadania a portem wynosiła niewiele więcej niż sto kilometrów.

Szwedom opłaci się wozic puste palety wpoprzek całego Bałtyku, pędzić z nimi ponad dwieście kilometrów ze stacji promowej do portu nadania, a nam się nie opłaci podrzucić tych palet jeszcze sto kilometrów dalej, by paletyzację zacząć tam, gdzie zaczynać się ona powinna — na początku łańcucha transportowego. Niestety jest to technicznie niewykonalne. Zakładowi nadania PKP podstawiała pod załadunek wagony — węglarki i wagony kryte, których w żaden znany ludziom sposób załadować paletami nie można. Nasza kolej nie zna wagonu z rozsuwanymi ścianami, nie mówiąc już o rozsuwanym dachu. Nie zna także tak prostackiego technicznie rozwiązania, jakie w tysiącach egzemplarzy oglądałem w portach, na stacjach i szlakach kolejowych Skandynawii — wagonu z kładzionymi do wewnątrz ścianami służącego wtedy jako lora do przewozu ładunków paletyzowanych, żelaznej i drewnianej dłużyzny, kontenerów a w razie potrzeby — czego nie widziałem — czołgów, armat i innych pojazdów bojowych. Po ustawieniu pionowo ścianek bocznych wagon taki służy jako węglarka. Do Szwecji niedaleko, gdyby chociaż jeden z członków komitetu od paletyzacji widział jeden taki wagon, na pewno przyszedłoby mu do głowy, że tędy, a nie poprzez wydawanie zarządzeń, wiedzie droga do powszechnie stosowanej paletyzacji.

Widocznym gołym okiem efektem piętnastoletniej działalności są złomowiska palet zalegające zaplecza każdego magazynu, złomowiska, na które poszło setki tysięcy metrów sześciennych tarcicy, tysiące ton gwoździ i miliony roboczo-godzin.

Kolej rządzi przemysłem i życiem gospodarczym naszego kraju. Co do tego nikt a nikt nie ma wątpliwości. Ci, którzy z różnych trybun głoszą doskonalenie zasad zarządzania, albo o tym fakcie nie wiedzą, albo nie zdają sobie z tego sprawy.

Kolej zarządziła, że podstawiać będzie wagony tylko pod te ładunki, dla których przewiduje się drogę dłuższą niż 100 kilometrów, resztę miały załatwić samochody, których nie ma. Nie znam takiej fabryki domów, która nie miałyby w promieniu 50 kilometrów uznanej i zakwalifikowanej żwirowni. Zakupując fabryki domów wraz z licencjami, technologią a często wykonawstwem pod klucz, nie ostrzeżliśmy ani projektantów, ani dostawców, ani wykonawców, że żwir do fabryk domów może być dowożony (koleją) tylko z odległości ponad stu kilometrów. Pytałem członków delegacji handlowych, którzy pertraktowali

z zagranicznymi kontrahentami, czy zapomnieli o tym fakcie? Ze skrucną przyznali, oczywiście pod pieczęcią najświętszej tajemnicy, że nie zdradzę źródła informacji, że pamiętali o tym doskonale, ale milczeli z dwóch powodów. Po pierwsze — ze wstydu, że w ich ojczyźnie mogą istnieć tak nonsensowne zarządzenia, a po drugie — bo zachodnie umysły są tak wyćwiczone, iż nie mogą pojąć pewnych idiotyzmów.

Jak tu wyjaśnić takiej zakutej zachodniej głowie, nie znającej przy tym podstaw dialektyki, że żwir z Paczkowa wozimy do Zagłębia Miedziowego, choć na terenie samego Zagłębia jest masa żwiru i piasków budowlanych? Taki zachodni żłób czy manager uznałby to za wielce korzystne, nie rozumiejąc, że do przewożenia żwiru na bliskie odległości potrzebny jest samochód, a tych mamy mało. Tak więc większość fabryk domów zaprojektowana była na zaopatrzenie w żwir tylko drogą kolejową. A że kolej nie wozi, gdy nie ma stu kilometrów odległości, do Lubina przywozi się piasek z Paczkowa, a spod Bolesławca wozi się piasek do Opola, na Śląsk, do Huty Katowice i Bełchatowa. Cudów nie ma, bez żwiru fabryka domów czy betonów pracować nie może, a że technicznie może przyjmować kruszywo tylko z wagonów — wozi się je z odległości takiej, na jaką zezwalają przepisy kolejowe.

Nie biadolmy, że termin uruchomienia pierwszych bloków energetycznych w Bełchatowie jest już zagrożony. To nie brak kruszywa, a brak transportu do jego przewozu spowoduje, że Bełchatów ruszy z 12 miesięcznym opóźnieniem. Wagony są zatrudnione przy zbędnym pokonywaniu odległości zgodnie z zarządzeniami dyrekcji kolei. A każdy megawat włączony do sieci o kilka miesięcy wcześniej to oświetlenie szpitali, to ogrzanie inkubatorów w klinikach położniczych, by nie marzły i nie dusiły się w nich niemowlęta jak w Sylwestra 1978 roku.

Kolej wydała zarządzenie o tak zwanej marszrutyzacji ładunków. W Fabryce Celulozy i Papieru w Kostrzynie do normalnej produkcji potrzebny jest co półtora dnia jeden wagon zwykłego kamienia wapiennego. Oczywiście Kostrzyń miał zawsze zapasy wapiennego łomu na 18, a nawet 36 godzin rytmicznej produkcji, przewidując — i słusznie — możliwość wystąpienia trudności transportowych. Do tej rytmiki produkcji, transportu i wyładunków dostosowany był sprzęt, brygada go obsługująca i bункier na zapas łomu wapiennego. Kostrzyń sam sobie zaprojektował i zamówił w jednym z kujawskich POM-ów wykonanie specjalnych pojemników do przewozu tego łomu, by ułatwić zarówno pracę górników w wapiennikach jak i pracę kolei.

Wszystko było w porządku do chwili wydania zarządzenia o marszrutyzacji. Teraz Kostrzyń otrzymuje jednorazowo po dziesięć wagonów, jego własne pojemniki mu zabrano. Poprzednio kolej otrzymywała do dyspozycji rozładowany wagon już po 45 minutach. Teraz, mimo pełnej mobilizacji i poświęcenia załogi, otrzymuje dziesięć wagonów po kilkunastu godzinach plus... kary za przetrzymywanie wagonów.

Co się dzieje w PGR-ach, i to w czasie żniw, kiedy taki PGR jednorazowo otrzyma 40-60 wagonów pasz czy nawozów sztucznych, trudno opisać. Kombajnistów zwozi się z pól helikopterami, do rozładunku wagonów rzuca się brygady zatrudnione w tuczarniach, przerywa się prace polowe po to tylko, by kary za przetrzymanie takiego składu pociągu — bo już nie wagonów — nie przekreśliły z kretesem efektów ekonomicznych przedsiębiorstwa. Ale co innego rozładunek 10 wagonów codziennie, a co innego 60 w ciągu jednego dnia. I płacą te kary za przetrzymanie wagonów, a kolej, zamiast odbierać codziennie po dziesięć wagonów po kilku godzinach, odbiera je po kilku dobach. A ile się przy tym superfosfatu czy innych nawozów wysypuje do rowów? Ile się zwala nie na miejsce, gdzie ma być rozsiewany, a tam, gdzie chwilowo jest lepszy dojazd... Ile przy tym kwiku głodnych świń i ryku nienakarmionego bydła?

Pracowników i dyrekcje PGR obowiązują przede wszystkim rygorystycznie egzekwowany przepis o terminowym zwrocie wagonów, a nie zasada najwyższych zbiorów z hektara i przyrostów mięsa zwierząt hodowlanych. Przekonanie Ministra Rolnictwa że to on rządzi PGR-ami jest ułudą. Gdy z pomocą PGR-om przychodzi wojsko ze swoim sprzętem zmechanizowanym (znam wypadek, gdy raz było to nawet wojsko radzieckie), do napędu tego sprzętu wojsko musiało sprowadzić swoje agregaty, bo zawiadowca stacji nie pozwolił podłączyć się do „gniazdka” swojej sieci elektrycznej.

Wybudowana nie tak dawno elektrociepłownia w Bielsku Białej zgodnie z zasadą „minimum sto kilometrów” zastosowała nowoczesną wywrotnicę wagonów, by ta nie rdzewiejąc doczekała lepszych czasów lub mądrzejszych zarządzeń. Bielsko-Biała i jej elektrociepłownia leżą za blisko zagłębia węglowego, by mogły korzystać z usług PKP. Formacje saperskie Wojska Polskiego dobudowały do elektrociepłowni i nieczynnej wywrotnicy wagonów specjalną drogę, by umożliwić dowóz węgla samochodami. Nic dziwnego, że dyrekcja tej elektrociepłowni zabiega, by przydzielano jej węgiel nie z najbliższych położonych kopalń a z kopalń z drugiej strony niecki węglowej, gdzieś spod Gliwic. Droga węgla

wydłuży się o sto kilometrów i będzie można wykorzystać wszystkie udogodnienia techniczne, w jakie ją wyposażono.

Ingerencja kolejnictwa w techniczne i technologiczne problemy innych resortów sięga głębiej, niż się kierownikom tych resortów wydaje.

Kolej wydała zarządzenie, by każdy zakład wybudował sobie własne urządzenia rozładunkowe. Kogo tylko mogłem dopaść z resortu komunikacji, błagałem, molestowałem i argumentowałem, by odwołali to samobójcze dla kolei zarządzenie. Zgoda na to, by każdy zakład budował sobie we własnym zakresie urządzenia rozładunkowe, ale projekty tych urządzeń niech opracuje kolej, by można było z nich korzystać tak jak korzysta się z projektów na domki jednorodzinne czy typowe budynki gospodarcze. Błagałem, by kolej wskazała jednego producenta tych urządzeń, by zapewnić ich konserwację i serwis. Wyjaśniałem, że jeżeli każda branża będzie opracowywała własne projekty, szukała wykonawców w kraju lub za granicą, to uderzy to przede wszystkim w kolej, która będzie musiała uwzględniać nie tylko rodzaj przewożonego towaru i kierunek w jakim jest przewożony, ale i typ urządzeń rozładunkowych na stacji docelowej. Wiadomo przecież, że inne wyobrażenia techniczne mają projektanci przemysłu mleczarskiego, inne cementowego, hutnictwa itd. Każdy będzie projektował właśnie wedle tych własnych wyobrażeń i wykonywał je we własnych lub zaprzyjaźnionych zakładach.

Wiadomo, że najszybszym sposobem wyładunku wszelkich towarów masowych jest wywrotnica, a przy ładunkach sypkich pneumatyczny sposób opróżniania wagonów. Projektanci kolejnictwa zawodowo zżyci z naturą wagonu i przewożonych w nim towarów opracują zapewne lepsze urządzenia rozładunkowe, niż to mogą uczynić projektanci przemysłu mleczarskiego czy paszowego. Dygnitarze ministerstwa komunikacji wzruszali ramionami, twierdząc: „to nie nasza sprawa”.

I mamy teraz tyle typów urządzeń rozładunkowych, ile branż i branżowych biur projektowych w kraju. Oczywiście dążąc z jednej strony do jak najszybszego wykonania rozkazu kolei, a z drugiej jak najszybszego zmechanizowania ludzkołubnych prac rozładunkowych, każdy chwycił się najprostszego rozwiązania: urządzenia dźwigowego zakończonego chwytakiem.

Tylko niewielu możliwych inwestorów, jak na przykład Huta Katowice, poleciało z tym problemem do Francuzów, do firmy, która już raz w Polsce przy budowie Świnoujścia skompromitowała się kompletnie. Za pieniądze, jakie Huta Katowice zapłaciła

Francuzom, można było rozbudować kluczborski FAMAK, jedyne wyspecjalizowane przedsiębiorstwo budowy takich urządzeń. Tylko dzięki krajowym, antyimportowym zamówieniom FAMAK zostałaby jedną z najpotężniejszych fabryk w Europie.

Inni, mniej moi, zakupili podobne urządzenia w Rumunii, w NRD, w Czechosłowacji. Najbiedniejsi wyblągali w Mińsku Mazowieckim jaką bądź suwnicę, aby można było na niej zawiesić chwytnak.

Kolej i kierownictwo resortu Komunikacji, broniąc się przed zagładą taboru rozbijanego przez chwytnaki, wydało nowe zarządzenie, z którego treścią możemy się zapoznać na burcie każdego wagonu: „Rozładunek chwytnakami wzbroniony!”. A w chwytnaki właśnie zaopatrzył się we własnym zakresie przemysł całego kraju.

Skoro nie wolno rozładowywać chwytnakami a nie ma wywrotnic, pozostał tylko haniebny odwrót od nowoczesności ku ręcznej, ludzkiej pracy. Tylko że ludzi do tej pracy nie ma.

Innym zarządzeniem kolei unicestwione zostały efekty mechanizacji prac rozładunkowych. Każdemu kto wie, ile wynosi dwa razy dwa, wyda się logiczne, iż najważniejsze dla transportu jest to, ile tonokilometrów wagon „przerobi” w ciągu roku, a nie ile ton przewiezie w jednorazowym kursie. Kolej wydała zarządzenie, zobowiązujące załadowców do wykorzystania pełnej ładowności wagonów.

Formalnie żądanie w pełni uzasadnione... jeżeli jest się biurokratą i tylko biurokratą. Kto raz w życiu oglądał pracę mechanicznej załadowni, kto raz w życiu spojrzał na jej efekty okiem zdolnym coś dostrzec, z umysłem zdolnym coś pojąć i skojarzyć oraz wyciągnąć wnioski z tego, co widzi, ten by nie tylko anulował to samobójcze zarządzenie, ale nakazał jak najekonomiczniejsze wykorzystywanie czasu potrzebnego na załadunek przez zakłady posiadające sprzęt zmechanizowany.

Setki razy obserwowałem mechaniczne załadowywanie klasyczne, krytej „dwudziestki piątki”, które trwało 15-30 minut, przy mechanicznym załadunku 20-22 ton. Załadunek „sześćdziesiątki”, dzięki możliwości zatrudnienia dwóch załadowarek jednocześnie, prawie tyle samo. Doładowanie ręczne b r a k u j ą c y c h trzech, czterech ton potrzebnych do pełnego obciążenia wagonu trwało dwie, trzy godziny. Obserwowałem prace tych urządzeń w zakładach, gdzie na ośmiogodzinny dzień pracy ładowano dziesiątki wagonów. Skład pociągu podstawiony o godzinie 7-mej rano załadowany był mechanicznie już o godzinie 10-tej. Doładowanie go ręcznie, przy zatrudnieniu całej drugiej zmiany,

przy odstawieniu na bok urządzeń mechanicznych, trwało do godziny 22-giej. Poświęciłem parę godzin swojego życia, by pojechać za tymże składem pociągu i ze stoperem w rękę zmierzyć czas rozładunku. Przeturlanie 60 wagonów na odległość 300 km trwało tylko czternaście godzin. Tak jak się spodziewałem, rozładunek pierwszych dwóch, trzech ton, oczywiście ręczny, trwał 6 godzin, a usunięcie pozostałych 22 ton ładunku, dzięki możliwości wprowadzenia — dopiero wtedy — sprzętu zmechanizowanego... 20 minut!!! Było to wahadło z „zielonym światłem” i premierowskimi prerogatywami pierwszeństwa przejazdu. Obserwując przez trzy doby to „wahadło”, bez posługiwania się komputerem wyliczyłem, że wagony tego składu — nie blokowane obowiązkiem wykorzystania „pełnej ładowności” — przewiozłyby dwa i pół raza więcej towaru w tym samym czasie. Przetrzymywane były wagony, unieruchomiony sprzęt, zatrudnionych było dodatkowo setki ludzi po to, by wykorzystać zaledwie w 35 % rzeczywistą zdolność przewozową tego uprzywilejowanego telefonem premiera wahadła. Do tego dodać trzeba, że obydwie zakłady zapłaciły olbrzymie kary umowne za przetrzymywanie wagonów, kary wydarte im z wartości „produkcji dodanej”. Wydarto im sumy, które mogliby przeznaczyć na doskonalenie i uzupełnienie mechanicznego sprzętu do załadunku i rozładunku wagonów.

Każda DOKP zbiera miliardy złotych tych kar umownych, ale nie przeznacza ich na modernizację swych szlaków czy sprzętu, odprowadza je do centrali.

Obowiązuje inna ogólnokrajowa zasada, która nie obciąża ani moralnie, ani formalnie kolei, a która ją dosłownie dobija. Jest to obowiązujące wszystkie przedsiębiorstwa kraju rozliczenie z... przerebu finansowego.

Tylko niezorientowani w czym rzecz koledzy w Telewizji mogli przywieźć na plac budowy GS w Falenicy szkolną tablicę by obliczyć, że przewożenie koleją elementów budowlanych z dalekiej Łomży kosztowało o 10 milionów drożej niż przywiezienie identycznych elementów z odległych o kilkaset metrów Falenickich Zakładów Wars-Betu. Ściągnęli przed tę nieszczęsną tablicę dyrektora inwestora i wykonawcy, ale nie sprowadzono najważniejszego w tym gronie człowieka — głównego księgowego. Ten by wyliczył, że nie ma żadnych strat, bo nie budując ani jednego metra sześciennego kubatury, nie stuknąwszy palcem o palec, użyskano dzięki temu dziesięć milionów „przerobu”, o tyleż podnosząc „wartość produkcji” przedsiębiorstwa. Ileż trzeba by się nabudować, napracować, by zarobić dziesięć milionów uzyskanych

za darmo, dzięki ofiarności pracowitych kolejarzy. Każdemu przedsiębiorstwu zależy na podrożeniu kosztów transportu, bo dzięki temu, nic nie robiąc, uzyskuje wysoki przerób finansowy. Najtaniej go może uzyskać, wożąc towary na dalekich trasach. Każdy zbędny tonokilometr to czysty zysk dla przedsiębiorstwa.

Ci sami koledzy z Telewizji wzywali przed kamery i przed wielomilionową widownię dyrektorów wielu zakładów, którzy rzekomo przetrzymywali wagony. Nikt też nie zapytał, ile godzin przestojów w produkcji mieli w swoich przedsiębiorstwach, gdy ta sama kolej nie podstawiała im wagonów na czas.

Przed piętnastoma laty wreszcie dostrzeżono zbliżający się kryzys transportowy, a od pięciu lat gospodarczy organizm Polski ostro odczuwa skutki niewydolności krążenia. Nie ma już szczytów, nie ma sprzyjających czy niesprzyjających warunków atmosferycznych dla transportu. Jak rok długi, kolej nie jest zdolna wykonać swoich zadań. Może by i wykonała, gdyby nie konieczność obsługiwania tych przeklętych „klientów”. To oni, ich potrzeby i ich produkcja są przyczyną zatorów transportowych i nieustannych zatargów między koleją a klientem. Nie licząc strat, wywoływanych przestojami fabryk, ta niewydolność krążenia transportu — niezależnie od innych przyczyn — najskuteczniej niweczy wszystkie próby poprawienia czy udoskonalenia systemu zarządzania. Nie można być tym zjawiskiem zaskoczonym! W latach pięćdziesiątych największą kopalnią węgla w Polsce o wydobywaniu 6 milionów ton była kopalnia „Bobrek”. Już wtedy projektowano budowę kopalń o zdolności wydobywczej 10-15, a nawet 20 milionów ton rocznie. Przewidując na rok 1960 przekroczenie 100 milionów ton wydobywania nikt nie miał wątpliwości, że w następnym dwudziestoleciu dojdziemy do 200 milionów ton. Nikt nie przewidywał wtedy kryzysu sueskiego, powstania organizacji OPEC i polityczno-ekonomicznego terrorku producentów ropy.

Każdy, kto montował przed wojną bloki energetyczne o mocy 25, a po wojnie „aż” 50 megawatów, wiedział, że podwajanie produkcji energii elektrycznej co dziesięciolecie jest historyczną koniecznością. Dla każdego było jasne, że wraz ze wzrostem zapotrzebowania na energię musi nastąpić jakościowy i ilościowy wzrost budowanych elektrowni i montowanych w nich urządzeń. W związku z tym elektrownie zużywając po kilkaset tysięcy ton rocznie staną się przeżytkiem, a typową stanie się elektrownia zużywająca 5 do 10 milionów ton węgla rocznie.

Odkrycie siarki, a później miedzi, które mogło być początkowo radosnym zaskoczeniem dla przeciętnego szarego człowieka,

nie powinno zaskoczyć transportowców, którzy już wtedy powinni byli przewidzieć, że zapotrzebowanie na transport podskoczy o dziesiątki milionów ton.

Świat zachłynał się sukcesami zielonej rewolucji w rolnictwie, a my wraz z nim, ale nie trzeba było być prorokiem, żeby przewidzieć, że konieczność przeprowadzenia tej rewolucji dotrze także i do nas. W związku z tym produkcja nawozów sztucznych, która w latach 1929-1937 spadła o połowę, musi się co najmniej ustokrotnie, abyśmy mogli wyżywić siebie i nie wstydzić się przed Europą zbiorów zbóż w granicach 12 kwintali z hektara. Może trudno było przewidzieć w latach pięćdziesiątych, że za lat 25 sam tylko przywóz zboża będzie wyższy niż przywóz wszystkich towarów ogółem w roku 1957, a wywóz z portów polskich będzie trzykrotnie większy niż w roku 1962. Może trudno było przewidzieć, czy nastąpi to w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych czy w drugiej, ale nie ulegało wątpliwości, że nastąpić musi.

ZAKOŃCZENIE

Od 35 lat jestem dziennikarzem — reporterem. Ani jednego dnia nie spędziłem na redaktorskim stołku, unikam kolegialnych nasiadówek i prania mózgów na szkoleniach i instruktażach. Pisałem o tym, co zobaczyłem, usłyszałem, sprawdziłem, o czym mogłem pisać z całą odpowiedzialnością. To poczucie odpowiedzialności powodowało, że raz za razem musiałem wyważać głupio zatrzaśnięte cenzorskie wrota do prawd oczywistych, płacąc za to zakazem druku i zakazem zatrudnienia.

Posiadam pewne doświadczenie i wiedzę o funkcji informacji, roli prasy i strategii propagandy.

Do największych sukcesów tych 35 lat zaliczam pozyskanie zaufania szerokiego kręgu czytelników w różnych rejonach kraju i w różnych środowiskach. Nigdy nie pisałem na rozkaz, wyłącznie dla pieniędzy, czy z chęci przypodobania się władzy. Posłuszeństwo, lojalność jako źródło kariery, oportunizm i konformizm wykończyły zdolniejszych i błyskotliwszych ode mnie dziennikarzy.



Błędem propagandy — rodzącym się ze strategicznego błędu polityki wobec społeczeństwa — jest mylne przekonanie, że jest ono wrogo ustosunkowane do przemian zapoczątkowanych w

roku 1944. Doprowadza to do histerycznych postaw, domagających się nieustającej głośnej aprobaty dla władzy i jej poczynañ. Przez 30 lat w kierownictwie naszej propagandy nie znalazła się grupa, która by rozumiała, że społeczeństwo nie może żyć w stanie nieustającej euforii i rozpalonego entuzjazmu.

Dziecinadą, jeżeli nie wręcz głupotą jest pogląd, że wybijanie na czoło naszych sukcesów, powoływanie się na sukcesy minione mobilizuje społeczeństwo. Powiedzmy sobie szczerze i uczciwie — te sukcesy są wynikiem pracy i działalności społeczeństwa, a nie żadnym cudem czy nadzwyczajnością. Przypisywanie sobie ich autorstwa i wyłączność zasług nie mobilizuje społeczeństwa.



Nie można stale chwalić kolejarzy za przekraczanie planów i wykonywanie przewozów z nadwyżką, gdy każdy na własnej skórze odczuwa przewozowe zaległości kolei. Rolnikom, którzy od 30 lat przekupstwem, kręactwem czy wręcz złodziejstwem zdobywają każdy kęsek węgla nie można codziennie pokazywać górników, którzy wydobyli ileś tam dodatkowych ton węgla. Ludziom, którzy od pięciu lat stoją w coraz bardziej wydłużających się kolejkach po mięso nie można stale prezentować poszczególnych bohaterkich rolników hodujących ponadplanowe wieprze.



Ludzie rozsądnie zadają pytania, co się dzieje z tym węglem, gdzie podziewa się mięso, dokąd tyle wozimy skoro kolejarze i portowcy stale przekraczają plany przewozów i przeładunków. Lista towarów, których braku nikt dotychczas nie odczuwał, wydłuża się. Nie ma extra-mocnych, brakuje zapalek, w aptekach nie ma prostych lekarstw, nie ma waty, kupno gazety staje się problemem. Nikt tego nie próbuje rozsądnie wyjaśnić, a milczenie rodzi niepokój, podejrzliwość.

Czy nikt nie odczuł jakim fatalnym, do dziś nie zapomnianym błędem była argumentacja publicysty *Polityki*, że brakowi mięsa w sklepach winni są emeryci, bo właśnie w tym czasie podwyższono im renty? Za taką argumentację w naszej propagandzie dostaje się awans z reportera na zastępcę naczelnego redaktora.



W poszukiwaniu sukcesu za wszelką cenę inspirowaną przez

kierownictwo polityczne propaganda sięga do kłamstw ewidentnych. W prasie uruchamia się zakłady i „daje produkcję”, których budowa jest zaawansowana w zaledwie 30-40 %.

Równo rok temu Telewizja Polska w swoim Dzienniku „rozpoczęła” budowę elektrowni Turoszów II, gdy w rzeczywistości nie wbito nawet kołka w ziemię w miejscu, gdzie ta elektrownia ma stanąć. Z codziennego dziennikarskiego doświadczenia na każdym kilometrze swoich wielodniowych podróży reporterskich stykam się już nie z przekłamaniami, ale oszustwami naszej propagandy. Czy żaden z decydentów nie może zrozumieć, że stabilizacja i pewność jutra rodzą zaufanie do władzy i jej rozsądku? Czy nikt nie poinformował tych decydentów, jak wszystkie „czyny”, „zobowiązania” i „przyspieszenia” są ośmieszane w społeczeństwie, jak irytują, i czy nikt z nich nie dostrzega „śmieszności” w tym, że szpital zostanie zbudowany z okazji „1 Maja”, „22 Lipca”, rocznicy urodzin czy jubileuszu władzy? Czy to oznacza, że gdyby nie ta „święteczna” okazja, szpitala by nie zbudowano? Przeważnie zobowiązania obejmują zakres robót, które i tak należą do normalnych obowiązków tych przedsiębiorstw i ich załóg.

Władza, która sens swego istnienia widzi tylko w nieustających potwierdzeniach poparcia dla siebie i swej polityki, każdą krytykę, ba, każdy postulat traktuje jako wrogie wystąpienie. Personalna krytyka lokalnego kacyka, nie mówiąc o tych wyżej, traktowana jest jako zamach na podstawy ustroju.

Żenujące jest to stałe namawianie ludzi do aktywnego „włączania” się w życie i politykę fabryki, miasta, gminy, w to „zaangażowanie” wtedy, kiedy monopol na określanie, co jest słuszne, a co słusznym nie jest scentralizowano w jakimś niewiadomym społeczeństwu „czarnym gabinecie”. Nic też dziwnego, że na ostatnich posiedzeniach KSR, które już nic do powiedzenia nie mają, prawie wszystkie wystąpienia były uzgodnione i odczytywane z kartki. Oczywiście we wszystkich wystąpieniach podkreślano poparcie i realizację uchwał VI i VII Plenum i uchwał VI i VII Zjazdu, zapominając, że gdyby ktoś chciał dziś zacytować *in extenso* te uchwały, byłoby to najbardziej wrogie wystąpienie. Przytaczanie uchwał sprzed kilku ostatnich lat jest drugoczącą krytyką obecnego stanu naszego kraju.

Kto dziś pamięta o takiej sprawie jak „konsultacje”?!!

Propaganda, która zrezygnowała z zaspokajania społecznego popytu na rzetelną informację, która nastawiła się tylko na wypełnianie rozkazów władzy, nigdy nie zatrzyma się na granicy jakiegoś rozsądku i doprowadza władzę do kroków samobójczych.

W czerwcu 1977 roku w hali sportowej Katowic w obecności kilku tysięcy górników towarzysz Gierek uroczyście oznajmił, że górnictwo polskie po raz pierwszy osiągnęło wydobyć w wysokości 100 mln. ton w pierwszym półroczu i do końca tegoż 1977 roku przekroczy wydobyć dwustu milionów ton. Słuchała i oglądała to zenujące widowisko cała Polska, gdyż ta uroczysta akademia była wielokrotnie powielana w Telewizji i Kronice Filmowej. Jak można było dopuścić do tak strategicznego błędu, skoro już kilka miesięcy później mówiono jako o sukcesie — o wydobyciu w granicach 180 milionów ton... po roku 1980!

Każda nowa uchwała rządu czy to w sprawie zakupu licencji Berlieta, czy traktora Fergusson, budowy szybkiej linii kolejowej Katowice-Warszawa czy Trasy Toruńskiej jest przez propagandę rozdymana do nieprzytomnych rozmiarów. Z reguły, ale to naprawdę z reguły, w kilka miesięcy później — a w wypadku Fergussona natychmiast — „zapis” cenzury, i oto Jelcz, który miał osiągnąć pełną zdolność produkcyjną w 1976 roku, linia kolejowa z Katowic, której zakończeniem miał być Dworzec Centralny i Trasa Toruńska zapowiedziana na Olimpiadę w Moskwie znikają z łam pras, zapadają się w nicość. To ma mobilizować społeczeństwo? To ma wzbudzać zaufanie do władzy?

W cenzurze istnieje wiele zapisów obejmujących nie tylko poszczególne tematy, ale całe grupy tematyczne. Jest to może skuteczny sposób na dezinformację społeczeństwa, ale absolutnie nieskuteczny przy próbach zahamowania dopływu informacji do społecznej świadomości. W pierwszej połowie lutego *Trybuna Ludu* podała, że w roku 1979 energetyka uzyska ponad 1.300 megawatów, co ma być absolutnym rekordem w rocznym przyroście energii w historii energetyki polskiej. Za dużo ludzi pracuje w energetyce, za dużo jest od niej uzależnionych, by społeczeństwo nie знаło prawdy o tym rzekomym rekordzie.

A prawda wygląda tak: 1970 r. — 1.050 megawatów; 1972 r. — 1.261; 1973 r. — 1.655, i to jest ten absolutny rekord; 1974 r. — 1.368; 1976 r. — 475, Waterloo polskiej gospodarki; 1977 r. — 1.260 megawatów.

Na rok 1979 planowo przyrost ok. 2.300 megawatów, co i tak nie wyrównało klęski z lat 1976-1977. Zapowiedziany rekord na rok 1979 oznacza, że w roku 1980 trzeba będzie wyłączyć z produkcji 1/3 potencjału polskiego przemysłu.

Zajmujemy trzecie miejsce w Europie w wydobyciu surowców energetycznych, a szóste w wytwarzaniu energii elektrycznej. To szóste miejsce jest wielce mylące, gdyż w produkcji na

głowę ludności zajmujemy miejsce 14, dwa miejsca za Bułgarią. Zważywszy, że Polska ma przemysł wybitnie energochłonny, aluminium, miedź, karbid, w zaopatrzeniu ludności jesteśmy na jeszcze dalszym miejscu. W związku z tym decyzja eksportu węgla Zagłębia Lubelskiego i rezygnacja z budowy elektrowni pod Gdańskiem jeszcze bardziej pogłębią dysproporcję między miejscem, jakie zajmujemy wśród producentów surowców energetycznych a korzyściami, jakie czerpiemy z tego faktu.

Decyzje w sprawie Połanica i Górnej Odry spowodowały cofnięcie zamówienia dla Elbląga. Skok do super czołówki państw budujących urządzenia energetyczne wielkiej mocy został przed startem spalony. W roku 1976 z blokiem 360 megawatów, a w 1980 720 megawatów byłibyśmy drugim, najwyżej trzecim mocarstwem budującym takie turbiny na świecie.

Czy rozpiera mnie „mocarstwowość”? Nie! Opieram się na prostym rachunku. Jesteśmy w Europie największym producentem węgla i mamy wszelkie dane (Zagłębie Lubelskie), aby tę pozycję umacniać. Musimy do tej skali dostosować nasz przemysł urządzeń energetycznych i same elektrownie.

Decyzje Cartera o przechodzeniu Stanów Zjednoczonych z energetyki petro na energetykę carbo pociągną energetykę światową w tym kierunku.

Technicznie i projektowo byliśmy w stanie budować te turbiny już od roku 1975. Skoro nie w Połancu, to trzeba było instalować je w Rybniku w okresie letnim. Z blokiem 720 megawatów byłibyśmy gotowi na Bełchatów.

To błąd nie w skali strategii, a w skali koncepcji rozwoju kraju. Błąd, za który dopiero przyjdzie nam płacić po roku 1980 i jeszcze po 1990.

A 2.000 megawatów to jak na nasze, nawet te dziś tak mocno ściśnięte możliwości, nie tak dużo, to jeszcze można nadrobić. Niestety, decyzjami ostatnich tygodni przekreślono i te możliwości.

Połaniec i Górna Odra będą ostatnimi budowanymi na czarny węgiel elektrowniami w Polsce. Elektrowni na mazut budować się nie będzie, nasz mazut przeznacza się na eksport! I to wtedy, kiedy przy stałym wzroście światowych cen ropy i węgla mazut właśnie tanieje. Będą rozbudowywane tylko elektrownie na węgiel brunatny.

Tak, ale kiedy Bełchatów osiągnie pełną moc, to naszej gospodarce już bez dynamiki wzrostu zabraknie nie 2 a 4 tys. megawatów, a w szczycie nie 9 a 18 tys. megawatów. Regulacja

Wisły, tama w Czorsztynie, podjęcie prac nad elektrownią wodną w Młotach, przerwanych w 1976 roku — tego braku nie wyrówna.

A Zagłębie Lubelskie?

Niezależnie od propagandowych fanfar każdy wie, że budowa całkowicie nowego zagłębia, jedyne przedsięwzięcie tego rodzaju w Europie w całym XX wieku, jest sprawą ważną, nie bez poważnego wpływu na całość naszej gospodarki.

Cały węgiel z Lubelskiego Zagłębia przeznaczony jest na eksport do ZSRR, a to, co pozostanie, rozbiorą pobliskie Geesy!!!

Kto mnie zna osobiście, kto zna moje poglądy, ten wie, że zawsze byłem rzecznikiem rozszerzania wymiany handlowej z ZSRR. Uważam, że wymiana handlowa z potężnym partnerem jest zawsze korzystniejsza niż „wspaniałe” kontrakty z różnymi Królami Królów, Zbawcami Ojczyzny i Prezydentami, których wysadza z fotela pierwszy lepszy sierżant z ich własnej osobistej ochrony.

O kontakty z ZSRR zabiega Ameryka, Japonia, RFN, Francja, Węgry. Tylko nasza kabotyńska propaganda każdą dostawę ze Związku Radzieckiego nazywa „darem”, nic więc dziwnego, że społeczeństwo polskie dostawę nazywa „wywożeniem do Rosji”. Nigdy nam nie pozwolono napisać chociażby częściowej prawdy o rzeczywistych korzyściach wymiany z ZSRR.

Eksport jest wtedy i tylko wtedy korzystny, jeżeli część produkcji zostaje jednak w kraju na pokrycie jego potrzeb. Budowa Zagłębia i całej towarzyszącej mu infrastruktury, utrzymanie go w ruchu po to, by eksportować całe wydobycie, jest ekonomicznym nonsensem. Nie ponosi się tak szalonych kosztów po to, by zaspokajać potrzeby sąsiadów. Dla „zabezpieczenia” węgla dla miejscowych punktów Gminnej Spółdzielczości nowego zagłębia też się nie buduje.

Piszę o tym tak szeroko, bo każdy kryzys polityczny na czoło absorbujących społeczeństwo problemów wysuwa stosunki i powiązania handlowe z ZSRR. Problem ten jest szczególnie zapalny i drażliwy. Trudno jest rewidować politykę handlu zagranicznego w huku gąsienic czołgowych, wśród świstu pocisków kierowanych w robotników, na przedprożu wojny bratobójczej. A już musieliśmy dokonywać podobnych rewizji w tych warunkach.

Nasz deficyt energetyczny mają wyrównać dopiero elektrownie... a t o m o w e!!! Takie są decyzje, których się nie komunikuje nawet w ramach wąskiej konsultacji. Decyzje powzięte wtedy, kiedy Anglia, Francja, Japonia, Szwecja a także USA

odłożyły energetykę atomową... na później. Im coś z nią nie wyszło. Polak potrafi? Może...



Faktem bezspornym i już historycznym jest, że ciężka zima 1955/1956 i wielkie opady śnieżne pod koniec zimy 1970 przyspieszyły ówczesne kryzysy polityczne. Zimą ciężkie warunki były egzaminem dla systemu zarządzania i system tego egzaminu nie zdał, a model się rozpadł.

Niewydolność i bezwład obecnego systemu zarządzania był widoczny na co najmniej trzy lata przed rzeczywiście ciężką tegoroczną zimą.

Ciężką, ale jeszcze nie katastrofalną.

W szczerych z reporterem dyskusjach już od 1976 roku odpowiedzialni za gospodarkę rozmówcy przewidywali, że normalna zima będzie katastrofą tego systemu. W roku minionym załamywanie się zaopatrzenia, niewydolność transportu, pękanie powiązań kooperacyjnych, wyłączanie energii były widomymi oznakami kryzysu. Wszystkim wiadomo było, że gospodarka nasza, wyżyłowana szukaniem rezerw, doprowadzona do stanu śmiertelnej anemii nie przetrzyma nawet kolejnej łagodnej zimy. Niepokój ogarniał coraz szersze kręgi społeczeństwa, nawet kręgi dyspozycyjne władzy. Pytanie — co będzie dalej? — zadawali wszyscy wszystkim. Nikt nie znał odpowiedzi.

Przez cały rok 1978 w każdym zapowiedzianym oficjalnym wystąpieniu oczekiwano prawdy o stanie państwa i jakichś, chociażby mglistych, perspektyw wydzwignięcia się z tej przepaści. Znajdowano tylko słowa coraz bardziej miałkie, obietnice nie-realne i stale zwiększającą się dawkę wspomnień o dawnych osiągnięciach i sukcesach. Wspomnieniami nie można porwać społeczeństwa. Przeciwnie — można wywołać niezamierzone skojarzenia. Zapowiedź regulacji Wisły przypomniła całemu średniemu pokoleniu uchwały plenum, sejmu i rządu z roku 1952, kiedy to w kraju znajdującym się na dnie przepaści gospodarczej, w ramach stalinowskich „przeobrażeń” przyrody podjęto już raz decyzję... regulacji Wisły. Na amnezję mogą zapadać porażone chorobą umysłową jednostki, ale nigdy nie całe narody.

Wierna to rzeka, do której nie uregulowanego nurtu bezkarne można zwać marzenia i pragnienia wielu pokoleń Polaków.



Bardzo źle się dzieje, jeżeli władza nie przestrzega norm i praw przez siebie ustanowionych, ale kiedy nakazuje podległym sobie ogniowom obchodzenie tych norm — to jest to już katastrofą.

W roku 1976 uchwałą rządu zmniejszono o 54 % normatywy zapasów węgla w energetyce w stosunku do ustaleń KERM-u z 1968 roku. Te zanizone do niebezpiecznych granic zapasy skurczyły się pod koniec grudnia 1978 roku do 10-20 % przewidzianej nową uchwałą ilości. To nie sylwestrowe mrozy i śniegi, to lekkomyślne odejście od norm przez siebie ustalonych doprowadziło do katastrofy. Lekkomysłność czy już zbrodnia?

W Noc Sylwestrową zagrożone było nie światło i ciepło w naszych mieszkaniach, ale cały system energetyczny. Ktoś na jedną kartę postawił już nie dorobek, ale osiągnięcia cywilizacyjne naszego narodu.

Zatrzymywanie zakładów z powodu braku gazu, prądu czy wstrzymanie dowozu surowców przyjmowane jest przez załogi jako zagrożenie warsztatu ich pracy. Społeczeństwo nie jest głupie, zdaje sobie sprawę, że wypłaty godzin i dni „postojowych”, to rozszarpanie „krótkiej kołdry” na strzępy. Pięćsetkami i tysiącami przy okienku kasowym można zatykać gęby tylko przez krótki czas. Tym bardziej, że na te „za nic” wypłacone „brudasy” nie mamy pokrycia na rynku.

Naprawdę bohaterską walkę ze śniegiem i przeciwnościami „atmosferycznymi” podjęliśmy wszyscy brnąć do pracy przez zaspę niesprzątanego śniegu, gdy „wysiadła” wszelka komunikacja. W tej sytuacji jedynym skwitowaniem tego faktu, jedyną dyrektywą władzy dla propagandy był zakaz pisania o zimie w prasie, mówienia i pokazywania jej w radiu i telewizji. Problem „zima” był tematem wszystkich prywatnych rozmów, treścią urzędowych pism, teleksów i telefonogramów. Każdego z nas z osobna zima stawiała przed fizycznym ciężkim egzaminem. Została przemilczana! To już nie błąd propagandy, to już wielki błąd polityczny, który niezadowolenie, niepokój społeczny zamienia we wrogość. Poszczególni robotnicy, całe załogi w momencie, kiedy zagrożony jest ich warsztat pracy przyjmują zupełnie inną podstawę. Dowiódł tego rok 1956, 1970 i... 1979.

Brak uczciwej informacji rodzi plotki, famy, pogłoski. Zjawiska te, nie kontrolowane żadnymi rozsądnymi przesłankami, przybierają zawsze nieobliczalne i krańcowe rozmiary. Wiadomość o znalezieniu 4-ch trupów w zaspach śniegu w Warszawie już jutro może przybrać rozmiary stosu trupów. A milczenie

środków masowego przekazu na ten temat, brak komunikatu będzie ten stos tylko mnożył i powiększał.

Nie bądźmy zaskoczeni, gdy w chwilach krytycznych padną znów oskarżycielskie i groźne słowa „Prasa kłamie!”. Każdy ma osobiste doświadczenie w tym względzie, że skłamać jest bardzo łatwo, ale odkręcić, sprostować raz wypowiedzianego kłamstwa często już niepodobna.

Nie można poprawiać struktury zarządzania, wzywać do ofiarności czy chociażby cierpliwości nie mając samemu chociaż minimalnego zaufania do społeczeństwa i nie ciesząc się w tym społeczeństwie podobnym zaufaniem.



Sądzę, że mam pełne prawo formułować takie opinie — bez obawy przed represjami za krytykę skierowaną przeciwko władzy. Dziś z perspektywy już historycznej wystarczy przestudiować prasę lat 1955-1957, 1968-1970, by dostrzec, że to dziennikarze z prawdziwego zdarzenia alarmowali rządzącą ekipę przed nadciągającym kolejnym kryzysem. Widząc, że ekipa źle informowana przez stworzony przez siebie aparat dąży do samozagłady, dopóki było można, mimo represji i szykan, ostrzegali ją przed ostatecznym samobójczym krokiem. Z perspektywy historycznej widać wyraźnie, że dyktowane to było szczerą troską nie tylko o losy narodu, ale także o losy tej ekipy.

Przeżyłem i towarzyszyłem jako dziennikarz pięciu wielkim wstrząsom politycznym, jakimi były wrzesień 1948, październik 1956, marzec i inwazja Czechosłowacji 1968, grudzień 1970, czerwiec 1976. Jestem absolutnie przekonany, i to nie na podstawie wróżenia z fusów, że jesteśmy u progu kolejnego, najpoważniejszego, bo strukturalnego wstrząsu. Utracie zaufania do obecnej ekipy, która osiągnęła już krańcowo niski punkt, towarzyszy utrata wiary, by jakakolwiek zmiana mogła coś istotnie poprawić i pokierować losami narodu w pożądanym przez niego kierunku.

Te gorzkie słowa dyktuje mi nie jakiś duch opozycji czy krytyka z wrogich pozycji. Proszę przeczytać każde opracowanie historyczne o Gwardii i Armii Ludowej, a znajdziecie tam moje nazwisko. Proszę sięgnąć do wszystkich antologii reportażu czy noweli polskiej ostatnich lat trzydziestu, a znajdziecie tam moje prace.

Józef KUŚMIEREK

ROBOTNICY NABRALI ODWAGI...

Wywiad gazety *Rote Fahne* z Kolonii z gdańskim stoczniewcem, Bogdanem BORUSEWICZEM, członkiem KOR-u i redakcji gazety *Robotnik*, ukazującej się poza zasięgiem cenzury (Nr 37 z dn. 13. 9. 1979).

Rote Fahne: — Co charakteryzuje obecną sytuację gospodarczą Polski i jaki wpływ wywiera ona na warunki życiowe robotników i ludzi pracy?

Bogdan Borusewicz: — Gospodarka nasza znajduje się w podobnym punkcie zwrotnym co w 1975, kiedy koniunktura spadła najniżej. A wzrost ekonomiczny nadal spada. Katastrofalna jest przede wszystkim sytuacja w energetyce, transporcie, rolnictwie i budownictwie — zwłaszcza mieszkaniowym. W wielu resortach nie wykonano planów; statystyka oficjalna często przemilcza prawdziwy stan rzeczy.

Skutki tej trudnej sytuacji gospodarczej odczuć można codziennie, i tak np. wydajność w produkcji i gospodarce jest bardzo niska. Zadłużenie zagranicą osiągnęło niebywałe rozmiary, w tym roku wynosi już 15 miliardów dolarów. W 1979 roku musieliśmy spłacić nie mniej niż 4,1 miliardów dolarów tytułem rat i procentów, co odpowiada mniej więcej połowie polskiego eksportu na Zachód. System planowania i koordynacji w praktyce przestał już funkcjonować. W polityce gospodarczej decydują biurokracja i ignorancja. Jedna trzecia mocy produkcyjnych jest nie wykorzystana.

Obecny kryzys jest typowy dla naszego ustroju. Weźmy na przykład rolnictwo. Początkowo partia niszczyła gospodarstwa

indywidualne, ale prawdziwej kolektywizacji nie przeprowadziła. Dzisiaj prywatni chłopci nadal, jak i przedtem, dźwigają główny ciężar wyżywienia kraju, lecz warunki ich pracy dalej się pogarszają, na przykład wskutek braku maszyn rolniczych. Partia nie ma długoterminowego programu rozwoju rolnictwa.

Albo sprawa inwestycji. Inwestowano głównie w przemysł ciężki, zaniedbując jednocześnie mocno przemysł lekki i infrastrukturę (gospodarkę energetyczną, transport itd.).

Właśnie kredyty z Zachodu wykorzystano na błędne inwestycje. Skutkiem tego są duże sprzeczności w gospodarce, napięcia na rynku, podwyżki cen na towary w handlu detalicznym, na żywność. Inflacja rośnie. Tak było w 1965, 1970, 1976 — powtarzają się te same problemy, partia je zna, ale w tym ustroju nie ma dla nich rozwiązania.

Jakie są tego skutki dla poziomu życia? Już w ostatnim roku realne dochody spadły od 2 % do 3 % i spadają nadal. Liczne rodziny najniżej opłacanej części klasy robotniczej popadają w biedę.

Istnieją dwa rodzaje sklepów, np. żywnościowych: normalne i komercyjne. W tych ostatnich np. ceny mięsa są o 70 % wyższe; kiedy się tam stanie w ogonku, można w niektóre dni coś kupić, podczas kiedy w normalnych sklepach tego rodzaju towary nabyć jest niesłychanie trudno.

Większość ludzi w Polsce nie może ze swych dochodów kupować regularnie w sklepach komercyjnych, kupują tam tylko przy pewnych okazjach jak odwiedziny, święta itp.

Według oficjalnych danych dochody w Polsce mieszczą się w granicach od 1.500 do 16.000 złotych, widać więc jasno olbrzymie różnice. Ja np. znam pewnego człowieka, który pracuje w biurze, ma 30 lat, jest żonaty, ma troje dzieci i zarabia 3.700 złotych miesięcznie. Ale że na normalne życie z odpowiednim mieszkaniem, ubraniem itd. taka rodzina potrzebuje 7-8 tys. zł., człowiek ten musi dodatkowo zarabiać, pracuje przeważnie po 11-12 godzin dziennie. Można się na to zdobyć, tylko rodziny się już wtedy nie widuje.

R. F.: — A ile zarabia wykwalifikowany robotnik, np. w stoczni?

B. B.: — Bardzo różnie: od 3 do 10 tys. złotych. Aby więc utrzymać się na wymienionym poziomie, wielu robotników musi brać nadgodziny, nieraz do 4 godzin dziennie. To odbywa się już nie tylko kosztem rodziny, ale nade wszystko kosztem zdrowia.

R. F.: — A jak odbija się kryzys gospodarczy na warunkach pracy? Czy bywają np. zwolnienia czy też zwiększa się tempo pracy w zakładach?

B. B.: — Próbuje się np. przez podwyższanie norm wycisnąć więcej z robotników. Skrajnym tego przykładem są kopalnie węgla. Tam czas pracy jest bardzo długi a poza tym ludzie muszą tam często pracować w soboty, niedziele, święta. Finansowo zorganizowane jest to w ten sposób, że tylko połowa zarobku jest stała, a pozostała część wypłacana jest według wydajności. Na ogół wypłaca się 15 pensji. Ale dostać je można tylko, jeśli się nie było ani przez jeden dzień w roku chorym, ani też — nawet krótko, choćby z powodu zgonu kogoś z rodziny — nieobecny. Jeśli ktoś chorował dłużej niż 6 dni w roku, nie otrzymuje już czternastej pensji. „Trzynastka” zaś zależy od odpowiedniego wypełnienia planu. Częścią planu jest np. obowiązek pracy w niektóre niedziele; w tym roku było takich niedziel już sześć!

A jak reagują robotnicy na takie sprawy jak podwyższanie norm? W większych zakładach pracy partia bywa bardzo ostrożna w tym względzie: często wycofywano podobne propozycje na pewien czas, obawiając się oporu ze strony robotników. Potem usiłowano w pośredni sposób uzyskać jednak większą wydajność. I tak na przykład wiele zakładów pracuje u nas na akord: usiłuje się wówczas, przez zmianę formy płacy, obniżyć zarobki w stosunku do wydajności. Oczywiście łatwiej dokonywać takich manipulacji w małych i średnich zakładach.

Często dochodzi do konfliktów z powodu stałego braku niektórych materiałów produkcyjnych; kooperacja nie dopisuje. Z jednej strony robotnicy muszą niesłuchanie punktualnie przychodzić do pracy a z drugiej strony zdarza się, że nie ma nic do roboty. Jeśli jednak nie wykonają planu, nie otrzymają dodatkowych wypłat miesięcznych. To było już często przyczyną strajków.

R. F.: — Ponieważ oficjalne związki zawodowe od dawna już nie reprezentują interesów robotników, powstały dwie inicjatywy utworzenia wolnych związków zawodowych: jedna tu, na Wybrzeżu, w Gdańsku, a druga na Górnym Śląsku w Katowicach i Gliwicach. Jakie stawiają one sobie zadania w obecnej sytuacji?

B. B.: — Chciałbym mówić tylko o inicjatywie w Gdańsku, bo o grupie katowickiej mam za mało aktualnych informacji. To,

co istnieje tutaj, nie jest jeszcze bynajmniej związkiem, związek taki ma dopiero powstać z pracy pewnej grupy ludzi: należy stworzyć inicjatywę, propagować konieczność takiego związku. Nie jesteśmy jeszcze w stanie podjąć zorganizowanego działania w każdej dziedzinie.

Oczywiście sama inicjatywa wpływa już także na świadomość robotników. Nabierają odwagi, chcą działać. Obecnie związek uważa sprawę godzin nadliczbowych za najważniejszy problem, ponieważ jest to główny sposób przerzucania ciężaru kryzysu na barki robotników.

Co jeszcze robimy? Podajemy do publicznej wiadomości fakty, na przykład podwyższanie norm, planowane godziny nadliczbowe. Informujemy o tym, gdzie robotnicy odrzucili podwyżkę norm. W pewnych sytuacjach proponujemy również strajk jako środek walki.

W jaki sposób działamy? Przy pomocy ulotek, wydajemy też *Robotnika Wybrzeża* i *Robotnika*.

R. F.: — Jakie tematy porusza się w *Robotniku*? Kto tam zabiera głos? Jaki zasięg ma ta gazeta i jaki budzi odzew?

B. B.: — Artykuły są krótkie, nie teoretyczne, mają przede wszystkim charakter informacyjny. Można ją przeczytać w ciągu przerwy śniadaniowej. Nakład mieści się w granicach 10 do 15 tys. egzemplarzy, obecnie gazeta ukazuje się co trzy tygodnie. Redakcja *Robotnika* jest raczej niewielka, zaledwie parę osób, które wszystkie pracują zawodowo, a więc teksty pisać muszą poza godzinami pracy.

Tematyka gospodarcza góruje w tych tekstach nad polityczną, poruszane są też problemy społeczne — mimo to jest *Robotnik* oczywiście opozycyjny.

Pewne tematy omawiane są w całej serii artykułów, np. kwestia braku pewnych artykułów spożywczych, jak mięso. Albo pewne problemy gospodarcze. Od czasu do czasu zamieszczamy też artykuły na takie tematy jak rola Kościoła u nas, wizyta papieża, dziesięciolecie Wiosny Praskiej, demokracja i niezawisłość narodowa, historia polskiego ruchu robotniczego.

Liczba osób, które tę gazetę czytają przewyższa znacznie jej nakład: pojedyncze egzemplarze kursują i bywają czytane przez pięć albo i więcej osób.

Jej wpływ? Robotnicy są lepiej poinformowani. Gazeta, początkowo uważana za nielegalną i niebezpieczną, jest już obecnie uważana za potrzebną i oczywistą. *Robotnik* jest szeroko

rozpowszechniany w Warszawie, Gdańsku, Łodzi, Szczecinie, Katowicach, Krakowie, Nowej Hucie, Toruniu, Radomiu, Poznaniu, Gliwicach, Wrocławiu i Grudziądzu. Zaczynają się tam o niego dopytywać, gdy nie pojawia się regularnie. W zakładach, w których stale się rozpowszechnia *Robotnika* robotnicy mają więcej odwagi, są bardziej świadomi, bronią się przed nadmierną ilością godzin nadliczbowych. W drodze do domu otwierają czytając tę gazetę w pociągu. Robotnicy zwracają się z informacjami o swoim zakładzie do gazety, niektórzy wpłacają często po sto lub więcej złotych. *Robotnika* traktuje się serio.

R. F.: — W grudniu ubiegłego roku odbyła się tu w Gdańsku manifestacja ku czci powstania z 1970 roku. Jak ona konkretnie przebiegała?

B. B.: — Opozycja w Polsce nieczęsto podejmuje takie akcje jak publiczne uliczne manifestacje. Są one typowe dla Zachodu. Grudzień 1970 ma szczególne znaczenie tu, na północy kraju. Niemal wszyscy byli w to jakoś zaangażowani, obojętnie po jakiej stali stronie. Oficjalnie nader szybko zapomniano o Grudniu i zasadniczym celem manifestacji w 1978 roku było właśnie przypomnienie roku 1970.

Osobiście nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego w ciągu paru lat które upłynęły od 1970 roku ludzie, którzy wówczas aktywnie uczestniczyli w strajkach nie próbowali w ową rocznicę czegoś zorganizować. 1 maja 1971 roku robotnicy nieśli co prawda transparenty z hasłami „Żądamy ukarania winnych mordstw z grudnia 1970 roku”. Poza tym powstała inicjatywa wmurowania tablicy pamiątkowej. Ale policja zdołała temu zapobiec, a z czasem tego rodzaju inicjatywy jeły zamierać. Mówiono też wówczas, że przedstawiciele gdańskiej organizacji partyjnej złożyli kwiaty na grobach zastrzelonych w 1970 roku; ale w 1972 roku i tego już nie było. Cała ta sprawa była zresztą dość skomplikowana, bo z jednej strony był to z pewnością przejaw dobrej woli, z drugiej jednak strony chodziło o ludzi, którzy byli współodpowiedzialni za postępowanie policji w 1970 roku.

To że nie było dalszych manifestacji po 1970 roku wynikało z pewnością z braku jakiejkolwiek zorganizowanej grupy, która mogłaby coś takiego zrobić. A dla pojedynczych ludzi podjęcie takiej inicjatywy było zbyt trudne.

W ciągu ostatnich lat były w sumie trzy takie akcje. 1 maja 1977 złożony został wieniec przy bramie stoczni, przy której się to wówczas, w 1970, zaczęło. Była to jednak niedziela i na stoczni było raczej mało ludzi, no i wieniec wkrótce zabrano.

Druga akcja odbyła się 16 grudnia 1977 roku, wtedy zebrało się z 800 do 1.000 osób. Przedtem rozklejono w stoczni obwieszczenia. Policja nie odważyła się atakować; wśród zebranych było jednak sporo tajniaków: obecnych filmowano i fotografovano, a mnie, kiedy chciałem robić zdjęcia, odebrano aparat.

Trzecia akcja miała miejsce 18 grudnia 1978 roku. Właściwa rocznica przypada 16-go, bo w tym dniu policja zastrzeliła robotników przy bramie stoczni. Ale ponieważ na ten dzień dano wolne, manifestacja odbyła się 18 grudnia. Ludzi przyszło dużo, w sumie koło 4 do 5 tysięcy. Policja usiłowała przedtem wszelkimi sposobami zapobiec manifestacji. Zatrzymano na 48 godzin łącznie 16 osób, które podejrzewano o możliwość zorganizowania takiej akcji; przeprowadzono 21 rewizji. Potem, w sam dzień manifestacji, kontrolowano w promieniu kilometra od miejsca uroczystości wszystkie samochody nie przepuszczając nikogo, kto mógłby mieć z nią coś wspólnego. Ja zdołałem się jeszcze wcześniej ukryć.

Ale właśnie wskutek tych akcji policyjnych wiedziało o tym całe miasto, a poza tym rozklejono jeszcze na mieście kilka tysięcy obwieszczeń.

Właśnie robotnicy ze stoczni wzięli udział w manifestacji. Najpierw przemawiał jeden z robotników, Kazimierz Szołoch, który był także w 1970 w Komitecie strajkowym. Szołoch mówił o podwyżkach cen i o sklepach komercyjnych, w których po znacznie podwyższonych cenach można znaleźć towary, jakich w normalnych sklepach nie ma. Ja mówiłem o tym, dlaczego w żadnym wypadku nie wolno o tej rocznicy zapomnieć. A poza tym powiedziałem, że utworzony został komitet dla założenia wolnych związków zawodowych i że robotnicy powinni się organizować i dlaczego.

Ludzie, zebrani na manifestacji, słuchali bardzo uważnie, również i dlatego, że takie rzeczy zdarzają się bardzo rzadko; zachowywali się w sposób bardzo zdyscyplinowany. Na przykład gdy z pewnego budynku stoczni policjanci filmowali, kilku ludzi początkowo rzuciło tam kamieniami, ale kiedy powiedzieliśmy, żeby tego lepiej zaprzestać, natychmiast przestali.

Osiemnasty grudnia był dla opozycji i dla mnie dniem bardzo ważnym: osobiście nie spodziewałem się, że tak wiele osób weźmie udział w manifestacji. Zebrani śpiewali bardzo różne pieśni; najpierw była minuta milczenia, potem odśpiewano Międzynarodówkę, potem pieśń patriotyczną z XIX-go wieku, a w końcu także polski hymn narodowy.

R. F.: — A jak będzie wyglądał 16 grudzień 1979?

B. B.: — Z pewnością zorganizowane zostanie coś podobnego jak w zeszłym roku. Urzędy i partia mają dwie możliwości: albo będą się zachowywać tak, jak w ubiegłym roku, albo oficjalnie uznają ten dzień i złożą wieniec. Sytuacja jest dla nich niekorzystna, ponieważ dochodzi do konfrontacji z robotnikami.

W grudniu 1978 nasz wojewoda wydał prawne zarządzenie, że wszyscy, którzy organizują nielegalne zebrania albo hamują ruch uliczny mogą zostać z miejsca aresztowani na okres trzech miesięcy. Zarządzenie to obowiązywało od 13 grudnia do 1 stycznia, nie zostało jednak nigdy wprowadzone w czyn. Świadczy to o tym, że partia i urzędy nie kierują się zdecydowaną polityką i nie mają jasnego zdania, jak się względem takich akcji zachować.

R. F.: — Zajęliście w *Robotniku* również stanowisko wobec wizyty papieża. Jakie znaczenie miała ta wizyta dla opozycji w Polsce i dla narodu polskiego?

B. B.: — Kościół jest jedyną instytucją niezależną od partii i legalnie uznaną. Dla wielu ludzi jest on także jedyną alternatywą, jeśli chodzi o kwestie takie jak wychowanie, moralność i światopogląd.

Kościół ze swej strony bardziej się też otworzył, np. w sprawie praw człowieka, ponieważ krytykuje niesprawiedliwość — oczywiście można się spierać, jak dalece się w tym posuwa.

Przez wybór papieża Kościół w Polsce nabrał jeszcze większego znaczenia: nie tylko dlatego, że wybrany został Polak, ale również dzięki samej osobie i charakterowi wybranego. W czasach gdy był jeszcze w Polsce występował on w sposób bardzo otwarty w kwestii praw człowieka. Partia uważała go za swego głównego przeciwnika w Kościele, bardziej niż np. kardynała Wyszyńskiego.

W 1977 roku na przykład, po demonstracjach i aresztowaniach i po zabójstwie Stanisława Pyjasa wygłosił w Krakowie kazanie przeciw przemocy państwa, aktywnie wspierał opozycję i przyczynił się do tego, że adwokat Kurii reprezentował rodzinę Pyjasa.

Teraz o samej wizycie papieża. Zarówno całe społeczeństwo jak i urzędy i partia czekały z napięciem na tę wizytę — oczywiście z różnych powodów. Widzieliście w telewizji — na pewno lepiej, niż my — jakie tłumy ludzi się zeszły. Teraz partia pojmuje jeszcze wyraźniej, że musi rozmawiać z Kościołem i nie

może wdawać się z nim w żadne konflikty. Opozycja i Kościół to oczywiście nie jest to samo. Ale zawsze wtedy, kiedy Kościół ma większe pole działania, dotyczy to także i opozycji, ponieważ wówczas i możliwości partii zostają ograniczone. Jednocześnie Kościół nie występuje przeciwko władzy tak radykalnie jak opozycja, postępuje przeważnie bardzo ostrożnie.

Wizyta papieża miała wielkie znaczenie również dla wielu ludzi, którzy są związani z Kościołem, ale nie są zaangażowani społecznie. Nabrali odwagi, zaczęli bronić swoich przekonań bardziej otwarcie, występować bardziej zdecydowanie.

R. F.: — Dziękujemy za rozmowę.

tlum. mk.

KOMUNIKAT

ze 171 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski

(Wyjątki)

Pod przewodnictwem Stefana Kardynała Wyszyńskiego, Prymasa Polski, w dniach 13 i 14 grudnia 1979 roku obradowała w Warszawie 171 Konferencja Plenarna Episkopatu Polski. Obrady Konferencji Plenarnej poprzedziło posiedzenie Rady Głównej Episkopatu, któremu przewodniczył Prymas Polski. Posiedzenie to odbyło się w Warszawie dnia 12 grudnia 1979.

.....

3. Przedmiotem szczególnej troski Konferencji Episkopatu jest pogarszająca się sytuacja społeczna w naszym kraju. Rosnące trudności gospodarcze — zresztą nie tylko w naszym kraju — i zjawiska dezorganizacji życia społecznego mają wyraźny związek z przejawami poważnego kryzysu moralnego. Wśród nich zaznacza się: lekceważenie prawdy w kontaktach międzyludzkich, pogarszający się stan uczciwości społecznej: nierzetelna praca, brak poczucia wspólnego dobra, korupcja, alkoholizm, ogólne zniechęcenie, pogłębiająca się obojętność wobec potrzeb ludzkich i ogólnospołecznych oraz brak życzliwości w stosunkach międzyludzkich.

Poprawa sytuacji i wyjście z istniejących niedomagań wymaga przede wszystkim poznania i usunięcia mechanizmów demoralizacji. Są one liczne. Szczególne znaczenie ma brak skutecznej, społecznej kontroli i zjawisko nieodpowiedzialności za błędy lub złą pracę. Wytwarza to poczucie beznadziei i brak wiary w sens i możliwość społecznej poprawy. Drugim ważnym czynnikiem jest wadliwa metoda obsadzania stanowisk w administracji państwowej i gospodarczej, w oświacie i kulturze. Jak dotychczas decyduje nie tyle kompetencja, energia, wyniki pracy i uczciwość kandydatów, ile deklarowanie się po stronie urzędowej ideologii.

Inną przyczyną trudności jest posługiwanie się doktryną, która utrudnia rzeczową ocenę sytuacji oraz rozwiązywanie trudności i zaspakajanie ludzkich potrzeb w mieście i na wsi, w gospodarce i kulturze.

Szerząca się korupcja, której należy z obowiązku sumienia przeciwdziałać, ma ścisły związek ze złym zaopatrzeniem w podstawowe artykuły, dezorganizuje dodatkowo rynek i jeszcze bardziej pogarsza sytuację. Rosnące w tych warunkach różnice majątkowe między ludźmi, zwłaszcza w wyniku posiadanych przywilejów pogłębiają w społeczeństwie poczucie niesprawiedliwości i bezsiły. Ukazują też tym wyraźniej ubóstwo materialistycznej i konsumpcyjnej motywacji życiowej, niosącej w skutkach społeczne szkody. Alkoholizm ma również związek z poczuciem znuzenia i brakiem naturalnych wspólnot i wolnych zrzeszeń kulturalnych i religijnych,

Wyjście z istniejących trudności wymaga wysiłku i jedności całego społeczeństwa. Jednakże jedność narodową budować można jedynie w ramach wspólnie decydowanych społecznych rozwiązań i dobrowolnie przyjętych zadań, w warunkach uczciwej i pełnej informacji obywateli o sytuacji kraju. Ma to znaczenie istotne. I tu trzeba znów odwołać się do słów Ojca Świętego wypowiedzianych na Jasnej Górze w dniu 5 czerwca br. do wiernych Dolnego i Opolskiego Śląska:

„W narodzie jedność zależy od sprawiedliwego zabezpieczenia potrzeb, praw i zadań każdego członka narodu. Tak, aby nie rodził się rozdzźwięk i kontrast na tle różnic, które niesie z sobą uprzywilejowanie jednych, upośledzenie drugich. Z dziejów Ojczyzny naszemu wiemy, jak zadanie to jest trudne — a jednak nigdy nie można zrezygnować z olbrzymiego wysiłku, którego celem jest budowanie sprawiedliwej jedności wśród synów i córek jednej Ojczyzny. Musi zaś temu towarzyszyć miłość tejże Ojczyzny: umiłowanie jej kultury i historii, umiłowanie specyficznych wartości, które stanowią o miejscu tej Ojczyzny w wielkiej rodzinie narodów, umiłowanie wreszcie rodaków — ludzi mówiących tym samym językiem i odpowiedzialnych za tę samą wspólną sprawę, której na imię „Ojczyzna” (AAS, nr 10, str. 806 i 807).

Godność narodowa rodzi się przede wszystkim z poczucia własnej historii, z szacunku dla własnej kultury oraz duchowego i religijnego dorobku. Jedność narodowa nie jest możliwa jeżeli historia, kultura i religijna spuścizna narodu jest zniekształcona.

W kraju naszym muszą istnieć także warunki bezpieczeństwa i ochrony prawnej dla wszystkich, którzy wypowiadają swoją troskę o wspólne dobro wychodząc z różnych motywacji. Każdy jednak podejmując działanie musi się kierować roztropnością i poczuciem odpowiedzialności za naród, uwzględniając okoliczności miejsca i czasu.

W takich warunkach będzie można oczekiwać większej cierpliwości i gotowości do ponoszenia ze strony społeczeństwa ofiar na rzecz narodu i kraju, mimo braków i niedostatków dnia codziennego.

5. Zagadnienia środowiska moralnego pracy zależnej nie przestają być przedmiotem troski Konferencji Episkopatu Polski. Warunki i czas pracy w różnych dziedzinach gospodarki narodowej łączą się ściśle z zasadami moralnymi. Te właśnie zasady moralne muszą być respektowane w organizacji pracy zależnej, jeśli praca ma być bezpieczna, rzetelna, dawać radość i chronić dobro człowieka. W tej organizacji musi być stanowczo uwzględniony czas na należyty odpoczynek, zachowanie niedzieli, jako dnia wolnego od pracy, jako dnia świątecznego niezależnie od wprowadzanych systemów pracy. W przemówieniu do górników Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego na Jasnej Górze 5 czerwca br. Ojciec Święty dał nam takie wskazania:

„Praca jest też podstawowym wymiarem ludzkiego bytowania na ziemi. Dla człowieka posiada ona nie tylko znaczenie techniczne, ale także znaczenie etyczne. O tyle tylko można powiedzieć, że człowiek przez pracę czyni sobie ziemię 'poddaną', o ile człowiek sam przez swoje postępowanie okazuje się panem, a nie niewolnikiem ziemi, a także panem, a nie niewolnikiem pracy.

Praca ma dopomagać człowiekowi do tego, by stawał się lepszym, duchowo dojrzałym, bardziej odpowiedzialnym, aby mógł spełnić swoje ludzkie powołanie na tej ziemi, zarówno sam, jako niepowtarzalna osoba, jak też we wspólnocie z drugim, a nade wszystko w tej podstawowej ludzkiej wspólnocie, jaką jest rodzina” (AAS, nr 10, str. 829).

Warszawa, dnia 15 grudnia 1979 r.

SPIS RZECZY

Andrzej Brzeski: <i>Przedmowa</i>	7
Stefan Kurowski: <i>Doktrynalne uwarunkowania obecnego kryzysu gospodarczego PRL</i>	9
<i>Raport o stanie Rzeczypospolitej i o drogach do jej naprawy opracowany przez Komitet Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i przyszłość”</i>	27
Uwagi wstępne	28
Rozdział I — <i>O sposobach uprawiania polityki</i>	34
Rozdział II — <i>O strukturach i mechanizmach systemu</i> ..	55
Rozdział III — <i>O stanie społeczeństwa i jego świadomości</i>	77
Rozdział IV — <i>O zagrożeniach</i>	95
Rozdział V — <i>O stosunkach międzynarodowych i suwerenności Polski</i>	120
Rozdział VI — <i>O przemianach politycznych, reformach i gwarancjach</i>	133
Rozdział VII — <i>O wnioskach w sprawach gospodarki i polityki społecznej</i>	152
Zakończenie	163
Józef Kuśmierek: <i>O czym wiedziałem</i> (poprzedzone notą od Redakcji <i>Krytyki</i>)	167
<i>Robotnicy nabrali odwagi...</i> Wywiad z Bogdanem Borusewiczem	211
Komunikat 171 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski (wyjątki)	219

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 5 FEVRIER 1980
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1980.

dar At. Unge, der Cat,

ORBIS BOOKS

87.00